

Ken Follet

Człowiek z Petersburga

(The man from St. Petersburg)

Nie można kochać ludzkości. Można kochać
tylko ludzi.

Graham Greene

1.

Alden uwielbiał takie leniwe, niedzielne popołudnia. Stał przy otwartym oknie i spoglądał na park. Na rozległym, płaskim trawniku rosły dwa potężne dęby, szkocka sosna, kilka kasztanów i wierzba przypominająca dziewczęcą głowę z rozpuszczonymi włosami. Słońce stało wysoko, dojrzałe drzewa rzucały ciemny, chłodny cień. Ptaki umilkły, tylko z kwitnącego przy oknie powoju dochodziło buczenie sytych pszczół. W domu również panowała cisza. Większość służby miała wolne popołudnie. Jedynymi gośćmi tego weekendu byli brat Waldena George, jego żona Clarissa i ich dzieci. George poszedł na spacer, Clarissa położyła się, a dzieci były gdzieś poza zasięgiem wzroku. Walden odprężył się. W nabożeństwie uczestniczył oczywiście w surducie, a za godzinę lub dwie miał przebrać się do obiadu we frak i biały krawat, tymczasem jednak świetnie czuł się w tweedowym garniturze i koszuli z miękkim kołnierzykiem. Jeśli tylko Lidia zagra dziś wieczorem na fortepianie, pomyślał, to będzie naprawdę wspaniały dzień.

Obrócił się ku żonie.

— Zagrasz po obiedzie?

— Jeśli tylko sobie tego życzysz — odparła z uśmiechem. Walden usłyszał hałas i znowu wyjrzał przez okno. U szczytu alei, w odległości kilkuset metrów, zobaczył automobil. Ogarnęła go irytacja, podobna do doskwierającego mu przed burzą, złośliwego klucia w prawej nodze. Dlaczego przejmuję się automobilem? — pomyślał. Nie miał nic przeciwko automobilom — sam posiadał lanchestera i używał go regularnie jeżdżąc do Londynu — latem jednak stanowiły one dla mieszkańców wioski prawdziwą udrękę, pędziły bowiem z rykiem, wzniecając tumany kurzu. Od jakiegoś czasu Walden nosił się z zamiarem wyasfaltowania paruset metrów drogi. Normalnie nie wahałby się ani chwili, ale od roku 1909, kiedy Lloyd George powołał Zarząd Dróg, sprawa ta nie należała już do jego kompetencji. To właśnie, uświadomił sobie, było powodem jego irytacji. Typowy przykład stanowienia prawa przez liberałów: biorą od człowieka pieniądze, żeby wykonać coś, co równie dobrze zrobiłby sam, a następnie siedzą z założonymi rękami.

Przypuszczam, że w końcu sam wyasfaltuję tę drogę, pomyślał, denerwujący jest tylko fakt, że dwa razy trzeba będzie płacić za to samo.

Automobil skręcił na wysypany żwirem podjazd. Klekocąc i hałasując zatrzymał się naprzeciwko wejścia południowego. Spaliny z rury wydechowej doleciały aż do okna i Walden wstrzymał na chwilę oddech. Kierowca, ubrany w kask, gogle i ciężki płaszcz do jazdy, otworzył drzwi przed pasażerem. Z automobilu wysiadł niski mężczyzna w czarnym płaszczu i czarnym filcowym kapeluszu. Walden poznał go i zamarło mu serce: spokojne letnie popołudnie dobiegło końca.

— To Winston Churchill — powiedział.

— Jakież to krępujące — zachnęła się Lidia.

Ten człowiek po prostu nie daje się spławić. W czwartek wysłał liścik, który Walden zwyczajnie zignorował. W piątek zadzwonił do londyńskiego domu Waldena, gdzie poinformowano go, że earla nie ma w domu. A teraz, w niedzielę, przebył długą drogę aż do Norfolk. Zostanie ponownie odprawiony. Czy wyobraża sobie, że jego upór wywrze na kimś wrażenie? — pytał sam

siebie Walden.

Nie lubił być niegrzeczny, ale ten człowiek w pełni na to zasługiwał. Rząd liberałów, w którym Churchill pełnił funkcję ministra, w sposób haniebny wystąpił przeciwko fundamentom angielskiego społeczeństwa — opodatkowując wielką własność ziemską, osłabiając znaczenie Izby Lordów, usiłując oddać Irlandię w ręce katolików, przetrzebiamąc Królewską Marynarkę Wojenną i ustępując przed szantażem związków zawodowych i przeklętych socjalistów. Nie, Walden i jego przyjaciele nigdy nie uścisną ręki ludziom takiego pokroju.

Drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł Pritchard, wysoki mężczyzna, z nasmarowanymi brylantyną czarnymi włosami. Wywodził się z londyńskiego przedmieścia i mało kogo mógł oszukać dostojną miną, jaką przybierał na użytek gości. Jako młody chłopak uciekł na morze i zszedł ze statku we wschodniej Afryce. Walden, przebywający tam wówczas na safari, wynajął go do pilnowania miejscowych tragarzy. Od tej pory stali się nierozłączni. Obecnie Pritchard był u Waldena majordomusem i towarzyszył mu

zarówno w domu w Londynie, jak i w rezydencji na wsi. Byli przyjaciółmi, oczywiście na tyle, na ile pan może się przyjaźnić ze sługą.

— Przybył Pierwszy Lord Admiralicji, milordzie — oznajmił Pritchard.

— Nie ma mnie w domu — odparł Walden.

Pritchard wydawał się lekko zakłopotany. Nie przywykł do wyrzucania za drzwi członków gabinetu. Lokaj mojego ojca poradziłby sobie z tym bez zmrużenia oka, pomyślał Walden; staremu Thomsonowi pozwolono jednak łaskawie odejść na emeryturę i hodował teraz róże w ogródku przy swoim domu we wsi. Pritchard nie mógł sobie jakoś przyswoić jego niewzruszonego dostojeństwa.

Pritchard zaczął połykać spółgłoski, co było oznaką, że albo jest bardzo rozluźniony, albo bardzo napięty.

— Pan Churchill poedział, że pan, milordzie, powie, że nie ma pana w domu. I poedział, żeby oddać panu ten list. — Podał na tacy kopertę.

Walden nie znosił ludzi nachalnych.

— Oddaj mu go — powiedział zdenerwowany. Nagle zatrzymał się i przyjrzał ponownie

charakterowi pisma na kopercie. Było coś znajomego w tych dużych, wyraźnych, lekko pochyłych literach.

— O, mój Boże — wyszeptał.

Wziął kopertę, otworzył ją i wyjął pojedynczą, złożoną na pół kartkę grubego, białego papieru. Na górze widniała czerwona pieczęć królewska. Walden przeczytał:

Pałac Buckingham, 1 maja 1914 roku

Mój drogi Waldenie Przyjmij młodego Winstona. Jerzy R. V

— To od króla — poinformował Lidie.

Był tak zażenowany, że aż się zaczerwienił. Wciągać króla w coś takiego było po prostu straszliwym nietaktem. Czuł się jak uczeń, którego wytargano za uszy i kazano zająć się lekcjami. Przez moment kusilo go, żeby odmówić królowi. Ale konsekwencje... Lidii nie przyjęto by już więcej u królowej, ludziom nie byłoby wolno zapraszać Waldenów na przyjęcia, na których mogliby być obecni członkowie rodziny panującej i — co najgorsze ze wszystkiego — córka Waldena, Charlotte, nie zostałaby przedstawiona na dworze. Życie towarzyskie całej rodziny

ległoby w gruzach. Równie dobrze mogliby się spakować i wyjechać do innego kraju. Nie, nie sposób było sprzeciwić się woli króla.

Walden westchnął. Churchill pokonał go. Przyjął to poniekąd z ulgą: teraz mógł wyłamać się z szeregu i nikt nie powinien mieć mu tego za złe. List od króla, staruszku, mógł się usprawiedliwiać, nic się nie dało zrobić, sam rozumiesz.

— Poproś tutaj pana Churchilla — powiedział do Pritcharda.

9

Podał list Lidii. Liberałowie naprawdę nie mają pojęcia, jak powinna funkcjonować monarchia.

— Król jest po prostu za mało stanowczy w stosunku do tych ludzi — mruknął.

— To staje się okropnie nudne — zauważyła Lidia. Nie była ani trochę znudzona, pomyślał Walden. W rzeczywistości

uważa pewnie tę sytuację za rzecz całkiem ekscytującą; powiedziała tak, bo tak właśnie wyraziłaby się angielska dama, a ponieważ nie

była Angielką, lecz Rosjanką, lubiła mówić w sposób typowy dla Anglików — podobnie jak ktoś, kto świeżo nauczył się francuskiego, będzie wszędzie wtrącał „hein?” i „alors”.

Walden podszedł do okna. Automobil Churchilla wciąż warczał i dymił na podjeździe. Kierowca stał przy nim, jedną ręką przytrzymując drzwi, jakby miał do czynienia z koniem, który w każdej chwili może się wyrwać i pognać na pastwisko. Kilku służących przyglądało się maszynie z bezpiecznej odległości.

Pritchard wszedł i zapowiedział:

— Pan Winston Churchill.

Churchill miał czterdzieści lat, dokładnie dziesięć mniej niż Walden. Był niskim, szczupłym mężczyzną, ubranym, według earla, nieco zbyt elegancko jak na prawdziwego dżentelmena. W szybkim tempie przeredzały mu się włosy — została mu tylko kępka na czubku głowy i dwa loki na skroniach, co w połączeniu z krótkim nosem i nieustannym ironicznym błyskiem w oku, nadawało mu złośliwy wygląd. Nietrudno było zrozumieć, dlaczego karykaturzyści regularnie przedstawiali go w

postaci podstępного cheruba.

— Dzień dobry, lordzie Walden — powiedział wesoło Churchill ściskając mu rękę. Ukłonił się Lidii. — Lady Walden, witam panią.

Co jest takiego w tym człowieku, że gra mi na nerwach, zastanawiał się Walden. Poprosił go, żeby usiadł, a Lidia zaproponowała herbatę. Nie wszczywał luźnej pogawędki; chciał szybko dowiedzieć się, o co ten cały hałas.

— Przede wszystkim chciałbym, również w imieniu króla, przeprosić pana za najście — zaczął Churchill.

Walden kiwnął głową. Nie miał zamiaru ułatwiać tamtemu sytuacji, twierdząc, że nic się nie stało.

— Chciałbym dodać, że nigdy bym się do czegoś takiego nie posunął, gdyby nie sprawy najwyższej wagi państwowej.

— Lepiej niech mi je pan przedstawi.

— Czy wie pan, co dzieje się na rynku finansowym?

— Owszem. Podniosła się stopa dyskontowa.

— Z jednego i trzech czwartych do prawie

trzech procent. Jest to olbrzymi wzrost i nastąpił w ciągu kilku ostatnich tygodni.

10

— Spodziewam się, że pan wie dlaczego. Churchill skinął głową.

— Firmy niemieckie zadłużają się na wielką skalę, wycofując gotówkę i kupując złoto. Jeszcze kilka tygodni i Niemcy, kosztem innych krajów, ściągną do siebie wszystko. Będą mieli nie spłacone długi i rezerwy złota wyższe niż kiedykolwiek w ich historii.

— Przygotowują się do wojny.

— W ten i na szereg innych sposobów. Podnieśli podatki o miliard marek w stosunku do ich poprzedniej wysokości, aby wzmocnić armię, która i tak jest już najsilniejsza w Europie. Pamiętaj pan, że kiedy w roku 1909 Lloyd George podniósł brytyjskie podatki o piętnaście milionów funtów szterlingów, o mało nie doprowadziło to do rewolucji. Cóż, miliard marek stanowi w przybliżeniu równowartość pięćdziesięciu milionów funtów. To najwyższe podatki w historii Europy.

— Tak, rzeczywiście — przerwał Walden.

Obawiał się, że Churchill znowu zacznie swoje oratorskie popisy. Nie życzył sobie, żeby tamten wygłaszał przed nim mowę. — My konserwatyści od dłuższego już czasu zaniepokojeni byliśmy rozwojem niemieckiego militaryzmu. Teraz, za pięć dwunasta, oznajmia mi pan, że mieliśmy rację.

Churchill nie dał się zbić z tropu.

— Niemcy zaatakują Francję, to prawie pewne. Pytanie brzmi: czy przyjdziemy Francji z pomocą?

— Ależ skąd — odparł ze zdumieniem Walden. — Minister spraw zagranicznych zapewnił nas przecież, że nie mamy żadnych zobowiązań wobec Francji...

— Sir Edward, oczywiście, uczynił to ze szczerego przekonania — przytaknął Churchill. — Ale był w błędzie. Nasze porozumienie z Paryżem jest tego rodzaju, że nie możemy stać z boku i patrzeć, jak Francja pada w walce z Niemcami.

Walden był wstrząśnięty. Liberalom udało się przekonać wszystkich, jego nie wykluczając, że nie wciągną Anglii do wojny; a teraz jeden z ich najważniejszych ministrów twierdzi coś wprost

przeciwnego. Dwulicowość polityków może doprowadzić do szalu, ale Walden rychło o niej zapomniał, kiedy zaczął zastanawiać się, jakie konsekwencje pociągnie za sobą ta wojna. Myślał o znanych mu młodych ludziach, którzy będą musieli pójść na front: o niemrawych, opiekujących się jego parkiem ogrodnikach, o bezczelnych, kręcących się po jego domu lokajach, o ogorzałych na twarzy parobkach z folwarku, o niesfornych studentach, o próżniakach zabijających czas w klubach przy St. James's... a potem ta myśl odpłynęła ustępując miejsca następnej, o wiele bardziej przygnębiającej.

— Czy jesteśmy w ogóle w stanie wygrać tę wojnę? — zapytał. Churchill przybrał poważną minę.

11

— Sądzę, że nie.

Walden wlepił w niego oczy.

— Na miły Bóg, coście najlepszego narobili?

— W naszej polityce kierowaliśmy się zawsze chęcią uniknięcia

wojny — zaczął się bronić Churchill — a nie

można prowadzić takiej

polityki i równocześnie zbroić się po zęby.

— Ale nie udało wam się uniknąć wojny.

— Wciąż się o to staramy.

— Ale sądzicie, że to się wam nie uda.

Wydawało się, że Churchill chce się sprzeciwić, ale przełknął tylko

ślinę.

— Niestety tak.

— Więc co teraz będzie?

— W sytuacji, kiedy Anglia i Francja nie są w stanie pokonać

Niemiec wspólnymi siłami, musimy mieć jeszcze jednego sojusznika: trzecie państwo, które znajdzie się po naszej stronie. Tym państwem jest Rosja. Kiedy Niemcy podzielą swoje siły i zmuszeni będą walczyć na dwa fronty, wówczas możemy wygrać. Armia rosyjska jest nieudolna i skorumpowana, jak wszystko inne w tym kraju, ale nie gra to żadnej roli, dopóki jest w stanie ściągnąć na siebie część sił niemieckich.

Churchill doskonale wiedział, że Lidia jest Rosjanką. Lekceważące mówienie o Rosji w jej obecności świadczyło o typowym dla niego braku

taktu, ale Walden puścił mu to płazem, tak był zaintrygowany tym, co usłyszał.

— Rosja zawarła przecież przymierze z Francją — powiedział.

— To nie wystarczy — odparł Churchill. — Rozstrzygnięcie, czy Francja jest ofiarą agresji, czy agresorem, pozostawia się w każdym przypadku Rosji. Kiedy wybucha wojna, każda ze stron twierdzi na ogół, że została napadnięta. Dlatego to przymierze zobowiązuje Rosję do walki wyłącznie wtedy, kiedy ta ma na to ochotę. Do niczego więcej. Chcemy, żeby Rosja na nowo i stanowczo opowiedziała się po naszej stronie.

. . . , .

— Nie mogę sobie was wyobrazić, jak wymieniacie uścisk dłoni z carem.

. — W takim razie, wcale nas pan nie zna. Żeby ocalić Anglię, gotowi jesteśmy paktować z samym diabłem.

— Nie spodoba się to waszym zwolennikom.

— Nie będą o niczym wiedzieli.

Walden domyślał się, do czego to wszystko prowadzi. Perspektywa była ekscytująca.

. . .

— Co pan ma na myśli? Tajny traktat? Czy niepisane porozumienie/

— Jedno i drugie.

12

Walden przyjrzał się Churchillowi przez zmrużone powieki. Ten młody demagog ma rozum nie od parady — pomyślał — i może go wykorzystać przeciwko mnie. A zatem liberałowie pragną zawrzeć tajny traktat z carem — nie bacząc na nienawiść, jaką naród angielski żywi do brutalnego, panującego w Rosji reżimu — ale dlaczego zdradzają mi swoje zamysły? Chcą mnie jakoś związać z tą sprawą, to jasne. W jakim celu? Po to, żeby jeżeli coś się nie powiedzie, mieć pod ręką kozła ofiarnego, konserwatystę na dodatek? Żeby zwabić mnie w taką pułapkę, potrzebny byłby intrygant bardziej subtelny niż Churchill.

— Proszę dalej — powiedział.

— Rozpocząłem z Rosjanami rozmowy na temat marynarki wojennej, przy okazji naszych wojskowych negocjacji z Francją. Przez jakiś czas

uczestniczyli w nich urzędnicy dość niskiej rangi, teraz jednak rokowania nabierają rumieńców. Do Londynu ma przybyć młody rosyjski admirał. To książe Aleksy Andriejewicz Orłów.

— Aleks! — krzyknęła cicho Lidia.

Churchill rzucił jej spojrzenie. — Zdaje się, że to pani krewny, lady Walden.

— Tak — przyznała Lidia. Coś, o czym Walden nie miał najmniejszego pojęcia, najwyraźniej wytrąciło ją z równowagi. — Jest synem mojej starszej siostry, co oznacza, że jest moim... kuzynem?

— Siostrzeńcem — odpowiedział Walden.

— Nie wiedziałam, że został admirałem — mówiła dalej. — Musieli go niedawno mianować.

Wydawała się teraz jak zwykle doskonale opanowana i Walden nie wiedział, czy nie przyśniło mu się to, czego świadkiem był przed chwilą. Rad był, że Aleks przyjeżdża do Londynu: bardzo lubił tego chłopaka.

— Jest młody jak na tak wysoką szarżę — stwierdziła Lidia.

— Ma trzydzieści lat — odparł Churchill i Walden uświadomił sobie, że czterdziestoletni

Churchill jest również bardzo młody jak na funkcję, dającą mu władzę nad całą Królewską Marynarką Wojenną. Pierwszy Lord wydał dumnie wargi, jakby chciał powiedzieć: „Świat należy do genialnych młodych ludzi, takich jak ja i Orłów”.

A jednak i mnie do czegoś potrzebujecie, pomyślał Walden.

— Ponadto — kontynuował Churchill — Orłów jest przez swego ojca, nieżyjącego już księcia, siostrzeńcem samego cara i — co jeszcze ważniejsze — jednym z niewielu ludzi spoza kręgu Rasputina, których car lubi i których obdarza zaufaniem. Jeżeli w dowództwie rosyjskiej marynarki wojennej jest ktoś, kto potrafi przeciągnąć cara na naszą stronę, to tą osobą jest Orłów.

— A mój udział w tym -wszystkim? — Walden zadał pytanie, które cały czas chodziło mu po głowie.

13

— Chcę, żeby reprezentował pan Anglię podczas tych rozmów... i chcę, żeby przyniósł mi pan Rosję na talerzu.

Ten facet nigdy nie może się oprzeć pokusie, żeby nie zachowywać się jak w tanim melodramacie, pomyślał Walden.

— Chce pan, abyśmy razem z Alekssem wynegocjowali angielsko--rosyjski traktat wojskowy?

— Tak. Walden natychmiast pojął, jak trudne, śmiałe i obiecujące byłoby to

zadanie. Stłumił ogarniające go podniecenie i pokusę, aby wstać i przejść

się po pokoju.

— Zna pan osobiście cara — mówił Churchill.

— Zna pan Rosję i mówi pan płynnie po rosyjsku. Jako mąż lady Walden jest pan wujem Orłowa. Już raz przedtem skłonił pan cara do opowiedzenia się po stronie Anglii przeciw Niemcom — w roku 1906, kiedy pańska interwencja zapobiegła ratyfikacji traktatu z Bjorko. — Churchill przerwał. — Mimo to początkowo nie braliśmy pod uwagę pańskiej kandydatury jako naszego reprezentanta w tych negocjacjach. W Westminsterze sprawy

mają się w ten sposób...

— Tak, tak — Walden nie chciał rozpoczynać

dyskusji na ten temat. — Jednak coś sprawiło, że zmieniliście zdanie.

— Istota sprawy polega na tym, że pańską kandydaturę wysunął car. Wygląda na to, że jest pan jedynym Anglikiem, do którego ma jakiegokolwiek zaufanie. Wysłał telegram do swego kuzyna, a naszego króla, domagając się, żeby Orłów prowadził rozmowy właśnie z panem.

Walden mógł sobie wyobrazić konsternację, jaka zapanowała wśród radykałów, kiedy dowiedzieli się, że będą musieli dopuścić do swoich tajnych kombinacji starego, zasiadającego w Izbie Lordów konserwatystę.

— Sądzę, że wpadliście w tym momencie w przerażenie — powiedział.

— Niezupełnie. W sprawach zagranicznych nasza polityka nie różni się tak bardzo od waszej. Poza tym zawsze uważałem, że nasze wewnętrzne polityczne nieporozumienia nie powinny stać na przeszkodzie, aby pańskie talenty wykorzystane zostały w służbie rządu Jego Królewskiej Mości.

Teraz pochlebstwa, pomyślał Walden. Muszę być im bardzo potrzebny.

— Jak uda się to wszystko utrzymać w

tajemnicy? — zapytał głośno.

— Ma to wyglądać na zwykłą towarzyską wizytę. Jeśli się pan zgodzi, Orłów będzie państwa gościem. Wprowadzi go pan w londyńskie towarzystwo. Córka państwa rozpoczyna w tym sezonie życie towarzyskie, nie myślę się chyba? — Churchill spojrzał na Lidię.

— Tak, to prawda — odpowiedziała.

— Więc przy okazji możecie państwo ubić całkiem inny interes. Orłów jest, jak wiecie, kawalerem, z pewnością stanowi świetną partię,

14

możemy więc rozpuścić za granicą pogłoski, że przyjechał tu do Anglii w poszukiwaniu żony. Nic się nie stanie, jeśli rzeczywiście ją znajdzie.

— Świetny pomysł. — Nagle Walden zdał sobie sprawę, że wszystko to wprawia go w doskonały humor. Pełnił kiedyś, za czasów konserwatywnych rządów Salisbury'ego i Balfoura, funkcję półoficjalnego dyplomaty, jednak już od ośmiu lat nie uczestniczył w żadnym charakterze w polityce międzynarodowej. Teraz miał okazję pojawić się z powrotem na scenie i przypomniał sobie, jak

absorbowały i fascynowały go niegdyś takie misje: otaczająca je aura tajemniczości, pokerowe zagrania podczas negocjacji, zmagania się różnych osobowości, umiejętne posługiwanie się perswazją, naciskiem, nawet groźbą wojny. Z Rosjanami, jak pamiętał, rozmowy nie były łatwe. Byli kapryśni, uparci i aroganccy. Ale z Alekssem nie będzie tak źle. Kiedy Walden brał ślub z Lidią, Aleks był obecny na weselu. Dziesięcioletni brzdąc w marynarskim ubranku. Potem studiował kilka lat na uniwersytecie w Oksfordzie i odwiedzał Walden Hall podczas wakacji. Nie żył już wtedy jego ojciec i Walden poświęcał młodzieńcowi trochę więcej czasu, niż czyniłby to w normalnych okolicznościach. Zyskał dzięki temu gorącą przyjaźń młodego, obdarzonego żywym umysłem Rosjanina.

To stanowiło świetną podstawę do negocjacji. Sądzę, że jestem w stanie doprowadzić je do pomyślnego zakończenia, pomyślał. Cóż to byłby za sukces!

— Mogę zatem uważać, że pan się zgadza? — zapytał Churchill.

— Naturalnie — odparł Walden.

Lidia uniosła się z krzesła.

— Nie, proszę nie wstawać — powiedziała, kiedy mężczyźni powstali wraz z nią. — Zostawiam panów, żebyście mogli porozmawiać o polityce. Czy zostanie pan na obiedzie, panie Churchill?

— Niestety, mam pilne sprawy w mieście.

— W takim razie już teraz żegnam pana. — Podała mu rękę. Wyszła z pokoju ośmiokątnego, gdzie zawsze pili herbatę, przecięła

duży i mały hall i otworzyła drzwi do pokoju kwiatowego. W tym samym momencie jeden z pomocników ogrodnika — nie znała jego imienia — wszedł tam przez prowadzące z ogrodu drzwi z naręczem różowych i żółtych tulipanów, przeznaczonych do przystrojenia stołu przy obiedzie. Jedną z rzeczy, które Lidia pokochała w Anglii, a zwłaszcza w Walden Hall, było bogactwo kwiatów. Co rano i co wieczór zawsze ścinano dla niej świeże kwiaty, nawet w zimie, kiedy trzeba je było hodować w szklarni.

Ogrodnik dotknął czapki palcami— nie musiał jej zdejmować bez

wyraźnego polecenia, ponieważ pokój kwiatowy był w zasadzie częścią ogrodu – położył kwiaty na marmurowym stole i wyszedł. Lidia usiadła i odetchnęła chłodnym, pachnącym powietrzem. To było odpowiednie miejsce do tego, żeby dojść do siebie po szoku. Rozmowa o Petersburgu wytrąciła ją z równowagi. Pamiętała Aleksego Andriejewicza ze swojego wesela jako nieśmiałego, małego, ślicznego chłopca, pamiętała również, że był to najniezwyklejszy dzień w jej życiu.

To z mojej strony prawdziwa perwersja, pomyślała, że właśnie z pokoju kwiatowego uczyniłam swoje sanktuarium. Ten dom miał specjalne pomieszczenia na prawie każdą okazję: w jednym pokoju jadało się śniadanie, w innym lunch, w kolejnym obiad, osobne pokoje przeznaczone były na picie herbaty, na grę w bilard, przechowywanie broni, pranie bielizny, prasowanie, robienie przetworów, czyszczenie sreber, szrotkowanie ubrań, na składowanie win i przyborów do gier... Jej własny apartament składał się z sypialni, garderoby i salonu. Mimo to, gdy potrzebowała spokoju, przychodziła

właśnie tutaj. Siadała na twardym krześle i wpatrywała się w prosty kamienny zlew i żeliwne nogi, na których spoczywał marmurowy blat stołu. Zauważyła, że jej mąż ma także swoje prywatne sanktuarium: kiedy coś wyprowadziło go z równowagi, szedł do zbrojowni i tam czytał książki o polowaniach.

Aleks będzie zatem w Londynie jej gościem. Będą rozmawiać o rodzinnych stronach, o zaśnierzonych uliczkach Petersburga, o balecie i o zamachach bombowych; a ona patrząc na Aleksa będzie myślała o innym młodym Rosjaninie, o mężczyźnie, za którego nie wyszła kiedyś za mąż.

Dziewiętnaście lat minęło, odkąd widziała tego człowieka po raz ostatni, ale wciąż najdrobniejsza wzmianka o Petersburgu sprawiała, że stawał jej przed oczyma jak żywy, a skóra jej cierpła pod jedwabną suknią. Miał wtedy dziewiętnaście lat, tyle samo co ona: głodny, chudy jak patyk studencina z długimi, czarnymi włosami, twarzą wilka i oczyma spaniela. Miał bladą cerę, miękkie, ciemne włosy na piersiach i zręczne, bardzo zręczne ręce. Dziś

jeszcze oblewała się rumieńcem, nie na myśl o nim, ale o swoim własnym, zdradzającym ją, oszalałym z rozkoszy ciele, o sromotnym krzyku, który wydzierał się jej z gardła. Byłam nikczemna, myślała, i wciąż jestem nikczemna, bo nadal tego pragnę.

Poczuła się winna i pomyślała o swoim mężu. Rzadko kiedy myślała o nim bez poczucia winy. Kiedy za niego wychodziła, wcale go nie kochała, miłość przyszła dopiero później. Był człowiekiem o silnej woli i dobrym sercu, i uwielbiał ją. Jego uczucie do niej było stałe, delikatne i całkowicie pozbawione desperackiej namiętności, której kiedyś doświadczyła. Był szczęśliwy tylko dlatego, myślała, ponieważ nigdy nie zaznał, że miłość może być szalona i wygłodniała.

16

Nie pożądam już więcej takiej miłości, powiedziała sobie; nauczyłam się bez niej żyć i przez wszystkie te lata życie stało się łatwiejsze. I tak właśnie powinno być — mam już prawie czterdzieści lat!

Niektóre z jej przyjaciółek wciąż jeszcze ulegały pokusie. Nie opowiadały jej o swoich

romansach, bo czuły, że ich nie pochwała; ale plotkowały o sobie nawzajem i Lidia wiedziała, że podczas niektórych przyjęć w wiejskich rezydencjach mają miejsce liczne... powiedzmy, stosunki pozamałżeńskie. Lady Girard zwróciła się kiedyś do niej z miną doświadczonej starszej kobiety, która udziela dobrych rad młodej gospodyni: „Moja droga, jeśli gościsz tej samej nocy wiceksiężną i Charlie'ego Stotta, musisz umieścić ich w przylegających do siebie sypialniach”. Lidia rozlokowała ich w pokojach na dwóch przeciwnych krańcach domu i wiceksiężna już nigdy więcej nie odwiedziła Walden Hall.

Ludzie mówili, że niemoralność rozpleniła się z winy zmarłego króla, ale Lidia w to nie wierzyła. To prawda, że przyjaźnił się z Żydami i śpiewakami, ale to nie czyniło z niego jeszcze rozpustnika. Dwukrotnie gościł w Walden Hall — raz jako Księżę Walii, potem jako król Edward VII — i zawsze zachowywał się bez zarzutu.

Zastanawiała się, czy odwiedzi ich kiedyś nowy panujący. Wizyta monarchy wiązała się z olbrzymimi wydatkami i napięciem, ale z drugiej

strony jakąż wspaniałą rzeczą było dekorowanie domu na jego cześć, przygotowywanie najbardziej wyszukanych, jakie można sobie wyobrazić, potraw i sprawianie sobie dwunastu sukien tylko na jeden weekend. Po wizycie w Walden Hall król przyznałby im być może pożądaną przez wszystkich przywilej specjalnego entree do Pałacu Buckingham — prawo do wjazdu podczas specjalnych okazji przez bramę ogrodową. Nie musieliby wówczas oczekiwać w kolejce wzdłuż alei The Mall wraz z dwiema setkami innych powozów.

Pomyślała o gościach, których przyjmowali tego weekendu. George był młodszym bratem Stephena; miał jego urok, ale ani trochę jego powagi. Córka George'a, Belinda, miała osiemnaście lat, tyle samo co Charlotte. Obie rozpoczynały w tym sezonie życie towarzyskie. Matka Belindy zmarła kilka lat temu i George dość szybko ożenił się ponownie. Jego druga żona Clarissa była od niego znacznie młodsza i całkiem ponętna. Urodziła mu dwóch bliźniaków. Jeden z nich odziedziczy Walden Hall po śmierci Waldena, jeżeli Lidia nie będzie miała syna.

Mogłabym urodzić, pomyślała; czuję, że jestem do tego zdolna, ale po prostu na razie się na to nie zanosì.

Nadeszła pora, żeby przygotować się do obiadu. Westchnęła. Czowała się wygodnie i naturalnie w swojej sukni, z luźno upiętymi włosami; teraz będzie musiała dać się pokojówce zasnurować w gorset i uczesać w wysoki kok. Mówiło się, że niektóre młode kobiety w ogóle przestały

2 – Człowiek...

17

nosić gorsety. Można sobie na to pozwolić, myślała Lidia, kiedy ma się figurę jak ósemka. Ale ona była szczupła we wszystkich niewłaściwych miejscach.

Wstała i wyszła na dwór. Pomocnik ogrodnika stał przy drzewku różanym i rozmawiał z pokojówką. Lidia poznała ją. To była Annie, ładna, zmysłowa dziewczyna o pustej głowie i szerokim uśmiechu, którym obdarzała każdego, kto się akurat trafił. Stała z rękami w kieszeniach fartucha, obracając zaczerwienioną twarz ku słońcu i śmiejąc się z czegoś, co powiedział

ogrodnik. To jest właśnie dziewczyna, która nie potrzebuje gorsetu, pomyślała Lidia. Annie miała pilnować Charlotte i Belindy, bo guwernantka miała akurat wolne popołudnie.

— Annie! Gdzie są młode panienki? — zapytała ostro Lidia. Annie przestała się uśmiechać i dygnęła.

— Nie mogę ich znaleźć, jaśnie pani. Ogrodnik przezornie ulotnił się.

— Nie wydaje mi się, żebyś ich szukała — powiedziała Lidia. — Już cię nie ma.

— Dobrze, proszę pani.

Annie zniknęła za narożnikiem pałacu. Lidia westchnęła: z pewnością nie znajdzie tam dziewcząt, zbyt nużące byłoby jednak ponowne wzywanie

jej i udzielanie reprimendy.

Przeszła przez trawnik, myśląc o rzeczach przyjemnych i swojskich, spychając Petersburg głęboko w mrok niepamięci. Ojciec Stephena, siódmy earl Walden, obsadził zachodnią część parku rododendronami i azaliami. Lidia nigdy nie miała okazji go poznać, zmarł bowiem, zanim

spotkała Stephena, ale z sądząc z tego, co o nim mówiono, musiał być jednym z tych, na których wielkości opierała się epoka wiktoriańska. Zasadzone przez niego krzaki obsypane były przepięknymi, w pełni rozwiniętymi, kolorowymi kwiatami; bijący od nich ogień nie miał w sobie jednak wiele z wiktoriańskiego ducha. Musimy zamówić u kogoś nowy obraz przedstawiający Walden Hall, pomyślała. Poprzedni namalowano, kiedy park nie był jeszcze w pełnym rozkwicie.

Obejrzała się do tyłu, na pałac. W promieniach popołudniowego słońca szary kamień ściany frontowej wyglądał pięknie i dostojnie. W samym środku widniało wejście południowe. Oddalone od niej skrzydło wschodnie mieściło bawialnię, kilka jadalni oraz kuchnie, spiżarnie i pralnie ciągnące się w przypadkowym zestawieniu aż po odległe stajnie. Blżej, po stronie zachodniej, znajdował się pokój poranny, pokój ośmiokątny i w samym narożniku biblioteka. Za narożnikiem zaś sala bilardowa, zbrojownia, pokój kwiatowy Lidii, palarnia i biura posiadłości. Na piętrze sypialnie rodzinne wychodziły w większości na południe, pokoje

gościnne na zachód, a pomieszczenia dla służby na niewidoczną

18

stąd stronę północno-wschodnią. Jeszcze wyżej zaczynała się irracjonalna feeria wież, wieżyczek i mansard. Cała fasada zgodnie z najlepszymi wzorami wiktoriańskiego rokoka stanowiła zastygłą w kamieniu orgię najprzeróżniejszych ornamentów. Były tu kwiaty, motywy geometryczne i wyrzeźbione w kamieniu spirale, dalej smoki, lwy i cherubiny, blanki murów obronnych i balkony, maszty z flagami, zegary słoneczne i chimery. Lidia uwielbiała to miejsce i dziękowała losowi, że Stephena — w przeciwieństwie do wielu przedstawicieli starej arystokracji — stać było na to, by utrzymywać dom w należyтым stanie.

Ujrzała Charlotte i Belinę wyłaniające się zza żywopłotu. Annie oczywiście ich nie odnalazła. Obie miały na sobie kapelusze z szerokim rondem, letnie sukienki, czarne szkolne pończochy i czarne trzewiki bez obcasów. Ponieważ Charlotte miała w tym roku zacząć bywać na balach, pozwalano jej od czasu do czasu

czesać się w wysoki kok i ubierać w długą suknię do obiadu. Na ogół jednak Lidia traktowała ją jak dziecko, którym przecież nadal była. Nie jest dobrze, gdy dzieci dojrzewają zbyt szybko. Dwie kuzynki pogrążone były w rozmowie, której tematu Lidia próżno starała się domyślić. O czym rozmyślałam, gdy miałam osiemnaście lat — zapytała samą siebie; i wtedy stanął jej przed oczyma młody człowiek o miękkich włosach i zręcznych dłoniach. Boże, pomyślała, pozwól mi zachować moją tajemnicę.

— Czy sądzisz, że poczujemy się inaczej, kiedy zaczniemy bywać w towarzystwie? — pytała Belinda.

Charlotte myślała o tym już wcześniej. — Nie, nie sądzę.

— Będziemy wtedy dorosłe.

— Nie rozumiem, w jaki sposób przyjęcia, bale i pikniki mogą sprawić, że ktoś staje się bardziej dorosły.

— Będziemy musiały nosić gorsety. Charlotte zachichotała.

— Czy miałaś kiedyś na sobie gorset?

— Nie, a ty?

— Przymierzałam swój w zeszłym tygodniu.

— No i co?

— Jest okropny. Nie można w nim chodzić prosto.

— Jak wyglądałaś?

Charlotte pokazała przed sobą rękami olbrzymi biust. Obie zaczęły pokładać się ze śmiechu. Charlotte podchwyciła spojrzenie matki i przybrała pokorny wyraz twarzy w oczekiwaniu reprimendy; ale mama wyglądała, jakby myślała o czym innym, i tylko uśmiechnęła się niewyraźnie, odwracając się do nich plecami.

19

— Mimo to będzie fajnie, zobaczysz — stwierdziła Belinda.

— Kiedy zaczniemy chodzić na bale? No, może — z powątpiewaniem odparła Charlotte. — Ale o co w tym wszystkim chodzi?

— O to, żeby spotkać odpowiednich młodych ludzi, oczywiście.

— Masz na myśli, znaleźć sobie męża. Doszły do wielkiego, rosnącego na środku trawnika dębu i Belinda

usiadła na ławce pod drzewem. Była trochę

nadašana.

— Uważasz, że to wszystko jest bardzo głupie, prawda? — zapytała. Charlotte usiadła obok niej i popatrzyła na wznoszącą się nad

trawiastym kobiercem południową fasadę Walden Hall. W wysokich gotyckich oknach migotały w promieniach słońca szyby. Z tego miejsca dom wyglądał tak, jakby w środku był urządzony w sposób sensowny i przemyślany, w rzeczywistości jednak za tą fasadą krył się uroczy bałagan.

— Głupie jest to — powiedziała — że trzeba czekać tak długo. Wcale mi nie spieszo do chodzenia na bale, zostawiania po południu liścików młodym ludziom i spotykania się z nimi... nie dbam o to i doskonale mogę się bez tego obejść, ale jestem zła, kiedy wciąż traktuje się mnie jak dziecko. Nienawidzę jeść kolacji z Marią, ona jest kompletną ignorantką albo tylko taką udaje. W jadalni podczas kolacji przynajmniej się o czymś rozmawia. Papa opowiada o interesujących rzeczach. Kiedy się nudzę, Maria mówi, żebyśmy zagrały w karty. Ja nie chcę w nic grać. Całe moje życie to gra. —

Westchnęła.

Mówienie o tym zdenerwowało ją. Spojrzała na spokojną, otoczoną aureolą rudych loków, piegowatą buzię Belindy. Jej własna twarz była owalna, z nadającym jej wyraz prostym nosem i wystającymi kośćmi policzkowymi. Miała bujne, ciemne włosy. Pocziwa Belinda, pomyślała, ona wcale się nie przejmuję tymi sprawami, właściwie to niczego nie

przeżywa zbyt głęboko.

— Przepraszam. — Dotknęła ramienia Belindy. — Nie chciałam się unosić.

— W porządku — Belinda uśmiechnęła się wyrozumiale. — Zawsze wściekają cię rzeczy, których nie możesz zmienić. Pamiętasz, jak uparłaś się, że chcesz iść do szkoły w Eton?

— Nie, nigdy w życiu!

— Musisz pamiętać, na pewno. Zrobiłaś straszną awanturę. Papa chodził do szkoły w Eton, powiedziałaś, więc dlaczego ja nie miałabym

tam chodzić?

Charlotte nie pamiętała tego, ale nie była w

stanie zaprzeczyć, że istotnie mogła tak właśnie powiedzieć mając dziesięć lat.

— Czy naprawdę myślisz — zapytała — że te rzeczy nie mogą

20

wyglądać inaczej? Życie towarzyskie, bale w mieście, zaręczyny, a potem małżeństwo...

— Zawsze możesz jeszcze wywołać skandal. Nie pozostanie ci wówczas nic innego, jak wyemigrować do Rodezji.

— Nie bardzo wiem, w jaki sposób można wywołać skandal.

— Ja też nie.

Przez chwilę milczały. Czasami Charlotte chciały być tak samo bierna jak Belinda. Życie byłoby wtedy o wiele prostsze — ale z drugiej strony stałoby się strasznie nudne.

— Zapytałam Marię — powiedziała — co będę robić, kiedy wyjdę za mąż. Wiesz, co mi odpowiedziała? „Robić?” — Charlotte przedrzeźniała gardłowy akcent swojej guwernantki. — „Cóż, moje dziecko, nie będziesz robić nic”.

— Och, jakie ona wygaduje głupoty —

westchnęła Belinda.

— Naprawdę? A co robi moja matka albo twoja?

— Należą do dobrego towarzystwa. Urządzają przyjęcia, siedzą w swoich domach na wsi, jeżdżą do opery...

— To właśnie miałam na myśli. Nie robią nic.

— Rodzą dzieci...

— To trochę inna sprawa. Trzymają w wielkiej tajemnicy, jak to jest z tymi dziećmi.

— Dlatego, że to... takie wulgarne.

— Dlaczego? Co jest w tym wulgarnego? — Charlotte zdała sobie sprawę, że znowu jest podekscytowana. Maria zawsze jej mówiła, żeby się nie ekscytowała. Wzięła głęboki oddech i zniżyła głos. — Ty i ja mamy przecież rodzić te dzieci. Nie uważasz, że mogliby nam coś o tym powiedzieć, wyjaśnić, jak to się odbywa. Ale nie, im o wiele bardziej zależy, żebyśmy wiedziały wszystko o Mozarcie, Szekspirze i o Leonardzie da Vinci.

Belinda wyglądała na speszoną, ale i bardzo zaintrygowaną. Na pewno myśli to samo co ja, pomyślała Charlotte; ciekawe, czy przypadkiem

nie wie czegoś na ten temat.

— Zdajesz sobie sprawę, że one dojrzewają u ciebie w brzuchu? — rzuciła.

Belinda kiwnęła głową. — Ale jak to się zaczyna? — zapytała nagle.

— Och, myślę, że po prostu same zaczynają dojrzewać, kiedy kobieta ma około dwudziestu jeden lat. To dlatego trzeba zacząć bywać na balach, spotykać się z młodymi ludźmi: wszystko po to, żeby mieć już męża, zanim zacznie się ten proces. — Charlotte zawahała się na moment. — Tak przynajmniej mi się zdaje --- dodała.

— No dobrze, a któredy one wychodzą? — zapytała Belinda.

— Nie wiem. A jakiej są wielkości?

21

Belinda rozsunęła dłonie mniej więcej na pół metra.

— Takiej wielkości były bliźniaki, kiedy miały jeden dzień. — Pomyślała chwilę i zmniejszyła trochę odstęp. — No, może takie.

— Kiedy kura znosi jajo — powiedziała Charlotte — ono wychodzi jej... z tyłu. — Nie patrzyła Belindzie w oczy. Nigdy jeszcze nie

rozmawiała z nikiem na tak intymny temat. — Jajo wydaje się za duże, a jednak wychodzi.

Belinda pochyliła się ku niej.

— Widziałam kiedyś, jak ociełiła się Daisy — powiedziała półgłosem. — Daisy to krowa na naszym folwarku. Parobcy nie wiedzieli, że się przyglądam. Tak właśnie to nazywają: ocieścić się.

Charlotte była zafascynowana.

— Jak to wyglądało?

— To było straszne. Wyglądało, jakby się jej otworzył brzuch, było mnóstwo krwi i innych rzeczy. — Belinda wzdrygnęła się.

— Bardzo mnie to niepokoi — powiedziała Charlotte. — Boję się, że mi się to przytrafi, zanim odkryję całą prawdę. Dlaczego oni nic nam o tym nie mówią?

— Nie powinnyśmy rozmawiać o takich rzeczach.

— Mamy, do cholery, święte prawo o tym rozmawiać. Belinda otworzyła usta.

— Przekleństwa tylko pogarszają sprawę.

— Nie dbam o to. — Charlotte doprowadzało do szału, że nie było skąd się dowiedzieć ani kogo spytać, ani też żadnej książki, w której można by

o tym przeczytać... Nagle przyszedł jej do głowy pomysł. — W bibliotece jest zamknięta szafka. Założę się, że tam właśnie są książki o wszystkich tych sprawach. Chodźmy zobaczyć!

— Ale jeżeli jest zamknięta...

— To nic, już od kilku lat wiem, gdzie są klucze.

— Jak nas złapią, dostaniemy niezłą burę.

— Wszyscy przebierają się teraz do obiadu.

Mamy jedyną szansę. —

Charlotte wstała.

Belinda zawahała się.

— Będzie awantura.

— Nie obchodzi mnie to. Ja w każdym razie zamierzam zobaczyć, co jest w tej szafce. Jeśli chcesz, możesz pójść ze mną. — Charlotte obróciła się i ruszyła w stronę domu. Po chwili, jak się tego spodziewała, dogoniła

ją Belinda.

Przeszły między kolumnami portyku do chłodnego, wysokiego, rozległego hallu. Idąc w lewo, minęły pokój poranny i pokój ośmiokątny, i znalazły się w bibliotece. Charlotte powtarzała sobie, że jest przecież kobietą i ma prawo coś

wiedzieć, ale jednocześnie czuła się jak niesforna mała dziewczynka.

22

Położona w narożniku budynku widna biblioteka była jej ulubionym miejscem w domu. Światło dostawało się tu przez trzy duże okna. Obite skórą fotele pachniały starością i były zadziwiająco wygodne. W zimie przez cały dzień palono tu w kominku. Znajdowały się tutaj plansze do gier, układanki, a także dwa albo trzy tysiące książek. Niektóre z nich były stare, przechowywane tutaj od czasu, gdy zbudowano dom, wiele jednak było nowych, mama bowiem czytała powieści, a papa interesował się mnóstwem różnych rzeczy — chemią, rolnictwem, podróżami, astronomią i historią. Charlotte lubiła tu przychodzić, zwłaszcza kiedy Maria miała wychodne i nie mogła wyrwać jej z rąk Z dała od zgiełku i wręczyć zamiast tego Wodnych dzieci. Czasami papa był tu razem z nią. Siedział przy wiktoriańskim biurku czytając katalog maszyn rolniczych albo roczny bilans amerykańskich kolei żelaznych i nigdy nie przeszkadzał jej w swobodnym wyborze książek.

W bibliotece nie było teraz nikogo. Charlotte podeszła do biurka, otworzyła małą, kwadratową szufladę i wyjęła z niej klucz.

Przy ścianie za biurkiem stały trzy szafki. W jednej mieściły się gry, w drugiej papier listowy i koperty z wytłoczonym herbem Waldenów. Trzecia była zamknięta. Charlotte wsadziła klucz do dziurki i otworzyła szafkę.

Wewnątrz było dwadzieścia albo trzydzieści książek i stos starych czasopism. Charlotte rzuciła okiem na jedno z nich. Nosiło tytuł *The Pean*. Nie wyglądało zachęcająco. W pośpiechu wyciągnęła na chybił trafił dwie książki. Zamknęła drzwiczki szafki, przekręciła klucz w zamku i schowała go z powrotem do szuflady.

— Mamy! — oznajmiła z triumfem.

— Dokąd pójdziemy, żeby to obejrzeć? — spytała szeptem Belinda.

— Pamiętasz naszą kryjówkę?

— Och, tak!

— Dlaczego mówimy szeptem? Obie zachichotały.

Charlotte podeszła do drzwi. Nagle usłyszała głos w hallu wołający: „Lady Charlotte... Lady

Charlotte..."

— To Annie, szuka nas — powiedziała Charlotte. — Jest miła, ale strasznie nierozgarnięta. Wyjdziemy drugimi drzwiami, szybko.

Wybiegły z biblioteki do pokoju bilardowego, z którego można się było dostać do zbrojowni; ale w zbrojowni ktoś był. Chwilę nasłuchiwały.

— To mój papa — wyszeptała Belinda, wyraźnie przestraszona. — Był na spacerze z psami.

Na szczęście z pokoju bilardowego można było wyjść bezpośrednio na taras zachodni. Charlotte i Belinda chyłkiem wyslizgnęły się na dwór i ostrożnie zamknęły za sobą drzwi. Zabarwione na czerwono słońce stało nisko nad horyzontem, rzucając na trawę długie cienie.

23

— Jak się teraz dostaniemy z powrotem? — spytała Belinda.

— Po dachu. Chodź za mną! Charlotte obiegała dom z tyłu i przeszła przez ogród kuchenny aż do stajni. Wepchnęła książki pod stanik sukienki i zacisnęła pasek, żeby nie

wypadły.

Ze skrajku podwórka przy stajni mogła się z łatwością wspiąć na dach tej części budynku, w której znajdowały się pomieszczenia dla służby. Najpierw wdrapała się na klapę niskiego żelaznego składziku, w którym przechowywano drewno, a stamtąd na dach z falistej blachy, którym kryta była przybudówka z narzędziami. Przybudówka przylegała do wozowni, ta z kolei do pralni. Charlotte stanęła na palcach i podciągnęła się w górę na pokryty płytkami spadzisty dach pralni. Obejrzała się do tyłu: Belinda podążała w ślad za nią.

Charlotte przesuwała się powoli wzdłuż dachu, chwytając się palcami i opierając obutymi stopami o kant dachówki, aż dotarła do szczytowej ściany głównego budynku. Wtedy wczołgała się na samą górę i usiadła okrakiem na dachu pralni.

Po chwili znalazła się tam również Belinda.

— Czy to nie jest niebezpieczne? — spytała.

— Wchodzę tędy od dziewiątego roku życia.

W ścianie szczytowej, tuż nad nimi znajdowało się okno sypialni, którą wspólnie

zamieszkiwały dwie pokojówki. Okno sięgało prawie samego szczytu opadającego stromo na obie strony dachu głównego budynku. Charlotte wyprostowała się i zajrzała do środka. W pokoju nie było nikogo. Wdrapała się na parapet i stanęła na nim.

Przechyliła się w lewo, przerzuciła rękę i nogę przez skraj dachu i wspięła się na górę. Obróciła się i pomogła Belindzie zrobić to samo.

Przez moment leżały nieruchomo próbując złapać oddech. Charlotte przypomniawszy sobie powtarzane w jej obecności informacje: dachy Walden Hall zajmowały łącznie powierzchnię czterech akrów. Trudno było w to uwierzyć, dopóki nie weszło się tu na górę i nie zobaczyło, jak łatwo można zabłądzić wśród pokrytych dachówką gór i dolin. Z punktu, w którym się znalazły, można było dotrzeć do każdego miejsca na dachu, korzystając ze specjalnych przejść, drabin i szybów przeznaczonych dla ekip konserwatorskich, które każdej wiosny pojawiały się tutaj, aby wyczyścić i pomalować rynny oraz wymienić połamane dachówki. Charlotte wstała.

— Chodź, dalej jest już całkiem łatwo —

powiedziała. Na następny dach wchodziło się po drabinie, potem była kładka, a następnie kilka drewnianych stopni prowadzących do małych, kwadratowych drzwiczek umieszczonych w ścianie. Charlotte otworzyła je i wczółgała się do środka. Znalazła się w swojej kryjówce.

24

Było to niskie pomieszczenie bez okien, o pochyłym stropie i podłodze z nie heblowanych desek. Dotykając jej nieostrożnie ręką mężna było sobie wbić drzazgę. Według rozeznania Charlotte to pomieszczenie wykorzystywano kiedyś jako składzik, teraz w każdym razie wszyscy o nim zapomnieli. Drzwiczki z drugiej strony prowadziły do nie używanej od lat garderoby przy pokoju dziecinnym. Charlotte odkryła to miejsce, kiedy miała osiem albo dziewięć lat. Przydawało jej się od czasu do czasu, gdy dla zabawy kryła się przed pilnującymi ją opiekunami — zabawy, w którą, jak się jej zdawało, musiała się bawić przez całe swoje życie. Na podłodze leżały poduszki i pudełko zapalek, w słoikach stały świeczki. Na jednej z poduszek leżał zniszczony i sflaczały pluszowy piesek, którego schowała tutaj osiem lat

temu, kiedy Maria, guwernantka, zagroziła, że wyrzuci go na śmietnik. Na małym, wytrzaśniętym nie wiadomo skąd stoliku stał pęknięty wazon wypełniony kredkami, a obok leżał czerwony skórzany piórnik. W Walden Hall co roku przeprowadzano inwentaryzację i Charlotte świetnie pamiętała, jak ochmistrzyni, pani Braithwaite, skarżyła się, że z domu giną najprzeróżniejsze rzeczy.

Belinda wcisnęła się do środka i Charlotte zapaliła świeczki. Wyjęła książki z za stanika i spojrzała na ich tytuły. Pierwszy z nich brzmiał Lekarz domowy, drugi Historia pożądania. Książka medyczna wydawała się bardziej obiecująca. Siadła na poduszce i otworzyła ją. Belinda przysiadła obok niej z widocznym poczuciem winy. Charlotte czuła się, jakby za chwilę miały odkryć wieczną tajemnicę życia.

Przekartkowała książkę, która najwyraźniej zawierała pełne i szczegółowe informacje na temat reumatyzmu, złamań kości i przebiegu odry. Kiedy jednak Charlotte doszła do rozdziału o rodzeniu dzieci, książka stawała się nagle niejasna i bardzo niewiele można było z niej

zrozumieć. Pisano tam o jakichś tajemniczych skurczach, o odejściu wód i pępowinie, którą powinno się zawiązać w dwu miejscach, a następnie przeciąć wygotowanymi w wodzie nożyczkami. Najwyraźniej rozdział ten napisany został dla ludzi nieco już zorientowanych w sprawie. Był tam także rysunek nagiej kobiety. Charlotte zauważyła, że nie miała ona włosów w miejscu, w którym u niej rosło ich dosyć sporo. Wstydziła się jednak powiedzieć o tym Belindzie. Znalazła poza tym schematyczny rysunek dziecka tkwiącego w brzuchu kobiety, żadnej natomiast wskazówki co do drogi, którą mogłoby się ono wydostać na zewnątrz.

— Na pewno doktor przecina matce brzuch — stwierdziła Belinda.

— W takim razie jak robiono to dawniej, kiedy nie było lekarzy? — dziwiła się Charlotte. — Tak czy obojętnie książka jest do niczego. — Otworzyła na chybił trafił drurarii* przeczyta głośno pierwsze zdanie, które wpadło jej w oczy. — [i, Ópuszczała się coraz niżej, lubieżnie i powoli, aż przesyłem ją nfc-wskroś' drzewdem swej piki i jęła się

miarowo kołysać ruchem pełnym rozkoszy". — Charlotte zmarszczyła brwi i spojrzała na swą towarzyszkę.

— Ciekawe, co to może znaczyć? — odezwała się Belinda.

Feliks Krześciński siedział nieruchomo w przedziale czekając na odjazd pociągu. Stali na dworcu w Dover. W przedziale panował ziąb. Na zewnątrz było ciemno i Feliks widział w szybie tylko swoje odbicie: spoglądał nań wysoki mężczyzna z eleganckim wąsikiem, ubrany w czarny płaszcz i melonik. Na półce nad jego głową leżała niewielka walizka. Mógłby od biedy uchodzić za podróżującego przedstawiciela szwajcarskiej fabryki zegarków, gdyby nie to, że każdy, kto przyjrzałby mu się uważniej, zobaczyłby, że jego płaszcz jest tandetny, walizka tekturowa, a twarz nie przypomina twarzy człowieka sprzedającego zegarki.

Rozmyślał o Anglii. Pamiętał, jak w czasach swojej młodości uważał angielską monarchię konstytucyjną za idealną formę rządów. To wspomnienie ubawiło go, a patrząca na niego z

szyby płaska, blada twarz wykrzywiła się w upiornym uśmiechu. Od tamtego czasu jego poglądy na temat idealnej formy rządów diametralnie się zmieniły.

Pociąg ruszył i w kilka minut później Feliks ujrzał słońce wschodzące nad plantacjami chmielu i sadami hrabstwa Kent. Europa była taka ładna. Nigdy nie przestawało go to zdumiewać. Kiedy zobaczył ją po raz pierwszy, przeżył głęboki szok. Podobnie jak rosyjscy chłopcy nie był w stanie wyobrazić sobie, że świat może tak wyglądać. Pamiętał jak dziś, jechał wtedy pociągiem. Przemierzał setki mil słabo zaludnionych guberni na północno-zachodnich kresach Rosji, mijał karłowate drzewa, nędzne, zakopane w śniegu wioski, kręte, błotniste drogi; nagle, pewnego ranka po przebudzeniu odkrył, że znajduje się w Niemczech. Ujrzał zadbane zielone pola, pokryte twardą nawierzchnią szosy, eleganckie domy w czystych wioskach, skrzynki z kwiatami na zalanym słońcem peronie, i wydawało mu się, że nagle trafił do raju. Później, w Szwajcarii, siedział na werandzie małego hoteliku, wygrzewając się w słońcu i patrząc na

pokryte śniegiem góry, jadł świeży, chrupiący rogalik, popijał go kawą i myślał: jacy szczęśliwi muszą być tutaj ludzie.

Kiedy teraz, wczesnym rankiem, oglądał budzące się do życia angielskie farmy, przed oczyma stanął mu świt w jego rodzinnej wiosce: szare, rozmyte niebo, porywisty wiatr, ścięte mrozem bagniste pola, na których tu i ówdzie jaśniały zamarznięte kałuże i oszronione kępy traw; zobaczył siebie samego w znoszonej, płóciennej bluzie, ze skostniałymi stopami w założonych na walonki chodakach, idącego u boku swego ojca, odzianego w wyświechtaną sutannę biednego, wiejskiego popa, który stara się go przekonać, że Bóg jest jednak dobry. Jego ojciec

26

ukochał naród rosyjski, ponieważ naród ten został ukochany przez Boga. Natomiast dla Feliksa zawsze było oczywiste, że Bóg nienawidzi tego narodu. Gdyby było inaczej, nigdy nie potraktowałby go z takim okrucieństwem.

Ten spór stał się początkiem długiej podróży, podróży, którą odbył Feliks, począwszy od

chrześcijaństwa, poprzez socjalizm aż do anarchizmu i terroryzmu, i która z guberni tambowskiej poprzez Petersburg i Syberię zawiodła go aż do Genewy. W Genewie podjął decyzję, która zaprowadziła go tutaj, do Anglii. Przed oczyma stanęło mu tamto zebranie. Omal się na nie nie spóźnił...

O mało nie spóźnił się na zebranie. Wracał z Krakowa, gdzie prowadził rozmowy z polskimi Żydami, którzy przerzucali do Rosji, przez zieloną granicę, pismo jego grupy, Bunt. Przybył do Genewy po zmroku i od razu pospieszył do małej, położonej w zaułku drukarni Ulricha. Trwało właśnie kolegium redakcyjne; czterej mężczyźni i dwie kobiety siedzieli na zapleczu drukarni wokół jednej jedynej świeczki, obok błyszczącej prasy drukarskiej. Wdychali zapach farby i smaru do maszyn i radzili, jak doprowadzić do wybuchu rewolucji w Rosji.

Ulrich zapoznał krótko Feliksa z tematem dyskusji. Niedawno widział się z Josefem, agentem Ochrany, rosyjskiej tajnej policji. Josef skrycie sympatyzował z rewolucjonistami i opłacany przez Ochronę zaopatrywał ją w

fałszywe informacje. Czasami anarchiści przekazywali mu garść prawdziwych, lecz nieszkodliwych informacji, a on w rewanżu ostrzegał ich przed akcjami swych mocodawców.

Tym razem wiadomości dostarczone przez Josefa były sensacyjne.

— Car chce zawrzeć sojusz wojskowy z Anglią — oznajmił Ulrich. — Wysyła na rozmowy do Londynu księcia Orłowa. Ochrona dowiedziała się o tym, ponieważ ma za zadanie chronić księcia podczas jego podróży przez Europę.

Feliks zdjął kapelusz i usiadł, rozważając w duchu, czy to wszystko prawda. Jedna z dziewcząt, smutna Rosjanka w postrzępionej sukni, przyniosła mu w szklance herbatę. Feliks wyjął z kieszeni nadgryzioną kostkę cukru, włożył ją sobie między zęby i siorbając popijał herbatę przez cukier, na modłę rosyjskich chłopów.

— Rzecz w tym — mówił dalej Ulrich — że dysponując takim sojuszem Anglia może przystąpić do wojny z Niemcami i wciągnąć do niej Rosję.

Feliks kiwnął głową.

— A w okopach nie będą wcale ginąć książęta

i hrabiowie — powiedziała dziewczyna w postrzępionej sukni — ale prosty rosyjski lud.

27

Ma rację, pomyślał Feliks. Na wojnie będą walczyli chłopci. Spędził wśród nich większość swojego życia. Byli twardzi, ordynarni i ograniczeni, ale ich głupkowata wielkoduszność i zdarzające im się czasem wybuchy żywiołowej radości dawały pojęcie, kim mogliby stać się w uczciwym społeczeństwie. Jedyne rzeczy, które ich interesowały, były pogoda, zwierzęta gospodarskie, choroba, narodziny dziecka i to, jak przechytryć dziedzica. Przez kilka krótkich lat, zanim osiągnęli wiek dojrzały, chodzili wyprostowani i z podniesioną głową, potrafili się śmiać, szybko biegać i flirtować, ale potem szybko zginali kark, stawali się posępni, szarzy i powolni. A teraz książę Orłów weźmie tych młodych, wkraczających dopiero w wiosnę swojego życia mężczyzn i poprowadzi pod ogień armat, żeby rozerwał ich na strzępy albo uczynił kalekami do końca życia. I wszystko to, bez wątpienia, pozostawać będzie w najlepszej zgodzie z zasadami międzynarodowej dyplomacji.

To właśnie takie rzeczy sprawiły, że Feliks stał się anarchistą.

— Co powinniśmy zrobić? — zapytał Ulrich.

— Musimy tę wiadomość zamieścić na pierwszej stronie Buntu — zaproponowała dziewczyna w postrzępionej sukni.

Zaczęli mówić o tym, jak należałoby zrehabilitować całą historię. Feliks przysłuchiwał się jednym uchem. Sprawy redakcyjne mało go obchodziły. Kolportował pismo, pisał do niego artykuły o tym, jak sporządzać bomby i popadał w coraz głębsze niezadowolenie. Strasznie się ucywilizował w tej Genewie. Pił piwo zamiast wódki, nosił krawat z kołnierzykiem i uczęszczał na koncerty muzyki symfonicznej. Miał pracę w księgarni. Tymczasem w Rosji panowało wrzenie. Górnicy z szybów naftowych walczyli z Kozakami, parlament był bezsilny, strajkował milion robotników. Car Mikołaj II okazał się najbardziej niekompetentnym i głupim władcą, jakiego jest w stanie spłodzić zdegenerowana arystokracja. Cały kraj przypominał beczkę prochu czekającą tylko na iskrę. Feliks chciał stać się tą iskrą. Ale nie mógł wrócić do Rosji. Wrócił tam Józef Stalin i

kiedy tylko postawił stopę na ojczystej ziemi, ujęto go i zesłano na Syberię. Tajna policja dysponowała dokładniejszymi informacjami o rewolucjonistach żyjących na emigracji aniżeli o tych, którzy wciąż pozostawali w kraju. Feliksa uwierały jego skórzane buty, sztywny kołnierzyk i warunki, w jakich przyszło mu żyć.

Spojrzał na siedzącą wokół niego grupkę anarchistów. Oto Ulrich, przedwcześnie posiwiasty drukarz w poplamionym fartuchu, intelektualista, pożyczający Feliksowi książki Proudhona i Kropotkina, ale także człowiek czynu, który pomógł mu kiedyś w napadzie na bank; Olga, dziewczyna w postrzępionej sukni, która podkochiwała się w Feliksie, aż któregoś dnia zobaczyła, jak złamał rękę policjantowi i zaczęła się go bać; Wiera, puszczająca się na prawo i lewo poetka; Jewno, student filozofii, mówiący

28

bez przerwy o oczyszczającej rzece krwi i ognia; Hans, zegarmistrz, zaglądnący jak przez szkło powiększające w ludzkie dusze; i Piotr, wydiedziczony książę, autor błyskotliwych

traktatów ekonomicznych i budzących rewolucyjny zapal wstepniakow. Wszyscy byli oddanymi sprawie, ciezko pracujacymi ludzmi, nie brakowalo im oleju w glowie. Feliks zdawal sobie sprawe z wagi tego, co robia. Bedac w Rosji, przebywal wsród doprowadzonych do rozpaczy ludzi, ktorzy niecierpliwie czekali na nielegalne gazetki i ulotki, a potem przekazywali je sobie z rak do rak, az porwaly sie na strzepy. A jednak to wszystko bylo za malo. Traktaty ekonomiczne nie oslonia przed pociskami policji, a od plomiennych artykulow nie zajmą sie ogniem palace moznych tego swiata.

— Ta wiadomosc musi uzyskac szerszy rozglas — mowil Ulrich — niz ten, ktory osiagniemy publikujac ja w Buncie. Pragne, aby kazdy rosyjski chlop dowiedzial sie, ze ksiazę Orlow chce wyslac go na bezsensowna i krwawa wojne toczona o sprawy, ktore nic a nic go nie obchodza.

— Najwazniejsze jest to — stwierdzila Olga — czy ludzie uwierza w to, co mowimy.

— Najwazniejsze jest to — odezwal sie Feliks — czy cala historia jest prawdziwa.

— Możemy sprawdzić — powiedział Ulrich. — Towarzysze z Londynu mogą potwierdzić, czy Orłów przybył zgodnie z zapowiedzią i czy spotkał się z tymi, z którymi miał się spotkać.

— Nie wystarczy nadać rozgłos tym knowaniom — powiedział z przejęciem Jewno — musimy je udaremnić!

— Jak? — zapytał Ulrich, spoglądając na młodego Jewno znad drucianych oprawek okularów.

— Powinniśmy nawoływać do zgładzenia Orłowa. Jest zdrajcą, zaprzedał swój naród i powinien zostać stracony.

— Czy to zastępuje rozmowy?

— Prawdopodobnie tak — powiedział książę Piotr. — Zwłaszcza jeśli zabójcą okaże się anarchista. Pamiętajcie, że Anglia udziela azylu politycznego anarchistom i że doprowadza to cara do białej gorączki. Jeśli rosyjski książę zostanie zgładzony w Anglii przez jednego z naszych towarzyszy, cara może to rozwścieczyć do tego stopnia, że zerwie całe negocjacje.

— Cóż to będzie za historia — rozmarzył się Jewno. — Będziemy mogli napisać, że Orłów

został zgładzony przez jednego z naszych towarzyszy za to, że zdradził naród rosyjski.

— Będą o tym pisały gazety na całym świecie — stwierdził w zamyśleniu Ulrich.

— Pomyślcie o efekcie, jaki wywoła to w kraju. Wiecie przecież, jak

29

chłopi rosyjscy traktują powołanie do wojska. To dla nich to samo co wyrok śmierci. Chłopcu, który idzie do armii, wyprawia się pogrzeb. Jeśli dowiedzą się, że car zamierza wysłać ich na wielką europejską wojnę,

rzeki spłyną krwią...

Ma rację, pomyślał Feliks. Jewno zawsze mówił o rzekach krwi, ale

tym razem miał rację.

— Obawiam się, że bujasz w obłokach, Jewno — zaproponował Ulrich. — Misja Orłowa jest tajna, nie będzie jeździł po Londynie w otwartym powozie i pozdrawiał tłumów. Poza tym znam naszych towarzyszy w Londynie: nigdy nie dokonali poważnego zamachu. Nie widzę, w jaki sposób mogłoby im się to teraz udać.

— Ja to zrobię — odezwał się Feliks. Wszyscy

spojrzeli na niego. Po ich twarzach pełzały cienie rzucane przez migoczący płomień świecy. — Wiem, jak to zrobić. — Jego głos wydał im się zmieniony, jakby mówił przez ściśnięte gardło. — Pojadę do Londynu. Zabiję Orłowa.

W pokoju zapadło nagłe milczenie. Wszystkie te słowa o śmierci i zniszczeniu stały się naraz realne i konkretne. Patrzyli na niego zdumieni i tylko Ulrich uśmiechał się, jakby wiedział o wszystkim wcześniej, jakby przewidział, że sprawa przybierze taki właśnie obrót.

2.

J___/ondyn był niewiarygodnie bogaty. Feliks widywał wielkie fortuny

w Rosji i dobrobyt w Europie, ale nigdy na taką skalę. Tutaj nikt nie chodził w łachmanach. Przeciwnie, mimo że nie było zimno, każdy miał na sobie kilka warstw ciepłej odzieży. Feliks przyglądał się furmanom, ulicznym sprzedawcom, zamiataczom, robotnikom i posłańcom — wszyscy nosili przyzwoite, fabryczne ubrania, na których nie było ani jednej dziury czy łaty. Nie było dziecka, które chodziłoby bez butów. Wszystkie kobiety miały na głowie

kapelusze, i to jakie! Były to olbrzymie przedmioty o rondach szerokich jak koła powozu, ozdobione wstążkami, piórami, kwiatami i owocami. Na ulicach panował nieustanny ruch. W ciągu pierwszych pięciu minut zobaczył tutaj więcej automobili niż w całym swoim dotychczasowym życiu. Było ich bodaj tyle samo, co pojazdów konnych. Na kołach czy na własnych nogach, wszyscy podążali dokądś w pośpiechu.

Na Piccadilly Circus stanęły wszystkie pojazdy. Przyczyna zatoru była taka sama jak w każdym innym mieście: koń upadł na bruk, a ciągnięty przezeń furgon przewrócił się na bok. Grupa mężczyzn starała się podnieść zwierzę i wóz z ziemi, podczas gdy stojące na chodniku kwiaciarki i panie o wymalowanych twarzach stroiły sobie żarty i zagrzewały ich do czynu okrzykami.

Nieco dalej na wschód to wrażenie wielkiego bogactwa, jakie Feliks początkowo odniósł, trochę osłabło. Minął zwieńczoną kopułą katedrę pod wezwaniem świętego Pawła. Imienia patrona dowiedział się z mapy, którą kupił na dworcu Victoria. Za katedrą ciągnęły się uboższe

dzielnice. Wspaniałe fasady banków i urzędów ustąpiły nagle miejsca małym, na ogół zaniedbanym, stojącym szeregowo domkom. Mniej było tu samochodów, więcej koni, te ostatnie zaś wydawały się o wiele mizerniejsze od tych ze śródmieścia. Handel odbywał się w większości na ulicznych

31

straganach. Nie dojrzał już ani jednego posłańca. W oczy cisnęło się teraz mnóstwo bosych dzieci – ale nie przejął się tym zbyt, gdyż w tym klimacie i tak, jego zdaniem, nie potrzebowały butów.

Im głębiej zapuszczał się w dzielnicę East End, tym bardziej ponure roztaczały się przed nim widoki. Mijał rozpadające się kamienice, brudne podwórka i śmierdzące alejki. Odziani w łachmany wykolejeńcy grzebali w stertach śmieci, poszukując resztek pożywienia. Potem znalazł się nagle na Whitechapel High Street i ujrzał znajome brody, pejsy i tradycyjne chałaty ortodoksyjnych Żydów, małe sklepiki, w których można było kupić wędzoną rybę i koszerne mięso: miał wrażenie, jakby znalazł się z

powrotem w Rosji, z tą tylko różnicą, że tutaj Żydzi nie wydawali się zastraszeni.

Szedł dalej szukając numeru 165 przy Jubilee Street; taki adres podał mu bowiem Ulrich. Był to dwupiętrowy budynek o architekturze luterańskiego zboru. Tabliczka na zewnątrz informowała, że Instytut i Klub Przyjaciół Robotnika otwarty jest dla wszystkich pracujących bez względu na ich poglądy polityczne, inna zaś tabliczka wisząca obok niej wyjawiała prawdziwy charakter tej placówki, stwierdzając, że została ona otwarta w roku 1906 przez Piotra Kropotkina. Feliks zastanawiał się, czy tu, w Londynie, uda mu się spotkać legendarnego księcia anarchistów.

Wszedł do środka. W sieni zobaczył stos gazetek w języku jidysz, których tytuł przypominał nazwę klubu: Der Arbeter Frint, Przyjaciel Robotnika. Ogłoszenia na ścianach dotyczyły lekcji angielskiego, szkoły niedzielnej, wycieczki do Epping Forest i wykładu na temat Hamleta. Feliks wszedł do głównej sali. Jej wystrój potwierdzał jego wcześniejsze

przypuszczenia: z pewnością była to niegdyś nawa kościoła dysydenckiego. Z jednej strony dobudowano tam scenę, z drugiej zaś bar. Na scenie grupa mężczyzn i kobiet przygotowywała, zdaje się, jakieś przedstawienie. Być może tym właśnie zajmowali się anarchiści w Anglii, pomyślał Feliks; to wyjaśnia, dlaczego wolno im tutaj zakładać własne kluby. W barze nie było widać żadnych napojów alkoholowych, ale na kontuarze zobaczył filety rybne, marynowane śledzie i — o radości! — prawdziwy

samowar.

Dziewczyna za ladą spojrzała na niego. — Nu, czto? — zapytała. Feliks uśmiechnął się.

Tydzień później, tego samego dnia, kiedy książę Orłów miał przybyć do Londynu, Feliks zjadał lunch we francuskiej restauracji w Soho. Przyszedł wcześniej i zajął stolik tuż przy wejściu. Zjadł zupę cebulową, stek i kawałek bryndzy, wypijając do tego pół butelki czerwonego wina.

32

Zamawiał potrawy po francusku. Kelnerzy obsługiwali go z wielką estymą. Kiedy skończył, w restauracji zaczął się największy ruch. W chwili

gdy trzech kelnerzy znajdowali się akurat w kuchni, a pozostali dwaj odwróceny byli do niego plecami, spokojnie wstał, podszedł do drzwi, zabrał swój płaszcz i kapelusz, po czym wyszedł nie płacąc rachunku.

Idąc ulicą uśmiechał się. Kradzież sprawiała mu przyjemność.

Szybko nauczył się, jak przeżyć w mieście prawie za darmo. Na śniadanie kupował w ulicznej budce słodzoną herbatę i kromkę chleba za dwa pence. Było to jedyne pożywienie, za które płacił. W porze lunchu kradł jakiś owoc albo jarzynę z ulicznego straganu. Wieczorem szedł do organizacji charytatywnej, gdzie w zamian za wysłuchanie niezrozumiałego kazania i odśpiewanie hymnu dostawał talerz darmowego rosółu i tyle chleba, ile tylko chciał. Miał pięć funtów gotówką, ale oszczędzał je na czarną godzinę.

Zamieszkał w Dunstan Houses w Stepney Green, w pięciopiętrowej kamienicy. Gnieździła się w niej połowa znanych londyńskich anarchistów. Feliks spał na rozłożonym na podłodze materacu w mieszkaniu Rudolfa

Rockera, charyzmatycznego Niemca o blond włosach, który redagował *Der Arbeter Fraint*. Charyzma Rockera nie działała na Feliksa, był odporny na takie rzeczy, podziwiał jednakże bezbrzeżne poświęcenie tego człowieka. Rocker i jego żona Milly przez cały dzień i do późnej nocy prowadzili dom otwarty dla anarchistów. Bez przerwy zjawiali się tam goście i posłańcy, odbywały się dyskusje i spotkania różnych komitetów, popijano herbatę i palono papierosy. Feliks nie płacił za mieszkanie, ale każdego dnia przynosił coś do wspólnej spiżarni — funt parówek, paczkę herbaty albo kilka pomarańczy. Wszyscy myśleli, że kupuje te rzeczy, ale pochodziły oczywiście z kradzieży.

Innym anarchistom powiedział, że przyjechał tutaj, aby w Muzeum Brytyjskim zbierać materiał do książki, którą pisał na temat naturalnego anarchizmu w społeczeństwach pierwotnych. Uwierzyli mu. Byli przyjaźnie nastawieni, pełni poświęcenia i nieszkodliwi: szczerze wierzyli, że rewolucji można dokonać przez rozwój oświaty i związków zawodowych, przez drukowanie ulotek i organizowanie wycieczek do Epping Forest.

Feliks wiedział, że tacy właśnie byli w większości anarchiści poza Rosją. Nie nienawidził ich, ale w skrytości ducha nimi pogardzał, w istocie rzeczy byli bowiem ludźmi o zajęczym sercu.

Niemniej, i wśród takich ludzi trafi się czasem kilka odważnych jednostek. Odnajdzie ich, kiedy zaistnieje taka potrzeba.

Tymczasem nie dawało mu spokoju pytanie, czy Orłów rzeczywiście przybędzie i w jaki sposób najlepiej będzie dokonać nań zamachu. Takie myśli nie przynoszą na ogół żadnego pożytku i Feliks starał się ich pozbyć pracując nad udoskonaleniem swego angielskiego. Nauczył się go

— Człowiek...

33

trochę w kosmopolitycznej Szwajcarii. W czasie długiej podróży ***** przez Europę przeglądał rosyjski podręcznik angielskiego dla dzieci i angielski przekład ulubionej powieści Puszkina, Córka kapłana rosyjsku znał ją prawie na pamięć. Teraz każdego ranka czytał Tmesa w czytelni klubu przy Jubilee Street, a po południu przechadzał się po ulicach wszczynając

rozmowy z pijakami, włóczęgami i prostytutkami — mdźmi których najbardziej lubił, ludźmi, którzy byli na bakier z prawem. SłowaT wycytane w książkach szybko utożsamiał z dźwiękami, które słyszał wokół siebie, i wkrótce mógł dogadać się w każdej Pustej spraw-Spodziewał się, że niedługo będzie w stanie dyskutować po angielsku na dowolny temat polityczny.

. .?????????

Po wyjściu z restauracji skierował się na północ, przecinając Oxford Street i zagłębiając się w dzielnicę niemiecką na zachód od Tottenham Court Road Wśród Niemców nie brakowało rewolucjonistów, ale byli ?? w wtększości komuniści, nie anarchiści. Feliks podziwiał dyscyplinę panującą wśród komunistów, ale wątpliwości budził w mm ich autorytaryzm, poza tym, ze swoim temperamentem, nigdy me nadawałby się

d° PrzeciałarSeents Park i znalazł się na północnych przedmieściach, gdzie mieszkała klasa średnia. Włoczył się wzdłuż ^dzanych togami alei i zaglądał do ogródków otaczających eleganckie wille z czerwonej cegły Rozglądał się

za rowerem. Nauczył się jeździć na rowerze w Szwajcarii i uznał, że byłby to pojazd doskonale nadający się do Rdzenia innej osoby. Nie rzucał się w oczy, łatwo było go manewrować a w ri ulicznym poruszał się równie szybko jak automobil czy pojazd konny. Niestety/mieszczanie w tej części Londynu trzymali, jak się zdaje, wszystkie rowery pod kluczem. Zobaczył I«^^ »™J*^ i przez chwilę zastanawiał się, czy nie zrzucić go z siodełka, w pobliżu jednak ?? jeszcze trzech pieszych i wózek piekarza, a Feliks nie chciał wywoływać 'zbiegowiska. Trochę później zauważył chłopca wiozącego ?/tykuły spożywcze, ale jego rower zbyt rzucał się w oczy - z p zodu miał wielki kosz, a do kierownicy przyczepiona była metalowa tabliczka nazwiskiem sklepiarza. Feliks zaczął się już zastanawiać, czy przypadkiem nie zmienić swojej strategii, kiedy nareszcie zobaczył to, czego

POTZZejbednego z ogródków wyszedł, prowadząc rower, mężczyzna koło trzydziestki. Na głowie miał słomkowy kapelusz i ubrany był w opiętą na brzuchu Ltkę w paski. Oparł rower o

mur ogrodu i pochylił się, zęby
założył spinki na spodnie.

Feliks błyskawicznie zbliżył się do niego.

Mężczyzna dostrzegł nad sobą jego cień i
obrócił głowę.

— Dzień dobry — mruknął.

34

Feliks silnym ciosem powalił go na ziemię.
Mężczyzna obrócił się na plecy i spojrzał z
bezgranicznym zdumieniem na Feliksa.

Feliks skoczył na niego, celując kolanem w
środkowy guzik kurtki. Mężczyzna sapnął
głęboko i bezskutecznie starał się złapać
powietrze.

Feliks wstał i rzucił okiem na dom. W oknie
stała patrząc na niego młoda kobieta. Dłoń
uniosła do ust, oczy miała szeroko rozwarte ze
strachu.

Ponownie spojrzał na leżącego mężczyznę:
minie minuta albo dwie, zanim dojdzie do siebie
na tyle, żeby próbować dźwignąć się z ziemi.

Wsiadł na rower i błyskawicznie odjechał.

Człowiek, który niczego się nie boi, może
dokonać wszystkiego, czego tylko zapragnie,

przeszło mu przez myśl. Dowiedział się o tym przed jedenastu laty na boczniczy kolejowej niedaleko Omska. Padał wtedy śnieg...

Padał śnieg. Feliks siedział na bryle węgla w otwartym wagonie kolejowym. Powoli zamarzał na śmierć.

Było mu zimno przez cały rok, odkąd wyrwał się z kajdan, którymi przykuty był do innych więźniów w kopalni złota. W tym czasie przemierzył całą Syberię — z mroźnej północy dotarł prawie do zboczy Uralu. Od cywilizacji i cieplejszego klimatu dzieliło go teraz zaledwie tysiąc mil. Większość drogi przebył pieszo, choć czasami udawało mu się podjechać kawałek w wagonie towarowym. Wolał jechać razem z bydłem, bo zwierzęta dawały mu ciepło i mógł żywić się ich karmą. Czuł niejasno, że sam niewiele się różni od zwierzęcia. W ogóle się nie mył, a za okrycie służyła mu kradziona końska derka, we włosach miał pchły, podarte ubranie roiło się od wszy. Jego przysmak stanowiły surowe ptasie jaja. Kiedyś ukradł kucyka, zajeździł go na śmierć i zjadł na surowo jego wątrobę. Stracił poczucie czasu. Wiedział, że jest

teraz jesień, bo wskazywała na to pogoda, nie orientował się jednak, który to miesiąc. Często łąpał się na tym, że nie pamiętał, co robił poprzedniego dnia. W chwilach kiedy myślał jaśniej, uświadamiał sobie, że jest na pół obłąkany. Nigdy nie rozmawiał z ludźmi. Kiedy natrafiał na wioskę lub miasteczko, omijał je z dala; zbliżał się tylko do wysypisk śmieci, żeby w nich grzebać. Wiedział jedno: musi iść na zachód. Tam będzie cieplej.

Ale pociąg z węglem odstawiono na bocznice i Feliks miał wrażenie, że chyba umiera. W pobliżu był strażnik, tęgi policjant w futrze, który pilnował, żeby chłopci nie kradli węgla do swoich palenisk... W momencie gdy ta myśl przyszła Feliksowi do głowy, zdał sobie sprawę, że właśnie trochę oprzytomniał i być może jest to jego ostatni przebłysk świadomości. Zastanawiał się, co wywołało ten przebłysk i wtedy poczuł zapach

35

podgrzewanego przez policjanta obiadu. Policjant był potężny, zdrowy i miał przy sobie broń.

Nie dbam o to, pomyślał Feliks, i tak niedługo

umrę. Wstał, podniósł największą bryłę węgla, jaką zdołał udźwignąć, po czym słaniając się zbliżył do stojącej przy torach budki, wszedł do środka i uderzył zaskoczonego policjanta prosto w głowę.

Na palenisku stał garnek, a w garnku gulasz, zbyt gorący, by go jeść. Feliks wyniósł garnek na zewnątrz, wyrzucił zawartość na śnieg, padł na kolana i łykał gulasz zmieszany ze śniegiem. Były tam pokrojone ziemniaki i rzepa, gruba marchew i kawałki mięsa. Połykał je w całości. Z budki wybiegł policjant i zdzielił go z całej siły pałką po plecach. Feliksa ogarnęła dzika wściekłość. Ten człowiek usiłował odciągnąć go od jedzenia. Podniósł się i rzucił na policjanta kopiąc go i drapiąc. Ten cofał się waląc go pałką, ale Feliks nie czuł razów. Złapał go palcami za gardło i zacisnął chwyt. Nie puszczał. Po jakimś czasie oczy tamtego zamknęły się, twarz stała się niebieska, a z ust wysunął się język. Feliks mógł dokończyć swój gulasz.

Zjadł posiłek w budce, ogrzał się przy ogniu i przespał noc w łóżku policjanta. Kiedy rano się obudził, był zdrow. Włożył buty i płaszcz zabitego

i ruszył w kierunku Omska. Po drodze odkrył w sobie coś bardzo ważnego: nie odczuwał już strachu. Coś stało się w jego umyśle, jakby przesunęła się jakaś zapadka. Nie wyobrażał sobie, co mogłoby go teraz przerazić. Jeśli poczuje głód, ukradnie coś do jedzenia. Jeśli ktoś będzie go ścigał, ukryje się. Jeśli ktoś mu zagrozi, zabije go. Niczego nie pragnął. Nic nie mogło go już więcej zranić. Miłość, duma, pożądanie i litość — to były uczucia, o których zapomniał.

Potem wszystkie wróciły, wszystkie oprócz strachu. Kiedy dotarł do Omska, sprzedał futro policjanta i kupił sobie za nie spodnie, koszulę, kurtkę i płaszcz. Spalił swoje łachmany i za jednego rubla zamówił gorącą kąpiel i golenie w tanim hotelu. Zjadł obiad w restauracji używając zamiast palców noża i widelca. Spojrzał na pierwszą stronę gazety i przypomniał sobie, że potrafi czytać; w tym momencie dotarło do niego, że wrócił do życia.

Siedział na ławce na stacji przy Liverpool Street, rower oparł o mur. Zastanawiał się, jak wygląda Orłów. Znał jedynie jego tytuł i cel misji, z którą przyjechał, nic więcej. Książę mógł być

nieciekawym, ograniczonym i lojalnym sługą cara albo sadystą i rozpustnikiem, albo też sympatycznym staruszkim o siwych włosach, który najbardziej w życiu lubi bujać swoje wnuki na kolanie. To nie było ważne: Feliks i tak go zabije.

36

Pewien był, że rozpozna Orłowa, ponieważ Rosjanie z jego sfery nie potrafią podróżować nie rzucając się w oczy, nawet jeśli celem tej podróży jest tajna misja.

Czy Orłów przyjedzie? Jeśli tak, i to tym właśnie pociągiem, którym miał przybyć według Josefa, jeśli następnie, zgodnie z tym, co powiedział Josef, spotka się z lordem Waldenem, to nie będzie najmniejszej wątpliwości, że informacje jego przyjaciela z Genewy są ścisłe.

Na kilka minut przed przyjazdem pociągu na peron wjechał kryty powóz zaprzężony w czwórkę wspaniałych koni. Na koźle siedział stangret, z tyłu stał foryś w liberii. Do powozu podbiegł kolejarz w podobnym do wojskowego mundurze z błyszczącymi guzikami. Powiedział coś do stangreta i skierował go na sam koniec peronu.

Następnie pojawił się ubrany w surdut i cylinder zawiadowca stacji z bardzo ważną miną. Wyciągnął z kieszonki zegarek i kręcąc głową porównał czas z zegarem dworcowym. Zaraz też otworzył drzwi powozu przed pasażerem.

Kiedy kolejarz przechodził obok ławki Feliksa, ten pociągnął go za rękaw.

— Przepraszam, sir — powiedział przybierając minę naiwnego cudzoziemskiego turysty — czy to może król Anglii?

— Nie, przyjacielu, to tylko lord Walden. — Kolejarz uśmiechnął się i odszedł.

A więc Josef miał rację.

Feliks przyglądał się Waldenowi okiem zabójcy. Był wysoki, mniej więcej tego samego wzrostu co Feliks, i dość dobrze umięśniony. Miał około pięćdziesięciu lat. Utykał lekko, ale poza tym wyglądał zdrowo: mógł uciekać, choć niezbyt szybko. Nosił widoczny z daleka jasnoszary surdut i cylinder tego samego koloru. Pod kapeluszem miał proste, krótkie włosy, a czworokątna bródka przypominała tę, którą nosił nieżyjący król Edward VII. Stał na peronie podpierając się laską — mógł jej użyć jako broni

— i dając odpocząć lewej nodze. Stangret, foryś i zawiadowca stacji uwijali się wokół niego jak pszczoły wokół królowej. On sam był rozluźniony. Nie spoglądał na zegarek. Nie zwracał uwagi na otaczające go lokajstwo. Jest przyzwyczajony, pomyślał Feliks, by koło niego skakano. Przez całe życie był najważniejszą osobą w tłumie.

Pojawił się pociąg. Z tendra lokomotywy wydobywały się obłoki pary. Mógłbym zabić Orłowa teraz, pomyślał Feliks; i w tym momencie poczuł dreszcz, który przeszywa zbliżającego się do zwierzyny łowcę; ale już wcześniej postanowił, że nie zrobi tego dzisiaj. Był tutaj, żeby obserwować, nie działać. Wszystkie zamachy dokonywane przez anarchistów nie udawały się jego zdaniem dlatego, że były albo improwizowane, albo przygotowywane w zbyt wielkim pośpiechu. Wierzył w wyklęte przez wielu anarchistów planowanie i organizację; nie zdawali sobie oni

37

sprawy, że człowiek może i powinien planować własne uczynki — dopiero gdy zaczął organizować życie innych, stał się tyranem.

Pociąg zatrzymał się, wypuszczając obfite kłęby pary. Feliks wstał i zbliżył się do peronu. Na samym końcu składu znajdował się wagon, który wyglądał na salonkę. Różnił się od innych błyszczącą, świeżą farbą. Zatrzymał się dokładnie tam, gdzie stał powóz Waldena. Do drzwi podskoczył zwałow zawiadowca stacji i otworzył je.

Feliks wlepił oczy w ocieniony skrawek peronu, tam, gdzie pojawić się miała jego ofiara.

Przez chwilę wszyscy czekali, a potem w drzwiach pokazał się Orłów. Zatrzymał się na sekundę i wtedy jego obraz utrwalił się Feliksowi na siatkówce. Był to niski mężczyzna, ubrany w kosztownie wyglądający rosyjski płaszcz z futrzanym kołnierzem i czarny cylinder. Miał różową, młodzieńczą, niemal chłopięcą twarz. Nie nosił brody, tylko mały wąsik. Nieśmiało się uśmiechał. Nie wyglądał na trudnego przeciwnika. Jak wiele zła wyrządzają ludzie o niewinnych twarzach, pomyślał Feliks.

Orłów wysiadł z pociągu. Objęli się po bratersku z Waldenem, na modłę rosyjską, ale

szybko; następnie obaj wsiedli do powozu. Raczej im się spieszy, pomyślał Feliks.

Lokaj i dwóch bagażowych zaczęło ładować bagaż do powozu. Wkrótce stało się jasne, że nie pomieszczą wszystkiego i Feliks uśmiechnął się na myśl o własnej w połowie pustej walizce.

Powóz zawrócił. Wyglądało na to, że zostawili lokaja, aby zaopiekował się pozostałym bagażem. Bagażowi podeszli do okna. Ukazała się w nim dłoń w szarym rękawie, sypnęła monetami i powóz ruszył. Feliks wskoczył na rower i podążył w ślad za nim.

Na zatłoczonych londyńskich ulicach jazda w bliskiej odległości za powozem nie sprawiała mu żadnych trudności. Przejechał StranDEM przez całe City, potem przeciął Park Św. Jakuba. Po drugiej stronie parku powóz wjechał w biegnącą jego skrajem aleję, pokonał kilkadziesiąt jardów, po czym nagle skręcił na ogrodzony murem dziedziniec.

Feliks zeskoczył z roweru i poprowadził go przez trawnik aż na koniec parku, żeby zobaczyć, co dzieje się za bramą. Ujrzał, jak powóz zatrzymuje się przed wspaniałym wejściem do

okazałego domu. Nad dachem powozu ukazały się dwa cylindry, jeden czarny, drugi szary, i szybko zniknęły w środku budynku. Potem drzwi się zamknęły i Feliks nie zobaczył już nic więcej.

Lidia przyglądała się córce krytycznym okiem. Charlotte stała przed wielkim lustrem, przymierzając swą pierwszą balową suknię. Miała ją założyć w dniu, kiedy zostanie przedstawiona na dworze królewskim.

38

Madame Bourdon, szczupła, elegancka krawcowa, krzątała się wokół niej ze szpilkami, tu i ówdzie robiąc zakładkę albo marszcząc koronki.

Charlotte wyglądała pięknie i niewinnie zarazem — dokładnie tak, jak powinna wyglądać debiutantka. Suknia z białego tiulu spływała prawie do samej podłogi i częściowo zakrywała pantofelki ze spiczastym czubem. Sięgający aż do talii stanik wysadzany był górskimi kryształami. Długi na cztery jardy tren z blad różowego, przetykanego srebrem szyfonu kończył się wielką srebrnobiałą kokardą. Na wysoko upięte ciemne włosy nałożony miała diadem należący do poprzedniej Lady Walden, matki Stephena. Poza

tym, zgodnie ze zwyczajem, we włosy wpięto jej dwa białe pióra.

Moje dziecko jest już prawie dorosłe, pomyślała Lidia.

— Suknia jest bardzo ładna, madame Bourdon — pochwaliła krawcową.

— Dziękuję, lady Walden.

— Jest okropnie niewygodna — poskarżyła się Charlotte.

Lidia westchnęła. Tego właśnie mogła się spodziewać po swojej córce.

— Wolałabym, żebyś była mniej frywolna — powiedziała. Charlotte przyklękała, żeby podnieść tren.

— Nie potrzebujesz klękać — powiedziała Lidia. — Spójrz, pokażę ci, jak to się robi. Naśladuj mnie. Obróć się w lewo.

Charlotte obróciła się i tren zwinął się sam po jej lewej stronie.

— Zbierz go lewą ręką i jeszcze raz lekko obróć się w lewo. Teraz cały tren znalazł się z przodu, przed Charlotte.

— Idź naprzód i cały czas prawą ręką przytrzymuj tren na lewym ramieniu.

— Rzeczywiście, tak jest dobrze. — Charlotte uśmiechnęła się. Kiedy się uśmiecha, od razu robi się jaśniej, pomyślała Lidia. Przez

całe dzieciństwo była właśnie taka. Zawsze wiedziałam, co działo się w jej małej główce. Dojrzewanie to uczenie się sztuki oszustwa.

— Kto nauczył cię tych wszystkich rzeczy, mamó? — zapytała Charlotte.

— Zanim zostałam przedstawiona na dworze, lekcji udzielała mi pierwsza żona wujka George'a, matka Belindy. — Wiedzę tego rodzaju przekazać jest bardzo łatwo, chciała powiedzieć, najtrudniejszych rzeczy musisz jednak nauczyć się sama.

Do pokoju weszła guwernantka Charlotte, Maria. Była energiczną, pozbawioną sentymentów kobietą w stalowoszarej sukni, jedyną osobą ze służby, którą Lidia przywiozła ze sobą z Petersburga. Jej wygląd nie zmienił się specjalnie w ciągu tych dziewiętnastu lat. Lidia nie miała pojęcia, ile ona może mieć lat: pięćdziesiąt? sześćdziesiąt?

— Przybył książę Orłów, proszę pani — powiedziała Maria. — No, no, Charlotte,

wyglądasz wspaniale!

39

Nadszedł chyba czas, by Maria zaczęła tytułować jej córkę „lady Charlotte”, pomyślała Lidia.

— Zejdź na dół, jak tylko się przebierzesz — powiedziała. Charlotte natychmiast zaczęła rozwiązywać paski przytrzymujące

tren. Lidia wyszła z pokoju.

Zastała Stephena w bawialni, popijającego sherry. Dotknął jej nagiego ramienia.

— Uwielbiam oglądać cię w letnich sukniach — powiedział.

— Dziękuję. — Uśmiechnęła się. On sam prezentował się jej zdaniem całkiem nieźle w szarym surducie i srebrnym krawacie. W jego brodzie snuły się srebrne nitki. Moglibyśmy być tacy szczęśliwi, ty i ja... Nagle poczuła, że ma ochotę pocałować go w policzek. Rozejrzała się: przy kredensie stał lokaj i nalewał sherry. Musiała powstrzymać swój odruch. Usiadła, lokaj podał jej kieliszek.

— Jak znajdujesz Aleksa?

— Nic się nie zmienił — odparł Stephen. —

Zobaczysz sama, zejdzie do nas za minutę. Jak suknia Charlotte?

— Jest urocza. To, co mnie niepokoi, to jej nastawienie. Ostatnio niczego nie chce już przyjmować za dobrą monetę. Nie zniosłabym, gdyby stała się cyniczna.

Stephen nie zamierzał się tym wcale kłopotać.

— Poczekaj, aż zainteresuje się nią jakiś przystojny oficer gwardii. Szybko zmieni wtedy swoje nastawienie.

Ta uwaga zirytowała Lidię. Mówił tak, jakby wszystkie dziewczęta były niewolnicami swojej romantycznej natury. Czasami wygadywał takie rzeczy, kiedy nie chciało mu się pomyśleć. Sprawiał wtedy wrażenie poczciwego, prowincjonalnego jegomościa o pustej głowie, a przecież wcale taki nie był. Przekonany, że Charlotte niczym się nie różni od swoich rówieśniczek, nie chciał słyszeć niczego, co nie zgadzałoby się z tym mniemaniem. Lidia jednakże wiedziała, że Charlotte ma we krwi coś dzikiego, nieangielskiego, coś, co należy stłumić.

Właśnie ze względu na Charlotte Lidia poczuła nagle irracjonalną wrogość do Aleksa. Choć nie

było w tym jego winy, reprezentował jednak to wszystko, co wiązało się z Petersburgiem, niebezpieczeństwo, które czaiło się w przeszłości. Niespokojnie uniosła się z krzesła i zdała sobie sprawę, że Stephen obserwuje ją spod zmrużonych powiek.

— Chyba nie denerwujesz się tym, że przyjęliśmy pod nasz dach małego Aleksa?

Wzruszyła ramionami.

— Rosjanie są tacy nieobliczalni.

— Nie jest typowym Rosjaninem.

40

Uśmiechnęła się do męża, ale moment, w którym poczuła się mu bliska, minął i teraz miała w sercu tylko normalne, letnie uczucie. Drzwi otworzyły się. Zachowaj spokój, powtarzała sobie Lidia. Wszedł Aleks.

— Ciociu Lidio! — powiedział i pochylił głowę nad jej dłonią.

— Jak się masz, Aleksieju Andriejewiczu — odparła sztywno. Potem zmieniła ton i dodała: — No, no, wyglądasz, jakbyś wciąż miał osiemnaście lat.

— Chciałbym, żeby tak było — odparł i

zamrugał oczyma. Zapytała go, jak minęła podróż. Kiedy odpowiadał, zaczęła ją

nurtować myśl, dlaczego się dotąd nie ożenił. Sam jego tytuł mógł podbić serca wielu dziewcząt — nie mówiąc o ich matkach; a co najważniejsze, był bardzo przystojny i bardzo bogaty. Pewna jestem, że złamał niejedno serce, pomyślała.

— Twój brat i siostry przesyłają ci wyrazy miłości — mówił Aleks. — Proszę, żebyś się za nich modliła. — Zmarszczył brwi. — Petersburg bardzo się teraz zmienił. To nie jest już to miasto, które kiedyś znałaś.

— Dotarły do nas słuchy o tym mnichu — powiedział Stephen.

— Rasputin. Caryca wierzy, że przemawia przez niego Bóg, a jej wpływ na cara jest olbrzymi. Ale Rasputin to tylko jeden z objawów choroby. Bez przerwy nękają nas strajki, czasami zamieszki. Lud przestał już wierzyć, że car jest bożym pomazańcem.

— Co należy zatem robić? — pytał Stephen.

— Wszystko. Potrzebujemy pracujących wydajnie farm, więcej fabryk, funkcjonującego we właściwy sposób, jak w Anglii, parlamentu,

reformy rolnej, związków zawodowych, wolności słowa...

— Na twoim miejscu nie spieszyłbym się tak bardzo z zakładaniem związków zawodowych — wtrącił Stephen.

— Być może. Rosja musi jednak wkroczyć wreszcie w dwudziesty wiek. Albo zrobimy to my, szlachta, albo lud zniszczy nas i robi to sam.

Lidia pomyślała, że Aleks przemawia z większym radykalizmem niż prawdziwi radykałowie. Jak dalece musiała zmienić się sytuacja w kraju, skoro książę mówi w ten sposób! Jej siostra Tatiana, matka Aleksa, wspominała co prawda w swoich listach o „kłopotach”, ale ani razu nie napomknęła, że szlachcie grozi prawdziwe niebezpieczeństwo. Cóż, Aleks był, tak jak i jego ojciec, politykiem z krwi i kości. Gdyby żył dzisiaj stary książę Orłów, na pewno przemawiałby w tym samym duchu.

— Istnieje jeszcze trzecia możliwość — powiedział Stephen. — Posunięcie, dzięki któremu lud i arystokracja mogą się zjednoczyć.

Aleks uśmiechnął się, jakby wiedział, do czego zmierza Stephen.

— Co to za posunięcie?

— Wojna.

41

Aleks z powagą skinął głową. Myślą w ten sam sposób, pomyślała Lidia, Aleks zawsze był zapatrzony w Stephena. Kiedy zmarł stary książę, jej mąż w pewnym sensie zastąpił mu ojca.

Weszła Charlotte i Lidia spojrzała na nią zaskoczona. Miała na sobie suknię, której Lidia nigdy przedtem nie widziała, z kremowej koronki i czekoladowobrązowego jedwabiu. Lidia nigdy by takiej sama nie wybrała — była raczej wyzywająca — ale niewątpliwie Charlotte wyglądała w niej zachwycająco. Gdzie ją kupiła? Lidia poczuła ukłucie niepokoju. Odkąd to wybiera się na zakupy beze mnie? Kto jej powiedział, że te kolory harmonizują z jej ciemnymi włosami i piwnymi oczyma? Czy nie umalowała się trochę? I dlaczego nie nosi gorsetu?

Stephen także wpatrywał się w Charlotte. Lidia spostrzegła, że wstał z krzesła i omal nie wybuchnął śmiechem. Było to dość dramatyczne potwierdzenie faktu, że ma oto dorosłą córkę,

wyrażone, co zabawne, w sposób całkiem mimowolny. Za chwilę poczuje się głupio, zda sobie sprawę, że unoszenie się z krzesła na widok wchodzącej do pokoju córki jest wyrazem kurtuazji, który trudno mu będzie okazywać we własnym domu.

Na Aleksie Charlotte wywarła jeszcze większe wrażenie. Zerwał się na nogi, oblewając sobie rękę sherry i zaczerwienił się po uszy. Jaki on nieśmiały, pomyślała Lidia. Przełożył ociekający winem kieliszek z prawej dłoni do lewej, tak że nie mógł teraz podać na powitanie żadnej, i stał bezradnie w miejscu. Był to niezręczny moment, młody książę bowiem najwyraźniej chciał się przywitać z Charlotte, a nie mógł podać jej ręki, zanim nie doprowadzi się do porządku. Lidia miała właśnie zamiar wtrącić jakąś niewinną uwagę, żeby rozładować milczenie, kiedy inicjatywę

przejęła Charlotte.

Wyciągnęła z kieszonki na piersi Aleksego jedwabną chustkę i wytarła nią jego prawą dłoń.

— Jak się pan miewa, Aleksieju

Andriejewiczu — odezwała się doń po rosyjsku. Uścisnęła teraz już suchą prawą rękę Orłowa, wyjęła kieliszek z jego lewej dłoni, wytarła go, wytarła lewą rękę, następnie wręczyła mu z powrotem kieliszek, wsadziła chustkę do kieszonki i zaprosiła gestem, żeby usiadł.

— Teraz, kiedy przestał pan rozlewać na wszystkie strony sherry — powiedziała siadając — proszę opowiedzieć mi coś o Diagilewie. Podobno to dziwny człowiek. Czy poznał go pan osobiście?

— Tak, miałem tę przyjemność — uśmiechnął się Aleks.

Podczas gdy Aleks opowiadał, Lidia nie mogła wyjść z podziwu dla swojej córki. Poradziła sobie w niezręcznej sytuacji bez chwili wahania, a potem zadała sprytne pytanie — prawdopodobnie miała je przygotowane już wcześniej — które pozwoliło Orłowowi zapomnieć o własnej

42

niezgrabności i poczuć się nieco swobodniej. Wszystko to poszło jej tak gładko, jakby miała dwudziestoletnią praktykę. Kto ją tego nauczył?

Lidia pochwyciła spojrzenie męża. Na nim też wywarł wrażenie wdzięk, z jakim zachowała się

Charlotte, i uśmiechał się od ucha do ucha, jaśniejąc cały z ojcowskiej dumy.

Feliks chodził tam i z powrotem po Parku Św. Jakuba, zastanawiając się nad tym, co zobaczył. Od czasu do czasu spoglądał przez bramę na fasadę domu Waldenów, która wznosiła się ponad wysokim, otaczającym dziedziniec murem niczym szlachetna głowa osadzona w sztywnym kołnierzyku. Uważają, że są tam w środku bezpieczni, pomyślał.

Usiadł na ławce, z której mógł nadal obserwować dom. Wokół kłębił się tłum przedstawicieli londyńskiej klasy średniej: dziewczęta obnosiły z dumą swe niesamowite nakrycia głowy, urzędnicy i sklepikarze spieszyli do rodzinnych pieleszy, każdy w ciemnym garniturze i meloniku na głowie. Obok plotkujących niań stały dziecinne wózki i kręciły się zakutane po szyję małe dzieci. Do klubów przy St. James wchodzili i wychodzili dżentelmeni w cylindrach. Lokaje wyprowadzali na spacer małe, brzydkie pieski. Obok Feliksa usiadła na ławce gruba kobieta z torbą pełną zakupów.

— Nie za ciepło ci? — zapytała.

Nie wiedział, jak powinna brzmieć poprawna odpowiedź, uśmiechnął się więc tylko i spojrział w drugą stronę.

Wyglądało na to, że Orłów zdawał sobie sprawę, iż w Anglii jego życiu zagraża niebezpieczeństwo. Na dworcu pokazał się tylko przez parę sekund, a teraz nie wychodził wcale z domu. Feliks domyślił się, że musiał wcześniej poprosić o podstawienie na peron krytej karocy, ponieważ pogoda była wspaniała i wszyscy przeważnie podróżowali w otwartych powozach.

Aż do dzisiaj zamach pozostawał dla Feliksa w sferze czystej abstrakcji. Była to kwestia nie wychodząca poza ramy polityki międzynarodowej, dyplomatycznych sporów, sojuszy i porozumień, możliwości wojskowych i przewidywanych reakcji panujących. Teraz, nieoczekiwanie, zamach stał się czymś realnym; miał oto stanąć przed nim konkretny człowiek z krwi i kości, konkretna, młodzięcza, ozdobiona małym wąsikiem twarz, którą ma przeszyć pocisk, konkretne ciało ubrane w ciężki płaszcz, które wybuchająca bomba zamieni w krwawe strzępy, konkretne, wygolone gładko nad węzłem

krawatu gardło, które trzeba będzie poderżnąć.

Feliks czuł, że jest w stanie tego dokonać bez zmrużenia oka. Co więcej, czuł, że pragnie tego dokonać. Jeśli wyłonią się niespodziewane

43

pytania — znajdzie na nie odpowiedź. Jeśli staną przed nim nowe problemy — rozwiąże je. Jeśli trzeba będzie wykazać się silnymi nerwami — jest do tego gotów.

Wyobraził sobie Orłowa i Waldena. Zasiedli w miękkich, wytwornych ubraniach w którymś z licznych pokoiów tego pięknego domu, otoczeni przez poruszającą się na palcach służbę. Wkrótce zjedzą obiad przy długim stole, którego wypolerowany blat odbijać będzie jak zwierciadło koronki obrusu i srebrną zastawę. Będą jeść wypielegnowanymi, czystymi palcami o białych paznokciach, kobiety będą miały na dłoniach rękawiczki. Skonsumują dziesiątą część tego, co przygotowano, resztę odsyłając z powrotem do kuchni. O czym będą rozmawiać? O wyścigach konnych, o nowej damskiej modzie albo o królu, którego wszyscy świetnie znają. W tym samym czasie ci, których zamierzają wysłać na front,

będą gnieździć się w swoich ciemnych norach, trzęsąc się z zimna w okrutnym rosyjskim klimacie — lecz mimo nędzy zawsze gotowi podzielić się miską zupy z wędrownym anarchistą.

Cóż to będzie za radość zabić Orłowa, pomyślał; cóż za słodka zemsta! Kiedy tego dokonam, będę mógł umrzeć z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku.

Przeszedł go dreszcz.

— Przeziębisz się — odezwała się gruba kobieta. Feliks wzruszył ramionami.

— Zrobiłam mu na obiad pyszny kotlet barani i upiekłam szarlotkę — powiedziała.

— Aha — odparł Feliks. O czym, do diabła, ona mówi? Wstał z ławki i przeciął trawnik idąc w kierunku domu Waldena. Usiadł na ziemi opierając się plecami o drzewo. Powinien obserwować dom przez dzień albo dwa i zorientować się, jaki tryb życia prowadzi Orłów w Londynie, kiedy i dokąd wychodzi, czym podróżuje — karocą, odkrytym powozem, automobilem czy dorożką i ile czasu spędza z Waldenem. Najlepiej byłoby, gdyby zdołał

przewidzieć, dokąd Orłów zamierza się udać i zaczął się na niego gdzieś po drodze. Należy tylko pilnie obserwować jego obyczaje. Gdyby to się nie udało, trzeba znaleźć inny sposób, by odpowiednio wcześniej dowiedzieć się o planach księcia — być może przekupując kogoś ze służby.

Następnie wyłaniała się kwestia, jakiej użyć broni i jak ją zdobyć. Wybór zależał od tego, w jakich okolicznościach miałby dokonać zamachu. Zdobycie jej zależało od anarchistów z Jubilee Street. W tej sprawie nie pomogą mu ani członkowie kółka dramatycznego, ani intelektualiści z Dunstan Houses, ani w ogóle nikt, kto cieszy się oficjalnym poparciem. Na szczęście, zetknął się już tutaj z czterema albo pięcioma młodymi gniewnymi ludźmi, którym nigdy nie brakowało

44

pieniędzy na alkohol i którzy w tych rzadkich chwilach, gdy mówili o polityce i o anarchizmie, używali terminu „ekspropriacja”. Oznaczał on finansowe wspieranie rewolucji poprzez akty rozboju. Ci ludzie mają broń albo przynajmniej wiedzę, gdzie można ją zdobyć.

Obok niego przeszły dwie młode dziewczyny o wyglądzie ekspedientek.

— ...więc ja mu wtedy mówię tak — doszły Feliksa słowa jednej z nich — jeśli wyobrażasz sobie, że wystarczy zabrać dziewczynę do kinematografu i zafundować jej kufel ciemnego piwa, żeby pozwalać sobie...

Dziewczyny minęły go.

Na Feliksa spłynęło dziwne uczucie. Zastanawiał się, czy ma ono związek z tymi dziewczętami — ale nie, przecież nic go nie obchodziły. Czy jestem czymś zaniepokojony? — pytał sam siebie. Nie. Zadowolony z czegoś? Nie, to przyjdzie później. Podniecony?

Skądże.

W końcu zdał sobie sprawę, że jest po prostu szczęśliwy.

To było naprawdę bardzo dziwne uczucie.

Tej nocy Walden przyszedł do sypialni Lidii. Kochali się, a potem Lidia zasnęła. On leżał w ciemności, z ręką pod głową i wspominał Petersburg w roku 1895.

W tamtych czasach ciągle podróżował — zwiedził już Amerykę, Afrykę i Arabię — głównie

dlatego, że Anglia była za mała, by pomieścić jednocześnie jego i jego ojca. Towarzystwo w Petersburgu uznał za wesołe, choć może trochę sztywne. Lubił wódkę i rosyjski pejzaż. Języków uczył się dość łatwo, rosyjski okazał się jednak najtrudniejszy ze wszystkich, które dotąd poznał i zmaganie się z nim sprawiało mu przyjemność.

Jako spadkobierca książęcego tytułu, Stephen zobligowany był do złożenia wizyty brytyjskiemu ambasadorowi; ten, ze swej strony, czuł się w obowiązku zapraszać Stephena na przyjęcia i wprowadzić go do towarzystwa. Stephen chodził na te bankiety, ponieważ dyskusje o polityce, w których brali udział dyplomaci, sprawiały mu prawie taką samą przyjemność, jak gra w karty z oficerami i upijanie się z aktorkami. To właśnie na przyjęciu w ambasadzie brytyjskiej po raz pierwszy spotkał Lidie.

Słyszał o niej już wcześniej. Mówiono o niej jako o wzorze cnót i osobie wielkiej urody. Była piękna, ale jej piękno wydało mu się kruche i bezbarwne. Miała bladą karnację, jasne włosy i białą suknię. Była poza tym skromna, dobrze ułożona i aż do przesady uprzejma. Wydawało

się, że nie ma w niej nic ciekawego i Stephen szybko uwolnił się od jej towarzystwa.

45

Ale później okazało się, że posadzono go obok niej przy obiedzie i zmuszony był prowadzić z nią konwersację. Wszyscy Rosjanie z tej sfery mówią po francusku, a jeżeli uczą się jeszcze trzeciego języka, to jest nim na ogół niemiecki, angielszczyzna Lidii była zatem bardzo nieporadna. Na szczęście Stephen dość dobrze posługiwał się francuskim. Większym problemem okazało się znalezienie tematu rozmowy. Wygłosił jakąś opinię o rządzie rosyjskim. Jej odpowiedź zdradzała nader reakcyjne poglądy, za które wówczas nie dałby dwóch pensów. Z ożywieniem zaczął opowiadać o polowaniach na grubego zwierza w Afryce i to ją zainteresowało, ale tylko do momentu, w którym napomknął o nagich, czarnych Pigmejach. Oblała się wtedy rumieńcem i odwróciła do sąsiada z drugiej strony. Stephen powiedział sobie, że nie jest nią zainteresowany. Była dziewczyną, z którą można się było tylko ożenić, on zaś nie planował na razie małżeństwa. Mimo to rozstał się z nią

przepełniony nie dającym mu spokoju uczuciem, że jest w niej coś więcej, niż to widać gołym okiem.

To uczucie nadal nie daje mi spokoju, pomyślał leżąc obok niej, dziewiętnaście lat później. Uśmiechnął się ze smutkiem w ciemności.

Zobaczył ją raz jeszcze tego samego wieczoru. Po obiedzie zablądził w labiryncie korytarzy ambasady i przypadkiem wszedł do sali koncertowej. Lidia była tam sama, siedziała przy fortepianie. Salę wypełniała dzika, namiętna muzyka. Brzmiała dla niego obco, wydawało mu się, że pełno w niej dysonansów, ale zafascynowała go Lidia. Znikła gdzieś blada, nietykalna piękność: jej oczy płonęły, włosy falowały, całe ciało drżało z emocji. Wyglądała jak zupełnie inna kobieta.

Nigdy nie zapomniał tej muzyki. Później odkrył, że był to koncert fortepianowy b-moll Czajkowskiego. Od tego czasu nie opuścił ani jednej okazji, żeby go wysłuchać. Nigdy jednak nie mówił Lidii, dlaczego to robi. Po wyjściu z ambasady wrócił do hotelu, żeby się przebrać,

ponieważ o północy umówił się na kilka partyjek. Miał w sobie żyłkę hazardzisty, nie takiego jednak, który niszczy samego siebie: wiedział, na jaką przegraną może sobie pozwolić i kiedy dochodził do tej granicy, przerywał grę. Gdyby zaciągnął duże długi, musiałby prosić ojca o ich spłatę, a na to nie mógł sobie pozwolić. Czasami wygrywał całkiem pokaźne sumy. Ale nie to przyciągało go do gry: lubił męskie towarzystwo, alkohol i późne, nocne godziny.

Tej nocy nie udał się jednak na umówione spotkanie. Kamerdyner Pritchard właśnie zawiązywał mu krawat, kiedy do drzwi hotelowego apartamentu zastukał brytyjski ambasador. Jego ekscelencja wyglądał jakby przed chwilą zerwał się z łóżka i ubrał w dużym pośpiechu. W pierwszej chwili Stephen pomyślał, że wybuchła rewolucja i wszyscy Brytyjczycy mają się schronić w ambasadzie.

46

— Obawiam się, że przynoszę złe wiadomości — oświadczył ambasador. — Może lepiej będzie, jak pan usiądzie. Telegram z Anglii. Dotyczy pańskiego ojca.

Stary despota zmarł na atak serca w wieku sześćdziesięciu pięciu lat.

— Nie do wiary! — wykrzyknął Stephen. — Tak wcześnie!

— Moje najgłębsze kondolencje — powiedział ambasador.

— Bardzo miło z pana strony, że pofatygował się pan osobiście.

— Doprawdy drobiazg. Czy jest coś, w czym mógłbym pomóc?

— Nie, dziękuję bardzo. Ambasador uścisnął mu rękę i wyszedł.

Stephen patrzył przed siebie i rozmyślał o ojcu. Był bardzo wysoki, miał stalową wolę i zgryźliwe usposobienie. Jego sarkazm doprowadzał ludzi do łez. Istniały tylko trzy sposoby, żeby żyć z nim w zgodzie: można było upodobnić się do niego, ulec mu albo przed nim uciec. Matka Stephena, słodka, bezbronna dziewczyna, uległa i zmarła przedwcześnie. Stephen wyjechał.

Wyobraził sobie ojca złożonego do trumny. Nareszcie jesteś bezbronny, pomyślał. Nie doprowadzisz już nigdy żadnej pokojówki do łez,

żaden lokaj nie będzie się przed tobą trząść ze strachu, dzieci nie będą przed tobą uciekać i kryć się po kątach. Nie możesz już nikogo zmusić do małżeństwa, nie będziesz wyrzucał dzierżawców ani blokował ustaw w parlamencie. Nie wsadzisz już ani jednego złodzieja do paki, nie wyekspedujesz żadnego agitatora do Australii. Proch niechaj się w proch obróci.

Później zmienił nieco opinię o ojcu. Teraz, w roku 1914, mając pięćdziesiąt lat, Walden przyznawał, że odziedziczył niektóre jego cechy: zamiłowanie do wiedzy, wiarę w rozum, przekonanie, że sens istnienia człowiek odnajduje w wykonywanej przez siebie pracy. Ale wtedy, w roku 1895, wypełniała go gorycz, nic więcej.

Pritchard przyniósł na tacy butelkę whisky.

— To smutny dzień, milordzie — powiedział.

To „milordzie” zaskoczyło Stephena. On i jego brat posiadali co prawda formalne tytuły — tytuł Stephena brzmiał Lord Highcombe — ale służący zawsze zwracali się do nich „sir”. „Milordzie” zarezerwowane było dla ojca. Teraz oczywiście Stephen stał się earlem Walden. Oprócz tytułu wszedł w posiadanie Walden Hall, domku

myśliwskiego i kawałka ziemi w Szkocji, kilku tysięcy akrów na południu Anglii, willi w Monte Carlo, sześciu koni wyścigowych i miejsca w Izbie Lordów.

Będzie musiał zamieszkać w Walden Hall. Była to rodzinna siedziba, mieszkali tam wszyscy kolejni earlowie. Stephen zdecydował, że założy tam światło elektryczne. Sprzeda trochę ziemi i zainwestuje pieniądze w nieruchomości w Londynie i w amerykańskie koleje żelazne. Czekają go Wygłoszenie inauguracyjnej mowy w Izbie Lordów — o czym będzie mówił?

47

Prawdopodobnie o polityce zagranicznej. Trzeba będzie pilnować dzierżawców, zadbać o prowadzenie kilku posiadanych przezeń domów, pokazać się na dworze królewskim, wydać kilka przyjęć i balów z polowaniami.

Potrzebna mu była żona.

Jako kawaler nie mógł dobrze pełnić roli earla Walden. Ktoś musiał sprawować funkcję pani domu podczas tych wszystkich przyjęć, ktoś powinien odpowiadać na zaproszenia, uzgadniać menu z kucharzami, przydzielać gościom

sypialnie i zasiadać naprzeciw niego przy długim stole w jadalni w Walden Hall. Potrzebował Lady Walden.

Potrzebował spadkobiercy.

— Potrzebna mi żona, Pritchard.

— Tak, milordzie. Skończyły się nasze kawalerskie czasy. Nazajutrz Walden zobaczył się z ojcem Lidii i poprosił, by wolno mu

było złożyć jej wizytę.

,

Dwadzieścia lat później nie pojmował, jak mógł być wtedy tak podły i nieodpowiedzialny. Nie rozgrzeszał go nawet młody wiek. Nie zastanawiał się czy będzie dla niego odpowiednią żoną, interesowało go jedynie to, czy nadaje się na księżnę. Ani razu nie zapytał siebie, czy jest w stanie daciej szczęście. Oczekiwał, że potrafi wyzwolić w niej tę ukrytą namiętność, która dała o sobie znać, gdy grała koncert Czajkowskiego. I tu się P°mylił.

Odwiedzał ją codziennie przez dwa tygodnie — i tak me zdążyłby wrócić na czas do domu, by uczestniczyć w pogrzebie ojca — a następnie oświadczył się, nie jej, lecz jej ojcu. Tamten

Lidia zamruczała przez sen i przewróciła się na drugi bok. Wyciągnął rękę spod jej szyi i usiadł na brzegu łóżka. Jeśli zostanie tu dłużej, zaśnie, a nie chciał, by pokojówka Lidii zastała ich razem w jej łozku, kiedy

48

przyniesie poranną herbatę. Włożył szlafrok, pantofle i cicho wyszedł z pokoju. Przez przylegające do siebie ubieralnie przeszedł do własnej sypialni. Jestem taki szczęśliwy, pomyślał kładąc się spać.

Walden przyjrzał się temu, co podano na śniadanie. Na stole stały duże dzbanki z kawą, z herbatą chińską i indyjską, w mniejszych była śmietanka, mleko i sok owocowy, dalej duża waza z gorącą owsianką, tace z grzankami i bułeczkami, małe pojemniki z marmoladą, miodem i dżemem. Obok na kredensie stały podgrzewane spirytusowymi grzałkami srebrne półmiski, a na nich sadzone jaja, parówki, bekon, nereczki i ryba. Na zimno podano pieczeń, szynkę i ozór. Na osobnym stoliku stała patera wypełniona nektarynkami, pomarańczami, melonami i truskawkami.

To powinno wprawić Aleksa w dobry nastrój, pomyślał Walden.

Nałożył sobie na talerz porcję nerek i sadzone jajo, i usiadł. Zastanawiał się, jaką cenę wyznaczą Rosjanie, czego zażądają w zamian za obietnicę pomocy wojskowej. Niepokoilo go to. Jeśli mają zamiar domagać się czegoś, czego Anglia nie może im zagwarantować, całe rokowania natychmiast wezmą w łeb, a wtedy...

Jego zadaniem było tak je prowadzić, żeby nie doszło do impasu.

Będzie musiał umiejętnie pokierować Alekssem. Ta myśl nie była miła. To, że znał chłopca tak długo, powinno okazać się pomocne, ale z drugiej strony, myślał, łatwiej byłoby mu prowadzić normalne, twarde negocjacje z kimś, z kim nie łączą go osobiste stosunki.

Uczucia powinienem odłożyć na bok, pomyślał. Musimy mieć Rosję po naszej stronie.

Nalał sobie kawy i zjadł kilka bułeczek z miodem. Minutę później do pokoju wszedł Aleks, gładko ogolony, o jasnym spojrzeniu.

— Dobrze spałeś? — zapytał Walden.

— Wspaniale. — Aleks wziął nektarynkę i

zaczął ją jeść używając noża i widelca.

— Czy to wszystko, czym masz zamiar się poczęstować? — spytał Walden. — Kiedyś uwielbiałeś angielskie śniadania. Pamiętam, jak zajadałeś, aż ci się uszy trzęsły: zmiotłeś ze stołu owsiankę, jaja, pieczeń i truskawki ze śmietaną, a potem poprosiłeś kucharza o więcej grzanek.

— Nie jestem już dorastającym chłopcem, wuju.

No tak, a ja mógłbym o tym lepiej pamiętać, przeszło przez myśl Waldenowi.

Po śniadaniu przeszli do pokoju porannego.

— Wkrótce ogłosimy nasz pięcioletni plan rozbudowy armii i marynarki wojennej — powiedział Aleks.

4 — Człowiek...

49

W ten właśnie sposób prowadzi rozmowę, zdał sobie sprawę Walden; najpierw o czymś zawiadamia, potem o coś prosi. Przed oczyma stanął mu młody Aleks: „Tego lata mam zamiar przeczytać Clausewitza, wuju. A przy okazji, czy mogę zabrać mego gościa do Szkocji na polowanie?”

— W ciągu pięciu lat budżet wojskowy ma osiągnąć wysokość siedmiu i pół miliarda rubli — kontynuował Aleks.

Przy kursie funta szterlinga wynoszącym obecnie dziesięć rubli, obliczał w myśli Walden, daje to siedemset pięćdziesiąt milionów funtów.

— To imponujący plan — powiedział — ale żałuję, że nie zaczęliście go wprowadzać w życie pięć lat temu.

— Ja również — odparł Aleks.

— Wygląda na to, że przystąpimy do wojny, zanim jeszcze skierujecie wasz plan do realizacji.

Aleks wzruszył ramionami.

Z pewnością nie interesują go przewidywania, kiedy Rosja będzie w stanie przystąpić do wojny, pomyślał Walden.

— Przede wszystkim powinniście zaopatrzyć wasze pancerniki w działa o większym kalibrze — powiedział.

Aleks potrząsnął głową.

— Wkrótce zostanie zwodowany nasz trzeci pancernik. Czwarty jest w budowie. Oba będą wyposażone w działa dwunastocalowe.

— To za mało, Aleksie. Churchill montuje na

naszych okrętach działa piętnastocalowe.

— I ma rację. Wiedzą o tym nasi dowódcy, ale nie politycy. Znasz Rosję, wuju: nowe idee traktowane są tu ze skrajną nieufnością. Lata mijają, zanim wprowadzi się coś nowego.

Na razie parujemy tylko uderzenia, stwierdził Walden.

— Jakie są wasze priorytety? — zapytał.

— Pierwsze sto milionów rubli pójdzie na wzmocnienie naszej floty na Morzu Czarnym.

— Sądziłem, że Morze Północne ma większe znaczenie strategiczne. — Dla Anglii w każdym razie.

— Nasz punkt widzenia jest bardziej azjatycki. Zagrożają nam nie Niemcy, lecz Turcja.

— Turcja może się jeszcze okazać sojusznikiem.

— Rzeczywiście, może — stwierdził z wahaniem Aleks. — Wielka słabość floty rosyjskiej — kontynuował — polega na tym, że nie posiadamy portu na morzach południowych.

Brzmiało to jak początek z góry przygotowanej tyrady. A więc o to chodzi, pomyślał Walden, tu leży pies pogrzebany. Ale fechtował się dalej. — A

Odessa? — spytał.

— To wybrzeże Morza Czarnego. Turcy mają w ręku Konstantynopol

50

oraz Gallipoli i kontrolują przejście między Morzem Czarnym a Śródziemnym; dlatego ze strategicznego punktu widzenia Morze Czarne równie dobrze mogłoby być morzem śródładowym.

— To dlatego Imperium Rosyjskie od stuleci stara się posuwać na południe.

— Dlaczego nie? Jesteśmy Słowianami podobnie jak wiele ludów bałkańskich. Jeśli pragną one odzyskać wolność, spotyka się to, oczywiście, z naszą życzliwością.

— Naturalnie. Zwłaszcza, że jeśli ją odzyskają, najprawdopodobniej pozwolą waszym okrętom na swobodne przekraczanie cieśnin w drodze na Morze Śródziemne.

— Sprawowanie przez Słowian kontroli nad cieśninami bardzo by nam pomogło. Jeszcze bardziej — sprawowanie jej przez Rosjan.

— Niewątpliwie, ale z tego, co wiem, nie wydaje się to na razie możliwe.

— Czy nie zechciałbyś przemyśleć głębiej tej sprawy?

Walden otworzył usta, żeby coś powiedzieć, a potem raptownie zamknął je z powrotem. To jest to, pomyślał, tego właśnie chcą, taka jest ich cena. Na miłość boską, nie możemy oddać Rosji Bałkanów! Jeśli od tego zależy porozumienie, nie będzie żadnego porozumienia...

— Jeżeli mamy walczyć po waszej stronie — mówił Aleks — musimy być silni. Obszar, o którym mówimy, jest miejscem, w którym potrzebujemy wzmocnienia, tak więc to naturalne, że oczekujemy od was w tej sprawie pomocy.

Jaśniej nie można było tego wyłożyć: dajcie nam Bałkany, a wtedy będziemy walczyć po waszej stronie.

Walden zmobilizował siły. Zmarszczył brwi, jakby stanął wobec zagadki nie do rozwiązania.

— Gdyby Wielka Brytania — powiedział — kontrolowała Bałkany, moglibyśmy, przynajmniej teoretycznie, oddać wam ten obszar we władanie. Ale nie możemy dać wam czegoś, czego sami nie mamy, tak więc nie wiem, w jaki sposób

moglibyśmy pomóc wam się wzmocnić — jak to ująłeś — na tym obszarze.

Odpowiedź Aleksa była tak szybka, jakby przygotował ją już dawno.

— Moglibyście uznać Bałkany za rosyjską strefę wpływów.

To nie brzmi tak źle, pomyślał Walden. To być może dałoby się załatwić.

Doznał olbrzymiej ulgi. Przed zakończeniem dzisiejszej dyskusji postanowił sprawdzić, jak silna jest determinacja Aleksa.

— Możemy oczywiście zgodzić się na stworzenie wam pewnych ułatwień na tym obszarze, kosztem Austrii i Turcji.

Aleks potrząsnął głową. — Chcemy czegoś więcej — powiedział stanowczo.

51

No tak. Aleks był młody i nieśmiały, ale nie dawał się ustawiać. Niedobrze.

Walden potrzebował teraz czasu na zastanowienie. Zgoda na żądania Rosji oznaczałaby dla Wielkiej Brytanii poważną zmianę w międzynarodowych powiązaniach, a takie zmiany, niczym ruchy tektoniczne, mogą

spowodować trzęsienia ziemi w całkiem nieoczekiwanych miejscach.

— Być może chciałbyś naradzić się z Churchillem, zanim przejdziemy do dalszych spraw — odezwał się z lekkim uśmiechem Aleks.

Do diabła, świetnie wiesz, że chciałbym, pomyślał Walden. Nagle uświadomił sobie, w jaki sposób Aleks przeprowadził całą rzecz. Najpierw przeraził Waldena całkowicie nierealnym żądaniem, potem zaś, kiedy wyjawiał, o co naprawdę mu chodzi, Walden odetchnął z ulgą i zgodził się bez oporu.

Sądziłem, że to ja pokieruję Alekssem, tym razem jednak to on wystrychnął mnie na dudka.

Walden uśmiechnął się.

— Dumny jestem z ciebie, mój chłopcze — powiedział.

Tego ranka Feliks wiedział już, kiedy, gdzie i w jaki sposób pozbawi życia księcia Orłowa.

Plan zaczął krystalizować się w jego umyśle, kiedy przeglądał Timesa w czytelni klubu przy Jubilee Street. Jego wyobraźnię pobudziła krótka notatka zamieszczona w rubryce „Kronika Dworska”:

Wczoraj przybył z Petersburga książę Aleksy Andriejewicz Orłow. Na czas trwania balów w Londynie będzie on gościem lorda i lady Waldenów. Książę Orłow zostanie przedstawiony Ich Wysokościom Królowi i Królowej w czwartek, w dniu 4 czerwca.

Uzyskał zatem pewność, że Orłow pojawi się w określonym miejscu w określonym czasie. Tego rodzaju wiadomość ma dla zamachowca bezcenne znaczenie. Wcześniej Feliks zamierzał zdobyć informacje albo wdając się w rozmowę z którymś ze służących Waldena, albo ustalając dzięki systematycznej obserwacji, o jakiej porze książę zazwyczaj wychodzi z domu. Teraz nie musiał już podejmować ryzyka związanego z wypytywaniem służących i śledzeniem ofiary. Zastanawiał się, czy Orłow zdaje sobie sprawę, że gazety piszą, gdzie ma on zamiar się pojawić, tak jakby specjalnie chciały ułatwić potencjalnym zabójcom dokonanie zamachu. To takie typowo angielskie, pomyślał.

Następnym problemem było, jak podejść do Orłowa wystarczająco blisko, by go zabić. Dostanie się do pałacu królewskiego nawet

Feliksowi

52

przysporzyłoby pewnych trudności. Ale i na to znalazł odpowiedź w Timesie. Na tej samej stronie, na której zamieszczona była „Kronika Dworska”, przeczytał następującą notatkę wciśniętą między sprawozdanie z balu wydanego przez lady Bailey a szczegóły otwartych ostatnio testamentów:

DWÓR KRÓLEWSKI

Zarządzenia dotyczące ruchu powozów W celu uproszczenia zarządzeń tyczących przyzywania powozów, z których korzystają zaproszeni do Pałacu Buckingham goście Ich Królewskich Mości, zostaliśmy upoważnieni do poinformowania, że w przypadku gości mających przywilej wjazdu przez bramę Pimlico stangret każdego zajeżdżającego ponownie przed pałac powozu zobowiązany jest do pozostawienia u konstabla pełniącego posterunek po lewej stronie bramy karty z czytelnie napisanym nazwiskiem dżentelmena lub damy, do której powóz należy, w przypadku natomiast gości korzystających z bramy głównej, podobna karta winna być

pozostawiona u konstabla pełniącego posterunek po lewej stronie łuku prowadzącego na dziedziniec Pałacu.

Aby umożliwić gościom należyte korzystanie z powyższych udogodnień, konieczne jest, aby każdemu powozowi towarzyszył foryś, ponieważ nie przewiduje się przyzywania powozów w sposób inny jak tylko poprzez podanie nazwiska właściciela oczekującym przy drzwiach forysiom, których obowiązkiem będzie również sprowadzenie powozu. Brama otwiera się na przyjęcie gości o godzinie 8.30.

Feliks przeczytał notatkę kilka razy: angielszczyzna, której używano w Timesie, była wyjątkowo trudna do rozszyfrowania. Chodziło, zdaje się, o to, że w chwili gdy goście opuszczali pałac, ich lokaje biegli sprowadzić powozy, które stały gdzie indziej.

Muszę znaleźć jakiś sposób, myślał, by dostać się do środka albo na dach powozu Waldenów, kiedy będzie ponownie zajeżdżał pod pałac, żeby zabrać ich do domu.

Pozostał jeszcze jeden poważny problem. Nie miał pistoletu.

Bez większych trudności mógł kupić go w Genewie, ale przemykanie broni przez kilka granic było ryzykowne: gdyby przeszukano jego bagaż, Anglicy mogliby zatrzymać go na przejściu granicznym.

Z pewnością w Londynie było równie łatwo o broń, ale na razie nie wiedział, do kogo się zwrócić, a nie chciał wypytywać się w sposób jawny. Obserwując sklepy z bronią na West Endzie, zauważył, że wszyscy zaopatrujący się w nich klienci wywodzili się z klas wyższych: Feliksa nie obsłużono by tam, nawet gdyby posiadał dosyć pieniędzy, żeby kupić wystawione na sprzedaż precyzyjne i estetycznie wykończone egzemplarze broni palnej. Spędził dużo czasu w pubach,

53

uczęszczanych przez klasy niższe, gdzie z pewnością sprzedawali i kupowali broń rozmaici kryminaliści, niczego takiego, czemu trudno się dziwić, jednak nie dostrzegł. Ostatnią jego nadzieją pozostawali więc anarchiści. Wdawał się w rozmowy z tymi spośród nich, których uważał za „poważnych”, ale nigdy ani słowem nie

zająknęli się w jego obecności na temat broni palnej. Kłopot polegał na tym, że za krótko wśród nich przebywał, by nabrali do niego zaufania. Wiadomo było, że wokół anarchistów kręcą się policyjni szpicle i chociaż nowi ludzie byli zawsze mile widziani, traktowano ich z ostrożnością.

Obecnie nie było już czasu na dyskretne sondowanie. Musiał zapytać wprost, w jaki sposób można zdobyć pistolet. Całą sprawę należało przeprowadzić z wyczuciem. Natychmiast po uzyskaniu informacji powinien zerwać więzi łączące go z Jubilee Street i przeprowadzić się do innej części Londynu, aby później uniknąć ryzyka wytropienia.

Pomyślał o młodych żydowskich zabijakach z Jubilee Street. Byli gniewni i zniecierpliwieni. W odróżnieniu od swoich rodziców, nie zamierzali niewolniczo harować w warsztatach na East Endzie przy szyciu garniturów, które arystokracja zamawiała u krawców z Savile Row. Nie słuchali pouczeń konserwatywnych rabinów. Jak dotąd nie byli jeszcze zdecydowani, czy ich problemy powinno się rozwiązywać za pomocą walki politycznej czy też przestępstwa.

Feliks uznał, że najlepszym informatorem może okazać się Natan Sabielinski. Chłopak miał około dwudziestu lat, jego twarz cechowała słowiańska dobroduszość. Nosił wysoki, sztywny kołnierz i żółtą kurtkę. Feliks widział go raz w towarzystwie szulerów na tyłach Commercial Road: musiał skądś brać pieniądze na hazard i eleganckie stroje.

Rozejrzał się po czytelnikach. Oprócz niego był tam drzemiący staruszek, kobieta w grubym płaszczu czytająca po niemiecku Das Kapital i litewski Żyd pochylony ze szkłem powiększającym nad rosyjską gazetą. Feliks wyszedł z sali i zbiegł na dół. Nie zauważył ani Natana, ani żadnego z jego przyjaciół. Było trochę za wcześnie — chłopak pracował przeważnie w nocy.

Wrócił do Dunstan Houses. Zapakował do swojej tekturowej walizki maszynkę do golenia, świeżą bieliznę i koszulę na zmianę.

— Znalazłem pokój. Przyjdę ponownie dziś wieczorem, żeby podziękować Rudolfowi — powiedział Milly, żonie Rudolfa Rockera.

Przymocował walizkę do bagażnika roweru i popedałował na zachód, do śródmieścia

Londynu, a potem na północ, do Camden Town. Znalazł tutaj uliczkę zabudowaną wysokimi, eleganckimi niegdyś domami, wzniesionymi dla nuworyszy z klas średnich, którzy w ostatnim czasie przenieśli się na przedmieścia, tam gdzie nowe podmiejskie linie kolejowe miały swoje końcowe stacje. W jednym z tych domów wynajął obskurny

54

pokoik od Irlandki imieniem Bridget. Zapłacił jej dziesięć szylingów za dwa tygodnie z góry.

W południe był z powrotem w Stepney, niedaleko domu Natana przy Sidney Street. Nieduży, szeregowy domek mieścił dwa pokoje na dole i dwa na piętrze. Drzwi frontowe były szeroko otwarte. Feliks wszedł do środka.

Uderzyły go smród i hałas. Piętnaście, a może dwadzieścia osób szyło ubrania w pomieszczeniu o powierzchni dziesięciu metrów kwadratowych. Mężczyźni szyli na maszynach, kobiety ręcznie. Gotowe ubrania prasowały dzieci. Unosząca się z żelazek para mieszała się z intensywnym zapachem potu. Maszyny terkotały, żelazka syczały, ludzie bez przerwy mamrotali coś w

jidysz. Sterty gotowych do zszycia kawałków materiału zajmowały każde wolne miejsce na podłodze. Nikt nie spojrzał nawet na Feliksa. Wszyscy pracowali z niesamowitą szybkością.

Zwrócił się do siedzącej najbliżej osoby, dziewczyny z dzieckiem u piersi, która przyszywała ręcznie guziki do rękawa marynarki.

— Czy zastałem Natana? — zapytał.

— Jest na górze — odparła, ani na moment nie odrywając się od pracy. Feliks wyszedł z pomieszczenia i wspiał się po wąskich schodach.

W każdej z dwóch małych sypialni stały cztery łóżka. Większość zajmowali ludzie, którzy prawdopodobnie pracowali w nocy. Odnalazł Natana w pokoiku z tyłu. Siedział na skraju łóżka i przyszywał sobie guziki do koszuli.

— Wie gehts, Feliks? — odezwał się na jego widok.

— Chcę z tobą porozmawiać — odparł Feliks w jidysz.

— Wał śmiało, o co chodzi.

— Wyjdźmy na zewnątrz.

Natan włożył kurtkę i obaj wyszli na Sidney Street. Stanęli w promieniach słońca, tuż przy

otwartych oknach warsztatu. Ich rozmowę zagłuszał dobywający się ze środka hałas.

— Tak właśnie wygląda interes mojego ojca — powiedział Natan. — Płaci dziewczynie pięć pensów za uszycie pary spodni. Zajmuje jej to godzinę pracy. Kolejne trzy pensy płaci dziewczynom, które kroją, prasują i przyszywają guziki. Potem zanoszą spodnie krawcowi na West Endzie i dostaje za nie dziewięć pensów. Ma z tego jednego pensa zysku — wystarczy akurat na jedną kromkę chleba. Jeśli zażąda od krawca z West Endu dziesięciu pensów, ten wyrzuci go za drzwi i da tę robotę któremuś z żydowskich krawców czekających zaraz za rogiem z maszynami pod pachą. Ja nie zamierzam żyć w ten sposób.

— Dlatego jesteś anarchistą?

— Ci ludzie szyją najpiękniejsze ubrania na świecie, ale czy zwróciłeś uwagę, jak sami są ubrani?

— Jak zmienić ten stan rzeczy? Używając przemocy?

55

— Tak sądzę.

— Byłem pewien, że tak właśnie myślisz, Natan. Potrzebny mi jest pistolet.

Natan zaśmiał się nerwowo.

— Do czego?

— A do czego potrzebują na ogół broni anarchiści? "- To ty mi powiedz, Feliksie.

—; Do tego, aby odbierać to, co zagarnęli grabieżcy, żeby nękać tyranów, zabijając morderców.

-~ A tobie do czego jest potrzebny?

— Powiem ci... jeżeli naprawdę chcesz wiedzieć... Natan namyślał się przez moment.

"*- Idź do pubu „Pod Gorącą Patelnią" na rogu Brick Lane i Thrawl Street, pytaj o Karła Garfielda.

— Dziękuję -_ powiedział Feliks. Nie udało mu się ukryć triumfu w głosie. — He będę musiał zapłacić?

"—| Pięć szylingów za iglicówkę.

**t Wolałbym coś bardziej niezawodnego.

"~- Dobra broń jest o wiele droższa.

— Będę się musiał trochę potargować. — Feliks uściśnął dłoń Natanowi. — Dziękuję.

Natan patrzył, jak Feliks wsiada na rower.

-- Może mi powiesz, jak już będzie po wszystkim.

Feliks uśmiechnął się.

— Przeczytasz o tym w gazetach. — Machnął mu ręką na pożegnanie i odjechał.

popedałował wzdłuż Whitechapel Road i Whitechapel High Street, a Potem skręcił w prawo w Osborn Street. Charakter ulicy nagle się zmienił. Była to najbardziej zaniedbana dzielnica Londynu, jaką do tej P01^ oglądał. Ulice były wąskie i zaśmiecone, powietrze zadymione i cuchnące, ludzie w większości obdarci. Rynsztoki przelewały się od nieczystości. Mimo to wszędzie wrzało tutaj gorączkowe życie, jak w ulu. ulicą spieszyli ludzie z ręcznymi wózkami, przy straganach kłębił się tłuni, na każdym rogu dyżurowała prostytutka, chodniki zatarasowane były Warsztatami stolarskimi i szewskimi.

Feliks zostawił rower przed drzwiami „Gorącej Patelni”. Jeśli zniknie, będzie musiał po prostu ukraść nowy. Żeby wejść do pubu, musiał okrążyć coś, co przypominało zdechłego kota. Wewnątrz zobaczył niską, pojedynczą salę o gołych ścianach. Bar znajdował się na przeciwległym

końcu, starsi mężczyźni i kobiety siedzieli na ławkach przy ścianach, młodszy zaś stali w środku. Feliks podszedł do baru i poprosił o szklaneczkę, ale i kiełbasę na zimno.

56

Rozejrzał się dookoła i spostrzegł Karła Garfielda. Nie zauważył go wcześniej, gdyż tamten stał na krześle. Miał mniej więcej metr dwadzieścia wzrostu, wielką głowę i twarz człowieka w średnim wieku. Obok jego krzesła siedział na podłodze wielki, czarny pies. Karzeł rozmawiał z dwoma zwałistymi mężczyznami w skórzanych kurtkach i koszulach bez kołnierzyków, którzy wyglądali na niezłych zabijaków. Być może stanowili jego ochronę. Feliks spojrział na ich duże brzuchy i uśmiechnął się pod wąsem. Rozłożył ich jedną ręką, pomyślał. Dwaj mężczyźni trzymali kwartowe kufle ale. Karzeł pił coś, co wyglądało na dzin. Barmanka podała Feliksowi jego napój i kiełbasę.

— I kieliszek najlepszego dzinu — powiedział Feliks. Młoda kobieta za barem spojrzała na niego.

— To dla mnie? — spytała i uśmiechnęła się

zalotnie odsłaniając zepsute zęby. Feliks uciekł spojrzeniem w bok.

Kiedy podała mu dzin, zapłacił i zbliżył się do karła i jego ludzi. Stali obok wychodzącego na ulicę okienka. Feliks ustawił się tak, żeby mieć wolną drogę do drzwi.

— Pan Garfield? — zwrócił się do karła.

— Kto pyta? — odezwał się Garfield piskliwym głosem. Feliks zaproponował mu kieliszek dzinu.

— Czy mógłbym pomówić z panem o interesach? Garfield wziął kieliszek i opróżnił go.

— Nie — odpowiedział.

Feliks upił łyk ale. Było słodsze i mniej się pienilo w porównaniu z piwem szwajcarskim.

— Chciałbym kupić pistolet — powiedział.

— W takim razie nie wiem, po coś pan tu przyszedł.

— Słyszałem o panu w klubie przy Jubilee Street.

— Anarchista?

Feliks nie odpowiedział.

Garfield przyjrzał mu się od stóp do głów.

— Jakiej broni pan potrzebuje, gdybym

przypadkiem jakąś posiadał?

— Rewolwer. Dobry.

— Może coś w rodzaju siedmiostrzałowego browninga?

— To by było coś w sam raz dla mnie.

— Nie mam czegoś takiego. Nawet gdybym miał, nie sprzedałbym go panu. A gdybym miał go zamiar sprzedać, musiałbym zażądać pięciu funtów.

— Powiedziano mi, że będzie to kosztować najwyżej jednego funta.

— Źle panu powiedziano.

Feliks zastanawiał się. Karzeł zorientował się widocznie, że jego

57

rozmówca jest cudzoziemcem i anarchistą, i uznał, że łatwo uda mu się nabić go w butelkę. Zgoda, pomyślał, rozegramy to na twój sposób.

— Nie mogę dać więcej niż dwa funty. Nie mogę zejść poniżej czterech.

— Razem z pudełkiem amunicji?

— W porządku, cztery funty razem z pudełkiem amunicji.

- Zgoda powiedział Feliks. Zauważył, że jeden

z goryli z trudem powstrzymuje uśmiech. Po zapłaceniu za piwo, dzin i kielbasę, zostało mu trzy funty, pietnaście szylingów i jeden pens.

(jarfield skina} na jednego ze swych kompanów. Mężczyzna okrążył ladę i wyszedł tylnym drzwiami. Feliks zjadł kielbasę. Po minucie lub dwóch facet wrócił trzymając coś, co wyglądało jak kłębek gałganów. Popatrzył na Garfielda, a ten kiwnął głową. Facet podał zawiniątko Feliksowi.

reliks odwinają} szmaty i znalazł w środku rewolwer oraz małe pudełko. Wyjął rewolwer i sprawdził go.

— Spusc go pan w dół — odezwał się Garfield.
— Nie potrzebujesz pan go pokazywać każdemu zasrańcowi, który się tutaj nawinie.

Pistolet był WyCZySZczony i naoliwiony, mechanizm działał gładko. — Skąd marn wiedzieć, że jest dobry, jeśli mu się nie przyjrzę?
— zapytał Feliks.

Gdzie ty sobie wyobrażasz, że jesteś, u Harrodsa? Feliks otwory} pudełko z nabojami i załadował pistolet. szybkimi, wyćwiczonymi mchami.

— Zabierz to cholerstwo na bok — syknął karzeł. — Dawaj pieniądze i spieprzaj stąd w podskokach. Masz niedobrze w głowie.

Bańka napięcia rosła w gardle Feliksowi. Z trudem przełknął ślinę. Cofnął się o krok: i wycelował rewolwer w karła.

— Mam wypróbować tę broń? — zapytał.

Dwaj goryle odskoczyli na bok, każdy w inną stronę, tak że Feliks nie mógł ich teraz jednocześnie trzymać na muszce. Serce mu zamarło: nie spodziewał się; że będą tacy sprytni. Za chwilę na niego skoczą. W pubie zrobiło się nagle cicho. Zdał sobie sprawę, że zanim dostanie się do drzwi, dopadnie go któryś z goryli. Duży pies zawarczał wyczuwając wiszące w powietrzu napięcie.

Feliks uśmiechnął się i strzelił do psa.

W małym pornieszczeniu huk wystrzału był ogłuszający. Nikt się nie poruszył. Pies padł krwawiąc na ziemię. Goryle zastygli w bezruchu tam gdzie stali.

Feliks cofnął się jeszcze o krok, sięgnął ręką za siebie i wymacał drzwi. Otworzył je wciąż celując w Garfielda i wyszedł na zewnątrz.

Zatrzasnął za sobą drzwi, schował rewolwer do kieszeni kurtki i wskoczył na rower.

Słyszał, jak otwierają się drzwi pubu. Odepchnął się i zaczął pedałować. Ktoś złapał go za rękaw kurtki. Nacisnął mocniej na pedały i wyswobodził się. Gdy usłyszał strzał, odruchowo się pochylił. Ktoś krzyknął. Feliks minął lodziarnię i skręcił za rogiem. Daleko za sobą usłyszał policyjny gwizdek. Obejrzał się. Nikt go nie gonił.

Po trzydziestu sekundach zniknął w wypełniającym Whitechapel tłumie.

Mam jeszcze sześć nabojów, pomyślał.

3.

JT oprawiana setki razy suknia nareszcie nie budziła żadnych zastrzeżeń. Charlotte była gotowa. Do stanika przypiętą miała różową różę, w dłoni trzymała owinięty szyfonem bukietik tych samych kwiatów. Brylantowy diadem trzymał się mocno na upiętych do góry włosach, prócz tego tkwiły w nich dwa solidnie przymocowane białe pióra. Wszystko było bez zarzutu.

Charlotte była przerażona.

— Kiedy wejde do Sali Tronowej — oświadczyła Marii — tren odzepi się od sukni, diadem opadnie mi na oczy, włosy rozpuszczą się, pióra przechylą się każde w inną stronę, a ja potknę się o skraj sukni i rozłożę jak długa na podłodze. Całe towarzystwo wybuchnie śmiechem, a najgłośniej ze wszystkich będzie się śmiała Jej Królewska Mość. Wybiegnę z pałacu do parku i rzucę się do jeziora.

— Nie wolno ci tak mówić — powiedziała Maria. — Będiesz najpiękniejsza z nich wszystkich — dodała po chwili miękko.

Do sypialni weszła matka. Ujęła córkę za ramiona i przyjrzała jej się z bliska.

— Jesteś piękna, kochanie — powiedziała i dała jej całusa. Charlotte objęła mamę za szyję i przycisnęła policzek do jej policzka,

tak jak to robiła będąc dzieckiem, kiedy fascynowała ją jej gładka jak atlas skóra. Kiedy się odsunęła, ze zdumieniem dostrzegła w oczach matki ślady łez.

— Ty też jesteś piękna, mamó — powiedziała.

Suknia Lidii była z charmeuse o barwie kości słoniowej, tren z brokatu w tym samym kolorze, przetykanego purpurowym szyfonem. Jako mężatka wpięła we włosy trzy pióra w przeciwieństwie do będącej dopiero na wydaniu Charlotte, która miała tylko dwa. W rękę trzymała bukiet groszku pachnącego i petunii.

60

— Jesteś gotowa? — zapytała.

— Nie mogę się doczekać — odparła Charlotte.

— Podnieś tren.

Charlotte podniosła tren dokładnie tak, jak ją tego uczyła matka. Ta z uznaniem kiwnęła głową.

— Możemy już iść?

Maria otworzyła drzwi. Charlotte usunęła się na bok dając pierwszeństwo matce.

— Nie, kochanie, dzisiaj jest twoja noc.

Wymaszerowały jedna za drugą na korytarz, pochod zamykała Maria. Kiedy Charlotte stanęła u szczytu schodów, doszedł ją szmer aplauzu.

Na dole zgromadzili się wszyscy domownicy: ochmistrzyni, kucharka, lokaje, pokojówki, podkuchenne i parobcy. Ujrzała twarze

wpatrujące się w nią z dumą i szczęściem. Ich podniecenie wzruszyło ją: zdała sobie sprawę, że była to wielka noc także i dla nich.

W samym środku zgromadzenia dostrzegła papę. Prezentował się wspaniale w czarnym, atłasowym fraku, krótkich spodniach do kolan i jedwabnych pończochach, ze szpadą u biodra i spiczastym kapeluszem w dłoni.

Charlotte zeszła powoli po schodach.

— Moja mała dziewczynko — wyszeptał papa i ucałował ją. Kucharka, która знаła ją wystarczająco długo, by pozwolić sobie na poufałość, pociągnęła ją za rękaw.

— Wygląda panienska wspaniale, lady Charlotte — szepnęła.

— Dziękuję, pani Harding — odparła Charlotte i uściśnęła jej rękę. Ukłonił jej się Aleks. W mundurze rosyjskiej marynarki wojennej

wyglądał olśniewająco. Przystojny z niego mężczyzna, pomyślała Charlotte, nie wiem, czy ktoś nie zadurzy się w nim przypadkiem dzisiejszej nocy.

Dwóch lokajów otworzyło frontowe drzwi.

Papa ujął delikatnie córkę pod ramię i wyprowadził na zewnątrz. Za nimi szła oparta na ramieniu Aleksa mama. Jeśli przez cały wieczór uda mi się o niczym nie myśleć, jeśli będę chodzić jak automat wszędzie tam, gdzie zaprowadzą mnie inni, pomyślała Charlotte, nic złego nie ma prawa mi się przytrafić.

Na zewnątrz czekał powóz. Stangret William i foryś Charles, obaj odziani w liberię Waldenów, stali na baczność po obu stronach drzwi. William, tęgi i siwy, zachowywał powagę, natomiast Charles był wyraźnie podekscytowany. Papa podał Charlotte rękę. Oparła się na niej i wsiadła z gracją do powozu. Na razie się nie wywróciłam, pomyślała.

W środku ulokowała się tymczasem pozostała trójka. Pritchard postawił na podłodze kosz z wiktuałami i zamknął drzwiczki.

Powóz ruszył.

61

Charlotte spojrzała na kosz.

— Piknik? — zapytała. — Mamy przecież przed sobą tylko pół mili!

— Poczekaj, aż zobaczysz kolejkę — odparł

papa. — Minie prawie godzina, nim dostaniemy się do środka.

Przeszło jej przez głowę, że być może wieczór wcale nie okaże się ekscytujący, lecz nudny.

I rzeczywiście, powóz zatrzymał się na końcu alei The Mail, przy Łuku Admiralicji, pół mili od Pałacu Buckingham. Papa otworzył kosz i wyjął butelkę szampana. Były tam także kanapki z kurczakiem, brzoskwinie z domowej oranżerii i ciasto.

Charlotte wysączyła kieliszek szampana, ale nic nie zjadła. Wyrzała przez okno. Chodniki pełne były gapiów przyglądających się możliwym tego świata. Zobaczyła wysokiego mężczyznę o pociągłej, przystojnej twarzy. Opierał się o rower i przyglądał się bacznie ich powozowi. Coś w jego spojrzeniu sprawiło, że Charlotte przeszedł dreszcz i odwróciła oczy.

Po uroczystym wyjściu z domu oczekiwanie w kolejce działało na nią uspokajająco. Zanim powóz przejechał przez bramę pałacu i zbliżył się do okazałego wejścia, poczuła się znowu sobą: sceptyczna, harda i niecierpliwa jak przedtem.

Powóz zatrzymał się i otwarto drzwiczki.

Charlotte zebrała tren lewą ręką, uniosła suknię prawą, wysiadła z powozu i wkroczyła do pałacu.

Wielki, wyłożony czerwonym dywanem hall jarzył się światłem i kolorami. Mimo sceptycyzmu poczuła dreszcz podniecenia na widok białych sukien dam i błyszczących mundurów panów. Świeciły brylanty, szczękały szpady, powiewały pióra. Po obu stronach stali wyprężeni na bacność gwardziści w czerwonych czapkach.

Charlotte i mama zostawiły narzutki w szatni. W towarzystwie papy i Aleksa przeszły powoli przez hall i wspięły się po wielkich schodach, wzdłuż których stali halabardziści ze straży przybocznej. Wszędzie było mnóstwo białych i czerwonych róż. Potem przeszli przez galerię do pierwszej z trzech królewskich sal balowych, oświetlonej olbrzymimi kandelabrami i wyłożonej jasnym jak lustro parkietem. Tutaj pochód rozproszył się. Towarzystwo podzieliło się na małe grupki, które stały gawędząc i podziwiając wzajemnie swoje stroje. Charlotte ujrzała kuzynkę Belinę z wujkiem George'em i ciotką Clarissą. Obie rodziny wymieniły pozdrowienia.

Wujek George ubrany był w taki sam strój jak papa, ale z wielkim brzuchem i czerwoną twarzą wyglądał w nim okropnie. Charlotte zastanawiała się, jak może się czuć młoda i piękna ciocia Clarissą mając za męża takiego tłuściocha.

62

Papa omiótł wzrokiem salę, jakby kogoś szukał.

— Widziałeś może Churchilla? — zapytał wujka George'a.

— Na miłość boską, do czego ci on potrzebny? Papa wyjął zegarek.

— Musimy zająć nasze miejsca w Sali Tronowej. Zostawimy cię teraz, Clarisso, żebyś, jeśli można cię prosić, zaopiekowała się Charlotte.

Papa, mama i Aleks oddalili się.

— Twoja sukienka jest cudowna — stwierdziła Belinda.

— Jest strasznie niewygodna.

— Wiedziałam, że powiesz coś w tym rodzaju.

— Ty też bardzo ładnie wyglądasz.

— Dziękuję. — Belinda ściszyła głos. — Księżę Orłów wygląda na niezłego chwata.

- Jest bardzo słodki.
- Myślę, że nie tylko słodki.
- Z czego się śmiejesz?

Belinda jeszcze bardziej ściszyła głos.

— Musimy dłużej porozmawiać, jak tylko nadarzy się odpowiednia okazja.

— A o czym to?

— Pamiętasz, o czym dyskutowaliśmy w kryjówce? Kiedy ukradliśmy te książki z biblioteki w Walden Hall?

Charlotte rzuciła okiem na wujka i ciotkę, ale właśnie zajęci byli rozmową z ciemnoskórym mężczyzną w różowym satynowym turbanie.

— Oczywiście, że pamiętam.

— No więc właśnie o tym.

Nagle zapadła cisza. Tłum rozstał się, żeby zrobić przejście pośrodku sali. Charlotte obejrzała się i zobaczyła, że do bawialni wchodzi król i królowa, a za nimi pazie, kilku członków rodziny królewskiej i hinduska straż przyboczna.

Wszystkie damy pochyliły się w dworskim ukłonie. W sali rozległo się głośne westchnienie szeleszczącego jedwabiu.

W Sali Tronowej ukryta w Galerii Minstrelów

orkiestra zaintonowała Boże, chroń Króla. Lidia spojrzała w stronę wielkich drzwi strzeżonych przez połączonych olbrzymów. Dwóch członków orszaku posuwało się tyłem niosąc złote i srebrne berła. Król i królowa kroczyli dostojnym krokiem, oboje łagodnie się uśmiechali. Wspięli się na podium i stanęli przy swoich tronach. Reszta świty ustawiła się w pobliżu.

Królowa Maria miała na sobie suknię ze złotego brokatu i koronę

63

wysadzaną szmaragdami. Zdaniem Lidii nie była piękna, ludzie mówili jednak, że jej królewski małżonek ją uwielbia. Była niegdyś zaręczona ze starszym bratem króla, który zmarł jeszcze przed ślubem na zapalenie płuc; szybka zmiana partnera na nowego dziedzica tronu wydawała się w swoim czasie dość wyrachowanym postępkim. Mimo to wszyscy zgadzali się obecnie, że jest dobrą królową i dobrą żoną. Lidia z chęcią poznałaby ją osobiście.

Zaczęła się prezentacja. Kolejne żony ambasadorów występowały krok do przodu, składały ukłon królowi i królowej, i wycofywały

się na swoje miejsce. Potem kłaniali się ambasadorowie. Wszyscy byli poprzebierani w najrozmaitsze paradne, operetkowe mundury, wszyscy oprócz przedstawiciela Stanów Zjednoczonych, który włożył normalny, czarny garnitur, jakby chciał przypomnieć, że Amerykanie ani trochę nie wierzą w cały ten nonsens.

Podczas ceremonii Lidia rozglądała się po sali. Podziwiała szkarłatne satynowe zasłony, mitologiczne ornamenty pod sufitem, olbrzymie żyrandole i tysiące kwiatów. Uwielbiała pompę i ceremoniał, piękne stroje i wymyślne przepisy etykiety; wszystko to wzruszało ją i uspokajało zarazem- Pochwyciła wzrok Wielkiej Garderobianej, księżnej Devonshire, i wymieniły między sobą dyskretny uśmiech. Ubawiły ją ekstrawaganckie złożone hafty na dworskim kostiumie socjalistycznego prezesa Izby Handlu, Johna Burnsa.

Kiedy zakończyła się prezentacja dyplomatów, król i królowa usiedli. To samo uczynili członkowie rodziny królewskiej, dyplomaci i wyższa arystokracja. Lidia i Walden musieli stać

dalej, razem z innymi gorzej urodzonymi.

W końcu zaczęła się prezentacja debutantek. Jedna za drugą dziewczęta zatrzymywały się w przedsionku Sali Tronowej i podawały tren sukni dworakowi, który rozciągał go za nimi z tyłu. Potem rozpoczynał się długi marsz ku tronom, po biegnącym przez środek parkietu czerwonym dywanem. Oczy wszystkich utkwione były w debutantce. Jeśli dziewczyna potrafiła zdobyć się w tym momencie na wdzięk i bezpretensjonalność, oznaczało to, że będzie ją na to stać w każdych okolicznościach.

Podchodząc do podium debutantka podawała swój bilecik Lordowi Szambelanowi, który odczytywał jej nazwisko. Dygała przed królem, a potem przed królową. Niewiele dziewcząt robiło to, zdaniem Lidii, naprawdę elegancko. Sama miała masę kłopotów próbując nauczyć tego Charlotte; inne matki także nie uniknęły chyba tych problemów. Po złożeniu ukłonów debutantka odchodziła na bok pilnując, żeby nie obrócić się plecami do tronów, zanim nie schroniła się w przyglądającym się całej ceremonii tłumie.

Dziewczęta szły w tak bliskich odstępach, że o mało nie deptały sobie wzajemnie po trenach. Ceremonia w odczuciu Lidii miała mniej osobisty charakter, była bardziej zdawkowa niż normalnie. Sama przedstawiona została królowej Wiktorii w roku 1896, w rok po zawarciu małżeństwa z Waldenem. Stara królowa nie siedziała wówczas na tronie, lecz na wysokim zydlu, co sprawiało wrażenie, jakby stała. Lidię zdumiał jej niski wzrost. Musiała pocałować królową w rękę. Ta część ceremonii została teraz zniesiona, prawdopodobnie dla zaoszczędzenia czasu. Wydawało się, że obecnie dwór jest czymś w rodzaju fabryki, której zadaniem jest wyprodukowanie jak największej liczby debiutantek w jak najkrótszym czasie. Ale dzisiejsze dziewczęta nie dostrzegały tej różnicy, a nawet gdyby dostrzegły, zbytnio by się tym nie przejęły.

Nagle w progu pojawiła się Charlotte. Dworak ułożył z tyłu jej tren, potem pchnął ją lekko i już kroczyła po czerwonym dywanie, z wysoko podniesioną głową. Nic nie mąciło jej pogody

ducha i pewności siebie. To jest moment, dla którego żyłam, pomyślała Lidia.

Dziewczyna przed Charlotte dygnęła — i wtedy zdarzyło się coś nie do pomyślenia.

Zamiast unieść się do góry, debiutantka zerknęła na króla, wyciągnęła ramiona w błagalnym geście i zawołała głośno:

— Wasza Wysokość, na miłość boską, proszę nie torturować kobiet! Sufrażystka, pomyślała Lidia.

Jej wzrok pobiegł ku córce. Charlotte zamarła w bezruchu w połowie drogi do podium, patrząc na rozgrywającą się przed nią scenę. Na jej szarej jak popiół twarzy widniało przerażenie.

Szok i milczenie w Sali Tronowej trwały tylko kilka sekund. Najszybciej zareagowali dwaj stojący przy podium dworacy. Skoczyli do przodu, ujęli dziewczynę pod ramiona i wyprowadzili ją bez ceremonii z sali.

Królowa oblała się rumieńcem. Król z powodzeniem udawał, że nic absolutnie się nie wydarzyło. Lidia spojrzała ponownie na Charlotte. Dlaczego właśnie moja córka musiała być następna? — pomyślała.

Oczy wszystkich utkwione były teraz w Charlotte. Lidia chciała krzyknąć na cały głos: Udawaj, że nic się nie stało! Po prostu idź dalej!

Charlotte stała nieruchomo. Na policzki wróciło jej trochę rumieńców. Lidia widziała, jak jej córka nabiera głęboko powietrza.

Potem ruszyła naprzód. Lidia wstrzymała oddech. Charlotte podała bilecik Lordowi Szambelanowi, który ogłosił:

— Prezentuje się lady Charlotte Walden. Charlotte stanęła przed królem. Uważaj teraz, pomyślała Lidia. Dziewczyna złożyła nienaganny ukłon. Dygnęła ponownie przed królową.

5 — Człowiek...

65

Zrobiła pół obrotu i wycofała się. Lidia wypuściła z płuc powietrze.

— Poradziła sobie z tym bardzo dobrze — szepnęła stojąca tuż obok niej baronowa. Lidia przypominała ją sobie mgliście z widzenia, ale nigdy nie była jej przedstawiona.

— To moja córka — odparła z uśmiechem.

W głębi ducha Waldenowi spodobał się występ sufrażystki. Dziewczyna z charakterem,

pomyślał. Oczywiście gdyby to Charlotte zrobiła coś takiego w obecności całego dworu, byłby przerażony, ale ponieważ była to córka kogoś innego, uznał incydent za ciekawe urozmaicenie ciągnącej się w nieskończoność ceremonii. To, jak poradziła sobie Charlotte, nie wywarło na nim większego wrażenia; nie spodziewał się po prostu po niej niczego innego. Była rezolutną panną; jego żona zamiast bez końca się o nią zamartwiać, powinna, według niego, pogratulować sobie tak dobrze ułożonej córki.

Kiedyś świetnie się bawił podczas podobnych uroczystości. Jako młody człowiek z przyjemnością wkładał dworski kostium i strugał wielkiego chwata. W tamtych czasach miał do tego odpowiednie nogi. Teraz czuł się głupio w sięgających kolan obcisłych pludrach i jedwabnych pończochach, nie mówiąc już o objętej mu się o nogi długiej, stalowej szpadzie. Uczestniczył w tak wielu przyjęciach na dworze, że barwny rytuał wcale go już nie fascynował.

Zastanawiał się, co o tym sądzi król Jerzy. Walden lubił króla. Oczywiście, w porównaniu ze

swym ojcem, Edwardem VII, Jerzy był raczej bezbarwnym, nijakim facetem. Tłumy nie będą nigdy wiwatować na cześć „dobrego, starego Georgie'ego”, tak jak czyniły to pod adresem „dobrego, starego Teddy'ego”. Ale Jerzy zjednął sobie w końcu ludzi swoim dyskretnym urokiem i skromnym stylem życia. Potrafił być stanowczy, chociaż czynił to zbyt rzadko; a Walden lubił, jak ktoś wali prosto z mostu to, co ma do powiedzenia. Niemniej uważał, że będzie z niego jeszcze całkiem niezły król.

Zakończyła się wreszcie prezentacja debiutantek. Król i królowa powstali z miejsc. Orkiestra zagrała jeszcze raz hymn narodowy, król skłonił głowę, a królowa złożyła ukłon, najpierw ambasadorom, potem ich żonom, potem księżniczkom i na samym końcu ministrom. Król ujął królową pod ramię. Pazie podnieśli tren jej sukni. Dworacy wycofali się tyłem z sali. Królewska para opuściła salę, a za nią reszta towarzystwa, w porządku piastowanych godności.

Goście przeszli do trzech jadalni: pierwsza przeznaczona była dla rodziny królewskiej i jej

bliskich przyjaciół, druga dla korpusu dyp-

66

lomatycznego, trzecia dla pozostałych gości. Walden zaliczał się co prawda do przyjaciół króla, ale nie tych najbliższych, przeszedł więc do sali ogólnej. Aleks skierował się do jadalni dla dyplomatów.

W jadalni Walden spotkał się ze swoją rodziną. Lidia promieniała.

— Moje gratulacje, Charlotte — powiedział.

— Kim była ta straszna dziewczyna? — zapytała Lidia.

— Słyszałem, jak ktoś mówił, że to córka architekta — odparł Walden.

— To wszystko wyjaśnia. Zaintrygowało to Charlotte.

— Dlaczego to wszystko wyjaśnia? Walden uśmiechnął się.

— Twoja mama ma na myśli, że ta dziewczyna nie należy właściwie do wyższych sfer.

— Ale dlaczego twierdzi, że król torturuje kobiety?

— Mówiła o sufrażystkach. Ale nie wgłębiajmy się w to teraz; dzisiaj jest nasz wielki

dzień. Zjedzmy coś. Dania wyglądają bardzo zachęcająco.

Długi, ozdobiony kwiatami stół uginał się od zimnych i gorących zakąsek. Lokaje w szkarłatno-złotej królewskiej liberii czekali, żeby zaoferować gościom homara, filety z pstrąga, przepiórki, szynkę z Yorku, jaja siewki oraz niezliczone pasztety i desery. Walden dał sobie nałożyć pełen talerz i usiadł, żeby w spokoju uraczyć się jadłem. Po przeszło dwóch godzinach spędzonych na stojąco w Sali Tronowej wyraźnie nabrał apetytu.

Wcześniej czy później, myślał, Charlotte będzie musiała dowiedzieć się o sufrażystkach, o ich strajkach głodowych i odżywianiu przez tubę, ale temat był, delikatnie mówiąc, niezbyt przyjemny i im dłużej uda się ją utrzymać w błogiej nieświadomości, tym lepiej. W jej wieku życie powinno się składać wyłącznie z przyjęć i pikników, sukni i kapeluszy, plotek i flirtów.

Wszyscy mówili jednak o „tym incydencie” i „tej dziewczynie”. Brat Waldena, George, usiadł obok niego na krześle.

— To panna Mary Blomfield — zaczął bez żadnych wstępów — córka świętej pamięci sir

Arthura Blomfielda. Jej matka była w tym czasie w bawialni. Kiedy dowiedziała się o wyczynie swojej córki, po prostu zemdląła. — Skandal wyraźnie poprawił George'owi humor.

— Podejrzewam, że była to jedyna rzecz, jaką mogła w tej sytuacji zrobić — odparł Walden.

— Straszny wstyd dla całej rodziny — stwierdził George. — Nie zobaczymy chyba Blomfieldów na dworze przez następne dwa pokolenia.

— Nie będzie nam ich brakować.

— Z pewnością.

67

Walden zobaczył, jak w jego kierunku przepycha się przez tłum Churchill. Napisał do niego o przebiegu rozmowy z Aleksem i chciał z nim przedyskutować następny krok — ale nie tutaj. Odwrócił się w drugą stronę w nadziei, że Churchill zrozumie, o co chodzi i odejdzie. Powinien jednak domyślić się, że tak subtelna aluzja na nic się nie zda w przypadku tego człowieka.

Churchill pochylił się nad jego krzesłem.

— Czy moglibyśmy zamienić kilka słów na

osobności?

Walden spojrział na brata. Na jego twarzy malowało się przerażenie. Walden rzucił mu zrezygnowane spojrzenie i wstał.

— Przejdźmy do galerii — zaproponował Churchill. Walden ruszył w ślad za nim.

— Przypuszczam, że pan również — odezwał się Churchill — oznajmi mi, że winę za protest tej sufrażystki ponosi partia liberalna.

— Tak sędzę — odparł Walden. — Ale sędzę również, że nie o tym chciał pan ze mną mówić.

— Rzeczywiście nie o tym.

Dwaj mężczyźni przechadzali się po długiej galerii.

— Nie możemy uznać Bałkanów za rosyjską strefę wpływów — stwierdził Churchill.

— Obawiałem się, że pan to powie.

— Do czego są im potrzebne te Bałkany? Pomijając oczywiście te bzdury o sympatii, jaką darzą tamtejszych Słowian.

— Potrzebują dostępu do Morza Śródziemnego.

— To wyszłoby nam tylko na dobre, oczywiście pod warunkiem, że będą naszymi

sojusznikami.

— Właśnie.

Doszli do końca galerii i zatrzymali się.

— Czy jest jakiś sposób, żeby dać im dostęp do Morza Śródziemnego bez dokonywania zasadniczych zmian granicznych na Półwyspie Bałkańskim? — zapytał Churchill.

— Zastanawiałem się nad tym. Churchill uśmiechnął się.

— I ma pan kontrpropozycję — stwierdził.

— Tak.

— Zatem słucham.

— Mówimy o trzech odcinkach drogi wodnej — zaczął Walden — mianowicie o Bosforze, morzu Marmara i Dardanelach. Jeżeli im je udostępnimy, nie będą już potrzebować Bałkanów. Przypuśćmy, że uzna się całe przejście między Morzem Czarnym a Śródziemnym za międzynarodową drogę wodną, a prawo przepływu dla statków wszystkich bander gwarantowane będzie wspólnie przez Rosję i Anglię.

68

Churchill powoli ruszył z powrotem.

Pogrążony był w myślach. Walden szedł obok niego czekając na odpowiedź.

— To przejście powinno być międzynarodową drogą wodną, tak czy owak. Pański pomysł polega na tym, żeby zaproponować im jako koncesję coś, co i tak jest przez nas rzeczą pożądaną.

— Właśnie.

Churchill podniósł wzrok i nagle się uśmiechnął.

— Jeśli idzie o makiaweliczne fortele, nikt nie może się równać z angielską arystokracją. W porządku. Niech pan zaproponuje to Orłowski.

— Nie chce pan przedstawić tej sprawy na posiedzeniu gabinetu?

— Nie.

— Nawet ministrowi spraw zagranicznych?

— Nie na tym etapie. Rosjanie z pewnością będą chcieli zmodyfikować naszą propozycję — chociażby w szczegółach dotyczących sposobu egzekwowania wspólnych gwarancji. Przedstawię wszystko na posiedzeniu rządu, kiedy umowa będzie zapięta na ostatni guzik.

— Bardzo dobrze. — Walden zastanawiał się, do jakiego stopnia gabinet zorientowany jest w

tym, co szykuje z nim do spółki Churchill. Pierwszy Lord Admiralicji również pobierał nauki u Machiavellego. Czy mieli postawić rząd przed faktami dokonanymi?

— Gdzie jest teraz Orłów? — zapytał Churchill.

— W jadalni dla korpusu dyplomatycznego.

— Chodźmy zatem powiedzieć mu, jak wygląda sprawa.

Walden potrząsnął głową. Sporo racji mają ci, co oskarżają Churchilla o impulsywność, pomyślał.

— To nie jest dobry moment.

— Nie możemy czekać na dobry moment, Walden. Liczy się każdy dzień.

Nie tacy jak ty próbowali mnie popędzać, przeszło przez myśl Waldenowi.

— Będzie pan musiał niestety pozostawić to do mojego uznania, Churchill — powiedział. — Przedstawię propozycję Orłowowi jutro rano.

Churchill usposobiony był wojowniczo, ale z widocznym wysiłkiem powstrzymał się od kłótni.

— Nie sądzę, żeby Niemcy wypowiedziały wojnę już dziś w nocy. Dobrze. — Spojrzał na

zegarek. — Muszę już iść. Proszę mnie o wszystkim informować.

— Oczywiście. Do widzenia.

Churchill zszedł na dół po schodach, a Walden wrócił do jadalni. Przyjęcie kończyło się. Teraz, kiedy zabrakło króla i królowej, i wszyscy napełnili już brzuchy, nie było po co dłużej siedzieć w pałacu. Walden zebrał rodzinę i sprowadził ją na dół. W hallu spotkali Aleksa.

69

Kiedy panie skrzyły do szatni, Walden poprosił jednego z dworaków o sprowadzenie powozu.

Ogólnie rzecz biorąc, stwierdził czekając, było to całkiem udane przyjęcie.

The Mail przypominała Feliksowi ulicę Starą Koniuszenną w Moskwie. Szeroka aleja biegła od Trafalgar Square aż do Pałacu Buckingham. Po jednej stronie stały okazałe budynki, wśród nich Pałac św. Jakuba. Po drugiej rozciągał się park tego samego imienia. Połowę długości alei zajmowały teraz ustawione po obu stronach powozy i automobile możnych. Szoferzy i stangreci opierali się o swoje wehikuły,

pozewując i czekając w zdenerwowaniu na chwilę, kiedy nadejdzie wezwanie z pałacu i będą mogli podjechać tam po swoich państwa.

Powóz Waldenów czekał na The Mail od strony parku. Stangret w błękitno-różowej liberii Waldenów stał przy koniach czytając gazetę przy lampie powozu. Parę metrów dalej, ukryty w spowijających park ciemnościach, stał nie odrywając od niego oczu Feliks.

Był zrozpaczony. Cały jego plan legł w gruzach.

Nie uchwycił różnicy między słowami „stangret” i „foryś”, i w konsekwencji błędnie odczytał notatkę w Timesie dotyczącą wzywania powozów. Sądził, że woźnica będzie oczekiwał przy bramie pałacu, aż pojawi się jego pan, i dopiero wtedy puści się biegiem do powozu, żeby go sprowadzić. W tym momencie Feliks zamierzał go obezwładnić, zabrać jego liberię i samemu podjechać powozem pod główne wejście.

Tymczasem okazało się, że stangret pilnował karocy, a drugi lokaj czekał przy bramie pałacu. Kiedy trzeba było sprowadzić pojazd, przybiegał

po niego lokaj, a potem razem ze stangretem podjeżdżali po pasażerów. Oznaczało to, że Feliks musiał obezwładnić nie jednego, lecz dwóch ludzi; trudność polegała na tym, że powinien to zrobić w miarę dyskretnie, tak żeby żaden z setek oczekujących przy The Mail lokajów nie zorientował się, że coś jest nie w porządku.

Odkąd parę godzin temu zdał sobie sprawę ze swej pomyłki, gorączkowo zastanawiał się nad rozwiązaniem problemu. Obserwowany przez niego stangret gawędził ze swymi kolegami, potem przyglądał się stojącemu nie opodal rolls-royce'owi, pograł w jakąś grę w półpensówki, na koniec zaczął glansować okna powozu. Być może sensowniej byłoby dać sobie dzisiaj spokój i zabić Orłowa kiedy indziej.

Ale Feliks nie umiał pogodzić się z tą myślą. Przede wszystkim nie było pewności, czy trafi się następna tak dobra okazja. Poza tym, Feliks chciał zabić Orłowa już teraz. Słyszał już wystrzał pistoletu, widział

70

padającego księcia, ułożył sobie w myśli treść depeszy, która dotrze do Ulricha w Genewie.

Wyobrażał sobie podniecenie, jakie zapanuje w małej drukarni, widział tytuły na pierwszych stronach światowych gazet, a potem falę rewolucji, która przetoczy się przez Rosję. Nie mogę tego odkładać na później, pomyślał; chcę, żeby to się stało już dzisiaj.

Do stangreta Waldenów zbliżył się młody człowiek w zielonej liberii.

— Jak leci, William? — zapytał.

A zatem stangret ma na imię William, zanotował sobie w pamięci Feliks.

— Pomalutku, John.

Feliks nie bardzo zrozumiał odpowiedź.

— Wyczytałeś tam coś ciekawego? — zapytał John.

— Żebyś wiedział. Rewolucja. Król powiada, że w przyszłym roku zaprosi wszystkich stangretów na kolację do pałacu, a bubki będą czekać na ulicy.

— Całkiem ładna bajeczka.

— Nie gadaj. John oddalił się.

Mogę pozbyć się Williama, pomyślał Feliks, ale co pocznę z forysiem?

Rozważył w myśli wszystkie możliwe

scenariusze wydarzeń. Walden i Orłów podejda do wyjścia. Lokaj przy drzwiach da znak forysiowi Waldenów, który pobiegnie w stronę powozu — miał do pokonania mniej więcej ćwierć mili. Kiedy zobaczy Feliksa przebranego w strój stangreta, podniesie alarm.

Przypuśćmy, że foryś przybiegnie na miejsce, w którym stał powóz i stwierdzi, że go tam nie ma.

To była myśl!

Foryś będzie się zastanawiał, czy przypadkiem nie pomylił miejsca. Będzie się rozglądał na wszystkie strony, szukając w panice powozu. W końcu przyzna się do klęski i wróci do pałacu, z zamiarem zawiadomienia swego pana, że jego środek lokomocji gdzieś się zawieruszył. W tym czasie Feliks będzie już wiózł Waldenów przez park.

To da się zrobić!

Plan wydawał się bardziej ryzykowny od poprzedniego, ale wciąż możliwy do przeprowadzenia.

Nie było czasu na rozmyślenia. Pierwszych dwóch albo trzech forysiów biegnęło już wzdłuż The

Mail. Wezwany został stojący przed powozem Waldenów rolls-royce. William włożył na głowę cylinder i czekał w pełnej gotowości.

Feliks wynurzył się z krzaków i zbliżył do niego.

— Hej! Hej, William!

71

Stangret spojrział w jego stronę i zastygł w bezruchu. Feliks machnął energicznie ręką.

— Chodź no tutaj, szybko! William złożył gazetę, zawahał się i powoli podszedł do Feliksa. Feliks pozwolił, żeby ogarniające go napięcie nadało jego głosowi

odcień paniki.

— Spójrz no tutaj — powiedział wskazując krzaki. — Widziałeś kiedy coś takiego?

— Co takiego? — zaciekawiał się William. Pochylił się i wlepił oczy tam, gdzie pokazywał Feliks.

— To. — Feliks pokazał mu pistolet. — Jeśli narobisz wrzasku, zastrzelę cię.

Stangret przeraził się. Feliks widział w półmroku białka jego oczu. Był silnie zbudowany, ale starszy od Feliksa. Jeśli zrobi coś głupiego i

wszystko popsuje, zabiję go, pomyślał z wściekłością.

— Ruszaj — powiedział. Stangret zawahał się. Muszę zabrać go dalej od światła.

— Ruszaj, ty sukinsynu! William wszedł między krzaki.

Feliks ruszył za nim. Kiedy oddalili się pięćdziesiąt metrów od The Mail, Feliks kazał mu się zatrzymać.

William stanął i obrócił się w jego stronę.

Jeśli ma zamiar walczyć, uczyni to właśnie teraz, pomyślał Feliks.

— Zdejmuj ubranie — powiedział.

— Co?

— Rozbieraj się.

— Jesteś szalony — wyszeptał William.

— Masz rację, jestem szalony! Zdejmuj ubranie! Stangret zawahał się.

Czy jeśli go zastrzelę, zbiegną się tu ludzie? Czy krzaki stłumią odgłos strzału? Czy zdołam go zabić nie robiąc dziury w liberii? Czy uda mi się zabrać jego kurtkę i uciec, zanim ktoś nadejdzie?

Feliks odbezpieczył rewolwer.

William zaczął ściągać kurtkę.

Feliks słyszał, jak The Mail zaczyna tętnić życiem: ruszały automobile, dzwoniła uprząż, szczękały podkowy. Woźnice wołali jeden na drugiego i pokrzykiwali na swoje konie. W każdej chwili mógł się zjawić foryś Waldenów.

— Szybciej! — krzyknął. Stangret rozebrał się do bielizny.

— Zdejmuj wszystko — rozkazał Feliks.

72

William ociągał się. Feliks podniósł pistolet.

William ściągnął podkoszulek i kalesony i stał nagi jak go Pan Bóg stworzył, trzęsąc się z zimna i osłaniając genitalia rękoma.

— Obróć się — powiedział Feliks. Tamten obrócił się do niego plecami.

— Połóż się, twarzą do ziemi. William wykonał polecenie.

Feliks położył pistolet na ziemi. Zdjął w pośpiechu płaszcz i kapelusz, po czym włożył na siebie liberię i cylinder, które William rzucił na ziemię. Przyglądał się przez chwilę krótkim spodniom i jedwabnym pończochom, ale ostatecznie zdecydował, że ich nie włoży. Kiedy będzie siedział na koźle, nikt nie zauważy, jakie

ma spodnie i buty, zwłaszcza w słabym świetle ulicznych latarni.

Włożył pistolet do kieszeni własnego płaszcza, który przewiesił sobie przez ramię. Podniósł z ziemi ubranie Williama.

Tamten próbował się obejrzeć.

— Nie ruszaj się! — krzyknął na niego Feliks. Cicho oddalił się.

William zostanie tutaj przez jakiś czas, rozebrany do rosołu, a potem spróbuje się niepostrzeżenie przedostać do domu Waldenów. Było bardzo mało prawdopodobne, by próbował zawiadomić kogoś o napadzie i kradzieży ubrania, zanim się trochę nie przyodzieje. Był wyjątkowo wstydlivy. Oczywiście gdyby wiedział, że Feliks ma zamiar zabić księcia Orłowa, być może przewyciężyłby swoją wstydlivość; ale jakim cudem mógłby się tego domyślić?

Feliks wetknął ubranie Williama pod krzaki i wyszedł na oświetloną The Mail.

Dopiero tutaj groziło mu prawdziwe niebezpieczeństwo. Aż do tej chwili był po prostu kryjącym się w krzakach podejrzanym osobnikiem. Teraz podszył się pod kogoś innego.

Jeśli któryś z przyjaciół Williama — na przykład John — spojrzy mu prosto w twarz, gra będzie skończona.

Wdrapał się szybko na kozioł, położył swój płaszcz na siedzeniu obok, poprawił cylinder, zwolnił hamulec i pociągnął za lejce. Powóz wyjechał na jezdnię.

Odetchnął z ulgą. Jak dotąd wszystko idzie po mojej myśli, stwierdził. Orłów jest mój!

Jadąc obserwował chodnik. Patrzył, czy nie biegnie tamtędy ktoś w błękitno-różowej liberii. Najgorsze byłoby, gdyby foryś zobaczył go teraz, poznał herb i wskoczył na tył powozu.

Drogę zajechał mu nagle automobil i Feliks musiał zatrzymać konie. Zaklął i rozejrzał się niespokojnie. Nie zauważył nigdzie forysia. Po chwili droga była znów wolna i Feliks mógł ruszyć dalej.

73

Przy końcu alei, nie opodal pałacu, zobaczył wolne miejsce po prawej stronie, na wprost parku. Foryś powinien pojawić się na przeciwnym chodniku i pobiec dalej nie widząc powozu. Feliks wjechał powozem na wolne

miejsce i zaciągnął hamulec.

Zeskoczył z kozła i stanął obok koni obserwując chodnik po drugiej stronie jezdni. Zastanawiał się, czy wyjdzie żywy z tego zamachu.

Gdyby wszystko potoczyło się według pierwotnego planu, Walden wsiadłby do powozu nie rzucając nawet okiem na stangreta. Teraz jednak z pewnością dostrzeże brak forysia. Odźwierny pałacowy będzie musiał otworzyć drzwiczki powozu i rozłożyć schodki. Czy Walden zatrzyma się i odezwie do stangreta, czy też przełoży wyjaśnienie sprawy do czasu, kiedy wrócą do domu? Jeśli zapyta o coś Feliksa, ten będzie musiał odpowiedzieć i cały podstęp się wyda. Co mam wtedy zrobić? — zastanawiał się Feliks.

Zastrzełę Orłowa przy drzwiach pałacu i poniosę wszystkie tego konsekwencje.

Zobaczył biegnącego chodnikiem po drugiej stronie The Mail forysia w błękitno-różowej liberii.

Wskoczył na kozioł, zwolnił hamulec i wjechał na dziedziniec Pałacu Buckingham.

Pojazdy stały tam w kolejce. Przed sobą widział piękne kobiety i dobrze odżywionych mężczyzn wsiadających do swoich karocy i automobili. Gdzieś za nim, na The Mail, foryś Waldenów biegał tam i z powrotem szukając powozu swego pana. Ile czasu upłynie, zanim tu wróci?

Służba pałacowa miała szybki i sprawny system załadowywania gości do ich wehikułów. Kiedy pasażerowie wsiadali do powozu, lokaj wzywał już właścicieli następnego, stojącego za nim w kolejce. W tym samym czasie inny służący pytał stangreta trzeciego powozu o nazwisko jego pana.

Kolejka przesuwała się. Odźwierny zbliżył się do Feliksa.

— Earl Walden — powiedział Feliks. Służący wycofał się do pałacu.

Lepiej niech nie wychodzą tak szybko, pomyślał Feliks.

Kolejka znowu się przesunęła i teraz stał przed nim już tylko jeden automobil. Boże, żeby tylko nie zgasł mu silnik, modlił się w duchu Feliks. Szofer otworzył drzwi przed małżeństwem w

starszym wieku. Automobil odjechał.

Feliks podjechał powozem pod portyk i zatrzymał się nieco dalej, żeby nie padało na niego światło ze środka. Był odwrócony plecami do drzwi pałacu.

Czekał, nie mając odwagi odwrócić głowy.

Usłyszał głos młodej dziewczyny mówiącej po rosyjsku:

74

— Ile pań oświadczyło ci się dziś wieczór, kuzynie Aleksie? Kropla potu spłynęła Feliksowi do oka. Otarł ją wierzchem dłoni.

— Gdzie się, u licha, podział mój foryś? — usłyszał głos mężczyzny. Feliks sięgnął do kieszeni leżącego obok płaszcza i zacisnął dłoń na kolbie rewolweru. Zostało sześć nabojów, pomyślał.

Kątem oka zobaczył, jak pałacowy odźwierny skacze do przodu. W chwilę potem usłyszał trzask otwieranych drzwiczek. Powóz przechylił się lekko pod ciężarem wchodzącego.

— Gdzie się podział Charles? William, mówię do ciebie.

Feliks zamarł. Czuł, jak oczy Waldena

przewiercają mu głowę na wylot.

— Chodź, papo — odezwał się dziewczęcy głos ze środka powozu.

— William zrobił się przygłuchy na stare lata... — Głos ścichł, kiedy Walden wsiadł do powozu. Drzwiczki zatrzasnęły się.

— Można jechać! — krzyknął odźwierny. Feliks odetchnął głęboko i ruszył spod pałacu.

Kiedy ustąpiło napięcie, poczuł się przez chwilę bardzo słaby. Potem, kiedy wyprowadził powóz z dziedzińca, znów ogarnęło go podniecenie. Orłów był teraz w jego mocy, zamknięty z tyłu w pudle karocy, schwytyany w sidła, jak zwierzę. Nic nie jest w stanie mnie powstrzymać, pomyślał Feliks.

Wjechał do parku.

Trzymając lejce w prawej dłoni, wsadził lewą w rękaw płaszcza. Potem przełożył lejce do lewej ręki i wciągnął drugi rękaw. Uniósł się na koźle i poprawił płaszcz na ramionach. Włożył rękę do kieszeni i wymacał pistolet.

*

Usiadł z powrotem i zawiązał chustkę wokół szyi.

Był gotów.

Teraz musiał wybrać odpowiedni moment.

Miał na to tylko kilka minut. Dom Waldenów oddalony był od pałacu o niecałą milę. Poprzedniego wieczoru odbył na tej trasie rekonesans na rowerze. Upatrzył sobie dwa odpowiednie miejsca obok ulicznych latarni. W ich świetle mógł lepiej rozpoznać swą ofiarę. Po dokonaniu zamachu zniknie w rosnących nieopodal gęstych krzakach.

Od pierwszego miejsca dzieliło go pięćdziesiąt metrów. Kiedy podjechał bliżej, zobaczył ubranego w wieczorowy garnitur mężczyznę, który przystanął pod latarnią, żeby zapalić cygaro. Feliks pojechał dalej.

Drugie miejsce było przy zakręcie. Jeśli i tam ktoś się pojawi, pomyślał, będę musiał po prostu zaryzykować. Jeśli okaże się to konieczne, zastrzelę go.

Sześć nabojów.

75

Dostrzegł zakręt. Zmusił konie do szybszego biegu. Usłyszał dobiegający ze środka powozu śmiech młodej dziewczyny.

Dojechał do zakrętu. Nerwy miał napięte jak

struny fortepianu.

Teraz.

Rzucił lejce i zaciągnął hamulec. Konie zgubiły krok, powóz zadygotał i stanął.

Ze środka dobiegł go krzyk kobiety i gniewny głos mężczyzny. Coś w głosie kobiety uderzyło go, ale nie miał czasu się nad tym zastanawiać. Zeskoczył na ziemię i nasunął chustkę na usta i nos. Wyjął z kieszeni pistolet i odbezpieczył go.

Dając upust przepelniającej go sile i wściekłości, otworzył na oścież drzwi powozu.

4.

obieta w powozie krzyknęła i czas zatrzymał się.

Feliks znał ten głos. Jego dźwięk podziałał na niego jak potężne uderzenie. Sparaliżował go szok.

Miał rozpoznać Orłowa, wziąć go na muszkę, pociągnąć za spust, dobić następnym strzałem, a potem odwrócić się i zniknąć w zaroślach.

Zamiast tego spojrział tam, skąd dochodził krzyk i zobaczył jej twarz. Była uderzająco

znajoma, jakby oglądał ją zaledwie wczoraj, a nie przed dziewiętnastu laty. Miała rozszerzone ze strachu oczy i rozchylone małe czerwone usta.

Lidia.

Stał w drzwiach powozu, z rozdziawionymi pod chustką ustami, z pistoletem, który nie celował w nikogo. Moja Lidia, myślał, tutaj, w tym powozie...

Wpatrując się w nią, zdał sobie mgliście sprawę, że z lewej strony porusza się Walden; czynił to dziwnie powoli, ale Feliks mógł teraz myśleć tylko o niej. Tak właśnie wyglądała — miała rozszerzone oczy, otwarte usta i leżała pod nim naga, oplatając go nogami; wpatrywała się w niego i zaczynała krzyczeć z rozkoszy...

Potem zobaczył, że Walden wyciąga szpadę...

O Boże, spada?

... klinga śmignęła w dół i błysnęła w świetle latarni. Feliks odsunął się zbyt wolno i zbyt późno. Szpada drasnęła go w prawą rękę. Upuścił pistolet, który uderzył o ziemię i wypalił.

Dopiero ten odgłos złamał czar.

Walden cofnął szpadę i pchnął ją prosto w serce Feliksa. Ten uskoczył w bok. Czubek szpady

przeciął płaszcz i liberię, i wbił mu się w ramię. Odskoczył instynktownie do tyłu i szpada wyszła z rany. Poczuł falę ciepłej krwi pod koszulą.

Rzucił okiem na jezdnię szukając pistoletu, ale nie mógł go dojrzeć.

K

77

Podniósł wzrok i zobaczył, że Walden i Orłów zderzyli się ze sobą próbując jednocześnie wysiąść przez wąskie drzwi powozu. Prawa ręka Feliksa zwisała bezwładnie. Zdał sobie sprawę, że jest nie uzbrojony i bezradny. Nie mógł nawet zadusić Orłowa gołymi rękoma; jego prawe ramię było bezużyteczne. Nie udało mu się, poniósł klęskę, a wszystko z powodu krzyku kobiety, która wyłoniła się nagle z odległej przeszłości.

I to po tym wszystkim, co zdarzyło się później, pomyślał z goryczą.

Zdesperowany, odwrócił się i zaczął uciekać.

— Przeklęty łajdak! — ryknął Walden.

Rana rwała Feliksa przy każdym kroku. Usłyszał, że ktoś go goni. Kroki były zbyt ciche jak na Waldena: ścigał go Orłów. Zachwiał się bliski hysterii. Orłów ściga mnie, pomyślał, a ja przed

nim uciekam!

Skręcił z drogi w zarośla. Usłyszał krzyk Waldena:

— Wracaj, Aleks, on ma pistolet!

Nie wiedząc, że go upuściłem, pomyślał Feliks. Gdybym go miał, mógłbym teraz zastrzelić Orłowa.

Pobiegł trochę dalej, a potem zatrzymał się nasłuchując. Nie słyszał nic. Orłów dał za wygraną.

Oparł się o drzewo. Krótki bieg wyczerpał go. Kiedy złapał oddech, ściągnął płaszcz i kradzioną kurtkę od liberii, i ostrożnie dotknął swoich ran. Bolały go piekielnie, co uznał za dobry znak, ponieważ gdyby były głębokie, odczuwałby tępy ból. Ramię krwawiło niezbyt silnie, lecz rwało. Dłoń przecięta była w umięśnionym miejscu między kciukiem a palcem wskazującym i krwawiła mocniej.

Musiał wydostać się z parku, zanim Walden podniesie alarm.

Z trudnością włożył z powrotem płaszcz. Zostawił kurtkę od liberii na ziemi, tam gdzie leżała. Wcisnął prawą dłoń pod lewą pachę, żeby

złagodzić ból i powstrzymać krwawienie. Noga za nogą powlókł się w stronę The Mail.

Lidia.

Po raz drugi spowodowała w jego życiu katastrofę. Za pierwszym razem było to w Petersburgu, w roku 1895...

Nie. Nie może teraz o niej myśleć, nie, jeszcze nie teraz. Cały umysł musi skoncentrować na tym, jak się ratować.

Dostrzegł z ulgą, że jego rower stoi tam, gdzie go zostawił, pod wiszącymi nisko gałęziami wielkiego drzewa. Wyprowadził go po trawie na skraj parku. Czy Walden zaalarmował już policję? Feliks obserwował, co dzieje się na The Mail. Aleją nadal biegali lokaje, warczały automobile, manewrowały powozy. Ile czasu minęło, odkąd Feliks wdrapał się na powóz Waldenów — dwadzieścia minut? W tym czasie cały świat wyrócił się do góry nogami.

78

Wziął głęboki oddech i wyprowadził rower na drogę. Wszyscy byli zaaferowani swoimi sprawami, nikt nie zwracał na niego uwagi. Trzymając prawą rękę w kieszeni płaszcza wsiadł

na rower. Odepchnął się i kierując lewą ręką zaczął pedałowac.

Wokół pałacu kręcili się policjanci. Jeśli Waldenowi udało się szybko ich zmobilizować, mogli już otoczyć park i zablokować drogi. Feliks spojrzal przed siebie, w stronę Łuku Admiralicji. Nie było śladu blokady.

Kiedy minie Łuk, znajdzie się na West Endzie i zgubi pogoń.

Stopniowo przyzwyczajal się do kierowania jedną ręką. Mocniej nacisnal pedały.

Kiedy zbliżal się do Łuku, minal go automobil i w tym samym momencie na jezdnię przed nim wyszedł policjant. Feliks zatrzymal rower i szykował się do ucieczki, ale policjant wstrzymal po prostu ruch, żeby inny automobil, należący prawdopodobnie do jakiegoś dygnitarza, mógł wyjechać z bramy. Kiedy automobil wytoczył się na jezdnię, policjant zasalutowal i machnal na innych, żeby jechali dalej.

Feliks minal Łuk i wjechał na Trafalgar Square.

No i co, Walden, okazał się zbyt powolny, pomyslal z satysfakcją.

Była północ, ale na West Endzie paliły się latarnie i kłębił tłum, w którym roilo się od policjantów. Nikt poza Feliksem nie jechał na rowerze i rzucał się przez to w oczy. Zastanawiał się, czy nie porzucić roweru i nie wracać do Camden Town na piechotę, ale nie był pewien, czy zdoła tam dojść: ogarniało go coraz większe odrętwienie.

Z Trafalgar Square skręcił w St. Martin's Lane, potem zjechał z głównej ulicy i pedałowal bocznymi uliczkami dzielnicy teatralnej. Na ciemną alejkę padła nagle smuga światła. Z otwartych tylnych drzwi teatru wytoczyła się na zewnątrz gromada aktorów, śmiejąc się i głośno rozmawiając. Dalej usłyszał jęki i sapanie. Minął kochającą się w progu na stojąco parę.

Skręcił w Bloomsbury. Było tu spokojniej i ciemniej. Popedałowal na północ Gower Street, wzdłuż klasycznej fasady opustoszałego uniwersytetu. Naciskanie pedałów kosztowało go coraz więcej wysiłku, bolało go całe ciało. Jeszcze tylko milę albo dwie, mówił sobie.

Zsiadł z roweru, żeby przedostać się przez zatłoczoną Euston Road. Oślepiały go uliczne

światła. Chwilami widział wszystko jak przez mgłę.

Za dworcem kolejowym Euston ponownie wsiadł na rower i popedałował dalej. Nagle zrobiło mu się słabo. Oślepiło go jakieś światło. Stracił panowanie nad kierownicą, uderzył przednim kołem w krawężnik i zwałił się na ziemię.

Leżał półprzytomny i bez sił. Otworzył oczy i zobaczył zbliżającego się policjanta. Z trudem podniósł się na kolana.

— Za dużo wypiełeś, kolego? — zapytał tamten.

79

— Źle się czuję — wymamrotał Feliks.

Policjant złapał go za prawe ramię i podniósł na nogi. Ból w zranionej ręce przywrócił Feliksowi przytomność. Udało mu się utrzymać krwawiącą rękę w kieszeni.

Policjant pociągnął głośno nosem.

— Hmm — mruknął.

Kiedy stwierdził, że od Feliksa nie czuć alkoholu, zaczął odnosić się do niego z większym szacunkiem.

— Da pan sobie radę? — zapytał.

— Za chwilę.

— Cudzoziemiec? — Policjant poznał, że mówi z obcym akcentem.

— Francuz — odparł Feliks. — Pracuję w ambasadzie. Policjant zrobił się jeszcze grzeczniejszy.

— Sprowadzić panu dorożkę?

— Nie, dziękuję. Mam już blisko do domu. Policjant podniósł rower.

— Na pana miejscu już bym na niego nie wsiadał.

— Wcale nie zamierzam. — Feliks wziął od niego rower.

— Świetnie, sir. Bon nui.

— Bonne nuit, panie posterunkowy. — Feliksowi udało się z trudem uśmiechnąć. Popychając rower lewą ręką ruszył w dalszą drogę. Skręć w następną alejkę i usiądę, żeby odpocząć, postanowił. Obejrzał się przez ramię: policjant wciąż go obserwował. Zmobilizował całą siłę woli, żeby iść dalej, chociaż potwornie chciało mu się położyć. Następną alejkę, pomyślał. Ale kiedy do niej dotarł, poszedł dalej. Jeszcze nie ta, następną, powiedział sobie.

W ten sposób dotarł do domu.

Kiedy stanął w końcu przed wysokim domem z tarasem w Camden Town, wydawało mu się, że minęły godziny. Wpatrywał się przez mgłę w numer na drzwiach, aby się upewnić, że dobrze trafił.

Żeby dostać się do swego pokoju, musiał zejść po kilku kamiennych schodkach do sutereny. Oparł rower o balustradę z kutego żelaza i otworzył małą furtkę. Popęłnił błąd starając się sprowadzić rower po schodach. Wehikuł wyslizgnął mu się z ręki i spadł w dół z głośnym brzękiem. W chwilę potem w drzwiach od ulicy pojawiła się jego gospodyni, Bridget, owinięta w szal.

— Co się tutaj, do diabła, dzieje? — zawołała.

Feliks usiadł na stopniach i nic nie odpowiadał. Postanowił, że przez chwilę, zanim nie poczuje się lepiej, nie będzie się w ogóle ruszał. Bridget zeszła na dół i pomogła mu wstać.

— Lokator wypił za dużo kolejek? — zapytała. Sprowadziła go na dół do sutereny.

80

— Niech no mi da swój klucz — powiedziała.

Feliks musiał użyć lewej ręki, żeby wydostać klucz z prawej kieszeni spodni. Podał go gospodyni, która przekręciła go w zamku. Weszli do środka. Zapaliła lampę. Feliks stanął na środku małej izby.

— Zdejmujemy z niego płaszcz — powiedziała.

Pozwolił, by ściągnęła z niego okrycie. Zobaczyła plamy krwi.

— Walczyłeś z kimś? — zapytała. Feliks rzucił się na materac.

— Wygląda na to, że przegrałeś — powiedziała Bridget.

— Przegrałem — odparł i stracił przytomność.

Obudził go potworny ból. Otworzył oczy i zobaczył, że Bridget przemywa jego rany czymś, co paliło jak ogień.

— Rękę trzeba będzie zeszyć — powiedziała.

— Jutro — szepnął Feliks.

Dała mu się napić z filizanki. Była w niej ciepła woda z dżinem.

— Nie mam w domu brandy — powiedziała. Położył się na plecach i pozwolił jej się zabandażować.

— Mogę wezwać lekarza, ale nie mam

pieniędzy, żeby mu zapłacić — powiedziała.

— Jutro. Wstała.

— Zajrzę tutaj rano, jak tylko wstanę.

— Dziękuję.

Wyszła z izby i dopiero wtedy Feliks pogрузił się we wspomnieniach.

Długi proces dziejowy doprowadził do sytuacji, w której wszystkie środki służące do wytwarzania i pomnażania dóbr materialnych znalazły się w rękach nielicznych. Ziemia należy do nielicznych i w każdej chwili mogą oni zabronić gminie jej uprawiania. Nieliczni zawładnęli także powstałymi dzięki pracy całych pokoleń kopalniami. Maszyna tkacka, która, po licznych udoskonaleniach, jest owocem pracy trzech pokoleń tkaczy z Lancashire, stanowi również własność nielicznych i jeśli wnukowie tego samego tkacza, który wynalazł pierwszą maszyną, zechcą dochodzić swych praw, wówczas usłyszą: „Wara! Ta maszyna nie należy do was!” Kolej należy do kilku akcjonariuszy, którzy nie mają zapewne najmniejszego pojęcia, którądy biegnie droga żelazna przynosząca im roczny dochód większy od zasobów średniowiecznego

monarchy. I jeśli potomkowie ludzi, którzy ginęli tysiącami ryjąc w ziemi tunele, zgromadzą się w jednym miejscu i cały ten głodny, okryty łachmanami tłum ruszy, by zażądać od akcjonariuszy chleba albo pracy, powitają ich oni kulami i bagnetami.

6 — Człowiek.

81

Feliks uniósł wzrok znad broszury Kropotkina. Księgarnia była pusta. Właściciel, stary rewolucjonista, zarabiał na życie sprzedając romanse bogatym damom. Na tyłach księgarni trzymał mnóstwo wywrotowej literatury. Feliks spędzał tutaj wiele czasu.

Miał dziewiętnaście lat. Groziło mu usunięcie z prestiżowej Akademii Duchownej za opuszczanie zajęć, brak dyscypliny, długie włosy i wałęsanie się z nihilistami. Był głodny, bez grosza i prawdopodobnie wkrótce także bezdomny, uważał jednak, że życie jest piękne. Istniał dla niego tylko świat idei: każdego dnia dowiadywał się nowych rzeczy o poezji, historii, psychologii, a przede wszystkim o polityce.

Praw własności nie stworzono po to, by

jednostce czy społeczeństwu pozwolono cieszyć się owocami własnej pracy. Wprost przeciwnie, ich celem jest pozbawienie wytwórcy tego, co udało mu się wyprodukować. Kiedy, na przykład, prawo powiada, że pan taki to a taki posiada na własność jakiś dom, nie chodzi bynajmniej o chatę, którą dla siebie wybudował, ani o dom, który wzniósł z pomocą swoich przyjaciół. W takim wypadku nikt nie podważałby jego prawa! Przeciwnie, prawo własności odnosi się wyłącznie do domu, który nie jest owocem jego pracy.

Kiedy pierwszy raz zetknął się ze sloganami anarchistów, wydawały mu się śmieszne: własność pochodzi z kradzieży, rząd jest tyranią, anarchia sprawiedliwością. Zdumiewające, jak szybko stały się dla niego — kiedy je przemyślał — nie tylko prawdziwe, lecz także uderzająco oczywiste. Poglądy Kropotkina na temat praw były nie do obalenia. W rodzinnej wiosce Feliksa nie trzeba było żadnych praw, żeby nie dopuścić do kradzieży: gdyby jeden chłop ukradł drugiemu konia, zydel albo kaftan, który wyszyła mu żona, wtedy cała gmina zobaczyłaby, że przywłaszczył sobie te rzeczy i zmusiła go do zwrócenia ich

właścicielowi. Złodziejstwo miało miejsce tylko wówczas, kiedy dziedzic domagał się dzierżawy; policjant występował wtedy jako ten, który sankcjonuje tę kradzież. Tak samo rzecz się miała z władzą. Chłopom nie trzeba było mówić, kiedy zaprząg wołów ma zaorać czyje pole: ustalali to między sobą. Przymus potrzebny był tylko wtedy, kiedy trzeba było zaorać pole dziedzica.

Powtarza nam się stale o korzyściach, które płyną z posiadania praw i systemu kar, ale czy ci, co tak mówią, zastanowili się kiedyś nad degradacją człowieczeństwa, która jest bezpośrednim rezultatem ich stosowania? Weźmy choćby pod uwagę wszystkie złe skłonności, które budzą się w rodzaju ludzkim pod wpływem okrutnych egzekucji dokonywanych na naszych ulicach! Człowiek jest najokrutniejszym zwierzęciem na ziemi.

82

A któż, jeśli nie uzbrojeni w prawo król, sędzia i księża, podsycają owe fatalne instynkty, każąc drzeć z ludzi pasy, lać w rany gotującą się smołę, ucinąć członki i łamać kości, każąc ścinać głowy po to tylko, by podtrzymać swój autorytet?

Weźmy choćby pod uwagę deprawację zasianą w społeczeństwie przez donosicielstwo, popierane przez sędziów i opłacane twardą gotówką przez władze pod pretekstem korzyści, jakie przynosi ono przy wykrywaniu „zbrodni”. Pójdźmy do więzień i przyjrzyjmy się, kim staje się człowiek, kiedy zanurzy się go w odmętach zła i korupcji, które wypełniają ściany naszych zakładów karnych. Rozważmy na koniec rozmiary korupcji i deprawacji umysłów, które wywołuje stojąca na gruncie prawa idea posłuszeństwa, idea kary, idea władzy mającej prawo jej egzekwowania, konieczność utrzymywania instytucji kata, strażnika więziennego i donosiciela, słowem to wszystko, co stanowi atrybut prawa i autorytetu. Każdy, kto weźmie to pod uwagę, zgodzi się z pewnością, że prawo oparte na systemie kar jest złem, któremu raz na zawsze powinno położyć się kres.

Ludzie politycznie nie zorganizowani, a przez to mniej zdeprawowani niż my, doskonale rozumieją, że ten, kogo nazywają kryminalistą, jest po prostu nieszczęśliwą ofiarą stosunków społecznych i że zła nie wypleni się przez

wychłostanie go, zakucie w łańcuchy albo pozbawienie życia. Trzeba otoczyć go braterską opieką, traktować jak równego sobie, pozwolić mu żyć wśród uczciwych ludzi.

Feliks zdał sobie niejasno sprawę, że ktoś wszedł do księgarni i stanął tuż obok niego. Jego uwaga wciąż skupiona była na Kropotkinie.

Nie chcemy już więcej praw! Nie potrzebujemy sędziów! Wolność, równość i codzienna ludzka życzliwość są jedyną bronią, jaką możemy przeciwstawić antyspołecznym instynktom, którym hołdują jeszcze niektórzy spośród nas.

Stojąca koło niego osoba upuściła książkę i przerwała tok jego myśli. Uniósł wzrok znad broszury, zobaczył książkę leżącą na podłodze obok skraju spódnicy i odruchowo schylił się, by ją podnieść. Wręczając zgubę klientce, ujrzał jej twarz. Z wrażenia zaparło mu dech.

— Jesteś aniołem — wyrwało mu się z głębi serca.

Była drobną blondynką. Miała na sobie jasnoszare futro koloru własnych oczu i wszystko było w niej jasne, blade i czyste. Pomyślał, że

nigdy w życiu nie ujrzy już tak pięknej kobiety i nie mylił się.

Popatrzyła na niego i oblała się rumieńcem, ale nie odwróciła. Nie do wiary: wyglądało na to, że i on ją zafascynował.

Po chwili spojrział na jej książkę. Była to Anna Karenina.

83

— Sentymentalne bzdury — powiedział. W tej samej chwili tego pożałował. Jego słowa złamały czar. Wzięła od niego książkę i odwróciła się. Zorientował się, że towarzyszy jej pokojówka, dziewczyna podała jej bowiem książkę i wyszła z księgarni. Pokojówka zapłaciła. Feliks wyjrzał przez okno i zobaczył, jak piękna nieznajoma wsiada do powozu.

Zapytał księgarza, kim ona jest. Dowiedział się, że ma na imię Lidia i jest córką księcia Szatowa.

Odkrył, gdzie mieszka książę i następnego dnia kręcił się koło jego domu w nadziei, że ją zobaczy. Dwukrotnie wyjeżdżała i wracała do domu w swoim powozie. Potem wyszedł odźwierny i przepędził Feliksa od bramy. Wcale

się tym nie przejął, ponieważ kiedy powóz mijał go po raz ostatni, pasażerka spojrzała mu prosto w twarz.

Następnego dnia poszedł do księgarni. Długie godziny przewracał kartki Federalizmu, socjalizmu i antyteologizmu Bakunina, nie rozumiejąc ani słowa z tego, co czyta. Wyglądał przez okno za każdym razem, kiedy ulicą przejeżdżał jakiś powóz. Każdy wchodzący do księgarni klient przyprawiał go o mocniejsze bicie serca.

Zjawiała się późnym popołudniem.

Tym razem zostawiła pokojówkę na zewnątrz. Pozdrowiła zdawkowo księgarza i przeszła na tyły księgarni, tam gdzie stał Feliks. Popatrzyli na siebie. Kocha mnie, pomyślał Feliks, po cóż innego miałyby tu przychodzić?

Chciał coś powiedzieć, ale zamiast tego wziął ją w ramiona i pocałował. Oddała mu pocałunek rozchylając usta. Spragniona objęła go mocno, wbijając mu palce w plecy.

Tak właśnie zawsze to wyglądało: przy każdym spotkaniu rzucali się na siebie jak gotowe do walki zwierzęta.

Spotkali się jeszcze dwukrotnie w księgarni i raz, po zmroku, w ogrodzie rezydencji Szatowa. Tam, w ogrodzie była tylko w nocnej bieliźnie. Feliks włożył ręce pod wełnianą nocną koszulę i dotykał każdego miejsca jej ciała, tak śmiało, jakby była uliczną dziewczką. Głaskał ją, pieścił i obmacywał, a ona wydawała z siebie stłumione jęki.

Dała mu pieniądze, żeby wynajął sobie pokój i przychodziła tam prawie codziennie przez sześć cudownych, zdumiewających tygodni.

Po raz ostatni złożyła mu wizytę wczesnym wieczorem. Owinięty kocem siedział przy stole i czytał przy świetle świeczki *Co to jest własność? Proudhona*. Kiedy usłyszał jej kroki, ściągnął spodnie.

Wpadła w pośpiechu. Miała na sobie znoszony brązowy płaszcz z kapturem. Pocałowała go, wsysając się głęboko w jego usta. Zaraz potem ugryzła go w podbródek i uszczypnęła w bok.

Odwróciła się i zrzuciła z siebie płaszcz. Pod spodem miała białą, wieczorową suknię, która musiała kosztować setki rubli.

— Rozepnij mnie, szybko — powiedziała. Feliks zaczął rozpinać haftki z tyłu jej sukni.

— Jestem w drodze na przyjęcie w ambasadzie brytyjskiej, mam tylko godzinę — szepnęła bez tchu. — Pośpiesz się, proszę.

W pośpiechu wyrwał jedną haftkę z materiału.

— A niech to, podarłem ci suknię.

— Nieważne!

Suknia opadła na podłogę. Ściągnęła z siebie halkę, koszulkę i majtki, zostając w samych pończochach, gorsecie i butach. Rzuciła mu się w ramiona. Nie przestając go całować, ściągnęła mu spodenki.

— O Boże, uwielbiam zapach tej twojej rzeczy — powiedziała. Kiedy mówiła w ten sposób, zdawało mu się, że oszaleje. Wyciągnęła piersi z gorsetu.

— Gryź je. Gryź je mocno. Chcę je czuć przez cały wieczór.

Po chwili oderwała się od niego. Położyła się na wznak na łóżku. W miejscu, gdzie kończył się gorset, między udami, lśniły wilgotne, rzadkie jasne włosy.

Rozłożyła i podniosła wysoko nogi, otwierając

się dla niego. Przyglądał się przez moment, a potem opadł na nią.

Chwyciła oburącz jego członek i wcisnęła go w siebie łapczywie.

Obcasy jej butów rozrywały mu skórę na plecach, ale nie zwracał na to uwagi.

— Patrz na mnie — mówiła. — Patrz na mnie! Spoglądał na nią z zachwytem.

W jej oczach pojawiła się panika.

— Patrz na mnie! Teraz! Teraz!

A potem, wciąż wpatrując mu się w oczy, otworzyła usta do krzyku.

— Myślisz, że inni ludzie nie różnią się od nas? — zapytała.

— W jakim sensie?

— Też są tacy wyuzdani?

Uniósł głowę znad jej brzucha i uśmiechnął się.

— Tylko ci, którzy są szczęśliwi.

Popatrzyła na zwiniętego między jej nogami Feliksa.

— Jesteś taki zwarty w sobie, taki silny. Jesteś wcieloną doskonałością — powiedziała. — Spójrz, jaki masz płaski brzuch, jakie przyjemne

pośladki, jakie szczupłe i twarde uda. — Wodziła palcem wzdłuż linii jego nosa. — Masz twarz prawdziwego księcia.

— Jestem wieśniakiem.

— Nie kiedy jesteś nagi. — Była w filozoficznym nastroju. — Zanim cię spotkałam, interesowało mnie męskie ciało i wszystkie te rzeczy;

85

udawałam jednak, że tak nie jest, nawet przed samą sobą. Potem pojawiłeś się ty i po prostu nie mogłam dłużej udawać.

Polizał wewnętrzną stronę jej uda.

Wstrząsnął nią dreszcz.

— Czy robiłeś to kiedyś z inną dziewczyną?

— Nie.

— Czy ty także udawałeś?

— Nie.

— Wiedziałam to od samego początku. Coś jest w samym twoim wyglądzie, jesteś dziki i swobodny, nigdy nikogo nie słuchasz, robisz po prostu to, na co masz ochotę.

— Nigdy przedtem nie spotkałem dziewczyny, która by mi na to pozwoliła.

— Wszystkie tego chciały, naprawdę. Każda dziewczyna.

— Dlaczego? — spytał. Był ciekaw, co o nim myśli.

— Bo masz taką okrutną twarz i takie łagodne oczy.

— Czy to dlatego pozwoliłaś mi się pocałować w księgarni?

— Nie pozwoliłam ci. Nie miałam żadnego wyboru.

— Mogłaś wezwać kogoś na pomoc, już potem.

— Ale wtedy chciałam, żebyś zrobił to jeszcze raz.

— Musiałem się domyślić, jaka naprawdę jesteś.

— A jaka naprawdę jestem? — Teraz ona z kolei była ciekawa.

— Zimna jak lód na powierzchni, gorąca jak piekło tam niżej. Zachichotała.

— Jestem niezłą aktorką. Wszyscy w Petersburgu mają mnie za niewiniątko. Stawiają mnie za przykład młodszym dziewczętom, zupełnie jak Annę Kareninę. Teraz, kiedy wiem,

jakie ze mnie ziółko, muszę udawać, że jestem dwa razy większą dziewicą niż kiedyś.

— Nie można być półdzewicą.

— Zastanawiam się, czy oni wszyscy udają — zadumała się. — Weźmy mego ojca. Gdyby wiedział, że tu jestem i że robię to, co robię, trafiłaby go apopleksja. Ale musiał przecież czuć to samo, kiedy był młody — nie sądzisz?

— Takich rzeczy się nie wie — odparł Feliks.

— Ale co naprawdę by zrobił, gdyby nas odkrył?

— Kazałby cię wychłostać.

— Musiałby mnie najpierw złapać. — Feliksa uderzyła ta myśl. — Ile masz lat?

— Prawie osiemnaście.

— Mój Boże, mogliby mnie wsadzić do więzienia za uwiedzenie nieletniej.

— Zmusiłabym ojca, żeby cię wyciągnął.

Przewrócił się na brzuch i spojrzał na nią.

86

— Co z nami będzie, Lidio?

— Kiedy?

— W ogóle.

— Będziemy kochankami, aż stanę się pełnoletnia, a potem weźmiemy ślub.

Wpatrywał się w nią.

— Mówisz serio?

— Oczywiście. — Wydawała się autentycznie zdumiona, że nie podziela jej zdania. — Co innego moglibyśmy zrobić?

— Chcesz za mnie wyjść?

— Tak! Czyżbyś ty tego nie chciał?

— O, tak — odparł bezgłośnie. — Chcę tego.

Usiadła obejmując jego głowę nogami i zmierzwiła mu włosy.

— W takim razie to właśnie zrobimy.

— Nigdy nie mówisz mi — powiedział Feliks — w jaki sposób udaje ci się wyrwać z domu, żeby mnie odwiedzić.

— Nie ma w tym nic nadzwyczajnego — odparła. — Oszukuję, przekupuję służących, czasami ryzykuję. Na przykład dziś wieczór. Przyjęcie w ambasadzie zaczyna się wpół do siódmej. Wyszłam z domu o szóstej i zjawię się tam kwadrans po siódmej. Powóz stoi w parku. Stangret myśli, że poszłam na spacer z pokojówką. Pokojówka czeka na mnie na dole i zastanawia się, na co wyda dziesięć rubli, które dostanie za zachowanie dyskrecji.

— Jest już za dziesięć siódma — stwierdził Feliks.

— O, Boże. Szybko, zrób mi to językiem, zanim będę musiała iść.

Tej nocy Feliksowi śnił się ojciec Lidii — w życiu nie widział go na oczy — i wtedy właśnie wtargnęli do jego pokoju ludzie z latarniami. Obudził się natychmiast i wyskoczył z łóżka. Z początku myślał, że to wygłupiają się jego koledzy z uniwersytetu. Potem jeden z nich uderzył go w twarz, a drugi kopnął w brzuch i Feliks wiedział już, że to tajna policja.

Pomyślał, że przyszli go aresztować z powodu Lidii i zadrzał ze strachu o nią. Czy zostanie publicznie zhańbiona? Czy jej ojciec jest do tego stopnia szalony, by kazać jej składać w sądzie zeznania przeciwko własnemu kochankowi?

Patrzył, jak policjanci wrzucają do worka wszystkie jego książki i plik listów. Książki były co do jednej pożyczone, ale żaden z właścicieli nie był na tyle głupi, by umieszczać swoje nazwisko na okładce. Listy były od ojca i siostry Feliksa, Nataszy; Lidia nigdy nie wysłała mu żadnego i teraz był za to wdzięczny losowi.

Wyprowadzono go z budynku i wrzucono do czterokołowej kibitki. Przejechali przez Most Łańcuchowy, a potem posuwali się wzdłuż kanałów, trzymając się z dala od głównych ulic.

— Czy jedziemy do więzienia Litowskiego? — spytał.

Nikt mu nie odpowiedział, ale kiedy przejechali Most Pałacowy, zdał sobie sprawę, że kierują się w stronę otoczonej ponurą sławą Twierdzy Pietropawłowskiej i zamarło w nim serce.

Za mostem kibitka skręciła w lewo i wjechała w ciemny tunel. Zatrzymała się przed bramą. Feliksa zabrano do sali przyjęć, gdzie dyżurny oficer przyjrzał mu się i zapisał coś w swojej księdze. Zaprowadzono go z powrotem do powozu, który ruszył w głąb twierdzy. Zatrzymali się przy innej bramie i czekali kilka minut, aż otworzy im od środka żołnierz. Feliks musiał stąd iść na piechotę długimi, wąskimi korytarzami aż do trzeciej żelaznej bramy, za którą znajdowała się duża, wilgotna sala.

Za stołem siedział naczelnik więzienia.

— Jesteś oskarżony o przynależność do anarchistów. Czy przyznajesz się do winy?

Feliks odczuł ogromną ulgę. A więc to nie ma nic wspólnego z Lidią.

— Czy się przyznaję? — powtórzył. — Jestem z tego dumny. Jeden z policjantów wyjął książkę. Naczelnik złożył w niej podpis.

Feliksa rozebrano do naga, po czym wydano mu zieloną, flanelową koszulę, parę grubych, wełnianych rajtuz i o wiele na niego za duże żółte filcowe pantofle.

Potem uzbrojony żołnierz poprowadził go przez jeszcze bardziej mroczne korytarze do celi. Gdy zamknęły się za nim ciężkie dębowe drzwi, usłyszał zgrzyt obracanego w zamku klucza.

W celi było łóżko, stół, taboret i umywalka. Okno znajdowało się w wykuszu w grubej na kilka metrów ścianie. Podłoga wyłożona była malowanym filcem, ściany zaś obite jakąś żółtą tapicerką.

Feliks usiadł na łóżku.

Tutaj właśnie Piotr I torturował i zamordował własnego brata. Tutaj więziono księżniczkę Tarakonową i zalewano wodą jej celę tak obficie,

że szczury wspinały się na nią, żeby nie utonąć. Tutaj zamurowywała żywcem swoich przeciwników Katarzyna II.

Siedział tutaj Dostojewski, myślał z dumą Feliks; a także Bakunin, przykuty przez dwa lata do ściany. Oddał tutaj życie Nieczajew.

Feliksa podniecała myśl, że znalazł się w towarzystwie takich bohaterów i przerażała zarazem perspektywa, że nigdy go stąd nie wypuszczą.

W zamku zazgrzytał klucz. Do środka wszedł mały, łysy mężczyzna w okularach, niosąc pióro, kałamarz i kilka kartek papieru. Położył to wszystko na stole.

88

— Wypisz nazwiska znanych ci wywrotowców — powiedział.

Feliks usiadł i napisał: Karol Marks, Fryderyk Engels, Piotr Kropot-kin, Jezus Chrystus...

Łysy mężczyzna wydarł mu kartkę spod ręki. Podeszedł do drzwi celi i zastukał. Do środka weszło dwóch barczystych strażników. Przywiązali Feliksa do stołu i zdarli mu z nóg pantofle i rajtuzy. Zaczęli smagać bykowcami

podeszwy jego stóp.

Tortury trwały całą noc.

Kiedy zdarli mu paznokcie z palców u rąk, podał im zmyślane nazwiska i adresy, ale odparli, że świetnie wiedzą, iż są fałszywe.

Kiedy przypiekl mu płomieniem świecy skórę na jądrach, wymienił nazwiska wszystkich swoich przyjaciół studentów, ale wciąż twierdzili, że kłamie.

Za każdym razem, kiedy tracił przytomność, cucili go. Czasami przerywali na moment, pozwalając mu sądzić, że jest już po wszystkim, ale potem zaczynali na nowo, a on błagał ich, żeby go zabili, żeby skończył się ból. Męczyli go jeszcze długo po tym, kiedy powiedział im wszystko, co wiedział.

Gdzieś nad ranem stracił przytomność po raz ostatni.

Kiedy doszedł do siebie, leżał na łóżku. Na stopach i dłoniach miał bandażę. Czuł potworny ból. Chciał skończyć ze sobą, ale był za słaby, żeby się poruszyć.

Wieczorem zajrzał do celi łysy mężczyzna. Kiedy Feliks go zobaczył, zaczął płakać ze

strachu. Łysy uśmiechnął się tylko i zniknął.

Nigdy więcej już się nie pojawił.

Codziennie odwiedzał Feliksa doktor. Feliks usiłował bezskutecznie czegoś się od niego dowiedzieć. Czy ktoś na zewnątrz wie, że on jest tutaj? Czy nikt nie przysłał żadnej wiadomości? Czy ktoś nie starał się o widzenie? Doktor w milczeniu zmieniał mu opatrunki i odchodził.

Feliks gubił się w domysłach. Lidia z pewnością przyszła do jego pokoju i zobaczyła, że wszystko przewrócono tam do góry nogami. Któryś z lokatorów musiał jej powiedzieć, że zabrała go tajna policja. Co wtedy zrobiła? Czy nie bacząc na swoją reputację rozpoczęła gorączkowe poszukiwania? Czy też zachowując dyskrecję poszła prosto do ministra spraw wewnętrznych i opowiedziała mu jakąś bajeczkę o uwięzionym przez pomyłkę narzeczonym swojej pokojówki?

Codziennie czekał na choćby jedno słowo od niej. Nie doczekał się.

Po ośmiu tygodniach mógł prawie normalnie chodzić i zwolniono go bez żadnych wyjaśnień.

Poszedł na swoją stację. Spodziewał się

znaleźć tam od niej wiadomość, ale nic takiego nie było, a pokój wynajmował kto inny. Zachodził w głowę, dlaczego Lidia przestała opłacać czynsz.

89

Poszedł do jej domu i zapukał do frontowych drzwi. Drzwi otworzył służący.

— Feliks Dawidowicz Krzesiński pragnie złożyć swe uszanowanie pani Lidii Szatowej — powiedział Feliks.

Służący zatrzasnął mu drzwi przed nosem. W końcu poszedł do księgarni.

— Witaj — powiedział mu stary księgarz. — Mam dla ciebie wiadomość. Przyniosła ją wczoraj jej pokojówka.

Feliks rozdarł kopertę drżącymi palcami. Autorką nie była Lidia, lecz jej pokojówka. List brzmiał:

Zostałam odprawiona i nie mam pracy to wszystko twoja wina. Ona wyszła za mąż i wyjechała wczoraj do Anglii teraz wiesz jaka jest pokuta za Grzech.

Spojrzał na księgarza ze łzami gniewu w oczach.

— To wszystko? — krzyknął.

Nie dowiedział się niczego więcej przez dziewiętnaście lat.

W domu Waldenów normalne zwyczaje zostały na jakiś czas zawieszono i Charlotte zasiadła w kuchni, razem ze służbą.

Panowała tu nieskazitelna czystość, wszyscy domownicy byli już po kolacji. W wielkim piecu wygasł ogień. Przez umieszczone wysoko, otwarte okna wpadało do środka chłodne nocne powietrze. Naczynia używane przez służbę poustawiane były porządnie w serwantce, kuchenne noże i łyżki wisiały na hakach, niezliczone miski i rondle pochowane były w ciężkim, dębowym kredensie.

Charlotte nie miała nawet czasu się porządnie przestraszyć. Z początku, kiedy powóz tak niespodziewanie zatrzymał się w parku, była trochę zdumiona, potem całą uwagę skupiła na tym, żeby uspokoić krzyczącą mamę. Kiedy wrócili do domu, stwierdziła, że trochę się trzęsie, ale teraz, spoglądając wstecz, uznała całą przygodę za raczej ekscytującą.

Służący odczuwali to samo. Bezpiecznie było siedzieć wokół wielkiego, wyblakłego

drewnianego stołu i rozmawiać o tym, co się wydarzyło, z ludźmi, którzy stanowili część jej życia: z kucharką, która była dla niej zawsze jak matka, z Pritchardem, którego szanowała, ponieważ szanował go papa, i z energiczną i sprytną ochmistrzynią, panią Mitchell, dla której nie istniała chyba sytuacja bez wyjścia.

Bohaterem wieczoru był stangret William. Opisał już kilka razy dziki wzrok trzymającego go na muszce napastnika. Upajając się przerażonym spojrzeniem pokojówki, szybko zapomniał o wstydzie, jaki przeżył wchodząc do kuchni nagi jak go Pan Bóg stworzył.

90

— Oczywiście — wyjaśniał Pritchard — doszedłem do wniosku, że złodziej chciał jedynie ukraść ubranie Williama. Wiedziałem, że Charles czeka przy pałacu i będzie mógł poprowadzić powóz. Pomyślałem, że nie powinienem zawiadomić policji nie rozmówiwszy się najpierw z jego lordowską mością.

— Wyobraźcie sobie — mówił foryś Charles — co czułem, kiedy zobaczyłem, że nie ma powozu. Jestem pewien, że tutaj stał, powtarzałem sobie.

No cóż, myślę, na pewno William przestawił go gdzie indziej. Biegałem w obie strony The Mail, wszędzie patrzyłem. W końcu wróciłem do pałacu. „Mam kłopot”, mówię odźwiernemu, „zniknął gdzieś powóz earla Waldena”. „Waldena?” mówi do mnie z niezbyt wielkim szacunkiem...

— Tym z pałacu — przerwała pani Mitchell — się wydaje, że są od nas lepsi...

— „Walden już dawno pojechał, chłopie”, mówi do mnie. No, myślę sobie, Gorblimey, dostaniesz ty za swoje. Biegnę przez park i w połowie drogi do domu widzę powóz. Pani histeryzuje, a obok stoi pan ze szpadą całą we krwi.

— I mimo to nic nie zostało skradzione — zadziwiła się pani Mitchell.

— Lunatyk — stwierdził Charles. — Obląkany lunatyk. Wszyscy się z tym zgodzili.

Kucharka nalala herbatę. Pierwszą filiżankę podała Charlotte.

— Jak się teraz czuje pani? — spytała.

— Nic jej nie jest — odparła Charlotte. — Położyła się do łóżka i wzięła laudanum. Na

pewno już zasnęła.

— A pan?

— Papa i książę Orłów są w bawialni, popijają brandy. Kucharka westchnęła ciężko.

— Rozbój w parku, sufrażystki na dworze — powiedziała. — Nie wiadomo, czym to się skończy.

— Wybuchnie rewolucja socjalistyczna — stwierdził Charles. — Zapamiętaj moje słowa.

— Wszystkich nas wymordują w łózkach — podsumowała ponuro kucharka.

— Co miała na myśli ta sufrażystka mówiąc, że król torturuje kobiety? — spytała Charlotte spoglądając na Pritcharda, który czasami chętnie wyjaśniał jej rzeczy, które niekoniecznie musiała wiedzieć.

— Mówiła o przymusowym karmieniu — powiedział Pritchard. — Z pewnością jest bolesne.

— Przymusowe karmienie?

— Kiedy nie chcą jeść, odżywia się je siłą. Charlotte była zbulwersowana.

— W jaki sposób, na Boga?

— Jest kilka sposobów — oznajmił Pritchard, spojrzeniem dając do zrozumienia, że nie będzie szczegółowo objaśniał ich wszystkich. — Wkłada się na przykład tubę do nosa.

— Zastanawiam się, co do niej wlewają — odezwała się pokojówka.

— Pewnie gorącą zupę — odparł Charles.

— Nie mogę w to uwierzyć — powiedziała Charlotte. — Dlaczego one nie chcą jeść?

— To protest — oświadczył Pritchard. — Utrudniają w ten sposób życie władzom więzienia.

— Więzienia? — Charlotte znów była zdumiona. — Za co wsadza się je do więzienia?

— Za to, że rozbijają szyby, sporządzają bomby, zakłócają spokój...

— Ale czego one chcą?

Zapadła cisza. Służący zdali sobie sprawę, że Charlotte nie ma najmniejszego pojęcia, kto to są sufrażystki.

— Chcą, żeby kobiety otrzymały prawo głosu — oświadczył w końcu Pritchard.

— Aha.

Czy wiedziałam, że kobiety nie mają prawa

głosu? — zastanawiała się Charlotte. Nie była pewna. Nigdy nie rozmyślała o takich rzeczach.

— Sądzę, że ta dyskusja zaszła zbyt daleko — odezwała się stanowczym głosem pani Mitchell. — Faszzerowanie panience głowy zgubnymi ideami z pewnością nie wyjdzie panu na dobre, panie Pritchard.

Charlotte wiedziała, że Pritchardowi nigdy nie spadnie włos z głowy, ponieważ był właściwie przyjacielem papy.

— Zastanawiam się, dlaczego tak bardzo im zależy na czymś takim jak głosowanie — powiedziała.

Zabrzączał dzwonek i wszyscy odruchowo spojrzeli na tablicę z dzwonekami.

— To od frontowych drzwi — powiedział Pritchard. — O tej porze, w środku nocy! — Wyszedł narzuciwszy na plecy kurtkę.

Charlotte wypła łyk herbaty. Czowała ogarniające ją zmęczenie. Sufrażystki zdumiewały ją, a nawet trochę przerażały, mimo to chciała dowiedzieć się o nich czegoś więcej.

Wrócił Pritchard.

— Proszę o półmisek z sandwiczami —

powiedział. — Charles, zanieś do salonu świeży syfon z wodą sodową. — Zaczął ustawiać na tacy talerze i serwetki.

— No, na mnie już czas — odezwała się Charlotte. — Kto przyszedł?

— Dżentelmen ze Scotland Yardu — odparł Pritchard.

92

Basil Thomson miał bujne wąsy, bystre spojrzenie i spiczastą czaszkę porośniętą przeredzającymi się jasnymi włosami. Walden znał go ze słyszenia. Ojciec Thomsona był arcybiskupem Yorku. On sam zaś pobierał nauki w Eton i w Oksfordzie, a potem służył w koloniach jako wysoki komisarz i premier wysp Tonga. Po powrocie do kraju uzyskał uprawnienia adwokackie, a następnie rozpoczął pracę w więziennictwie. Jako dyrektor więzienia Dartmoor zdobył sobie reputację człowieka twardego. Później przeszedł do policji, gdzie stał się ekspertem, jeśli chodzi o przestępczo-anarchistyczne środowiska londyńskiego East Endu. Dzięki posiadanej w tej dziedzinie wiedzy objął kierownictwo Wydziału Specjalnego,

innymi słowy tajnej policji politycznej.

Walden poprosił go, żeby spoczął, po czym zdał mu sprawozdanie z wydarzeń minionego wieczora. Mówiąc nie spuszczał oka z Aleksa. Młody, księżę zachowywał pozorny spokój, ale był blady na twarzy, popijał bez przerwy brandy z wodą sodową i zaciskał kurczowo dłoń na poręczy fotela.

— Czy w momencie — przerwał nagle Waldenowi Thomson — kiedy podjechał po państwa powóz, zauważył pan, że brakuje forysia?

— Owszem, zauważyłem — przyznał Walden. — Zapytałem stangreta, co się z nim stało, ale ten sprawiał wrażenie, jakby nie słyszał. Przy drzwiach pałacu panuje straszny ścisk i córka powiedziała mi, żebym się pospieszył, postanowiłem więc, że wyjaśnię tę sprawę dopiero w domu.

— Nasz łajdak właśnie na to liczył. Musi mieć stalowe nerwy. Proszę dalej.

— Powóz zatrzymał się nagle w parku i ten człowiek otworzył gwałtownie drzwi.

— Jak wyglądał?

— Wysoki. Miał chustkę albo coś podobnego na twarzy. Ciemne włosy. Wytrzeszczone oczy.

— Wszyscy przestępcy mają wytrzeszczone oczy — stwierdził Thomson. — Może stangret przyjrzał mu się lepiej?

— Nie sądzę. Ten człowiek miał wtedy na głowie kapelusz, no i było ciemno.

— Hm. Co stało się później?

Walden odetchnął głęboko. Kiedy to się zdarzyło, był bardziej rozwścieczony niż przestraszony, ale teraz, gdy patrzył wstecz, myślał z lękiem o tym, co mogło się przydarzyć Aleksowi, Lidii albo Charlotte.

— Lady Walden krzyknęła — powiedział — i to najwyraźniej zbiło tego drania z pantałyku. Być może nie spodziewał się zastać w powozie kobiety. Zawahał się w każdym razie. — I dzięki Bogu, że to zrobił, pomyślał Walden. — Pchnąłem go szpadą i wtedy on upuścił broń.

— Czy mocno go pan zranił?

93

— Wątpię. Nie mogłem się lepiej zamachnąć w ciasnej przestrzeni, a poza tym szpada nie jest specjalnie ostra. Ale zraniłem go do krwi. Żałuję,

że nie skróciłem go o głowę.

Do pokoju wszedł kamerdyner i rozmowa została przerwana. Walden zdał sobie sprawę, że mówi podniesionym tonem. Próbował się uspokoić. Pritchard podał trzem mężczyznom sandwicze, brandy i wodę sodową.

— Prosiłbym, żebyś się na razie nie kładł, Pritchard — rzekł Walden. — Innym powiedz, że mogą iść spać.

— Tak jest, milordzie — odparł Pritchard.

— Możliwe — odezwał się Walden po jego wyjściu — że to był tylko napad rabunkowy. Zasugerowałem taką wersję służbie, a także lady Walden i Charlotte. Niemniej, zwykły rabuś nie potrzebowałby, moim zdaniem, tak skomplikowanego planu. Jestem całkowicie pewien, że mieliśmy do czynienia z zamachem na życie Aleksa.

Thomson spojrział na Aleksa.

— Obawiam się, że lord Walden ma rację. Skąd, według pana, zamachowiec mógł się dowiedzieć, gdzie pan będzie?

Aleks założył nogę na nogę.

— Miejsce mojego pobytu nie było dla nikogo

tajemnicą.

— Trzeba to zmienić. Proszę mi powiedzieć, sir, czy pańskie życie było kiedyś w niebezpieczeństwie?

— Żyję w ciągłym zagrożeniu — odparł krótko Aleks. — Nigdy dotąd jednak nikt nie próbował zorganizować na mnie zamachu.

— Czy istnieje jakiś szczególny powód, dla którego na pańskie życie mogliby dybać nihiliści albo rewolucjoniści?

— Wystarcza im fakt, że jestem księżęcej krwi.

Walden uprzytomnił sobie, że angielskie problemy z sufrażystkami, liberałami i związkami zawodowymi są niczym w porównaniu z tym, co dzieje się w Rosji. Poczuł, jak ogarnia go fala współczucia dla Aleksa.

— Ja jednak dałem się dotychczas poznać — mówił cicho Aleks, starając się panować nad swym głosem — jako swego rodzaju reformator, przynajmniej w rosyjskim wydaniu. Na ofiarę zamachu mogliby wybrać kogoś bardziej odpowiedniego.

— Nawet w Londynie — przytaknął Thomson.

— W sezonie gościmy tutaj zawsze jednego albo dwóch rosyjskich arystokratów.

— Do czego pan zmierza? — spytał Walden.

— Zastanawiam się — powiedział Thomson — czy ten łajdak nie wie przypadkiem, jaki jest cel wizyty księcia Orłowa i czy jego dzisiejszy zamach nie miał na celu zerwania rozmów.

Walden wydawał się w to powątpiewać.

— W jaki sposób rewolucjoniści mogliby dowiedzieć się o rozmowach?

94

— Po prostu spekuluję — odpowiedział Thomson. — Czy zamach rzeczywiście oznaczałby koniec rozmów?

— Z pewnością — odparł Walden. Zrobiło mu się zimno, kiedy o tym pomyślał. — Gdyby car dowiedział się, że jego siostrzeniec został zamordowany w Londynie przez rewolucjonistę... nie daj Boże przez rosyjskiego emigranta... lepiej o tym nie myśleć. Zapewne orientuje się pan, jak Rosjanie odnoszą się do faktu, że udzielamy schronienia ich wywrotowcom. Nasza polityka otwartych drzwi zawsze powodowała zadrażnienia na szczeblu dyplomatycznym.

Udany zamach zaciążyłby na stosunkach angielsko-rosyjskich na najbliższe dwadzieścia lat. Nie mogłoby być mowy o żadnym sojuszu.

Thomson kiwnął głową.

— Tego się obawiałem. Cóż, dzisiaj i tak niczego więcej nie zdziałamy. Jutro o świcie rozpocznę dochodzenie. Przeszukamy park i przesłuchamy pańską służbę. Trzeba będzie także przycisnąć kilku anarchistów z East Endu.

— Sądzi pan, że uda się złapać tego człowieka? — spytał Aleks. Walden na próżno spodziewał się potakującej odpowiedzi.

— To nie będzie łatwe — odparł Thomson. — Mamy do czynienia z kimś, kto planuje swoje posunięcia, na pewno więc przygotował sobie kryjówkę. Nie wiemy dokładnie, jak wygląda. Mamy niewielkie szanse, chyba że rany, które otrzymał, są na tyle poważne, iż znajdzie się w szpitalu.

— Może znowu próbować mnie zabić — stwierdził Aleks.

— Dlatego musimy podjąć działania zapobiegawcze. Proponuję, żeby jutro wyprowadził się pan z tego domu. Wynajmiemy

dla pana najwyższe piętro w jednym z londyńskich hoteli. Będzie pan tam przebywał pod fałszywym nazwiskiem. Przydzielimy panu ochronę osobistą. Lord Walden będzie musiał spotykać się z panem potajemnie, będzie pan także zmuszony zaniechać wszelkich kontaktów towarzyskich.

— Oczywiście.

Thomson podniósł się z krzesła.

— Jest bardzo późno. Wydam odpowiednie polecenia. Walden zadzwonił na Pritcharda.

— Czy czeka na pana powóz, panie Thomson?

— Tak. Jutro rano skontaktuję się z panem telefonicznie. Pritchard odprowadził Thomsona do drzwi, a Aleks poszedł się położyć.

Walden kazał Pritchardowi zamknąć drzwi na klucz i poszedł na górę.

Nie chciało mu się spać. Rozbierając się pozwolił sobie na chwilę odprężenia. Ogarnęła go fala sprzecznych uczuć, których do tej pory starał się do siebie nie dopuszczać. Przede wszystkim był dumny z samego siebie. Zrobiłem właściwy użytek ze szpady i pokonałem zamachowca,

myślał. Sprawilem się nie najgorzej jak na pięćdziesięciolatka, z niezbyt sprawną nogą na dodatek. Potem ogarnęło go przygnębienie na myśl o tym, jak beznamiętnie dyskutowali o dyplomatycznych konsekwencjach ewentualnej śmierci Aleksa: wesołego, nieśmiałego, przystojnego i inteligentnego Aleksa, który dorastał niegdyś na jego oczach.

Położył się do łóżka, ale nie zasnął od razu. Przypomniwał sobie chwilę, kiedy otworzyły się drzwiczki powozu i stanął w nich człowiek z pistoletem. Odczuwał teraz lęk, nie o siebie czy Aleksa, lecz o Lidię i Charlotte. Myśl, że ktoś mógłby pozbawić je życia, sprawiła, że zadrżał. Przypomniwał sobie, jak przed osiemnastu laty po raz pierwszy wziął Charlotte na rękę: nie miała jeszcze zębów, na głowie kręciły jej się blond włoski; przypomniwał sobie, jak uczyła się chodzić i zawsze wywracała do tyłu; jak cieszyła się z kucyka, którego jej podarował. Ta jej radość dostarczyła mu największego w życiu wzruszenia. I przypomniwał sobie, jak przed kilkoma zaledwie godzinami Charlotte, dojrzała i piękna kobieta, kroczy w obecności króla z podniesioną wysoko

głową. Nie wiem, pomyślał, czy przeżyłbym jej śmierć.

I Lidii; gdyby Lidia zginęła, zostałbym sam. Ta myśl sprawiła, że wstał i przeszedł do jej sypialni. Przy łóżku paliła się lampka. Lidia spała mocno leżąc na wznak. Miała lekko rozchylone usta i rozrzucone na poduszce blond włosy. Wydawała się taka delikatna i bezbronna. Nigdy nie potrafiłem ci okazać, jak bardzo cię kocham, pomyślał. Nagle poczuł, że musi jej dotknąć, musi poczuć ciepło jej ciała. Wsunął się do łóżka i pocałował ją. Jej usta rozchyliły się w odpowiedzi, ale nie przebudziła się. Lidio, pomyślał, nie potrafiłbym bez ciebie żyć.

Lidia długo nie mogła zasnąć. Rozmyślała o człowieku z pistoletem. Jego pojawienie się stanowiło dla niej brutalny wstrząs i krzyknęła po prostu z czystego przerażenia, ale było jeszcze coś więcej. Coś było w tym człowieku, w jego postawie, sylwetce, ubraniu. Wyglądał niesamowicie, jak postać nie z tego świata. Żałowała, że nie udało jej się dostrzec jego oczu.

Po jakimś czasie wzięła kolejną dawkę laudanum i zasnęła. Śniło jej się, że człowiek z

pistoletem przyszedł do jej sypialni i wsunął się do łóżka. To było jej własne łóżko, ale we śnie miała znowu osiemnaście lat. Mężczyzna położył pistolet na białej poduszce, tuż przy jej głowie. Na twarzy wciąż miał chustkę. Zdała sobie sprawę, że się kochają.

Było cudownie. Zaczęła podejrzewać, że być może to tylko sen. Chciała zobaczyć jego twarz. Kim jesteś? — zapytała. To ja, Stephen, odpowiedział głos. Wiedziała, że to nie może być on, ale pistolet na poduszce zamienił się tymczasem w zakrwawioną szpadę Stephena i nie

96

była już tego taka pewna. Przywarła do ciała mężczyzny, obawiając się, że sen skończy się, zanim ona dojdzie do szczytu. Potem zaczęła mgliście podejrzewać, że to, co wydaje jej się snem, dzieje się w rzeczywistości. Mimo to sen wciąż trwał. Doznała silnej fizycznej przyjemności. Traciła nad sobą panowanie. Gdy zaczął się orgazm, mężczyzna zsunął chustkę z twarzy, Lidia otworzyła oczy i ujrzała nad sobą twarz Stephena. Ogarnęła ją ekstaza i po raz pierwszy od dziewiętnastu lat krzyknęła z

rozkoszy.

7 – Człowiek.

5.

C,

'harlotte wybierała się na pierwszy bal Belindy z mieszanymi uczuciami. Uczestniczyła już nieraz w zabawach na prowincji, przeważnie w Walden Hall, nigdy jednak nie była na prawdziwym balu w mieście. Wiedziała, że potrafi nieźle tańczyć i sprawiało jej to przyjemność, nienawidziła jednak smętnego podpierania ścian w oczekiwaniu na chłopca, który podejdzie i poprosi dziewczynę do tańca. Przypominało jej to koński jarmark. Zastanawiała się, czy w stolicy sprawy te nie są załatwiane w jakiś bardziej

cywilizowany sposób.

Zajechali pod dom wuja George'a i ciotki Clarissy w Mayfair na pół godziny przed północą, co, według mamy, stanowiło najwcześniejszą porę, o jakiej szanująca się osoba może pojawić się na balu w Londynie. Czerwony dywan wiódł pod pasiastym baldachimem od krawężnika do bramy ogrodu, która upodobniła się tego wieczoru do rzymskiego łuku triumfalnego.

Nawet po tym wstępie Charlotte nie była przygotowana na to, co zobaczyła po drugiej stronie łuku. Cały ogród przeobraził się w coś w rodzaju rzymskiego atrium. Zachwycona rozglądała się wokoło. Na trawnikach i rabatkach wznosiła się zbita z solidnych desek estrada do tańca. Parkiet pomalowano w przypominającą do złudzenia marmurowe płyty czarno-białą szachownicę. Estradę otaczał rząd białych kolumn, z których zwieszały się laurowe girlandy. Za kolumnadą, tworzącą swoisty krużganek, ustawione były ławki. Na środku estrady znajdowała się fontanna przedstawiająca chłopca kąpiącego się z delfinem w marmurowym basenie. Strumienie wody podświetlone były

kolorowymi reflektorami. Na pierwszym piętrze, na balkonie sypialni, orkiestra grała ragtime. Ściany ozdabiały girlandy róż, pod balkonem zawieszono kosze z begoniami. Nad całym terenem, od domu aż po mur ogrodu, unosiła się olbrzymia, błękitna niczym niebo, płócienna markiza.

98

— Istny cud! — stwierdziła Charlotte.

— Sprosiłeś masę gości, George — powiedział papa.

— Zaprosiliśmy osiemset osób. Co, u diabła, przydarzyło się wam w parku?

— Nie było to takie straszne, jak się rozpowiada — odparł papa uśmiechając się z przymusem. Wziął wuja George'a pod ramię i przeszli na bok, żeby porozmawiać.

Charlotte przyglądała się gościom. Wszyscy mężczyźni mieli na sobie stroje wieczorowe: białe krawaty, białe kamizelki i fraki. W takim ubraniu, pomyślała, szczególnie dobrze prezentowali się młodzi, a przynajmniej szczupli mężczyźni: w tańcu wyglądali olśniewająco. Lustrując suknie pań uznała, że choć obie z mamą ubrały się raczej

gustownie, wyglądają trochę staroświecko z wciętą mocno talią, koronkowymi mankietami i zamiatającym podłogę skrajem sukni. Ciocia Clarissa miała na sobie prostą, długą suknię, tak obcisłą, że trudno w niej było tańczyć. Belinda włożyła szerokie hajdawery, w których wyglądała jak hurysa w haremie.

Charlotte zdała sobie sprawę, że nikogo tu nie zna. Zastanawiała się, kto z nią zatańczy oprócz papy i wujka George'a. Zaraz jednak poprosił ją do walca młodszy brat ciotki Clarissy, Jonathan. Potem przedstawił ją swym trzem kolegom z Oksfordu, z których każdy przetańczył z nią jedną kolejkę. Rozmowę z nimi uznała za dość monotonna: stwierdzali, że parkiet jest w porządku i że orkiestra jest w porządku, i na tym kończyła się ich inwencja.

— Czy nie uważasz, że kobiety powinny mieć prawo głosu? — próbowała ożywić rozmowę Charlotte. Odpowiedzi, jakie otrzymała, brzmiały: „Z całą pewnością nie”, „Nie wiem” i „Nie jesteś chyba jedną z nich”.

Ostatni z partnerów, na imię miał Freddie, zabrał ją do środka na kolację. Sprawiał wrażenie

uprzejmego młodzieńca, miał regularne rysy twarzy i blond włosy. Charlotte uznała, że jest raczej przystojny. Kończył właśnie pierwszy rok studiów w Oksfordzie. Stwierdził, że życie jest tam całkiem przyjemne, ale że on nie okazał się wielkim molem książkowym i wątpi, czy wróci tam w październiku.

Wnętrze domu tonęło w kwiatach. Wszędzie jarzyły się światła elektryczne. Na kolację podano zupy na ciepło i na zimno, langustę, przepiórki, truskawki, lody i brzoskwinie ze szklarni.

— Zawsze podają to samo na kolację — stwierdził Freddie. — Wszyscy zaopatrują się u tego samego dostawcy.

— Czy bywasz na wielu balach? — spytała Charlotte.

— Raczej tak. W sezonie jestem gdzieś prawie codziennie, słowo daję. Wypiła kieliszek szampana w nadziei, że wprowadzi ją to w lepszy

99

humor, a potem rozstała się z Freddie'm i zaczęła w pojedynkę zwiedzać kolejne salony. W pierwszym przy kilku stolikach grano w brydża. W następnym prym wiodły dwie podstarzałe

księżne. W trzecim starsi grali w bilard, a młodszy palili tytoń. Zastała tam Belinę z papierosem w dłoni. Charlotte nigdy nie rozumiała, jaki sens ma palenie papierosów. Ludzie chcą chyba udawać w ten sposób mądrzejszych, niż są w rzeczywistości. Belinda rzeczywiście wyglądała na mądrzejszą.

— Podziwiam twoją suknię — powiedziała.

— Bynajmniej. Za to ty wyglądasz sensacyjnie. Jak udało ci się przekonać macochę, żeby pozwoliła ci włożyć na siebie coś takiego?

— Sama chciała się w to dzisiaj ubrać!

— Wygląda o wiele młodziej od mojej mamy. No bo jest młodsza, oczywiście.

— Znajduje się w innej sytuacji także dlatego, że jest macochą. Co ci się przydarzyło po przyjęciu na dworze?

— Och, to było niesamowite! Trzymał nas na muszce jakiś szaleniec.

— Opowiadała nam twoja mama. Byłaś chyba strasznie przerażona?

— Zbyt byłam zajęta uspokajaniem mamy. Potem dopiero śmiertelnie się wystraszyłam. Dlaczego wtedy, w pałacu, powiedziałaś, że chcesz ze mną dłużej porozmawiać?

— No tak. Rzeczywiście. — Odciągnęła Charlotte na bok, dalej od chłopców. — Odkryłam, którędy wychodzą na zewnątrz.

— Co?

— Dzieci.

— Och! — Charlotte cała zamieniła się w słuch. — Mów!

— Wychodzą między nogami, tam gdzie się robi siku.

— Nie ma tam aż tyle miejsca!

— Rozciąga się.

To potworne, pomyślała Charlotte.

— To jeszcze nie wszystko — dodała Belinda. — Odkryłam, jak się je robi.

— No?

Belinda wzięła Charlotte za łokieć i zaprowadziła w najdalszy kąt pokoju. Stały przed zwierciadłem ozdobionym girlandami z róż. Głos Belindy zniżył się prawie do szeptu.

— Po ślubie, wiesz, trzeba iść do łóżka ze swoim mężem.

— Naprawdę?

— Tak.

— Papa i mama mają oddzielne sypialnie.

- Czy przylegają do siebie?
- Tak.
- Więc mogą wchodzić sobie nawzajem do łóżek.

100

- Po co?
- Bo żeby zrobić dziecko, mąż musi włożyć swojego fiuta w to miejsce, to samo, z którego potem wychodzą dzieci.
- Co to jest fiut?
- O rany! To ta rzecz, którą mężczyzna ma między nogami. Nigdy nie widziałaś reprodukcji Dawida Michała Anioła?
- Nie.
- No dobrze, to ta rzecz, z której oni sikają. Wygląda jak palec.
- I trzeba to zrobić, żeby mieć dzieci?
- Tak.
- Muszą to robić wszystkie małżeństwa?
- Tak.
- Potworne. Kto ci o tym powiedział?
- Viola Pontadarvy. Zaklinała się na wszystko, że to prawda.
- I w jakiś sposób Charlotte zdała sobie sprawę,

że to musi być prawda. Słuchając tego miała wrażenie, jakby przypominano jej o czymś, o czym po prostu zapomniała. Nie wiadomo dlaczego, brzmiało to całkiem sensownie. Mimo to przeżyła fizyczny wstrząs. Podobnego, trochę mdłego uczucia doznawała czasami w snach, kiedy jakieś straszliwe podejrzenie okazywało się prawdziwe albo kiedy bała się, że może skądś spaść, i nagle zdawała sobie sprawę, że faktycznie spada.

— Naprawdę strasznie się cieszę, żeś się tego dowiedziała — stwierdziła. — Gdybym nie wiedząc o tym wyszła za męża... jakież by to było krępujące!

— Zdarza się to niektórym dziewczętom — odparła Belinda. — W zasadzie w przeddzień ślubu powinna im o tym wszystkim powiedzieć matka, ale jeśli jest zbyt nieśmiała, biedaczki dowiadują się dopiero w trakcie samej rzeczy.

— Powinniśmy podziękować Violi Pontadarvy — powiedziała Charlotte. Nagle uderzyła ją nowa myśl. — Czy to wszystko nie wiąże się jakoś z tym krwawieniem, które... no wiesz, mamy co miesiąc?

— Nie wiem.

— Przypuszczam, że tak. To wszystko się ze sobą łączy... wszystkie sprawy, o których się nie mówi. No cóż, teraz wiemy, dlaczego unika się tego tematu... jest taki niesmaczny.

— To, co robi się w łóżku, nazywa się „stosunek płciowy”, ale Viola powiedziała, że prości ludzie nazywają to ruchaniem.

— Dużo wie ta Viola.

— Ma braci. Powiedzieli jej już dawno temu.

— A skąd oni się dowiedzieli?

— Od starszych kolegów w szkole. Chłopcy się zawsze bardziej interesują tymi sprawami.

101

— Cóż — stwierdziła Charlotte — jest w tym coś z chorobliwej fascynacji.

Nagle zobaczyła w lustrze ciocię Clarisę.

— O czym to tak konferujecie kryjąc się po kątach? — zapytała. Charlotte oblała się rumieńcem, ale ciocia najwyraźniej nie była

zainteresowana odpowiedzią. — Pokręćcie się trochę — mówiła dalej — i porozmawiajcie z ludźmi. To w końcu twoje przyjęcie, Belindo.

Oddaliła się. Dziewczęta przeszły do

następnych salonów. Pokoje położone były kuliście jeden za drugim, tak że po przejściu wszystkich dochodziło się do punktu wyjścia, u szczytu schodów.

— Nie sędę, żebym się kiedyś do tego zmusiła — powiedziała Charlotte.

— Jesteś pewna? — spytała z niewinnym uśmieszkiem Belinda.

— Co masz na myśli?

— Nie wiem, trochę o tym myślałam. To może być całkiem przyjemne. Charlotte spojrzała na nią z niedowierzaniem.

Belinda wydawała się zakłopotana.

— Mam zamówiony taniec — powiedziała. — Zobaczymy się później. Zbiegła na dół po schodach. Charlotte popatrzyła w ślad za nią, zastanawiając się, ile jeszcze szokujących rewelacji odkryje przed nią życie.

Wróciła do jadalni i poprosiła o kolejny kieliszek szampana. Szczególny sposób na przedłużanie gatunku obrała sobie ludzka rasa, myślała. Choć zwierzęta robią chyba coś podobnego. A ptaki? Nie, ptaki znoszą jaja. Wszyscy ci elegancy i pełni ogłady ludzie wokół

niej znali te słowa, lecz nigdy ich nie wymawiali. Ponieważ nie wypowiedało się ich na głos, były krępujące. Ponieważ były krępujące, nigdy się ich nie wymawiało. Cała ta sprawa wydawała jej się idiotyczna. Jeśli zamysłem Stwórcy było, że ludzie mają się ruchać, to dlaczego udają, że tego nie robią?

Dopiła szampana i wyszła na dwór na parkiet. Papa i mama tańczyli polkę, szło im całkiem nieźle. Mama doszła do siebie po incydencie w parku, ale papa wciąż był niespokojny. Wyglądał wspaniale we fraku i białym krawacie. Kiedy dokuczała mu noga, nie tańczył, dziś jednak najwyraźniej czuł się doskonale. Tańczył zadziwiająco lekko jak na tak postawnego mężczyznę. Mama chyba także świetnie się bawiła. W tańcu pozwalała sobie na trochę więcej luzu. Znikała gdzieś nagle ta jej typowa, wystudiowana rezerwa. Uśmiechała się promiennie i nie wstydziła się odsłaniać w tańcu kostek.

Kiedy przebrzmiała polka, papa dostrzegł Charlotte i podszedł do niej.

— Czy mogę prosić o następny taniec, lady

Charlotte?

— Oczywiście, milordzie.

To był walc. Papa zdawał się błędzić myślami gdzie indziej, ale wirował z nią po parkiecie jak doświadczony tancerz. Zastanawiała się,

102

czy ona wygląda tak samo promiennie jak mama. Chyba nie. Nagle wyobraziła sobie ruchających się papę i mamę, i pomysł ten wydał jej się straszliwie niestosowny.

— Czy dobrze się bawisz na swoim pierwszym dużym balu? — spytał papa.

— Tak, dziękuję — odparła machinalnie.

— Jesteś jakaś zamyślona.

— Staram się nie zapominać o dobrych manierach. — Nagle zawirowały jej w oczach światła i jasne kolory, musiała się skoncentrować, żeby nie upaść. Bała się, że zrobi z siebie pośmiewisko. Papa wyczuł, że straciła równowagę i ujął ją nieco mocniej. W chwilę później orkiestra skończyła grać.

Odprowadził ją na bok.

— Dobrze się czujesz?

— Tak, ale przez moment zakręciło mi się w

głowie.

— Paliałś może tytoń?

— Skądże znowu — zaśmiała się.

— Zazwyczaj po wypaleniu papierosa na balu młodym damom kręci się trochę w głowie. Posłuchaj mojej rady: jeśli chcesz koniecznie palić tytoń, rób to w domu.

— Nie sądzę, żebym miała na to ochotę.

Przesiedziała następny taniec, a potem znów pojawił się Freddie. Tańcząc z nim zdała sobie sprawę, że wszyscy młodzieńcy i dziewczęta, nie wyłączając Freddie'ego i jej samej, starają się znaleźć odpowiednią partię, a najlepszą do tego okazją są bale takie jak ten. Po raz pierwszy pomyślała o Freddie'm jako o ewentualnym kandydacie do jej ręki. Nie mieściło jej się to w głowie.

Jakiego męża w takim razie pragnę, zastanawiała się. Nie miała w tej kwestii wyrobionego zdania.

— Jonathan przedstawił nas sobie po prostu: „Freddie, poznaj Charlotte”, ale domyślam się, że mam przyjemność z lady Charlotte Walden — odezwał się Freddie.

— Zgadza się. A ja z kim mam przyjemność?

— Markiz Chalfont, do usług.

Znajdujemy się zatem, pomyślała Charlotte, na tym samym szczeblu drabiny społecznej.

Chwilę później razem z Freddie'm wdali się w rozmowę z Belinda i jego przyjaciółmi. Dyskutowali o nowej sztuce pod tytułem Pigmalion, bardzo dowcipnej, ale zarazem wulgarnej. Chłopcy wybierali się na mecz bokserski; Belinda chciała pójść razem z nimi, ale upierali się, że to absolutnie wykluczone. Rozmawiali o jazzie. Jeden z młodzieńców uchodził za znawcę w tej dziedzinie, przebywał bowiem jakiś czas

103

w Stanach Zjednoczonych. Freddie'emu jazz nie przypadł jednak do gustu i rozprawiał dość pompatycznie o „afrykanizacji społeczeństwa”. Wszyscy pili kawę, a Belinda wypaliła kolejnego papierosa. Charlotte zaczęła się dobrze bawić.

Pogawędkę przerwała mama Charlotte.

— Wybieramy się z ojcem do domu — powiedziała. — Czy mamy wysłać po ciebie powóz później?

Charlotte zdała sobie sprawę, że jest zmęczona.

— Nie, wracam razem z wami — odparła. — Która jest godzina?

— Czwarta.

Poszły po swoje narzutki.

— Czy spędziłaś przyjemny wieczór? — spytała Lidia.

— Tak, dziękuję, mamo.

— Ja również. Kim byli ci młodzi ludzie?

— To znajomi Jonathana.

— Mili?

— Pod koniec rozmowa stała się całkiem ciekawa.

Papa wezwał już powóz. Kiedy znikły w oddali światła balu, Charlotte przypomniała sobie, co przydarzyło im się poprzednim razem, kiedy wracali do domu karocą, i poczuła, jak ogarnia ją lęk.

Papa trzymał mamę za rękę. Wyglądali na szczęśliwych. Charlotte poczuła się samotna i wyjrzała przez okno. W porannym brzasku zobaczyła czterech mężczyzn w jedwabnych kapeluszach podążających Park Lane,

wracających pewnie do domu z jakiegoś nocnego klubu. Kiedy powóz zakręcił przy Hyde Park Corner, zobaczyła coś dziwnego.

— Co to takiego? — zapytała. Mama wyjrzała przez okno.

— O co ci chodzi, kochanie?

— Tam, na chodniku. To chyba ludzie.

— Tak, masz rację.

— Co oni robią?

— Śpią.

Charlotte była wstrząśnięta. Osiem albo dziesięć osób, opatulonych w płaszcze, koce i gazety, leżało opartych o murek. Nie potrafiła powiedzieć, czy to mężczyźni, czy kobiety. Sądząc po rozmiarach, były tam także dzieci.

— Dlaczego śpią tutaj? — zapytała.

— Nie wiem, kochanie — odparła mama.

— Ponieważ nie mają innego miejsca, gdzie mogliby spać, oczywiście — wtrącił się papa.

— Nie mają domów?

— Nie.

104

— Nie sądziłam, że ktoś może być aż tak biedny — szepnęła. — To straszne. — Pomyślała o

tych wszystkich pokojach w domu wuja George'a, o jedzeniu, które przygotowano, żeby nakarmić ośmiuset gości, z których każdy i tak wcześniej zjadł kolację. Pomyślała o wymyślnych sukniach, które każda z dam sprawia sobie co sezon, podczas gdy ludzie śpią opatuleni gazetami. — Powinniśmy coś dla nich zrobić — powiedziała.

— My? — zapytał papa. — Co mianowicie?

— Wybudować dla nich domy.

— Dla wszystkich?

— A ilu ich jest?

— Tysiące. — Papa wzruszył ramionami.

— Tysiące! Myślałam, że to tylko ci tutaj. — Charlotte była zdruzgotana. — Nie moglibyśmy wybudować dla nich małych domów?

— Budownictwo mieszkaniowe nie jest obecnie dochodowe.

— Może jednak powinienes się o to zatroszczyć.

— Dlaczego?

— Ponieważ silni powinni opiekować się słabymi. Słyszałam, jak sam to mówiłeś panu Samsonowi. — Samson był rządcą w Walden Hall i zawsze starał się zaoszczędzić trochę pieniędzy

na remontach dzierżawionych domów.

— Opiekujemy się już mnóstwem ludzi — odparł papa. — Weź pod uwagę całą służbę, której płacimy pensje, wszystkich dzierżawców, którzy uprawiają naszą ziemię i żyją w naszych domach, wszystkich robotników w fabrykach, w które zainwestowaliśmy pieniądze, wszystkich zatrudnionych przez państwo ludzi, którzy opłacani są z naszych podatków.

— Nie sądzę, żeby to było jakieś usprawiedliwienie — przerwała mu Charlotte. — Ci biedacy śpią na ulicy. Co poczną, kiedy nadejdzie zima?

— Twój papa nie potrzebuje się usprawiedliwiać — wtrąciła się ostro mama. — Urodził się arystokratą i musi mądrze zarządzać swoim majątkiem. Ma prawo do swego bogactwa. Ci ludzie na chodniku to lenie, kryminaliści, pijacy i nicponie.

— Nawet dzieci?

— Nie bądź impertynencka. Pamiętaj, że dużo się jeszcze musisz nauczyć.

— Zaczynam sobie właśnie uświadamiać, jak dużo — odparła Charlotte.

Zanim powóz wtoczył się na dziedziniec ich domu, Charlotte spostrzegła, że jeden z bezdomnych zrobił sobie legowisko tuż obok bramy. Postanowiła przyjrzeć mu się bliżej.

Powóz zatrzymał się przy drzwiach wejściowych. Charles podał rękę

105

najpierw mamie, a potem Charlotte, która zawróciła biegiem ku zamykanej właśnie przez Williama bramie.

— Chwileczkę — zawołała Charlotte.

— Co się, u diabła, dzieje...? — usłyszała z tyłu głos ojca. Wybiegła na ulicę.

To była kobieta. Leżała skulona na chodniku opierając ramiona o mur zamykający dziedziniec. Miała na sobie męskie buty, wełniane pończochy, brudny niebieski płaszcz i olbrzymi, modny niegdyś kapelusz ozdobiony bukietem przybrudzonych sztucznych kwiatów. Głowa odchyliła jej się na bok, a okrągła twarz zwrócona była ku Charlotte.

Ta twarz o szerokich ustach wydawała się znajoma. Kobieta była młoda...

— Annie! — krzyknęła Charlotte. Bezdomna

otworzyła oczy.

Charlotte patrzyła na nią przerażona. Dwa miesiące temu Annie była pokojówką w Walden Hall, nosiła czyste i schludne ubranie i biały czepek na głowie. Miała potężny biust i ciągle wybuchała śmiechem.

— Annie, co się stało?

Annie wstała z chodnika i żałośnie dygnęła.

— Och, lady Charlotte, miałam nadzieję, że panienkę zobaczę, panienka była dla mnie zawsze taka dobra. Nie mam dokąd pójść...

— Ale jak to się stało, że...

— Zostałam odprawiona, panienko, bez referencji, kiedy wyszło na jaw, że spodziewam się dziecka. Wiem, że źle zrobiłam...

— Nie jesteś przecież mężatką!

— Ale chodziłam z Jimmym, pomocnikiem ogrodnika. Charlotte przypomniała sobie rewelacje Belindy. Jeśli były prawdziwe, wtedy rzeczywiście dziewczyna nie musiała wychodzić za mąż, żeby mieć dzieci.

— Gdzie jest dziecko? — spytała.

— Poroniłam.

— Poroniłaś?

— To znaczy urodziło się zbyt wcześnie, panienko, urodziło się martwe.

— To straszne — wyszeptała Charlotte. Była to kolejna rzecz, o której nie miała pojęcia, że może się zdarzyć. — Dlaczego nie jesteś razem z Jimmym?

— Uciekł na morze. Wiem, że mnie kochał, ale bał się ślubu, miał tylko siedemnaście lat. — Annie zaczęła płakać.

— Charlotte, proszę tu przyjść w tej chwili — usłyszała za sobą głos ojca.

Odwróciła się. Stał w bramie w wieczorowym ubraniu, z jedwabnym

106

kapeluszem w dłoni i Charlotte nagle uświadomiła sobie, że jest ograniczony i okrutny.

— To jedna ze służących, o którą tak bardzo się troszczyłeś — powiedziała.

Ojciec przyjrzał się dziewczynie.

— Annie! Co to wszystko ma znaczyć?

— Jimmy uciekł, milordzie — mówiła Annie — więc nie mogłam za niego wyjść i nie mogłam pójść do nikogo na służbę, bo nie daliście mi państwo referencji. Wstydziłam się wracać do

domu, więc przyjechałam do Londynu.

— Przyjechałaś tu żebrać — odezwał się ojciec z naganą w głosie.

— Papo! — krzyknęła Charlotte.

— Nic nie rozumiesz, Charlotte...

— Świetnie wszystko rozumiem... W bramie pojawiła się mama.

— Charlotte, odsuń się od tej kreatury! — krzyknęła.

— To nie kreatura, to Annie.

— Annie! — zatrzęsła się z oburzenia mama.

— To upadła kobieta!

— Dosyć tego — przerwał ojciec. — W tej rodzinie nie dyskutuje się na ulicy. Natychmiast wracamy do domu.

Charlotte otoczyła ramieniem Annie.

— Ona musi się wykapać, ubrać w nowe rzeczy i zjeść gorące śniadanie.

— Nie bądź śmieszna! — krzyknęła mama. Widok Annie sprawiał, że była bliska hysterii.

— W porządku — zdecydował ojciec. — Zabierz ją 'do kuchni. Podkuchenne są już na nogach. Powiedz im, żeby się nią zaopiekowały. A potem chcę się z tobą zobaczyć w bawialni.

— Stephenie, to szalony pomysł — przerwała mama.

— Wracamy do domu — powtórzył. Weszli do środka.

Charlotte zabrała Annie na dół, do kuchni. Pomywacz szorował właśnie piec, a służąca kroїła bekon na śniadanie. Była piąta rano. Charlotte nie zdawała sobie sprawy, że zaczynają tu pracę tak wcześnie. Kiedy wkroczyła do kuchni w balowej sukni prowadząc za sobą Annie, oboje spojrzeli na nią ze zdumieniem.

— To Annie — oznajmiła Charlotte. — Pracowała u nas w Walden Hall. Wpadła w kłopoty, ale to dobra dziewczyna. Musi się wykapać. Znajdźcie dla niej nowe ubranie i spalcie to, w którym jest. Potem dajcie jej śniadanie.

Na moment zamurowało ich z wrażenia.

— Tak jest, proszę panienki — odezwała się w końcu służąca.

107

— Zobaczę się z tobą później, Annie — powiedziała Charlotte. Annie złapała ją za rękę.

— Dziękuję, proszę panienki. Charlotte

wyszła z kuchni.

Teraz zaczną się kłopoty, pomyślała wchodząc na górę po schodach. Nie przejmowała się jednak tak bardzo. Czuła się niemal zdradzona przez rodziców. Na co zdały się długie lata nauki, skoro w ciągu jednej nocy okazało się, że nie nauczono jej najważniejszych rzeczy? Chodziło im niby o ochronę młodych panienek, ale Charlotte uważała, że oszustwo jest w tym wypadku bardziej odpowiednim słowem. Kiedy uprzytomniła sobie, jaką kompletną ignorantką była aż do dzisiejszej nocy, zrobiło jej się strasznie głupio i ogarnęła ją złość.

Wmaszerowała do bawialni.

Papa stał przy kominku trzymając w dłoni szklanekę. Mama siedziała przy fortepianie i z bolesnym wyrazem twarzy wygrywała minorowe akordy. Zasłony były rozsunięte. O tej porze dnia pokój sprawiał dziwne wrażenie. W popielniczkach leżały niedopałki cygar, zimne poranne światło wydobywało ostre kontury przedmiotów. To był pokój na wieczór, brakowało w nim teraz ciepła i zapalonych lamp, napełnionych kieliszków i lokajów, tłumu

elegancko ubranych ludzi.

Tego ranka wszystko wyglądało inaczej.

— No cóż, Charlotte — zaczął papa. — Nie rozumiesz, jakiego pokroju kobietą jest Annie. Odprawiliśmy ją, bo na to zasłużyła. Zrobiła coś bardzo złego, coś, czego nie mogę ci wyjaśnić...

— Wiem, co zrobiła — przerwała mu Charlotte siadając — i wiem, z kim. Z Jimmym, pomocnikiem ogrodnika.

Mama otworzyła usta.

— Nie sądzę — powiedział papa — żebyś zdawała sobie sprawę, o czym mówisz.

— A jeśli nie zdaję sobie sprawy, to czyja to wina? — wybuchnęła Charlotte. — Jakim sposobem dożyłam osiemnastu lat nie wiedząc, że niektórzy ludzie są tak biedni, że muszą spać na ulicy, że pokojówki, które spodziewają się dziecka, zwalnia się ze służby i że... że mężczyźni są inaczej zbudowani niż kobiety? Nie próbujcie mi wmawiać, że nic z tego nie rozumiem i muszę się jeszcze wiele nauczyć! Całe życie spędziłam ucząc się różnych rzeczy i teraz odkrywam, że większość z nich to były kłamstwa! Jak śmieliście! Jak śmieliście! — Wybuchnęła

plączem i ogarnął ją gniew na samą siebie, że nie potrafi się opanować.

— To staje się zbyt głupie — usłyszała głos mamy. Papa usiadł przy niej i wziął ją za rękę.

— Przykro mi, że tak to odczuwasz — powiedział. — Wszystkie młode dziewczęta utrzymuje się w nieświadomości co do pewnych spraw.

108

Robi się to dla ich własnego dobra. Nigdy cię nie okłamywaliśmy. Jeśli nie mówiliśmy ci, jak bardzo okrutny i bezwzględny jest świat, to tylko dlatego, żebyś cieszyła się tak długo, jak to tylko możliwe, urokami dzieciństwa. Być może popełniliśmy błąd.

— Chcieliśmy uchronić cię przed kłopotami, w które wpadła Annie — wtrąciła mama.

— Nie ująłbym tego w ten sposób — sprzeciwił się łagodnie ojciec. Gniew Charlotte gdzieś się ulotnił. Znowu poczuła się małym dzieckiem. Chciała przytulić głowę do ramienia ojca, ale nie pozwalała jej na to duma.

— Czy wybaczymy sobie wszystko wzajemnie i zostaniemy znowu przyjaciółmi? — spytał.

Nagle poczuła, że musi podzielić się z nimi pomysłem, który właśnie zrodził się w jej głowie.

— Czy zgodzicie się, żeby Annie została moją osobistą pokojówką? — spytała bez zastanowienia.

— Cóż... — zająknął się papa.

— Nawet o tym nie myśl! — krzyknęła histerycznie mama. — To absolutnie wykluczone! Żeby osiemnastoletnia dziewczyna, córka lorda, miała upadłą kobietę za pokojówkę! Nie, absolutnie i nieodwołalnie — nie!

— Więc co z nią będzie? — spytała chłodno Charlotte.

— Powinna była o tym pomyśleć, kiedy... powinna była o tym pomyśleć wcześniej.

— Nie ma takiej możliwości, Charlotte — odezwał się znowu ojciec — abyśmy pozwolili źle prowadzącej się kobiecie zamieszkać w tym domu. Nawet gdybym ja na to pozwolił, oburzona byłaby cała służba. Połowa z nich złożyłaby wymówienie. Nawet teraz będą szeptać po kątach, tylko dlatego, że wpuściliśmy ją do kuchni. Zrozum, nie tylko ja i mama unikamy takich ludzi, wystrzega się ich całe społeczeństwo.

— W takim razie kupię jej dom — odparła Charlotte. — Pozwolę jej się ze mną widywać i zostanie jej przyjaciółką.

— Nie masz pieniędzy — skwitowała jej pomysł mama.

— Zostawiła mi coś niecoś moja rosyjska babka.

— Ale pieniądze pozostają pod moją opieką — powiedział ojciec — aż do chwili ukończenia przez ciebie dwudziestu jeden lat, a ja nie pozwolę użyć ich na ten cel.

— Co się z nią w takim razie stanie? — spytała zdesperowana Charlotte.

— Chcę zawrzeć z tobą umowę — powiedział ojciec. — Ja dam jej pieniądze na przyzwoite mieszkanie i dopilnuję, żeby dostała pracę w fabryce.

— Czego oczekujesz w zamian?

109

— Musisz przyrzec, że nigdy nie będziesz próbowała się z nią kontaktować.

Charlotte poczuła się nagle bardzo zmęczona. Papa znał odpowiedzi na wszystkie pytania. Nie potrafiła się z nim dłużej spierać, jej upór się

wypalił. Westchnęła.

— Dobrze.

— Grzeczna dziewczynka. Cóż, proponuję, żebyś poszła teraz do niej i powiedziała, cośmy ustalili, a potem pożegnała się.

— Nie wiem, czy odważę się spojrzeć jej w oczy. Papa poklepał ją po dłoni.

— Będzie ci bardzo wdzięczna, zobaczysz. Po rozmowie z nią idź spać. Ja już dopilnuję szczegółów.

Charlotte nie wiedziała, czy wygrała ten spór, czy przegrała; czy papa jest okrutny, czy dobry; czy Annie powinna czuć się ocalona, czy odtrącona.

— Dobrze — zgodziła się znużona. Chciała powiedzieć ojcu, że go kocha, ale nie mogło jej to przejść przez gardło. Odczekała chwilę, a potem wstała i wyszła z pokoju.

Następnego dnia po nieudanym zamachu Feliksa obudziła Bridget. Było południe. Czuł się bardzo słaby. Bridget stała przy jego łóżku, trzymając w ręku duży kubek. Feliks usiadł i wziął od niej napój. Był wspaniały. Bridget przyrzędziła go z ciepłego mleka, cukru,

rozpuszczonego masła i drobno pokrajanego chleba. Kiedy go pił, Bridget krzątała się po pokoju robiąc porządki. Śpiewała przy tym sentymentalną piosenkę o chłopcach, którzy oddali życie za Irlandię.

Wyszła i po chwili wróciła z inną Irlandką w podobnym wieku, która była pielęgniarką. Ta zszyla mu dłoń i założyła opatrunek na kłutą ranę na ramieniu. Feliks domyślił się z rozmowy, że kobieta zajmuje się głównie spędzaniem płodów. Bridget wyjaśniła jej, że Feliks wdał się w bójkę w pubie. Pielęgniarka wzięła za wizytę szylinga.

— Nie umrzesz — powiedziała. — Gdybyś dał się od razu opatrzeć, nie straciłbyś tak dużo krwi. Przez kilka dni będziesz osłabiony.

Kiedy sobie poszła, Bridget odbyła z nim długą rozmowę. Była to tęga, prostoduszna kobieta dobiegająca sześćdziesiątki. Kiedy jej mąż wplątał się w kłopoty w Irlandii, schronili się oboje w Londynie, korzystając z anonimowości wielkiego miasta. Tu, wedle jej słów, zapił się na śmierć. Miała dwóch synów, którzy pracowali jako policjanci w Nowym Jorku i córkę, która najęła się do służby w Belfaście. Tkwiąca w niej

gorycz dawała o sobie znać w wygłaszanych co pewien czas sarkastycznych uwagach, skierowanych na ogół przeciw Anglikom.

110

Kiedy zaczęła mu wyjaśniać, dlaczego Irlandia powinna uzyskać autonomię, zasnął. Obudziła go ponownie wieczorem i dała mu ciepłej zupy.

Następnego dnia jego cielesne rany zaczęły się wyraźnie zablizniać. Tym mocniej doskwierały mu rany duchowe. Powróciły desperacja i pogarda dla samego siebie, jakie odczuwał w trakcie ucieczki w parku. Uciekał jak pies z podkulonym ogonem! Jak mogło do tego dojść?

Lidia.

Nazywała się teraz lady Walden.

Zrobiło mu się niedobrze.

Zmusił się do chłodnego rozumowania. Wiedział przecież, że wyszła za męża i wyjechała do Anglii. Było sprawą oczywistą, że Anglik, za którego wyszła, musiał być arystokratą związanym w jakiś sposób z Rosją. Równie oczywiste było to, że człowiek prowadzący pertraktacje z Orłowem z pewnością należy do establishmentu i jest zarazem znawcą

problematyki rosyjskiej. Naturalnie nie mogłem zgadnąć, że tym mężem i dyplomatą okaże się jedna i ta sama osoba, myślał Feliks, ale powinienem przynajmniej wziąć pod uwagę taką możliwość.

Zbieg okoliczności nie wydawał się już tak niesamowity jak na początku, wciąż jednak przyprawiał go o drżenie. Dwa razy w życiu Feliks czuł się całkowicie, ślepo i nieprzytomnie szczęśliwy. Za pierwszym razem zdarzyło mu się to jeszcze przed śmiercią matki, gdy dostał w prezencie czerwoną piłkę. Za drugim razem — kiedy zakochała się w nim Lidia. Nikt jednak nie zabrał mu nigdy jego piłki.

Nie był w stanie wyobrazić sobie większego szczęścia niż to, którego zaznał z Lidią, ani boleśniejszego rozczarowania niż to, które nastąpiło potem. Od tamtej pory nie było w jego życiu uczuciowym niczego, co mogłoby się równać z tą miłością. Po jej wyjeździe przemierzał w przebraniu mnicha rosyjskie bezdroża, niosąc ludziom ewangelię anarchizmu. Mówił chłopom, że ziemia należy do nich, bo ją uprawiają; że drzewo w lesie jest własnością tego, kto je zetnie;

że nikt nie ma prawa nimi rządzić oprócz nich samych; i że samorząd nazywany jest anarchią, ponieważ nie uznaje żadnej wyższej władzy. Był wspaniałym agitatorek i zaprzyjaźnił się z wieloma ludźmi, nigdy jednak nie zakochał się w żadnej kobiecie i miał nadzieję, że nigdy do tego nie dojdzie.

Jego kariera agitatora zakończyła się w roku 1899, podczas ogólnokrajowego strajku studentów. Aresztowano go i zesłano na Syberię. Lata wędrówek uodporniły go na mróz, głód i ból; jednakże dopiero teraz, kiedy przykuty łańcuchem do współwięźniów wydobywał złoto drewnianymi narzędziami, kiedy oglądał ich śmierć i poddawane chłości dzieci i kobiety, poznał, co to gorzycz, desperacja i nienawiść. Syberia nauczyła go surowych zasad: jeśli nie ukradniesz, będziesz głodował, jeśli

111

się nie ukryjesz, pobiją cię, jeśli nie będziesz walczył, zginiesz. Stał się przebiegły i bezlitosny. Tam właśnie dowiedział się, na czym polega tajemnica ucisku: najbardziej skuteczny okazuje się wtedy, kiedy jego ofiary walczą między sobą, a

nie przeciwko swym ciemężycielom.

Uciekł i przebył długą drogę przez szaleństwo; ta droga zakończyła się w dniu, kiedy zabił policjanta pod Omskiem i uzmysłowił sobie, że nie wie, co to strach.

Wrócił do cywilizacji jako rewolucjonista z krwi i kości. Nie mógł uwierzyć, że odczuwał kiedyś skrupuły co do tego, by rzucać bomby na szlachetnie urodzonych, którzy byli właścicielami owych wykorzystujących niewolniczą pracę syberyjskich kopalni. Oburzały go inspirowane przez władze pogromy Żydów na zachodzie i południu Rosji. Drażniły przepychanki między bolszewikami i mieńszewikami na drugim zjeździe Socjaldemokratycznej Partii Rosji. Inspiracją stał się dla niego umieszczony w nagłówku przemyczonego z Genewy pisemka o nazwie Chleb i Wolność cytat z Bakunina: „Żądza niszczenia jest także żądzą tworzenia”. W końcu, przepełniony nienawiścią do rządu i rozczarowany do socjalistów, przybył do Białegostoku, gdzie założył grupę o nazwie „Walka”.

To były wspaniałe lata. Nigdy nie zapomni

młodego Nisana Farbera, który w dniu święta Yom Kipur zakłuł nożem właściciela zakładów tkackich tuż obok synagogi. Sam Feliks zastrzelił naczelnika policji. Potem przeniósł się do Petersburga, gdzie założył następną grupę anarchistów o nazwie „Niezależni” i zorganizował udany zamach na Wielkiego Księcia Siergieja. W roku 1905 Petersburg stał się sceną wielu zamachów, napadów na bank, strajków i zamieszek: zdawało się, że rewolucja wybuchnie lada dzień. Potem nastąpiły represje — były bardziej okrutne i skuteczne, a także znacznie bardziej krwawe od wszystkiego, czego dopuścili się kiedykolwiek rewolucjoniści. Tajna policja wtargnęła w nocy do domów członków „Niezależnych” i wszyscy zostali aresztowani; wszyscy oprócz Feliksa, który zabił jednego policjanta, okaleczył drugiego i zbiegł do Szwajcarii. Nikt wtedy nie był już w stanie go pokonać. Wypełniał go gniew i determinacja, był silny i bezwzględny.

W ciągu wszystkich tych lat, także tych spokojniejszych, które spędził w Szwajcarii, nigdy się z nikim nie związał. Byli ludzie, do których

żywił w miarę przyjazne uczucia: w Gruzji zaprzyjaźnił się z pewnym pasterzem, w Białymstoku ze starym Żydem, który montował dla nich bomby, w Genewie z Ulrichem. Wszyscy oni jednak pojawiali się i po jakimś czasie znikali bezpowrotnie z jego życia. Były także kobiety. Wiele wyczuwało instynktem jego gwałtowną naturę i stroniło od niego, te jednak, które zafascynował, ulegały mu całkowicie. Od czasu do czasu ulegał pokusie, ale zawsze doznawał większego .lub mniejszego roz-

112

czarowania. Rodzice Feliksa zmarli, siostry zaś nie widział od dwudziestu lat. Kiedy spoglądał wstecz, całe swoje życie po romansie z Lidią widział jako powolny proces anestezji. Więzienie i tortury, pracę w łańcuchach i długą, nieludzką ucieczkę z Syberii udało mu się przetrwać tylko dzięki temu, że z każdym dniem stawał się coraz mniej wrażliwy. Nie dbał o własne życie i dzięki temu zapomniał, co to strach, bać się bowiem można tylko o to, co stanowi przedmiot troski.

Odpowiadał mu taki stan rzeczy.

Nie obdarzał miłością konkretnych ludzi,

kochał całą ludzkość w ogóle. Współczuł głodującym chłopom, chorym dzieciom, przerażonym żołnierzom i okaleczonym górnikom. Nie nienawidził nikogo w szczególności; jego wrogami byli po prostu wszyscy książęta, właściciele ziemscy, kapitaliści i generałowie.

Wiedział, że składając życie na ołtarzu wyższej sprawy, upodabnia się do kogoś w rodzaju kapłana, a w szczególności do jednego z nich: do swego ojca. Nie czuł się już upokorzony tym porównaniem. Szanował idealizm ojca, pogardzając jednocześnie sprawą, której tamten służył. On, Feliks, wybrał właściwą drogę. Jego życie nie pójdzie na marne.

Takim właśnie stał się człowiekiem, kiedy minęły uniesienia młodości. Doszedł teraz do wniosku, że tym, co go obezwładniło, kiedy usłyszał krzyk Lidii, była myśl, że mógł stać się kimś zupełnie innym, mógł zostać czułym i kochającym mężczyzną, wspaniałym kochankiem, człowiekiem, którego duszę wypełnia zazdrość, chciwość, próżność i strach. Czy wolałbym być kimś takim? — pytał sam

siebie. Tamten mężczyzna marzyłby wyłącznie o tym, by wpatrywać się w jej duże, szare oczy i gładzić wspaniałe blond włosy; przyglądałby się jej, jak chichocze bezradnie nie mogąc nauczyć się gwizdać; prowadziłby z nią spór na temat Tolstoja; jadłby z nią razowy chleb i wędzonego śledzia, i obserwował grymas, z jakim połyka swój pierwszy kieliszek wódki. Taki mężczyzna nadawałby się tylko do zabawy.

Pilnowałby również, żeby jej niczym nie urazić. Troszczyłby się o jej szczęście. Nie pociągnąłby za spust w obawie, że może trafić ją rykoszet. Nie odważyłby się zgładzić jej siostrzeńca, wiedząc, że Lidia polubiła tego chłopca. Z kogoś takiego marny byłby rewolucjonista.

Nie, myślał zasypiając, nie chciałbym być takim człowiekiem. Nie jest nawet niebezpieczny.

W nocy śniło mu się, że zastrzelił Lidię. Kiedy się obudził, nie pamiętał, czy sprawiło mu to przykrość.

Trzeciego dnia wyszedł na dwór. Bridget dała mu koszulę i płaszcz po mężu. Niezbyt na niego pasowały, bo nieboszczyk był grubszy i niższy.

Spodnie i buty Feliksa wciąż nadawały się do użytku i Bridget zmyła z nich krew.

8 – Człowiek.

113

Naprawił rower, który rozbił się spadając ze schodów. Wyprostował pogięte koło, naprawił dętkę i zalepił pęknięte skórzane siodełko. Wdrapał się na nie i przejechał kilka metrów, natychmiast jednak zdał sobie sprawę, że jest zbyt słaby, by wypuszczać się na dłuższe wycieczki. Poszedł więc piechotą.

Był wspaniały, słoneczny dzień. W stoisku z używanymi rzeczami na Mornington Crescent dopłacił pół pensa i zamienił palto, które dała mu Bridget, na lżejszy, pasujący na niego płaszcz. Idąc ulicami Londynu i rozkoszując się letnią pogodą, czuł się w szczególny sposób szczęśliwy. Nie mam się z czego cieszyć, mitygował się: mój brawurowy, opracowany do najmniejszego szczegółu plan zamachu nie powiódł się z powodu jakiejś kobiety, która narobiła krzyku, i podstarzałego arystokraty, który pchnął mnie szpadą. Cóż to za żalosna klęska!

Doszedł do wniosku, że to Bridget dodała mu

otuchy. Domyśliła się, że wpadł w tarapaty i bez namysłu udzieliła mu pomocy. Była w niej wielkoduszność ludu, w imię którego strzelał, rzucał bomby i dał się poranić szpadą. Ta wielkoduszność dodawała mu sił.

Przeciął park św. Jakuba i zajął swój tradycyjny posterunek naprzeciwko domu Waldenów. Popatrzył na stare ściany z białego kamienia i wysokie, eleganckie okna. Możecie mnie powalić, myślał, ale nie zdołacie mnie zniszczyć; gdybyście wiedzieli, że jestem tutaj z powrotem, ugięłyby się pod wami nogi w butach z miękkiej skóry.

Feliks usiadł i obserwował. Problem polegał na tym, iż nieudany zamach spowodował, że jego ofiara ma się teraz na baczności. Zabicie Orłowa może obecnie okazać się naprawdę trudne, książe przedsięwziął bowiem z pewnością jakieś kroki ostrożności. Nie szkodzi, pomyślał, dam sobie z tym radę.

O jedenastej rano przez bramę wyjechał powóz. Feliksowi zdawało się, że widzi za szybą twarz z równo przyciętą bródką: to był Walden. Powóz przyjechał z powrotem o pierwszej.

Wyjechał ponownie o trzeciej. Tym razem w środku zamajaczył damski kapelusze. Należał najprawdopodobniej do Lidii albo do jej córki. Kimkolwiek była pasażerka, wróciła do domu o piątej. Wieczorem przybyło kilku gości. Rodzina najwyraźniej jadła kolację w domu. Orłów się nie pojawił. Wyglądało na to, że wyprowadził się z domu.

Znajdę go, gdziekolwiek się schował, pomyślał Feliks.

W drodze powrotnej do Camden Town kupił gazetę. Kiedy zjawił się w domu, Bridget zaprosiła go na herbatę, przeczytał więc gazetę u niej w salonie. W kronice towarzyskiej i dworskiej nie było żadnej wzmianki o Orłowie.

Bridget zauważyła, co Feliks czyta.

— Interesująca rubryka dla kogoś takiego jak ty — powiedziała

114

i ironią. — Zastanawiasz się pewnie, na jaki bal wybrać się dzisiejszej nocy.

Feliks uśmiechnął się i nic nie odpowiedział.

— Wiem, kim jesteś — oznajmiła. — Jesteś anarchistą. Znieruchomiał.

— Kogo masz zamiar zabić? — zapytała. — Mam nadzieję, że chodzi ci o tego łajdaka króla. — Siorbnęła głośno herbatę. — Nie patrz tak na mnie. Wyglądasz, jakbyś chciał poderżnąć mi gardło. Nie musisz się obawiać, nikomu o tobie nie powiem. Mój mąż załatwił kiedyś paru Anglików.

Feliksowi zrobiło się głupio. A więc domyśliła się... domyśliła i zaakceptowała! Nie wiedział, co ma powiedzieć. Wstał i złożył gazetę.

— Dobra z ciebie kobieta — wyjąkał.

— Gdybym była o dwadzieścia lat młodsza, dałabym ci buziaka. Zabieraj się stąd, zanim się zapomnę.

— Dziękuję za herbatę — powiedział i wyszedł.

Resztę wieczoru spędził w obskurnej izbie w suterenie, gapiąc się w ścianę i rozmyślając. Oczywiście Orłów przyczaił się gdzieś, ale gdzie? Jeśli nie ma go w domu Waldenów, mógł zamieszkać albo w ambasadzie rosyjskiej, albo w domu któregoś z jej pracowników, albo w hotelu, albo w domu któregoś z przyjaciół Waldena. Mógł nawet wyjechać z Londynu i zaszyć się w jakimś

domu na wsi. Nie było sposobu, aby sprawdzić wszystkie te możliwości.

Sprawa nie wyglądała łatwo. Zaczęło go to martwić.

Zastanawiał się, czy nie powinien śledzić Waldena. To mogło okazać się dla niego jedynym wyjściem, a jednak wcale nie dawało gwarancji sukcesu. Rowerzysta mógł poruszać się w Londynie dostatecznie szybko, by dotrzymać tempa powozowi, byłoby to jednak bardzo wyczerpujące. Feliks wiedział, że poszukiwania nie mogą trwać zbyt długo. Przypuśćmy, że w ciągu trzech dni Walden odwiedzi kilka prywatnych domów, dwa albo trzy urzędy, jeden czy drugi hotel, a na dodatek ambasadę — skąd Feliks ma wiedzieć, w którym z tych miejsc ukrywa się Orłów? Sprawdzenie tego było możliwe, wymagało jednak dużo czasu.

Tymczasem negocjacje będą posuwać się naprzód, przybliżając nieuchronnie wybuch wojny.

Niewykluczone było także, że Orłów siedzi nadal w domu Waldenów nie wytykając nosa za próg.

Feliks poszedł spać starając się rozwikłać ów problem. Rano obudził się z gotowym rozwiązaniem.

Zapyta Lidie.

Wyczyścił buty, umył włosy i ogolił się. Pożyczył od Bridget biały bawełniany szalik i okręcił go wokół szyi, skrywając tym fakt, że nie

115

posiada ani kołnierzyka, ani krawata. W stoisku z używanymi rzeczami na Mornington Crescent znalazł pasujący na niego melonik. Przejrzał się w popękany, przymglonym lusterku sprzedawcy. Miał wygląd niebezpiecznie godny szacunku. Ruszył w stronę śródmieścia.

Nie miał pojęcia, jak Lidia zareaguje na jego widok. Był całkowicie pewien, że nie rozpoznała go tamtej nocy; miał zakrytą twarz i jej krzyk był reakcją na widok nieznanego, uzbrojonego mężczyzny. Co zrobi Lidia, kiedy on wedrze się do jej domu? Czy wyrzuci go po prostu za drzwi? Czy zrzuci z siebie natychmiast ubranie, tak jak robiła to niegdyś? Czy przybierze obojętny wyraz twarzy i będzie traktować go jak kogoś, z kim zetknęła się kiedyś w młodości i czyj los wcale już jej nie

obchodzi?

Chciał, żeby była wstrząśnięta, oszołomiona i wciąż w nim zakochana. Wtedy być może uda mu się wydobyć od niej tajemnicę.

Nagle zdał sobie sprawę, że nie może sobie przypomnieć, jak ona wyglądała. To było bardzo dziwne. Pamiętał jej sylwetkę, niezbyt tęgą i niezbyt szczupłą, jej jasne włosy i szare oczy; nie mógł jednak odtworzyć w pamięci dokładnego obrazu całości. Kiedy koncentrował się na jej nosie, widział go, mógł także wyobrazić ją sobie w niewyraźnych zarysach, w lodowatym świetle petersburskiego wieczoru. Kiedy usiłował poprawić ostrość, obraz rozpływał się we mgle.

Przeszedł przez park i zatrzymał się przed samym domem. Była dziesiąta rano. Czy domownicy już wstali? Powinien chyba zaczekać, aż Walden opuści dom. Przyszło mu do głowy, że może przecież spotkać w hallu Orłowa, a nie ma przy sobie broni.

Jeśli go zobaczę, zaduszę go gołymi rękami, pomyślał.

Zastanawiał się, co robi teraz Lidia. Może się ubiera. No tak, pomyślał, mogę sobie wyobrazić,

jak stoi właśnie w gorsecie przed lustrem i szczotkuje sobie włosy. Albo je śniadanie. Na stół podano jajka, mięso i ryby, ale ona zadowoli się małym kawałkiem miękkiej rolady i plasterkiem jabłka.

Pod drzwi podjechał powóz. Po minucie albo dwóch ktoś wsiadł do niego i powóz ruszył ku bramie. Kiedy wyjeżdżał, Feliks stał po drugiej stronie alei. Nagle zorientował się, że patrzy wprost na Waldena wyglądającego przez okno powozu, a ten odwzajemnia jego spojrzenie. Miał ochotę krzyknąć: „Hej, Walden, ja pieprzyłem ją pierwszy!”, lecz zamiast tego wykrzywił twarz w uśmiechu i uchylił kapelusza. Walden skinął głową i powóz przejechał.

Feliks zastanawiał się, dlaczego ogarnęło go takie podniecenie.

Wszedł przez bramę i przeciął dziedziniec. W każdym oknie stały kwiaty. No tak, przeszło mu przez głowę, ona zawsze uwielbiała kwiaty. Wspiął się po schodach na ganek i pociągnął za dzwonek przy frontowych drzwiach.

Po chwili drzwi otworzył służący. Feliks wszedł do środka.

— Dzień dobry — powiedział.

— Dzień dobry, sir — odparł tamten.

A zatem sprawiam wrażenie kogoś dystyngowanego.

— Chciałbym widzieć się z lady Walden. Sprawa jest bardzo pilna. Nazywam się Konstanty Dmitrycz Lewin. Pewien jestem, że lady pamięta mnie z Petersburga.

— Tak jest, proszę pana. Konstanty...?

— Konstanty Dmitrycz Lewin. Oto moja wizytówka... — Feliks pogrzebał w kieszeniach płaszcz. — Niestety, nie mam przy sobie żadnej.

— Nie szkodzi, proszę pana. Konstanty Dmitrycz Lewin.

— Tak jest.

— Pan będzie tak dobry i zaczeka tutaj. Zobaczę, czy lady może pana przyjąć.

Feliks skinął głową i lokaj oddalił się.

6.

kzekretarzyk w stylu królowej Anny należał do ulubionych mebli Lidii w londyńskim domu. Miał dwieście lat i zrobiony był z czarnej laki ozdobionej złotym ornamentem przedstawiającym chińskie pagody, wierzby, wyspy i kwiaty. Kłapa z przodu rozkładała się tworząc blat do pisania i odkrywając obite czerwonym aksamitem przegródki na listy i małe szufladki na papeterię i przybory do pisania. Niżej znajdowały się obszerne szuflady, na górze zaś oszklona szafka na książki. W starym lustrze odbijał się zamazany, zniekształcony obraz pokoju porannego.

Na blacie leżał nie dokończony list do jej siostry, matki Aleksa mieszkającej w Petersburgu. Lidia stawiała małe, nieporządne litery. Nie wiem, co myśleć o Charlotte, napisała po rosyjsku i odłożyła pióro. Wpatrywała się w zamyśleniu w zamglone lustro.

Zapowiadał się sezon pełen wydarzeń, niestety w najgorszym tego słowa znaczeniu. Sądziła, że

protest sufrażystki na dworze i napad szaleńca w parku wyczerpał tegoroczny limit katastrof. I rzeczywiście na kilka dni zapanował spokój. Charlotte miała udany debiut. Aleks schronił się w hotelu „Savoy”, nie brał więc udziału w życiu towarzyskim i nie zakłócał już jej spokoju. Pierwszy bal Belindy okazał się bardzo udany. Tego wieczoru Lidia zapomniała o swoich kłopotach i wspaniale się bawiła. Tańczyła walca, polkę, tango, two-stepa, a nawet fokstrota. Za partnerów miała połowę Izby Lordów, kilku olśniewających młodzieńców, a przede wszystkim własnego męża. Właściwie nie było w najlepszym tonie tańczyć tak długo z własnym małżonkiem, ale Stephen wyglądał tak urzekająco we fraku i białym krawacie, a poza tym tańczył tak świetnie, że nie mogła sobie odmówić tej przyjemności. W jej małżeństwie nastał teraz zdecydowanie jeden z najlepszych okresów. Kiedy spoglądała wstecz, miała wrażenie, że jej stosunki ze Stephenem układały się najlepiej

118

właśnie podczas tego sezonu. A teraz nagle pojawiła się Annie i wszystko popsuła.

Lidia z trudem przypominała ją sobie jako pokojówkę w Walden Hall. Nie sposób znać całej służby w tak dużym majątku: pięćdziesiąt osób pracowało w samym domu, poza tym byli ogrodnicy i parobcy. Nie wszyscy z nich znali też dobrze swoich państwa; słynny był przypadek, kiedy Lidia zatrzymała przechodzącą przez sień pokojówkę pytając, czy pan jest w swoim pokoju. „Pójdę zobaczyć, madame — odparła tamta — a kogo mam zapowiedzieć?”

Lidia pamiętała jednak dzień, kiedy pani Braithwaite, ochmistrzyni Walden Hall, przyszła do niej z wiadomością, że Annie będzie musiała odejść, bo zaszła w ciążę. Pani Braithwaite nie wymówiła słowa „ciąża”; użyła słów „wykroczenie przeciwko zasadom moralności”. Zarówno Lidia, jak i pani Braithwaite były zakłopotane, ale bynajmniej nie wstrząśnięte, takie rzeczy zdarzały się już bowiem pokojówkom w przeszłości i będą się zdarzać zawsze. Czekają je w takich wypadkach zwolnienie z pracy — tylko w ten sposób można było prowadzić szanujący się dom — naturalnie bez referencji. Odprawiona pokojówka nie była w stanie nająć się gdzie

indziej do służby; na ogół jednak nie musiała szukać pracy, gdyż albo wychodziła za mąż za ojca dziecka, albo wracała do rodziców. Taka dziewczyna mogła po wielu latach, kiedy już odchowwała dzieci, wrócić do pracy w majątku jako praczka, pomywaczka albo osoba pełniąca inne posługi, pod warunkiem, że nie będzie stykać się ze swoimi chlebodawcami.

Lidia była przekonana, że życie Annie potoczyło się tym właśnie utartym torem. Pamiętała, że młody ogrodnik rzucił pracę bez wypowiedzenia i uciekł na morze — utkwilo jej to w pamięci tylko z powodu trudności ze znalezieniem obecnie kogoś do pracy w ogrodzie za rozsądnym wynagrodzeniem — ale naturalnie nikt nie powiadomił jej o związku łączącym Annie i tego chłopca.

Nie jesteśmy wcale okrutni, myślała; w porównaniu z innymi chlebodawcami traktujemy służbę w miarę łagodnie. Mimo to Charlotte zareagowała tak, jakbym to ja była winna temu, co przydarzyło się Annie. Nie wiem, gdzie nauczyła się rozumować w ten sposób. Cóż ona takiego powiedziała? „Wiem, co zrobiła Annie i

wiem, z kim". Na litość boską, gdzie to dziecko nauczyło się mówić w ten sposób? Poświęciłam całe życie na to, żeby wyrosła z niej czysta, niewinna i przyzwoita dziewczyna, żeby nie była podobna do mnie... Nawet o tym nie myśl...

Zanurzyła pióro w kałamarzu. Chętnie podzieliłaby się z siostrą swymi troskami, ale tak trudno przelać je na papier. Trudno nawet je wypowiedzieć, pomyślała. To Charlotte była osobą, której naprawdę

119

chciała powierzyć swoje myśli. Dlaczego zawsze, kiedy próbuję to zrobić, staję się krzykliwa i apodyktyczna? Do pokoju wszedł Pritchard.

— Chce się z panią widzieć niejaki Konstanty Dmitrycz Lewin. Lidia zmarszczyła brwi.

— Nie sędzę, żebym znała kogoś o tym nazwisku.

— Ten dżentelmen twierdzi, że sprawa jest pilna, lady Walden, i że powinna go pani pamiętać z Petersburga. — Pritchard nie wyglądał na przekonanego.

Lidia zawahała się. Nazwisko wydawało jej się

znajome. Od czasu do czasu odwiedzali ją w Londynie Rosjanie, których znała przedtem tylko przelotnie. Zaczynali na ogół od propozycji przewiezienia jej listów do Rosji, a kończyli prosząc o pożyczkę na koszty przejazdu. Lidia chętnie im pomagała.

— Dobrze — powiedziała. — Wprowadź go tutaj.

Pritchard wyszedł. Lidia ponownie zanurzyła pióro w kałamarzu. Co może zrobić matka, napisała, kiedy jej dziecko ma osiemnaście lat i chce postępować po swojemu? Stephen uważa, że za bardzo się zamartwiam. Chciałabym...

Nie potrafię nawet odbyć zasadniczej rozmowy ze Stephenem, pomyślała. On nie traktuje mnie poważnie, bagatelizuje wszystkie moje obawy.

Drzwi otworzyły się.

— Pan Konstanty Dmitrycz Lewin — oznajmił Pritchard.

— Zaraz się panem zajmę, panie Lewin — powiedziała przez ramię Lidia. Mówiła po angielsku. Usłyszała, jak lokaj zamyka drzwi, i dokończyła zdanie: ...mu wierzyć. Odłożyła pióro

i odwróciła się.

— Jak się masz, Lidio — odezwał się do niej po rosyjsku.

— O, mój Boże — wyszeptała.

Miała wrażenie, jakby na serce opadło jej coś zimnego i ciężkiego. Zabrakło jej powietrza. Stał przed nią Feliks: wysoki i szczupły jak zawsze, w nędznym płaszczu i szaliku. W lewej ręce trzymał nieporadnie angielski melonik. Jego rysy wydawały się tak znajome, jakby ostatnim razem widziała go zaledwie wczoraj. Włosy miał wciąż długie i czarne, ani jednej siwej nitki. Patrzyła na jego białą skórę, na nos przypominający zakrzywione ostrze, na szerokie, ruchliwe usta i smutne, delikatne oczy.

— Przykro mi, że mój widok tak tobą wstrząsnął — powiedział. Lidia nie była w stanie się odezwać. Walczyły w niej sprzeczne

uczucia: strach, radość, przerażenie i miłość. Wpatrywała się w niego. Postarzał się. Twarz pokryły mu bruzdy: dwie ostre zmarszczki na policzkach i dwie inne biegnące w dół od kącików ust. Wyryły je ból i trud. W jego spojrzeniu odnalazła coś, czego nie było tam przedtem —

może bezwzględność, może okrucieństwo, może tylko upór. Wydawał się zmęczony.

On także bacznie się jej przyglądał.

— Wciąż wyglądasz jak dziewczyna — w jego głosie było zdumienie. Oderwała od niego oczy. Serce waliło jej jak młotem. Teraz dominował

w niej lęk. Jeśli Stephen wróci wcześniej, wejdzie tutaj, zapyta mnie wzrokiem, kim jest ten mężczyzna, a ja obleję się rumieńcem i zacznę mamrotać coś bez ładu i składu...

— Odezwij się — powiedział. Spojrzała na niego ponownie.

— Odejdź — odezwała się z wysiłkiem.

— Nie.

Nagle zdała sobie sprawę, że nie ma dość siły woli, żeby go przepędzić. Spojrzała na dzwonek, którym mogła wezwać Pritcharda. Feliks uśmiechnął się, jakby domyślał się, co chodzi jej po głowie.

— Minęło dziewiętnaście lat — powiedział.

— Postarzałeś się — odparła szorstko.

— Ty też się zmieniłaś.

— Czego się spodziewałeś?

— Właśnie tego — rzekł. — Że będziesz się bała przyznać przed samą sobą, że jesteś szczęśliwa na mój widok.

Zawsze potrafił przejrzeć ją na wylot swymi łagodnymi oczyma. Nie było sensu dalej udawać. Potrafił rozszyfrować każdy fałsz, przejrzał ją od momentu, kiedy po raz pierwszy spotkały się ich oczy.

— No więc jak? — spytał. — Jesteś szczęśliwa?

— Jestem także przestraszona — odparła i zdała sobie sprawę, że odpowiedziała twierdząco na jego pytanie. — A ty? — dodała pośpiesznie. — Co czujesz?

— W zasadzie nie mam już bogatego życia uczuciowego — odparł. Twarz wykrzywił mu dziwny, bolesny uśmiech. Nigdy nie widziała, by się tak uśmiechał w dawnych czasach. Poczowała intuicyjnie, że powiedział prawdę.

Przysunął sobie krzesło i usiadł blisko niej. Szarpnęła się konwulsyjnie do tyłu.

— Nie zrobię ci nic złego — powiedział.

— Nie zrobisz mi nic złego? — Jej śmiech zabrzmiał nieoczekiwanie cienko. —
Doprowadzisz mnie do zguby!

— To ty doprowadziłaś mnie do zguby — powiedział i zamilkł, jakby zdumiały go jego własne słowa.

— Nie miałam takiego zamiaru.

Spostrzegła, że jest cały napięty. Zapadło ciężkie milczenie. Wykrzywił znowu twarz w tym zbolonym uśmiechu i zapytał:

121

— Co się stało?

Zawahała się. Uprzytomniła sobie, że przez całe życie pragnęła mu to wyjaśnić.

— Tego wieczoru, kiedy podarłeś mi suknię... — zaczęła.

— Co zrobisz z tym rozdarciem? — zapytał Feliks.

— Zaszyje je pokojówka, zanim jeszcze dojedziemy do ambasady — odparła Lidia.

— Twoja pokojówka nosi przy sobie przybory do szycia?

— Po cóż innego miałabym zabierać ją ze sobą na kolację?

— No właśnie? — Leżał na łóżku patrząc, jak Lidia się ubiera. Wiedziała, że lubi jej się wtedy przypatrywać. Raz nawet odegrał przed nią scenę,

naśladowując ją, jak wciąga majtki i śmieli się wtedy do rozpuku.

Zabrała mu suknię i wsunęła się w nią.

— Ubranie się na bal zajmuje kobiecie przeciętnie godzinę — powiedziała. — Zanim cię poznałam, nie miałam pojęcia, że można to zrobić w pięć minut. Zapnij mnie z tyłu.

Przejrzała się w lustrze i doprowadziła do porządku włosy, podczas gdy on zapinał jej haftki. Kiedy skończył, pocałował ją w ramię. Zgięła szyję.

— Nie zaczynaj znowu — powiedziała. Podniosła stary, brązowy płaszcz i podała mu go.

Pomógł go jej włożyć.

— Kiedy wychodzisz, gasną światła — powiedział. Wzruszyło ją to. Nieczęsto był taki sentymentalny.

— Wiem, jak się czujesz — odparła.

— Przyjdiesz jutro?

— Tak. — Pocałowała go stojąc w drzwiach. — Dziękuję — powiedziała.

— Kocham cię jak szalony — odparł.

Wyszła. Zbiegając w dół po schodach usłyszała za sobą hałas i odwróciła się. Zza uchylonych

drzwi sąsiedniego mieszkania obserwował ją jakiś mężczyzna. Kiedy na niego spojrzała, wydawał się zakłopotany. Skinęła mu grzecznie głową, a on cofnął się do środka. Przyszło jej do głowy, że chyba słyszał przez ścianę, jak się kochali. Nie dbała o to. Wiedziała, że to, co robi, jest niegodziwe i bezwstydné, ale nie chciała zaprzętać sobie tym głowy.

Wyszła na ulicę. Na rogu czekała na nią pokojówka. Przeszły razem do parku, gdzie oczekiwał powóz. Wieczór był zimny, ale Lidię grzał od środka jej wewnętrzny ogień. Zastanawiała się często, czy ludzie są

122

w stanie poznać, po samym jej wyglądzie, że zaledwie przed chwilą oddawała się rozkoszy.

Stangret rozłożył przed nią schodki powozu, unikając przy tym jej wzroku. On wie, pomyślała zaskoczona, ale w chwilę potem uznała, że chyba jej się przywidziało.

W powozie pokojówka pośpiesznie zszyła rozdarcie na sukni. Lidia zdjęła brązowy płaszcz i włożyła futro. Pokojówka poprawiła jej włosy. Lidia wręczyła jej dziesięć rubli za milczenie. W

chwilę później zatrzymali się przed ambasadą brytyjską.

Lidia przybrała odpowiedni wyraz twarzy i weszła do środka.

Odkryła, że wcale nie jest jej trudno się przestawić i stać się z powrotem skromną, dziewczyną Lidią, taką jaką znało jej środowisko. Kiedy tylko wracała do normalnego świata, przerażała ją brutalna siła uczucia, które żywiła do Feliksa i naprawdę stawała się delikatną, kruchą lilią. Nie było w tym udawania. W istocie przez większość czasu czuła, że jej prawdziwym „ja” jest ta dobrze ułożona panienka i że dopiero w obecności Feliksa opanowuje ją jakaś obca siła. Ale kiedy była w jego mieszkaniu, a także w środku nocy, kiedy leżała we własnym łóżku, wiedziała, że źródłem zła jest jej oficjalne wcielenie, ono bowiem pozbawiało jej największej rozkoszy, jakiej w życiu doznała.

Pojawiła się na balu ubrana w twarzową biel, młodziutka i nieco zdenerwowana.

Spotkała się ze swym kuzynem Kiryłem, który stanowił jej oficjalną eskortę. Był wdowcem i pracował w ministerstwie spraw zagranicznych.

Miał trzydzieści kilka lat i irytujący charakter. Nie lubili się zbytnio, ale ponieważ on nie miał żony, a rodzice Lidii nie uczestniczyli na ogół w życiu towarzyskim, Lidia i Kirył dyskretnie dali wszystkim do zrozumienia, że powinno się ich zapraszać razem. Lidia zawsze mu powtarzała, żeby się nie fatygował i nie przyjeżdżał po nią do domu. Dzięki temu udawało jej się potajemnie spotykać z Feliksem.

— Spóźniłaś się — zauważył Kirył.

— Przykro mi — przeprosiła go nieszczercze.

Kirył zabrał ją do salonu. Powitał ich ambasador w towarzystwie żony, a potem przedstawieni zostali lordowi Highcombe'owi, starszemu synowi earla Waldena. Był wysokim, przystojnym mężczyzną koło trzydziestki w dobrze skrojonym, choć niezbyt wyszukanym ubraniu. Z krótko przyciętymi, jasnobrązowymi włosami i błękitnymi oczyma wyglądał jak typowy Anglik. Miał uśmiechniętą, otwartą twarz, którą Lidia uznała za dość pociągającą. Mówił dobrze po francusku. Przez chwilę uprzejmie konwersowali ze sobą, a potem Highcombe został przedstawiony komu innemu.

— Wygląda raczej przyjemnie — powiedziała Kuryłowi.

— Nie daj się nabrać — odparł Kurył. — Powiadają, że z niego niezły numer.

— Zdziwiasz mnie.

— Grywa w karty z kilkoma moimi znajomymi, oficerami. Opowiadali mi, że raz czy drugi udało mu się ich spić do nieprzytomności.

— Tyle wiesz o innych, ale zawsze są to same złe rzeczy. Cienkie wargi Kuryła wykrzywiły się w uśmiechu.

— Czy to moja wina, czy ich? — spytał.

— Skąd się tu wziął?

— W Petersburgu? Mówią, że ma bardzo bogatego ojca, choleryka, którego nie chce oglądać na oczy. Jeździ więc po świecie, pijąc i grając w karty w oczekiwaniu na śmierć starego.

Lidia nie spodziewała się, że będzie miała okazję porozmawiać jeszcze z lordem Highcombe'em, ale żona ambasadora uznała, że pasują do siebie i posadziła ich obok siebie przy stole. Tym razem to on próbował rozpocząć rozmowę.

— Czy zna pani może ministra finansów? — zapytał.

— Niestety nie — odparła chłodno. Znała go, oczywiście, bardzo dobrze, był ulubieńcem cara; ale ożenił się z kobietą, która nie dosyć, że rozwódka, była na dodatek Żydówką. Z tego właśnie powodu ludzie raczej go nie zapraszali. Nagle uświadomiła sobie, jak bardzo Feliksowi nie spodobałyby się tego rodzaju przesady.

— Bardzo chciałbym go poznać. Uważam go za człowieka o olbrzymiej energii, wybiegającego myślą naprzód. Jego projekt kolei transsyberyjskiej jest wspaniały. Słyszałem jednak, że ludzie nie uważają go za dość dystyngowanego.

— Siergiej Julewicz Witte jest z pewnością lojalnym sługą naszego ukochanego monarchy — odparła uprzejmie Lidia.

— Niewątpliwie — potwierdził Highcombe i odwrócił się do partnerki siedzącej po drugiej stronie.

Uznał, że jestem nudna, pomyślała Lidia.

— Czy dużo pan podróżował? — zapytała go po chwili.

— Podróże zajmują mi większość czasu — odparł. — Prawie co rok jestem w Afryce. Poluję tam na grubego zwierza.

— Fascynujące! Na co pan polował?

— Na lwy, na słonie... raz upolowałem nawet nosorożca.

— W dżungli?

— Polowania odbywają się na sawannie, na wschodzie, ale raz zapędziłem się aż po lasy tropikalne, po prostu żeby je zobaczyć.

— Czy są takie jak na ilustracjach w książce?

— Tak, łącznie z tym, że można tam spotkać nagich, czarnych Pigmejów.

124

Lidia poczuła, że oblewa się rumieńcem i odwróciła się w drugą stronę. Dlaczego musiał to powiedzieć? — pomyślała. Nie odezwała się już do niego ani słowem. Rozmawiali ze sobą wystarczająco długo, aby uczynić zadość wymogom etykiety, lecz najwyraźniej żadne z nich nie odczuwało potrzeby, by pozwolić sobie na coś więcej.

Po kolacji pograła trochę na wspaniałym fortepianie ambasadora, a potem Kirył zabrał ją

do domu. Położyła się zaraz do łóżka, żeby śnić o Feliksie.

Następnego ranka, po śniadaniu, służący wezwał ją do gabinetu ojca.

Książę był niskim, szczupłym, liczącym sobie pięćdziesiąt pięć lat, wiecznie rozdrażnionym mężczyzną. Lidia była najmłodsza z rodzeństwa, jej dwaj bracia dawno się już ożenili, a siostra wyszła za mąż. Matka żyła, ale wciąż skarżyła się na złe samopoczucie. Książę rzadko widywał kogoś ze swojej rodziny. Większość czasu spędzał na czytaniu książek. Miał starego przyjaciela, z którym grywał czasami w szachy. Lidia mgliście przypominała sobie czasy, kiedy wszystko wyglądało inaczej, kiedy byli wesołą rodziną zasiadającą wspólnie przy stole w jadalni; ale to było dawno temu. Teraz wezwanie do gabinetu mogło oznaczać tylko jedno: kłopoty.

Kiedy weszła, ojciec stał przy biurku z założonymi do tyłu rękoma. Twarz miał ściągniętą gniewem. Przy drzwiach stała pokojówka; policzki miała mokre od łez. Lidia domyśliła się, o co chodzi, i poczuła, jak przebiega ją dreszcz.

— Spotykałaś się potajemnie z mężczyzną! —
zagrzmiał bez zbędnych ceregieli książę.

Lidia skrzyżowała ręce, żeby powstrzymać
drżenie ramion.

— Jak się dowiedziałeś? — powiedziała
rzucając oskarżycielskie spojrzenie pokojówce.

Ojciec chrząknął oburzony.

— Nie patrz tak na nią — powiedział. —
Stangret opowiedział mi o twoich wyjątkowo
długich spacerach po parku. Wczoraj pojechałem
za tobą. — Znowu podniósł głos. — Jak mogłaś
postępować w ten sposób... jak wiejska dziewczka!

Ile wie? Z pewnością nie wszystko.

— Zakochałam się — powiedziała.

— Zakochałaś się? — ryknął. — Chcesz chyba
powiedzieć, że dostałaś cieczi!

Przestraszyła się, że chce ją uderzyć. Cofnęła
się kilka kroków i szykowała do ucieczki.
Wiedział o wszystkim. To była totalna katastrofa.
Co robić?

— Najgorsze jest to — mówił dalej — że nie
możesz za niego wyjść za mąż.

125

Lidia osłupiała. Przygotowana była na to, że

wyrzucą ją z domu, wydziedziczą i upokorzą, ale on obmyślił dla niej gorszą karę.

— Dlaczego? — krzyknęła.

— Bo to chłop pańszczyźniany i na dodatek anarchista do szpiku kości. Nie rozumiesz? Jesteś zgubiona.

— Więc pozwól mi go poślubić i żyć w nędzy!

— Nie! — krzyknął.

Zapadło ciężkie milczenie. Zapłakana pokojówka monotonicznie pociągała nosem. Lidia słyszała, jak dzwoni jej w uszach.

— Twoja matka tego nie przeżyje — oświadczył książe.

— Co masz zamiar zrobić? — wyszeptwała.

— Będiesz odtąd zamknięta w swoim pokoju. Kiedy tylko uda mi się załatwić wszystkie formalności, wstąpisz do klasztoru.

Lidia patrzyła na niego przerażona. To było gorsze niż wyrok śmierci.

Wybiegła z pokoju.

Miała już nigdy nie zobaczyć Feliksa — ta myśl była nie do zniesienia. Po twarzy płynęły jej łzy. Pobiegła do sypialni. Czuła, że nie przeżyje tego, co przygotował dla niej ojciec. Prędzej umrę,

myślała, prędzej umrę.

Zamiast rozstać się na zawsze z Feliksem, opuści na zawsze rodzinę. To było jedyne wyjście — i należało to zrobić natychmiast, zanim ojciec przyśle kogoś, kto zamknie ją w pokoju na klucz.

Zajrzała do torebki: miała w niej tylko parę rubli. Otworzyła szkatułkę. Wyjęła brylantową bransoletkę, złoty łańcuszek, kilka pierścionków i wrzuciła je do torebki. Zarzuciła na siebie płaszcz i zbiegła na dół kuchennymi schodami. Wyszła z domu przez drzwi dla służby.

Pędziła ulicami. Ludzie oglądali się za nią, patrząc, jak biegnie, elegancko ubrana, ze łzami na twarzy. Nie dbała o to. Opuściła na zawsze swoją sferę. Miała zamiar uciec z Feliksem.

Szybko zabrakło jej tchu i zaczęła iść wolniej. Nagle cała sprawa przestała jej się wydawać taka tragiczna. Razem z Feliksem uciekną do Moskwy albo do jakiegoś prowincjonalnego miasta, może nawet za granicę, do Niemiec. Feliks będzie musiał znaleźć sobie pracę. Był wykształcony, mógł dostać posadę urzędnika albo coś lepszego. Ona zajmie się szyciem. Wynajmą mały domek i tanio go umeblują. Będą mieli dzieci, silnych

chłopców i ładne dziewczynki. Rzeczy, które straciła, wydawały jej się bez wartości: suknie z jedwabiu, towarzyskie plotki, kręcąca się wokół niej służba, wielkie domy i delikatna kuchnia.

Jak będzie wyglądało ich wspólne życie? Będą kłaść się do łóżka i naprawdę spać ze sobą przez całą noc — jakie to romantyczne! Będą chodzić na spacerów i trzymać się za ręce, nie przejmując się, że ktoś odkryje ich miłość. Wieczorami będą siadywać przy kominku, grać

126

w karty, czytać albo po prostu ze sobą rozmawiać. Zawsze, kiedy tylko zechce, będzie mogła go dotknąć, pocałować albo specjalnie dla niego się rozebrać.

Doszła do jego kamienicy i wspięła się na górę. Zastanawiała się, jak Feliks zareaguje. Będzie wstrząśnięty, potem wpadnie w uniesienie, a w końcu zacznie myśleć praktycznie. Powie, że muszą natychmiast wyjeżdżać, jej ojciec mógł już bowiem wysłać ludzi, żeby sprowadzili ich z powrotem. Będzie stanowczy. Pojedziemy tam i tam, powie. Będzie mówił o biletach, walizkach i odpowiednim przebraniu.

Wyjęła klucz, ale drzwi do mieszkania były szeroko otwarte. Weszła do środka.

— Feliksie, to ja. Och! — zawołała stając w progu. W mieszkaniu panował bałagan, jakby ktoś się tu włamał albo toczyła się walka. Feliksa nie było.

Nagle ogarnął ją potworny lęk.

Chodziła w kółko po mieszkaniu niczym w transie, wiedziona głupią nadzieją zaglądała za zasłony i pod łóżko. Zniknęły wszystkie jego książki. Materac pocięty był na kawałki, lustro stłuczone; to samo lustro, w którym przeglądali się kochając któregoś popołudnia, kiedy na dworze padał śnieg.

Nie wiedząc, co ze sobą zrobić, wyszła na korytarz. W progu sąsiedniego mieszkania stał mężczyzna.

— Co tu się stało? — zapytała go.

— Aresztowali go zeszłej nocy — odparł. Niebo runęło jej na głowę.

Zrobiło jej się słabo. Oparła się o ścianę, żeby nie upaść. Aresztowali! Za co? Gdzie jest teraz? Kto go aresztował? Jak może z nim uciec, skoro zamknęli go w więzieniu?

— Zdaje się był anarchistą. — Sąsiad zrobił mądrą minę. — Niezależnie od tego, kim był poza tym — dodał.

To było ponad jej siły. Czy musieli go aresztować akurat tego dnia, kiedy ojciec...

— To ojciec — szepnęła. — To sprawka ojca.

— Nie wygląda pani najlepiej — powiedział sąsiad. — Może wejdzie pani na chwilę i trochę odpocznie?

Lidii nie podobał się wyraz jego twarzy. Nie miała siły walczyć na dodatek z tym obleśnym typem. Zmobilizowała się wewnętrznie i nie odpowiadając na jego propozycję powoli ruszyła w dół po schodach i wyszła na ulicę.

Szła wolno przed siebie zastanawiając się, co robić dalej. Musi w jakiś sposób wydobyć Feliksa z więzienia. Nie wiedziała, jak się do tego zabrać. Może powinna poprosić o pomoc ministra spraw

127

wewnętrznych? Albo cara? Nie miała pojęcia, jaką drogą ma do nich dotrzeć, gdzie ich szukać; wiedziała tylko, na jakich bywają balach. Mogła napisać list — ale Feliks był jej potrzebny już dzisiaj. Czy może go odwiedzić w więzieniu?

Wiedziałyby przynajmniej, w jakim jest stanie, a on miałby świadomość, że Lidia o niego walczy. Może gdyby przyjechała powozem, pięknie ubrana, udałoby się jej wyrzucić odpowiednie wrażenie na naczelniku... Nie wiedziała jednak, gdzie znajduje się więzienie, zresztą mogło ich być więcej, a poza tym nie miała powozu. Kiedy zaś wróci do domu, ojciec zamknie ją na klucz i ona nigdy już nie zobaczy Feliksa...

Znowu walczyła z cisnącymi się do oczu łzami. W świecie policji, więzień i przestępców była kompletną ignorantką. Kogo miała zapytać o radę? Przyjaciele Feliksa, anarchiści, na pewno świetnie się w tym wszystkim orientowali, ale nigdy się z nimi nie zetknęła i nie miała pojęcia, gdzie ich szukać.

Pomyślała o swoich braciach. Maks zarządzał rodzinną posiadłością na prowincji. Feliksa osądzałby podobnie jak ojciec, za słuszne uznałby też ojcowskie postępowanie. Dymitr — pustogłowy, zniewieściał Dymitr — sprzyjałby Lidii, ale nie byłby w stanie jej w niczym pomóc.

Pozostało jej tylko jedno wyjście. Musi iść do ojca i błagać go, żeby kazał uwolnić Feliksa.

Odwróciła się i z opuszczonymi ramionami ruszyła w stronę domu.

Z każdym krokiem wzbierał w niej gniew na ojca. Jego obowiązkiem było troszczyć się o nią, kochać i zapewnić szczęście — a cóż takiego czynił? Dążył do jej zguby. Ona wiedziała, czego chce, wiedziała, co zapewni jej szczęście. Czyje to było życie? Kto ma tu prawo decydować?

Weszła do domu kipiąc ze złości.

Skierowała się prosto do gabinetu i weszła bez pukania.

— To ty kazałeś go aresztować — rzuciła mu w twarz.

— Tak — odpowiedział. Jego zachowanie zmieniło się. Zamiast gniewu pojawiło się chłodne wyrachowanie.

— Każ go natychmiast uwolnić! — krzyknęła Lidia.

— W tej właśnie chwili go torturują.

— Nie — szepnęła. — O, nie!

— Smagają podeszwy jego stóp... Lidia krzyknęła.

— ...cienkimi, giętkimi trzciniami... — mówił ojciec podniesionym głosem.

Na biurku leżał nóż do papieru.

— ...które szybko przecinają skórę do żywego mięsa... Zabiję go...

— ...aż wokół ślisko jest od krwi... Lidia wpadła w szal.

128

Złapała nóż i ruszyła na ojca. Podniosła nóż wysoko do góry i zamachnęła się z całej siły mierząc w jego pomarszczoną szyję.

— Nienawidzę cię, nienawidzę, nienawidzę! — krzyczała.

Uchylił się, złapał ją za nadgarstek, zmusił, by wypuściła nóż i pchnął na fotel.

Wybuchnęła histerycznym płaczem.

Po kilku minutach ojciec odezwał się ponownie: mówił spokojnie, jakby nic się nie stało.

— Jestem w stanie natychmiast przerwać jego tortury — powiedział. — Mogę kazać go wypuścić, kiedy tylko zechcę.

— Proszę! — załkała Lidia. — Zrobię wszystko, co każesz.

— Na pewno?

Spojrzała na niego przez łyżę. Dostrzegła nagle

skrawek nadziei i to ją uspokoiło. Czy mówi poważnie? Czy uwolni Feliksa?

— Wszystko — powtórzyła — wszystko, co każesz.

— Kiedy cię nie było, miałem gościa — podjął gawędziarskim tonem. — Earla Waldena. Pytał, czy może złożyć ci wizytę.

— Kto pytał?

— Earl Walden. Kiedy poznałaś go zeszłego wieczoru, nosił jeszcze tytuł lorda Highcombe'a, ale w nocy zmarł jego ojciec i jest teraz earlem. Earl to angielski odpowiednik księcia.

Lidia wpatrywała się w niego, nie wiedząc, do czego on zmierza. Pamiętała wczorajsze spotkanie z Anglikiem, ale nie rozumiała, dlaczego ojciec nagle się nim zainteresował.

— Nie dręcz mnie. Powiedz, co mam zrobić, żebyś uwolnił Feliksa — powiedziała.

— Wyjść za mąż za earla Waldena — odparł oschle książę.

Lidia przestała płakać. Wpatrywała się oniemiała w ojca. Naprawdę to powiedział? Brzmiało to nedorzecznie.

— Walden chce się z tobą szybko ożenić —

mówił księżę. — Opuścisz Rosję i pojedziesz z nim do Anglii. Ta haniebna sprawa zostanie zapomniana i nikt się o niej nie dowie. To idealne rozwiązanie.

— A Feliks?

— Dzisiaj przestaną go torturować. Uwolnią go w dniu twojego wyjazdu do Anglii. Nie zobaczysz go już nigdy w życiu.

— Nie — wyszeptała Lidia. — Na miłość boską, nie. Osiem tygodni później odbył się ślub.

— Naprawdę zamierzyłaś się nożem na własnego ojca? — zapytał Feliks trochę z rozbawieniem, a trochę z respektem.

Lidia kiwnęła głową. Dzięki Bogu, nie domyślił się reszty, pomyślała.

9 — Człowiek.

129

— Jestem z ciebie dumny — powiedział.

— To, co chciałam zrobić, było straszne.

— Był strasznym człowiekiem.

— Dziś już tak nie uważam. Na moment zapadła cisza.

— A więc jednak nigdy mnie nie zdradziłaś — odezwał się miękko. Przez chwilę miała

nieodpartą ochotę go objąć. Całą siłą woli zmusiła się, by pozostać na miejscu. Chwila minęła.

— Twój ojciec dotrzymał słowa. Tamtego dnia przestali mnie torturować. Wypuścili mnie dzień po tym, jak wyjechałaś do Anglii.

— Skąd wiedziałeś, że wyjechałam?

— Dostałem wiadomość od twojej pokojówki. Zostawiła ją w księgarni. Nie wiedziała oczywiście o umowie, którą zawarłaś z ojcem.

Powiedzieli sobie tak wiele tak ważnych rzeczy, że teraz siedzieli w milczeniu. Lidia bała się poruszyć. Zauważyła, że Feliks cały czas trzyma prawą rękę w kieszeni płaszcza. Nie przypominała sobie, żeby kiedyś miał taki zwyczaj.

— Czy nauczyłaś się już gwizdać? — zapytał nagle. Nie mogła powstrzymać śmiechu.

— Nigdy mi się to nie udało.

Znowu zamilkli. Lidia za wszelką cenę chciała, żeby wyszedł i równie gorąco pragnęła, żeby został.

— Co robiłeś potem? — zapytała w końcu. Wzruszył ramionami.

— Dużo podróżowałem. A ty?

— Zajmowałam się wychowywaniem córki.

Czas, który minął od ich ostatniego spotkania, najwyraźniej nie był dla obojga przyjemnym tematem.

— Co sprawiło, że tutaj przyszedłeś? — spytała.

— Och... — Przez moment wydawało się, że to pytanie wprowadziło Feliksa w zakłopotanie. — Chciałem zobaczyć się z Orłowem.

— Z Alekssem? Po co?

— Pewien marynarz, anarchista, siedzi w więzieniu... chciałem prosić Orłowa, żeby kazał go wypuścić... Wiesz, jak to jest w Rosji, nie ma sprawiedliwości, liczy się tylko protekcja.

— Aleks już u nas nie mieszka. Ktoś próbował nas napaść, kiedy jechaliśmy powozem i to go przestraszyło.

— Gdzie mogę go znaleźć? — spytał Feliks. Nagle wydawał się cały spięty.

— W hotelu „Savoy”... ale wątpię, czy uda ci się z nim zobaczyć.

— Spróbuję.

— To dla ciebie ważne, prawda?

— Tak.

— Wciąż zajmujesz się polityką?

— To moje życie.

— Z upływem lat większość młodych ludzi przestaje się nią zajmować. Uśmiechnął się ze smutkiem.

— Większość młodych ludzi żeni się i zakłada rodzinę. Lidię wypełniło poczucie winy.

— Tak mi przykro, Feliksie. Pochylił się i ujął jej rękę. Wyrwała ją i wstała z krzesła.

— Nie dotykaj mnie — powiedziała. Spojrzał na nią zdumiony.

— Dostałam w życiu za swoje, nawet jeśli ty niczego się nie nauczyłeś — oznajmiła. — Wychowano mnie w przekonaniu, że pożądanie jest czymś złym i niszczącym. Przez moment, kiedy byliśmy... razem... przestałam w to wierzyć, albo przynajmniej udawałam, że już nie wierzę. I spójrz, co się stało: doprowadziłam do zguby samą siebie i ciebie także. Mój ojciec miał rację: pożądanie jest siłą, która niszczy. Nigdy o tym nie zapomniałam i nigdy nie zapomnę.

Spojrzał na nią ze smutkiem.

— Czy to właśnie usiłujesz sobie wmówić?

— To prawda.

— Tołstojowska moralność. Czyniąc dobro, niekoniecznie osiągniesz szczęście, ale czyniąc zło, z pewnością staniesz się człowiekiem nieszczęśliwym.

Odetchnęła głęboko.

— Chcę, żebyś natychmiast stąd wyszedł i nigdy nie wracał. Przez dłuższą chwilę spoglądał na nią w milczeniu, potem wstał.

— Bardzo dobrze — powiedział. Lidii zdawało się, że pęka jej serce.

Dał krok do przodu. Stała nieruchomo. Wiedziała, że powinna się cofnąć, lecz nie była w stanie tego uczynić. Położył jej dłonie na ramionach, spojrzał w oczy i było już za późno. Przypomniała sobie, jak kiedyś zaglądali sobie w oczy i była zgubiona. Przysunął się do niej i pocałował trzymając mocno w ramionach. Było tak jak zawsze, jego niespokojne wargi na jej miękkich ustach, kochające, łagodne, ruchliwe; nie miała siły im się oprzeć. Przyłgnęła do niego całym ciałem. Poczowała w udach ogień. Zadrżała z rozkoszy. Poszukała jego dłoni i ujęła je w swoje,

żeby mieć coś, czego mogła dotknąć, jakąś część jego ciała, którą mogła chwycić i z całej siły uścisnąć...

Krzyknął z bólu.

Odsunęli się od siebie. Spojrzała na niego skonsternowana.

131

Zbliżył prawą rękę do ust. Spostrzegła, że Feliks ma na dłoni paskudną ranę i że ściskając go, spowodowała krwawienie. Przysunęła się bliżej, żeby wziąć go za rękę i przeprosić, ale nagle się cofnął. Coś się w nim zmieniło, zakłęcie przestało działać. Odwrócił się i ruszył ku drzwiom. Patrzyła przerażona, jak wychodzi. Trzasnęły drzwi. Lidia wydała z siebie okrzyk bólu. Nie mogła się pogodzić, że go traci.

Stała wpatrując się w miejsce, gdzie stał przed chwilą. Miała uczucie, jakby ktoś ją obrabował. Opadła na krzesło. Nie mogła opanować drżenia.

Przez kilka minut kłębiły się w niej różne emocje i nie była w stanie jasno rozumować. W końcu wszystko się uspokoiło; dominującym uczuciem pozostała ulga, że nie uległa pokusie i nie opowiedziała mu ostatniego rozdziału ich

wspólnej historii. Głęboko, niczym odłamek szrapnela w zablźnionej ramie, tkwiła w niej tajemnica. Nie zdradziła jej dotąd nikomu i miała zamiar zabrać ją ze sobą do grobu.

Feliks przystanął w hallu, żeby włożyć kapelusz. Przejrzał się w lustrze i spostrzegł, że twarz wykrzywia mu grymas dzikiego triumfu. Opanował się i wyszedł na zalany słońcem dziedziniec.

Była taka naiwna. Uwierzyła w jego skleconą naprędce bajeczkę o marynarzu anarchiście i bez chwili wahania wyjawiała mu, gdzie może znaleźć Orłowa. Fakt, że nadal miał nad nią taką władzę, wypełniał go radością. Poślubiła Waldena, żeby mnie ratować, pomyślał, a teraz sprawiłem, że zdradziła dla mnie swego męża.

Mimo to podczas ich rozmowy było kilka niebezpiecznych dla niego momentów. Kiedy opowiadała, przyglądał się jej twarzy i chwilami ogarniał go straszliwy żal, jakiś szczególny smutek, który niemal doprowadził go do łez; ale tyle czasu minęło od chwili, gdy po raz ostatni płakał, że jego ciało zapomniało najwyraźniej, jak się to robi. Niebezpieczne chwile minęły. Tak

naprawdę, nie jestem wrażliwy na takie sentymenty, powiedział sobie. Okłamałem ją, nadużyłem jej zaufania, obsypałem pocałunkami i uciekłem; posłużyłem się nią.

Los mi dzisiaj sprzyja. To dobry dzień na wykonanie niebezpiecznego zadania.

Stracił swój pistolet w parku, potrzebował zatem nowej broni. Do dokonania zamachu w hotelu najlepsza wydawała się bomba. Rzucając ją, nie musiał dokładnie celować, wybuch bowiem powinien uśmiercić wszystkie osoby znajdujące się w apartamencie. Jeśli oprócz Orłowa znajdzie się tam również przypadkiem Walden, tym lepiej dla mnie, pomyślał. Uprzytomnił sobie, że Lidia pomogła mu być może uśmiercić własnego męża.

132

I co z tego?

Wyrzucił ją ze swoich myśli. Jego uwagę zajęła teraz chemia.

Wstąpił do drogerii w Camden Town i kupił dwie litrowe butelki zwykłego stężonego kwasu. Kosztowało go to cztery szylingi i pięć pensów razem z zastawem za butelki.

Przyniósł butelki do domu, postawił je na

podłodze w piwnicy i wyszedł ponownie na zakupy.

W innym sklepie nabył kolejne cztery półlitrowe butelki tego samego kwasu. Sprzedawca zapytał, do czego ma zamiar go użyć. „Do czyszczenia”, odpowiedział. Facet wydawał się usatysfakcjonowany.

W trzeciej drogerii poprosił o cztery butelki innego kwasu. Na koniec kupił pół litra czystej gliceryny i szklany trzydziestocentymetrowy pręt.

Wydał razem szesnaście szylingów i osiem pensów, cztery szylingi i trzy pensy mógł jednak odzyskać po zwróceniu pustych butelek. W ten sposób zostaną mu jeszcze prawie trzy funty.

Ponieważ kupował składniki w trzech różnych sklepach, żaden ze sprzedawców nie miał powodu podejrzewać, że Feliks użyje ich do wyrobu materiałów wybuchowych.

Poszedł na górę do kuchni i pożyczył od Bridget miskę, największą, jaką miała.

— Będiesz wyrabiał ciasto? — zapytała.

— Tak — odparł.

— Tylko nie wysadź nas wszystkich przy tej okazji w powietrze.

— Postaram się.

Na wszelki wypadek wybrała się jednak tego popołudnia do sąsiadki.

Feliks zszedł na dół, zdjął marynarkę, podwinął rękawy i umył ręce.

Wstawił miskę do zlewu.

Spojrzał na jedenaście brązowych butelek ze szklanymi korkami, stojących w szeregu na podłodze.

Pierwszy etap nie był zbyt niebezpieczny.

Zmieszał ze sobą dwa różne kwasy w misce, poczekał, aż mieszanina ostygnie i wlał ją z powrotem do butelek.

Umył i wysuszył miskę, wstawił ją z powrotem do zlewu i wlał do niej glicerynę.

Zlew zaopatrzony był w gumowy korek na łańcuszku. Umieścił korek bokiem w otworze odpływowym, tak że zatykał go tylko częściowo. Odkręcił kran. Kiedy poziom wody sięgnął niemal skraju miski, przykręcił kran. Teraz woda lała się tak samo szybko, jak odpływała i jej poziom pozostawał stały. Nie było obawy, że przeleje się do miski.

Następny etap uśmiercił więcej anarchistów

niz Ochrana.

Ostrożnie zaczął dodawać połączone kwasy do gliceryny, cały czas mieszając delikatnie roztwór szklanym prętem.

133

W suterenie było bardzo ciepło.

Co jakiś czas z miski unosiła się czerwonawa smuga dymu, znak, że reakcja zaczyna wymykać się spod kontroli. Feliks przerywał wtedy dolewanie kwasu, ale nie przestawał mieszać. Omywająca miskę woda chłodziła roztwór i zmniejszała szybkość reakcji. Kiedy smugi dymu przestawały się wydobywać, czekał minutę albo dwie, a potem znowu dolewał kwasu z butelki.

Tak właśnie zginął Ilja; stał nad zlewem w piwnicy i dodawał kwasu do gliceryny: być może nie miał dosyć cierpliwości. Kiedy odgarnęli w końcu gruzy, nie zostało z niego nic, co dałoby się włożyć do trumny.

Popołudnie zmieniło się w wieczór. Zrobiło się trochę chłodniej, ale Feliks wciąż obficie się pocił. Ani razu nie zadrżała mu ręka. Słyszał, jak na dworze bawią się dzieci. Śpiewały wyliczankę: „Sól, musztarda, ocet, pieprz; sól, musztarda,

ocet, pieprz". Żałował, że nie ma lodu. Żałował, że nie ma elektrycznego oświetlenia. Pomieszczenie pełne było kwaśnych wyziewów. Zaszło mu w gardle. Roztwór w misce powoli się klarował.

Zorientował się, że marzy na jawie o Lidii. Zdawało mu się, że pojawiła się w jego piwnicy, naga i uśmiechnięta, a on powiedział, żeby sobie poszła, bo jest zajęty.

— Sól, musztarda, ocet, pieprz.

Wylał do miski zawartość ostatniej butelki, tak samo powoli i ostrożnie jak pierwszej.

Wciąż mieszając roztwór, odkręcił nieco mocniej kran, tak że teraz woda przelewała się do miski. Dokładnie zebrał całą zawieszinę i wyrzucił ją do zlewu.

Kiedy skończył, miał przed sobą nitroglicerynę.

Jest to środek wybuchowy dwudziestokrotnie silniejszy od prochu strzelniczego. Żeby spowodować wybuch, można posłużyć się sopleką, ale nie jest to konieczne, nitrogliceryna może bowiem eksplodować także w zetknięciu z zapaloną zapalką lub innym źródłem ciepła. Feliks znalazł pewnego głupca, który szedł

petersburską ulicą trzymając płaską butelkę nitrogliceryny w kieszeni na piersi. Butelka nagrzała się od ciała i wybuchła, zabijając niedoszłego zamachowca, trzy inne osoby i konia. Butelka nitrogliceryny eksploduje, kiedy się ją stłucze, upuści na ziemię czy choćby mocniej nią potrząśnie.

Z wyjątkową ostrożnością Feliks zanurzył czystą butelkę w misce i czekał, aż powoli napełni się cieczą. Kiedy była pełna, zatkał ją szklanym korkiem, upewniwszy się przedtem, że w szyjce butelki nie ma ani kropli nitrogliceryny.

W misce zostało jeszcze trochę płynu. Nie mógł oczywiście wylać go do zlewu.

Podszedł do łóżka i wziął poduszkę. Była prawdopodobnie wypchana

134

bawełnianymi ścinkami. Zrobił małą dziurę we wsypie i wyciągnął trochę drobno pociętych, zmieszanych z pierzem gałganów. Wrzucił je do miski z nitrogliceryną. Materiał nasiąkł płynem. Dorzucił trochę więcej ścinków, aż wchłonęły całą ciecz. Wtedy uformował z nich kulę, którą owinął gazetą. Ta substancja była o wiele bardziej

spoista, przypominała dynamit — właściwie niczym się od niego nie różniła. Eksplozja nie następowała tak łatwo jak w przypadku czystej cieczy. Mogło ją spowodować zapalenie gazety, ale niekoniecznie. Najlepszym sposobem było umieszczenie w środku papierowej spłonki wypełnionej prochem. Ale Feliks nie zamierzał użyć dynamitu; potrzebował czegoś o szybszym działaniu i bardziej niezawodnego.

Powtórnie umył i wysuszył miskę. Zakorkował zlew, nalał do niego wody, a potem ostrożnie wstawił tam butelkę z nitrogliceryną, żeby się oziębila.

Poszedł na górę i oddał Bridget miskę.

Wrócił do siebie i spojrzął na stojącą w zlewie bombę. Nie bałem się, pomyślał. W ciągu całego popołudnia ani razu się nie bałem, że zginę. Nadal nie wiem, co to strach.

Ta myśl sprawiła mu przyjemność.

Późnym wieczorem wyruszył na rekonesans do hotelu „Savoy”.

|

ST podczas popołudniowej herbaty Walden spostrzegł, że Lidia i Charlotte są jakieś oswiałe. On także był zamyślony. Rozmowa nie kleiła się.

Potem przebrał się do kolacji i zasiadł w bawialni sącząc powoli sherry. Czekał, aż żona i córka zejną na dół. Wybierali się na kolację do Pontadarvych. Na dworze było ciepło. Jak dotąd lato było udane, przynajmniej jeśli idzie o pogodę.

Zamknięcie Aleksa w hotelu „Savoy” nie przyspieszyło ani trochę powolnego tempa negocjacji. Aleks był jak kociak: wzbudzał sympatię, ale miał zaskakująco ostre zęby. Walden przedstawił mu propozycję

umiędzynarodowienia drogi wodnej między Morzem Śródziemnym i Czarnym. Aleks oświadczył kategorycznie, że to nie wystarcza, ponieważ w razie wojny — a wtedy właśnie znaczenie takiego przejścia będzie największe — ani Wielka Brytania, ani Rosja, mimo najlepszych chęci, nie zdołają powstrzymać Turków przed jego zablokowaniem. Rosja chciała uzyskać nie tylko prawo do korzystania z cieśnin, ale także realną możliwość jego egzekwowania.

Podczas gdy Walden i Aleks spierali się, w jaki sposób zapewnić Rosji tę możliwość, Niemcy zakończyli poszerzanie Kanału Kilońskiego, co było przedsięwzięciem o niebywale ważnym znaczeniu strategicznym. Umożliwiło ono ich pancernikom szybkie przedostanie się z terenu walk na Morzu Północnym na bezpieczne wody Bałtyku. W rezultacie manewrów finansowych — będących bezpośrednim powodem majowej wizyty Churchilla w Walden Hall — niemieckie rezerwy złota osiągnęły rekordowy poziom. Niemcy nigdy nie były lepiej przygotowane do wojny; z każdym dniem stawało się coraz bardziej oczywiste, że zawarcie sojuszu angielsko-

rosyjskiego jest nieuniknioną koniecznością. Ale Aleks miał żelazne nerwy — nie zamierzał czynić żadnych ustępstw w pośpiechu.

136

Im więcej Walden dowiadywał się o Niemczech — o ich przemyśle, rządzie, armii i bogactwach naturalnych — tym dobitniej zdawał sobie sprawę, że kraj ten ma wszelkie dane, by zająć pozycję Wielkiej Brytanii — największego światowego mocarstwa. Osobiście nie dbał o to, czy Anglia jest pierwsza, druga czy dziesiąta, dopóki była wolna. Kochał swój kraj i był z niego dumny. Jego przemysł dawał pracę milionom ludzi, jego demokracja stanowiła wzór dla reszty świata. Jego ludność stawała się coraz bardziej wykształcona, a co za tym idzie, coraz więcej obywateli otrzymywało prawo głosu. Doczekają się go, wcześniej czy później, nawet kobiety, zwłaszcza kiedy przestaną wybijać szyby. Walden kochał swojskie angielskie pola i pagórki, kochał operę i musical, feeryczny blask metropolii i powolny, kojący rytm wiejskiego życia. Z dumą myślał o angielskich wynalazcach i dramaturgach, przedsiębiorcach i

rzemieślnikach. Anglia była cholernie przyjemnym miejscem do życia i jeśli o niego chodziło, nie zamierzał dopuścić, by popsuli je jacyś parszywi Prusacy.

Z niepokojem uświadamiał sobie, że wcale nie jest pewien, czy uda mu się temu zapobiec. Zastanawiał się, czy rzeczywiście rozumie współczesną Anglię, Anglię pełną anarchistów i sufrażystek, rządzoną przez gorące głowy w rodzaju Churchilla czy Lloyda George'a i rozdieraną przez siły jeszcze bardziej od nich niebezpieczne, jak choćby Partia Pracy i coraz potężniejsze związki zawodowe. Krajem wciąż rządzili ludzie pokroju Waldena — ich żony należały do towarzystwa, podczas gdy oni sami tworzyli establishment — ale to panowanie coraz trudniej było utrzymać. Czasami miał straszliwie przygnębiające wrażenie, że wszystko wymyka mu się z rąk.

Do bawialni weszła Charlotte, co przypomniało mu, że polityka nie jest jedyną sferą życia, nad którą traci kontrolę. Wciąż miała na sobie suknię, w której przedtem zasiadła do herbaty.

— Musimy niedługo wyjść — zauważył.

— Wolałabym zostać w domu — odparła. —

Boli mnie trochę głowa.

— Nie ma nic ciepłego na kolację, chyba że uprzedzisz kucharkę.

— Nie mam ochoty na nic ciepłego. Zjem coś w moim pokoju.

— Jesteś trochę blada. Wypij kieliszek sherry, doda ci apetytu.

— Dobrze.

Usiadła. Ojciec nalał jej sherry.

— Annie ma już pracę i mieszkanie — powiedział podając jej kieliszek.

— Cieszę się — odparła chłodno. Odetchnął głęboko.

— Trzeba przyznać, że nie byłem bez winy w tej sprawie.

— O! — Charlotte była zaskoczona.

Czyżbym tak rzadko przyznawał się do błędu, pomyślał;

137

— Nie wiedziałem oczywiście — mówił dalej — że jej... chłopak... uciekł i że wstydziła się wrócić do matki. Powinienem to jednak

sprawdzić. Jak słusznie zauważyłaś, ponosiłem za tę dziewczynę odpowiedzialność.

Charlotte nic nie odpowiedziała, tylko usiadła obok niego na kanapie i wzięła go za rękę. Był wzruszony.

— Masz dobre serce — powiedział — i mam nadzieję, że zawsze tak będzie. Czy wolno mi mieć także nadzieję, że nauczysz się wyrażać swoją wielkoduszność w sposób bardziej... powściągliwy?

Podniosła na niego wzrok.

— Postaram się, jak mogę najlepiej, papo.

. — Zastanawiam się często, czy nie nazbyt przesadnie chroniliśmy cię przed życiem. Oczywiście o tym, jak masz być wychowywana, decydowała twoja mama, ale muszę przyznać, że prawie zawsze podzielałem jej zdanie. Są ludzie, którzy uważają, że dzieci nie powinno się chronić przed tym, co nazywa się brutalną rzeczywistością, ale nie ma ich zbyt wielu, a poza tym wydają się strasznie trywialni.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Przygotowania do wyjścia zabierały Lidii jak zwykle całą wieczność. Walden miał ochotę

powiedzieć Charlotte coś więcej, ale nie był pewien, czy starczy mu odwagi. Ćwiczył sobie w myśli różne pierwsze zdania rozmowy, ale każde następne wydawało mu się bardziej niezręczne od poprzedniego. Milczenie zdawało się w niczym nie przeszkadzać jego córce. Zastanawiał się, czy Charlotte zdaje sobie sprawę, co dzieje się w jego głowie.

W każdej chwili mogła pojawić się Lidia. Teraz albo nigdy. Odchrząknął.

— Poślubisz zapewne wspaniałego mężczyznę i będąc z nim dowiesz się wielu rzeczy, które teraz wydają ci się tajemnicze i być może trochę niepokojące. — Może na tym skończę, pomyślał; jeszcze czas się wycofać. Odwagi! — Ale jest pewna rzecz, o której powinnaś wiedzieć już wcześniej. W zasadzie powinna ci o niej powiedzieć matka, ale podejrzewam, że może tego nie zrobić, więc...

Zapalił cygaro, tylko po to, żeby zająć czymś rękę. Znalazł się w punkcie, z którego nie było odwrotu. Miał jeszcze nadzieję, że z obowiązku kontynuowania rozmowy wybawi go pojawienie się Lidii; ale Lidia nie nadchodziła.

— Powiedziałaś, że wiesz, co robili Annie i ogrodnik. Ponieważ nie mieli ślubu, była to rzecz naganna. Ale kiedy jest się po ślubie, może to być naprawdę wspaniałe. — Czuł, jak się czerwieni i miał nadzieję, że Charlotte nie patrzy mu teraz prosto w twarz. — Wspaniałe z fizycznego punktu widzenia, no wiesz... — brnął dalej. — Nie sposób tego opisać, to coś takiego, jak ciepło bijące z kominka... Najważniejsze jednak, z czego z pewnością nie zdajesz sobie sprawy, jest to, jak cała

138

ta rzecz wygląda z duchowego punktu widzenia. W jakiś sposób wyraża się w niej całe przywiązanie, cała czułość, szacunek... po prostu cała miłość, jaka łączy mężczyznę i jego żonę. Kiedy jest się młodym, zrozumienie tego nie jest takie łatwe. Zwłaszcza dziewczęta zdają się trywializować te sprawy; są i tacy nieszczęśnicy, którzy nie potrafią dostrzec w tym niczego pozytywnego. Ale jeśli wiesz, czego się spodziewać, i wybierzesz na męża dobrego, miłego i wrażliwego mężczyznę, na pewno będzie tak, jak powiedziałem, będzie wspaniałe. Dlatego

dzisiaj o tym z tobą rozmawiam. Czy wprawia cię to w zakłopotanie?

Ku jego zdumieniu obróciła się i pocałowała go w policzek.

— Tak. Ale na pewno nie tak wielkie, jak ciebie. Roześmiał się.

Do pokoju wszedł Pritchard.

— Powóz już gotów, milordzie. Lady Walden czeka w hallu. Walden wstał.

— Ani słowa mamie — mruknął do Charlotte.

— Zaczynam rozumieć, dlaczego wszyscy uważają cię za takiego dobrego człowieka — powiedziała. — Baw się dobrze.

— Do widzenia — odparł. Czasami coś mi się jednak w życiu udaje, pomyślał wychodząc z pokoju.

Po tym wszystkim Charlotte o mało nie zrezygnowała z zamiaru uczestniczenia w zebraniu sufrażystek.

Po incydencie z Annie była w buntowniczym nastroju. Na szybie sklepu jubilerskiego przy Bond Street zobaczyła przyklejony plakat. Jej wzrok przyciągnął nagłówek: PRAWO GŁOSU DLA KOBIET. Zaraz potem stwierdziła, że sala, w

której miało się odbyć zebranie, znajduje się niedaleko jej domu. Na plakacie nie było wzmianki o tym, kto będzie przemawiał, ale Charlotte przeczytała w gazecie, że na tego rodzaju zebraniach często pojawia się bez zapowiedzi słynna pani Pankhurst. Udawała przez chwilę (przed Marią, która towarzyszyła jej w charakterze przyzwoitki), że przygląda się bransoletom na wystawie. Kiedy znów spojrzała na plakat, ze sklepu wyszedł czeladnik i zaczął zrywać go z szyby. Wtedy właśnie zdecydowała, że jednak pójdzie.

Zachowanie ojca zachwiało jej postanowieniem. Była wstrząśnięta widząc, jaki jest chwiejny, bezradny, prawie pokorny. Jeszcze większym zaskoczeniem było dla niej to, że mówił o stosunku płciowym jako o czymś pięknym. Uprzytomniła sobie, że nie ma już do niego żalu o to, że pozwolił jej dorastać w kompletnej niewiedzy. Nagle zrozumiała jego punkt widzenia.

139

Ale żadne z tych uczuć nie zmieniało faktu, że była nadal straszną ignorantką. Nie wierzyła, że

mama i papa mogliby powiedzieć jej całą prawdę, zwłaszcza na temat sufrażystek. Jednak tam pójdę, postanowiła.

Zadzwoiła na Pritcharda i poprosiła, żeby przyniesiono jej sałatkę do sypialni, a potem poszła na górę. Bycie kobietą ma tę zaletę, że nikt nie przeprowadza śledztwa, jeśli oznajmi ona, że ma migrenę; kobiety mają święte prawo do tego, by co jakiś czas bolała je głowa.

Kiedy przyniesiono jej tacę, marudziła przy jedzeniu tak długo, aż służba sama zasiadła do kolacji. Włożyła wtedy płaszcz i kapelusz, i wyszła z domu.

Był ciepły wieczór. Szła szybko w stronę Knightsbridge. Czowała się dziwnie swobodna. Zdała sobie sprawę, że nigdy przedtem nie szła sama ulicą. Mogę robić, na co mam ochotę, pomyślała. Nie jestem z nikim umówiona, nie mam przyzwoitki. Nikt nie wie, gdzie jestem. Mogę zjeść obiad w restauracji. Mogę wsiąść do pociągu i pojechać do Szkocji. Mogę wynająć pokój w hotelu. Mogę się przejechać omnibusem. Mogę zjeść jabłko i wyrzucić ogryzek do kosza na śmieci.

Wydawało jej się, że rzuca się w oczy, ale w rzeczywistości nikt nie zwracał na nią uwagi. Zawsze trochę się obawiała, że jeśli wyjdzie sama na ulicę, będą ją w jakiś nieokreślony bliżej sposób napastować nieznajomi mężczyźni. Tymczasem oni jakby jej wcale nie zauważali. Nie wążęsalali się bynajmniej bez celu, każdy podążał w swoją stronę, ubrany albo w wieczorowe ubranie, albo garnitur z samodziału, albo surdut. Czego tu się bać? — pomyślała. A potem przypomniała sobie szaleńca z parku i przyspieszyła kroku.

Im bardziej zbliżała się do miejsca, gdzie odbywało się zebranie, tym więcej zauważała kobiet zmierzających w tę samą stronę. Niektóre szły parami, albo większymi grupami, sporo jednak było samotnie idących, jak Charlotte. Poczwała się bezpieczniej.

Przed budynkiem klębił się tłum kobiet. Wiele z nich nosiło kolory sufrażystek: czerwień, zieleń i biel. Niektóre rozdawały przechodniom ulotki i sprzedawały gazetkę Prawo głosu dla kobiet. W pobliżu kręciło się kilku policjantów, którzy z niejakim wysiłkiem starali się przybrać lekko pogardliwy wyraz twarzy. Charlotte stanęła w

kolejce prowadzącej do środka.

Kiedy znalazła się przy drzwiach, stojąca tam kobieta z opaską na ramieniu kazała jej zapłacić sześć pensów. Charlotte odwróciła się machinalnie i w tej samej chwili zdała sobie sprawę, że nie stoi za nią ani Maria, ani lokaj, ani pokojówka, i że nikt za nią nie zapłaci. Była sama i bez pieniędzy. Nie przypuszczała, że będzie musiała zapłacić za wstęp. Zresztą nawet gdyby to przewidziała, to i tak nie wiedziałaby pewnie, skąd wytrzasnąć sześć pensów.

140

— Tak mi przykro — wyjąkała. — Nie mam pieniędzy... Nie wiedziałam... — Odwróciła się chcąc odejść.

Kobieta z opaską wyciągnęła rękę, żeby ją zatrzymać.

— Nic nie szkodzi — powiedziała. — Jeśli nie masz pieniędzy, możesz wejść za darmo. — Jej akcent wskazywał, że należy do klasy średniej. Była uprzejma, ale jej spojrzenie mówiło: „taki strój, a nie ma pieniędzy!” Tak przynajmniej wydawało się Charlotte.

— Dziękuję... — wymamrotała. — Wyślę pani

czek...

Weszła zarumieniona ze wstydu. Dzięki Bogu, że nie próbowałam zjeść obiadu w restauracji ani wsiąść do pociągu, pomyślała. Nigdy dotąd nie musiała martwić się o pieniądze. Towarzysząca jej osoba miała zawsze przy sobie drobne; rachunki w sklepach przy Bond Street regulował ojciec, a jeśli miała ochotę na lunch u Claridge'a albo na poranną kawę w „Cafe Royal”, jedyne, co musiała zrobić, to zostawić swoją wizytówkę na stoliku. Rachunek przesyłano ojcu. Tego rachunku z pewnością by jednak nie zapłacił.

Usiadła w jednym z pierwszych rzędów; po wszystkich tych przejściach nie chciała stracić nic z tego, co będzie się tutaj działo. Jeśli mam zamiar częściej wypuszczać się sama na miasto, pomyślała, muszę zastanowić się, w jaki sposób uzyskać dostęp do prawdziwych pieniędzy: brudnych miedziaków, złotych suwerenów i pomiętych banknotów.

Rozejrzała się wokół. Salę prawie w całości wypełniały kobiety, tylko gdzieniegdzie jak rodziniki w cieście pojawiali się pojedynczy mężczyźni. Publiczność należała w większości do

klasy średniej; przeważała serża i bawełna, mało było kaszmirów czy jedwabii. Kilka kobiet wywodziło się wyraźnie z lepszej sfery — ciszej rozmawiały, miały na sobie więcej biżuterii i, podobnie jak Charlotte, nosiły okrycia z poprzedniego sezonu i raczej nieciekawe kapelusze, chyba specjalnie po to, żeby nie rzucać się w oczy. O ile mogła się zorientować, na sali nie było ani jednej przedstawicielki klasy robotniczej.

Stojący na podwyższeniu stół ozdobiony był trójkolorowym, czer-wono-zielono-białym transparentem. Widniał na nim napis: „Prawo głosu dla kobiet”. Na stole ustawiono niewielką mównicę, z tyłu zaś stało sześć pustych krzeseł.

Wszystkie te kobiety buntują się przeciwko władzy mężczyzn, pomyślała Charlotte. Nie wiedziała, czy ten fakt wprawia ją w podniecenie, czy zawstydzają.

Publiczność zaczęła bić brawo. Na podium weszło pięć kobiet. Wszystkie były ubrane raczej skromnie w stroje, które dawno temu wyszły już z mody — żadnych wąskich spódnic ani wysokich kapeluszy. Czy takie osoby mogą wybijać

sklepowe szyby, niszczyć obrazy i rzucać bomby? Wydawały się na to zbyt dystygowane.

141

Zaczęły się przemówienia. Ich treść nie bardzo zainteresowała Charlotte. Dotyczyły spraw organizacyjnych, funduszy, petycji, wewnętrznych podziałów i wyborów uzupełniających. Charlotte była rozczarowana: jak dotąd nie dowiedziała się niczego. Może żeby lepiej zrozumieć, o co chodzi, powinna przed pójściem na zebranie przeczytać jakieś książki? Po niespełna godzinie szykowała się do wyjścia. Wtedy właśnie kolejne przemówienie zostało nagle przerwane w połowie.

Koło podium pojawiły się dwie kobiety. Pierwszą była atletycznej budowy dziewczyna w automobilowej kurtce. Przy jej boku, jakby szukając oparcia, szła niska, drobna kobieta w bladozielonym wiosennym płaszczu i dużym kapeluszu. Publiczność powitała je brawami. Siedzące za stołem prezydialnym kobiety wstały z miejsc. Oklaski były coraz rzęsiście, rozlegały się głośne wiwaty. W pobliżu Charlotte ktoś wstał z krzesła i po chwili tysiąc kobiet zgotowało

przybyłym owację na stojąco.

Pani Pankhurst zbliżyła się powoli do mównicy.

Charlotte mogła jej się dobrze przyjrzeć. Była typem kobiety, o której mówi się, że jest przystojna. Miała ciemne, głęboko osadzone oczy, szerokie, proste usta i silny podbródek. Można by ją uznać za piękną, gdyby nie dość gruby, płaski nos. Wielokrotne odsiadki sprawiły, że jej twarz i ręce wychudły, a skóra przybrała żółtawy odcień. Wydawała się słaba, szczupła i krucha.

Podniosła ręce i prawie natychmiast brawa i wiwaty umilkły.

Zaczęła mówić. Głos miała silny i donośny, choć wydawało się, że wcale go nie natęża. Charlotte rozpoznała ze zdumieniem akcent z Lancashire.

— W roku 1894 — mówiła — wybrano mnie do Rady Kuratorów miasta Manchester, do której zadań należała opieka nad przytułkiem. Kiedy pierwszy raz się tam pojawiłam, przeraził mnie widok siedmio- i ośmioletnich dziewczynek szorujących na kolanach kamienną podłogę. Ubrane były, niezależnie od pory roku, w cienkie,

bawełniane sukieneczki z krótkimi rękawami i odsłoniętą szyją. W nocy nie miały na sobie niczego, uznano bowiem, że koszule nocne stanowią zbytek luksusu dla ubogich. Fakt, że bez przerwy panowała tam epidemia bronchitu, nie nasunął żadnemu z kuratorów myśli, że dziewczynki powinny się inaczej ubierać. Nie muszę dodawać, że do chwili mojego wyboru na to stanowisko wszyscy kuratorzy byli mężczyznami.

Odkryłam, że w przytułku były ciężarne kobiety i że zmuszano je do szorowania podłóg prawie do ostatniej chwili przed rozwiązaniem. Wiele z nich było niezamężnych: bardzo, bardzo młode, proste dziewczyny. Pozwalano tym biednym matkom przebywać w szpitalu zaledwie przez dwa tygodnie po porodzie. Potem musiały wybierać: czy chcą nadal pozostać w przytułku i zarabiać na życie sprzątając i wykonując podobne

142

prace, czy też mają się stamtąd natychmiast wynosić razem z kłopotliwym bagażem. W tym pierwszym wypadku oddzielano je od dzieci. Mogły zostać i biedować albo odejść — odejść z

dwutygodniowym niemowlęciem w ramionach, pozbawione nadziei i domu, nie mając żadnego miejsca, dokąd mogłyby pójść. Co stało się z tymi dziewczętami, co stało się z ich nieszczęsnymi dziećmi?

Charlotte była oszołomiona tym, że publicznie roztrząsano tutaj tak delikatne sprawy. Niezameżne matki... proste dziewczyny... pozbawione domu i pieniędzy... i z jakiej racji miano je oddzielać od własnych dzieci w przytułku? Czy możliwe, żeby to była prawda?

Ale najgorsze dopiero ją czekało.

— Przepisy prawa mówią — głos pani Pankhurst zabrzmiał nieco głośniejszy — że jeśli mężczyzna, który uwiódł dziewczynę, zapłaci gotówką dwadzieścia funtów przybranemu opiekunowi dziecka, w domu tego ostatniego nie wolno przeprowadzić inspekcji. W przypadku, kiedy opiekun bierze na raz tylko jedno dziecko na wychowanie i otrzymuje do ręki dwadzieścia funtów, żaden inspektor nie ma prawa wejść do jego domu.

Przybrany opiekun... mężczyzna, który uwiódł dziewczynę... Charlotte pierwszy raz słyszała te

słowa, ale ich znaczenie było przerażająco jasne.

— Oczywiście śmiertelność dzieci branych w ten sposób pod opiekę jest zastraszająca. Po śmierci poprzedniego wychowanka opiekun może ubiegać się o oddanie mu następnej ofiary. Przez długie lata kobiety starały się o zmianę Prawa dla Ubogich, tak by chroniło ono wszystkie nieślubne dzieci i by żaden bogaty łajdak nie zdołał ująć odpowiedzialności za swoje potomstwo. Te nie kończące się starania i apele nie przyniosły żadnego skutku — tutaj głos pani Pankhurst przeszedł w pełen pasji krzyk — ponieważ tylko kobietom naprawdę zależy na tej sprawie!

Sala odpowiedziała brawami.

— Słuchajcie, słuchajcie! — zawołała kobieta obok Charlotte. Charlotte złapała ją za ramię.

— Czy to prawda? — zapytała. — Czy to wszystko prawda? Ale pani Pankhurst kontynuowała już swoje przemówienie.

— Żałuję, że brak mi czasu i sił, by opowiedzieć wam o wszystkich tragediach, których byłam świadkiem podczas mojej kadencji w radzie. W dziale opieki społecznej poznałam wdowy, które desperacko walczyły o utrzymanie

w całości rodzinnego domu. Pomoc, która wedle prawa przysługuje tym kobietom, jest daleko niewystarczająca i polega wyłącznie na tym, że mogą one wraz z jednym dzieckiem liczyć na miejsce w przytułku. Nawet jeśli kobieta ma dziecko przy piersi, w świetle przepisów prawa traktuje się ją jako w pełni zdolną do pracy. Mówi się nam, że kobiety powinny siedzieć w domu i opiekować się dziećmi. Moi

143

koledzy dziwili się, kiedy odpowiadałam na to: „Kiedy kobiety będą miały prawo głosu, dopilnują, żeby matki mogły siedzieć w domu i opiekować się swymi dziećmi”.

W roku 1899 otrzymałam nominację na stanowisko urzędnika stanu cywilnego w Manchesterze. Nawet po doświadczeniach, które stały się moim udziałem w Radzie Kuratorów, byłam wstrząśnięta, kiedy raz po raz przypominano mi, jak mało świat dba o kobiety i ich potomstwo. Przychodziły do mnie trzynastoletnie dziewczynki, żeby zarejestrować narodziny swych dzieci, naturalnie nieślubnych. W większości przypadków nie można im było w

żaden sposób pomóc. Dziewczyna staje się pełnoletnia w wieku szesnastu lat, mężczyzna jednak twierdzi na ogół, że myślał, iż jest starsza. Kiedy pełniłam swoją funkcję, młodziutka matka porzuciła swe nieślubne dziecko, które zmarło. Dziewczynę oskarżono o morderstwo z premedytacją i skazano na śmierć. Mężczyzna, który z punktu widzenia elementarnej sprawiedliwości był rzeczywistym mordercą tego dziecka, nie poniósł żadnej kary.

Wiele razy w tamtych dniach pytałam sama siebie, co należy robić. Wstąpiłam do Partii Pracy w przekonaniu, że uda mi się coś zdziałać w jej szeregach, i że politycy nie będą ignorować żądania prawa wyborczego dla kobiet. Nic takiego się nie stało.

Tymczasem dorastały moje córki. Któregoś dnia Christabel zaskoczyła mnie mówiąc: „Jak długo już wy, kobiety, walczyście o to swoje prawo głosu? Jeśli o mnie chodzi, zamierzam je zdobyć”. Od tego czasu dwie dewizy przyświecają temu, co robię. Pierwsza brzmi: „Prawo głosu dla kobiet”. A druga: „Jeśli o mnie chodzi, zamierzam je zdobyć!”

— Ja też! — krzyknął ktoś i znowu rozległy się oklaski i wiwaty. Charlotte kręciło się w głowie. Niczym Alicja z Krainy Czarów czuła się tak, jakby przeszła na drugą stronę lustra i znalazła w świecie, gdzie żadna rzecz nie była podobna do swego wyobrażenia. Kiedy czytała w gazetach o sufrażystkach, nie było tam nawet wzmianki o Prawie dla Ubogich, o trzynastoletnich matkach (czy to w ogóle możliwe?) ani o małych dziewczynkach, które zapadają na bronchit w przytułku. Charlotte nigdy by w to nie uwierzyła, gdyby nie widziała na własne oczy śpiącej na londyńskim chodniku Annie, uczciwej i prostej pokojówki z Norfolk, uwiedzionej przez mężczyznę. Jakie znaczenie ma parę wybitych okien, jeżeli pozwala się na coś takiego?

— Minęło wiele lat, zanim przystąpiliśmy do walki. Próbowaliśmy wszelkich innych dostępnych środków. Lata pracy, cierpień i wyrzeczeń nauczyły nas, że rząd nigdy się nie ugnie, kiedy apelować do jego poczucia prawa i sprawiedliwości. Uczyni to tylko i wyłącznie dla własnej wygody. Musiałyśmy zatem uczynić Anglię i życie w niej niepewnym

i niebezpiecznym. Musiałyśmy pozbawić angielskie prawo jego skuteczności i sprawić, by procesy sądowe zamieniły się w farsę; musiałyśmy zdyskredytować nasz rząd i parlament w oczach świata. To konieczność kazała nam narazić na szwank angielski sport, działać na szkodę gospodarki i niszczyć przedmioty o wysokiej wartości, konieczność kazała nam demoralizować wysokie sfery, zawstydząć kościoły i zakłócać cały uporządkowany tryb życia! Musimy toczyć naszą walkę dopóty, dopóki będzie ją w stanie tolerować angielskie społeczeństwo. Kiedy doprowadzimy do tego, że ludzie powiedzą rządowi: „Zróbcie z tym koniec, powstrzymajcie to w jedyny sposób, w jaki można tego dokonać, a mianowicie poprzez przyznanie angielskim kobietom prawa głosu”, nasza walka będzie skończona.

Wielki amerykański polityk Patrick Henry w następujący sposób podsumował racje, które skłoniły Amerykanów do wszczęcia rewolucji: „Składaliśmy petycje, zanosiliśmy protesty,

blągaliśmy i padaliśmy na kolana przed tronem. Wszystko to okazało się daremne. Musimy walczyć, powtarzam to, sir, musimy walczyć". Patrick Henry twierdził, że w imię politycznej wolności człowieka można się nawet posunąć do zabijania innych ludzi, i że będzie to usprawiedliwione. Sufrażystki nigdy się na to nie ważyły i nigdy nie poważą. Ożywiający nas duch walki wynika w rzeczywistości z głębokiego i niezmiennego szacunku, jaki mamy dla każdego ludzkiego życia.

Przepełnione tym duchem wypowiedziałyśmy naszą wojnę. 31 stycznia wypalone zostały kwasem liczne tereny do gry w golfa. 7 lutego poprzecinano w paru miejscach druty telefoniczne i telegraficzne, w wyniku czego przez szereg godzin brak było łączności pomiędzy Londynem i Glasgow. Kilka dni później wybito szyby w paru najelegantszych londyńskich klubach, a także zniszczono szklarnie w Kew, co spowodowało, że mróz zabił wiele cennych roślin. Nasze bojowniczkę wdarły się do londyńskiego Tower i rozbiły tam gablotę z biżuterią. 18 lutego został częściowo zniszczony wiejski dom

budowany dla pana Lloyda George'a w Walton-on-the-Hill. Bomba wybuchła tam wczesnym rankiem jeszcze przed przybyciem robotników.

W następstwie tych akcji wtrącono do więzień ponad tysiąc kobiet. Wyszły one stamtąd ze zniszczonym zdrowiem, osłabione fizycznie, ale nie złamane na duchu. Gdyby kobiety były wolne, żadna z nich nie wystąpiłaby przeciwko obowiązującemu prawu. Wierzą one jednak głęboko, że dobro społeczne wymaga od nich tej ofiary. Wierzą, że zło, które wstrząsa naszą cywilizacją, nie zostanie usunięte, dopóki kobiety nie otrzymają prawa głosu. Jest tylko jeden sposób, żeby powstrzymać tę akcję; jest tylko jeden sposób, by położyć jej kres. Nie osiągnie się tego deportując nas!

10 — Człowiek.

145

— Nie! — zawołał ktoś.

— Ani zamykając w więzieniach!

— Nie! — zakrzyknęła jednym głosem cała sala.

— Osiągnie się to tylko poprzez spełnienie naszych postulatów!

— Tak!

Charlotte spostrzegła, że krzyczy razem z innymi. Drobna kobieta na podium wydawała się zarażać wszystkich świętym oburzeniem. Oczy jej jaśniały, miała zaciśnięte pięści i wysunięty do przodu podbródek. Jej głos podnosił się i opadał z emocji.

— Płomień cierpienia, któremu poddane są nasze siostry w więzieniu, pali i nas. Cierpimy razem z nimi, dzielimy ich niedolę i razem z nimi będziemy dzielić ich zwycięstwo. Ten płomień niesie ze sobą jedno słowo, słowo „Zbudź się!”. Dotrze ono do uszu niejednej śpiącej, a ta powstanie i nie będzie już dłużej pogrążona w letargu. Te, które dotąd były nieme, posiadają dar mowy i pójdą dzielić się z innymi dobrą nowiną. Te, które cierpiały, były prześladowane i nieszczęśliwe, ujrzą ten płomień i napelni on ich życie nową nadzieją. Bo duch, którym ożywione są dzisiaj kobiety, nie wygaśnie nigdy, ten duch jest silniejszy od wszelkiej tyranii, okrucieństwa i prześladowań; jest silniejszy nawet od samej śmierci!

Pod koniec dnia w umyśle Lidii zaświtało

straszliwe podejrzenie.

Po lunchu poszła do swego pokoju, żeby się położyć. Była w stanie myśleć tylko o Feliksie. Nadal poddawała się jego magnetyzmowi: głupotą było udawać, że jest inaczej. Ale nie była już przecież bezradną, pozbawioną wszelkiego oparcia dziewczyną. Miała własny majątek. I zdecydowana była nie stracić nad sobą panowania, nie pozwolić Feliksowi zburzyć spokojnego życia, które z takim trudem sobie stworzyła.

Przychodziły jej do głowy wszelkie możliwe pytania, których nie zdążyła mu zadać. Co robi w Londynie? W jaki sposób zarabia na utrzymanie? Skąd się dowiedział, gdzie ją znaleźć?

Podał Pritchardowi fałszywe nazwisko. Najwyraźniej obawiał się, że Lidia go nie przyjmie. Uprzytomniła sobie, dlaczego nazwisko „Konstanty Dmitrycz Lewin” wydało jej się znajome: tak nazywał się jeden z bohaterów Anny Kareniny, książki, którą kupiła tego dnia, kiedy po raz pierwszy zobaczyła Feliksa. To przybrane nazwisko miało podwójne znaczenie: niepostrzeżenie i chytrze, niczym zapamiętany z

dzieciństwa smak ciastka, przywoływało całą chmurę mglistych wspomnień i wrażeń. Klócili się o tę książkę. Jest genialnie prawdziwa, twierdziła Lidia, wiedziała bowiem, jak to jest, kiedy w duszy przyzwoitej kobiety budzi

146

się pożądanie; Anna była Lidią. Ale głównym tematem książki nie była wcale historia Anny, twierdził Feliks; był nim Lewin i jego poszukiwanie odpowiedzi na pytanie „Jak żyć?”. Rada Tołstoja brzmiała: „Odpowiedź na to znajdziesz w swoim sercu”. Feliks utrzymywał, że ten właśnie rodzaj płytkiej moralności — z rozmysłem nie uwzględniającej czynników historycznych, ekonomicznych i psychologicznych — doprowadził rosyjską klasę panującą do skrajnej niekompetencji i degeneracji. To było tego wieczoru, kiedy jedli marynowane grzyby i Lidia po raz pierwszy w życiu spróbowała wódki. Miała na sobie turkusową suknię, która zmieniała kolor jej oczu z szarych na błękitne. Feliks całował jej palce u nóg, a potem...

Tak, przypominanie jej o tym wszystkim było

bardzo chytrym posunięciem.

Czy przebywał w Londynie już od dawna, zastanawiała się, czy też przyjechał tu tylko po to, żeby zobaczyć się z Alekssem? Było coś szczególnego w tym, że chciał zwrócić się do rosyjskiego admirała w Londynie w sprawie marynarza uwięzionego w Rosji. Po raz pierwszy przyszło jej do głowy, że Feliks mógł nie powiedzieć jej prawdy. Nadal był przecież anarchista. W roku 1895 opowiadał się zdecydowanie przeciwko stosowaniu przemocy, ale od tego czasu wiele mogło się zmienić.

Gdyby Stephen wiedział, że powiedziała anarchiście, gdzie może odnaleźć Aleksa...

Nie dawało jej to spokoju podczas podwieczorku. Martwiła się tym, kiedy pokojówka układała jej włosy; w rezultacie ta nie uczesała jej porządnie i Lidia wyglądała jak strach na wróble. Martwiła się tym również na przyjęciu i nie była przez to wdzięczną słuchaczką podczas rozmowy z margrabiną Quort, panem Chamberlainem i młodzieńcem o imieniu Freddie, który co chwila głośno powtarzał, iż ma nadzieję, że niedyspozycja Charlotte nie oznacza

niczego poważnego.

Przypomniała sobie o zranionej ręce Feliksa, o tym, jak krzyknął, kiedy ścisnęła jego dłoń. Rzuciła tylko okiem na ranę, ale wydawała się dość poważna, wymagająca zszycia.

Dopiero jednak przed pójściem spać, kiedy siedząc w swoim pokoju szczotkowała włosy, przyszło jej do głowy, że Feliks ma coś wspólnego z szaleńcem w parku.

Ta myśl była tak straszna, że Lidia wypuściła z dłoni pozłacaną szczotkę, która uderzyła o toaletkę i stłukła fiolkę z perfumami.

A jeśli Feliks przybył do Londynu, żeby zabić Aleksa?

Przypuśćmy, że to Feliks napadł na powóz w parku, nie po to, żeby ich ograbić, ale żeby dostać w swoje ręce Aleksa? Czy mężczyzna

147

z pistoletem był wzrostu i postury Feliksa? Mniej więcej. A Stephen zranił go szpadą...

Potem Aleks opuścił ich dom, ponieważ przestraszył się (albo raczej, uprzytomniła sobie teraz, ponieważ domyślił się, że „napad” był w rzeczywistości próbą zamachu na jego życie).

Feliks nie wiedział, gdzie go znaleźć, więc zwrócił się do Lidii...

Przyjrzała się swemu odbiciu w lustrze. Kobieta, którą tam widziała, miała szare oczy, blond włosy, ładną twarz i ptasi mózdzek.

Czy to może być prawda? Czy Feliks mógł ją do tego stopnia oszukać? Tak — ponieważ przez dziewiętnaście lat żył w przeświadczeniu, że to ona go zdradziła.

Zebrała szklane skorupy z toaletki i położyła je na chusteczce, a potem wytarła ściereczką rozlane perfumy. Nie wiedziała teraz, co robić. Musiała ostrzec Stephena, ale jak? „Byłabym zapomniała, kochanie, wpadł dzisiaj do mnie pewien anarchista i zapytał, gdzie można znaleźć Aleksa; a ponieważ był kiedyś moim kochankiem, więc powiedziałam mu...”. Musi wymyślić jakąś bajeczkę. Kiedyś, dawno temu, potrafiła bez wahania kłamać w żywe oczy; teraz wyszła nieco z wprawy. W końcu zdecydowała, że najodpowiedniejsza będzie kombinacja kłamstw, których Feliks naopowiadał jej i Pritchardowi.

Zarzuciła kaszmirową narzutkę na jedwabną nocną koszulę i przeszła do sypialni Stephena.

Siedział przy oknie w piżamie i szlafroku, z małym kieliszkiem brandy w jednej ręce i cygarem w drugiej. Spoglądał na park zalany księżycowym światłem. Jej wejście zaskoczyło go. To on zawsze przychodził w nocy do jej sypialni. Wstał z zapraszającym uśmiechem i ujął ją za rękę. Zdała sobie sprawę, że źle zrozumiał cel jej wizyty: pomyślał, że przyszła tu, żeby się kochać.

— Chcę z tobą porozmawiać — powiedziała. Puścił ją. Wydawał się rozczarowany.

— O tej porze?

— Zrobiłam chyba straszne głupstwo.

— Lepiej mi o tym opowiedz.

Usiedli naprzeciwko siebie po obu stronach wygasłego kominka. Nagle Lidii zrobiło się żal, że naprawdę nie przyszła tu się kochać.

— Złożył mi dzisiaj wizytę pewien człowiek — zaczęła. — Powiedział, że zna mnie jeszcze z Petersburga. Jego nazwisko brzmiało znajomo i wydawało mi się, że chyba go sobie przypominam... Wiesz, jak to jest czasami...

— Jak się nazywał?

— Lewin.

— Mów dalej.

— Powiedział, że chce się zobaczyć z księciem Orłowem. Stephen stał się nagle bardzo czujny.

— Po co?

— Mówił coś o marynarzu, który został niesłusznie wtrącony do więzienia. Ten... Lewin... miał zamiar osobiście prosić Aleksa o wstawiennictwo w sprawie uwolnienia tego człowieka.

— Co mu powiedziałaś?

— Że Aleks jest w hotelu „Savoy”.

— Cholera! — zaklął Stephen. — Wybacz mi — dodał po chwili.

— Potem przyszło mi do głowy, że ten Lewin może nie mieć dobrych zamiarów. Miał ranę na dłoni... przypomniałam sobie, że ranieś tego szaleńca w parku... i powoli zaczęło mi świtać w głowie... Zrobiłam coś strasznego, prawda?

— Właściwie to nie twoja wina, lecz moja. Powinienem powiedzieć ci prawdę o tym człowieku z parku, ale sądziłem, że lepiej będzie cię nie straszyć. Nie miałem racji.

— Biedny Aleks — westchnęła Lidia. — Pomyśleć, że ktoś chce go zabić. Taki z niego

słodki chłopak.

— Jak wyglądał ten Lewin?

Pytanie wytrąciło Lidię z równowagi. Przez moment wyobrażała sobie „Lewina” jako anonimowego zabójcę, teraz zmuszona była podać rysopis Feliksa.

— Och... ma ciemne włosy, jest wysoki, szczupły, mniej więcej w moim wieku, oczywiście Rosjanin; przyjemna twarz, trochę poorana bruzdami... — urwała. Twarz, za którą tak tęsknię.

Stephen wstał.

— Pójdę obudzić Pritcharda. Zawiezie mnie do hotelu.

Nie, nie rób tego, miała ochotę krzyknąć, lepiej weź mnie do łóżka, potrzebuję teraz twego ciepła i czułości.

— Tak mi przykro — powiedziała.

— To wszystko może się jeszcze obrócić na naszą korzyść — odparł Stephen.

— Jak to? — Spojrzała na niego zdumiona.

— Kiedy przyjdzie do hotelu „Savoy”, żeby zamordować Aleksa, dostanę go w swoje ręce.

Dopiero teraz Lidia uświadomiła sobie, że

zanim skończy się cała ta sprawa, jeden z dwóch mężczyzn, których kochała, z pewnością zgładzi tego drugiego.

Feliks ostrożnie wyjął butelkę z nitrogliceryną ze zlewu. Stąpając na palcach przeszedł przez pokój. Na materacu leżała poduszka. Już wcześniej

149

powiększył w niej otwór do dwudziestu centymetrów. Teraz wsunął do środka butelkę i owinął dookoła wyspą, tak że niczym w kokonie spoczywała wewnątrz amortyzującej wstrząsy tkaniny. Uniósł poduszkę i delikatnie, jakby trzymał niemowlę, umieścił ją w otwartej walizce. Zamknął walizkę i odetchnął z ulgą.

Ubrał się w płaszcz i szalik, a na głowę włożył swój wzbudzający szacunek melonik. Ostrożnie postawił walizkę, a potem uniósł do góry i wyszedł zabierając ją ze sobą.

Wyprawa na West End była koszmarem.

Oczywiście nie mógł tam pojechać rowerem, ale nawet piesza wędrówka zszargała mu nerwy. Przed oczyma miał ciągle ukrytą w poduszce zieloną butelkę; za każdym razem, kiedy jego

stopa stykała się z trotua-rem, wyobrażał sobie maleńką falę uderzeniową wędrującą w górę przez jego ciało i spływającą w dół do walizki; widział drgające coraz szybciej cząsteczki nitrogliceryny.

Mijając kobietę szorującą trotuar przed swoim domem zszedł na jezdnię, żeby nie poślizgnąć się przypadkiem na mokrych płytach.

— Boisz się zamoczyć nóżki, przystojniaku? — zawołała.

Przed fabryką na Euston z bramy wypadł nagle tłum czeladników goniących za piłką. Feliks zamarł w bezruchu, podczas gdy oni otoczyli go ze wszystkich stron, popychając się wzajemnie i walcząc o piłkę. Potem ktoś kopnął ją w inne miejsce i czeladnicy zniknęli tak samo szybko, jak się pojawili.

Przejsie przez Euston Road było niczym taniec ze śmiercią. Stał przy krawężniku przez pięć minut czekając na przerwę w ruchu; kiedy w końcu odważył się wejść na jezdnię, musiał prawie biec, żeby umknąć przed nadjeżdżającymi pojazdami.

Na Tottenham Court Road wstąpił do

luksusowego sklepu papierniczego. Wewnątrz było cicho i spokojnie. Postawił ostrożnie walizkę na ladzie.

— Czym mogę panu służyć? — zapytał sprzedawca odziany w surdut.

— Chciałbym kupić kopertę. Sprzedawca uniósł brwi.

— Tylko jedną, sir?

— Tak.

— Czy życzy pan sobie kopertę jakiegoś szczególnego rodzaju?

— Normalną kopertę, tyle że dobrej jakości.

— Mamy koperty w kolorze kości słoniowej, eau-de-nil, kremowe, beżowe, błękitne...

— Proszę o białą.

— Służę panu.

— I arkusz papieru.

150

— Jeden arkusz papieru, proszę bardzo.

Musiał zapłacić trzy pensy. Normalnie schowałby towar do kieszeni i wziął nogi za pas, ale trudno było uciekać z bombą w walizce.

Na Charing Cross Road kłębiło się od ludzi śpieszących do pracy w sklepach i urzędach. Nie

sposób było przejść tędy i nie zostać potrąconym. Feliks przystanął na chwilę w progu sklepu zastanawiając się, co robić. W końcu postanowił iść trzymając walizkę w ramionach, aby ochronić ją przed pędzącymi zewsząd hordami.

Przy Leicester Square wstąpił na chwilę do banku. Usiadł przy jednym ze stołów, przy których klienci wypisują czeki. Na tacce leżały pióra, obok stał kałamarz. Postawił walizkę na podłodze między nogami. Przez chwilę odpoczywał. Obok niego dreptali cicho urzędnicy w surdutach trzymając w dłoniach papiery. Feliks wziął pióro i zaadresował kopertę:

Księżę A. A. Orłów

Hotel Savoy

Strand, Londyn.

Złożył arkusz papieru i wsunął go do koperty po to tylko, żeby miała odpowiednią wagę; nie chciał, aby wydało się, że koperta jest pusta. Potem niezbyt ochoczo podniósł walizkę i wyszedł z banku.

Przy Trafalgar Square zmoczył chustkę w fontannie i ochłodził sobie twarz.

Minął dworzec Charing Cross i podążał dalej

bulwarem na wschód. Niedaleko Mostu Waterloo mała grupka uliczników zabawiała się rzucając kamieniami w mewy krążące nad rzeką. Feliks wybrał tego, który wydawał się najbardziej inteligentny.

— Chcesz zarobić pensa?

— Tak, panie szanowny!

— Masz czyste ręce?

— Tak, panie szanowny! — Chłopak wyciągnął do niego dwie brudne dłonie.

Będę musiał się zadowolić takimi, pomyślał Feliks.

— Wiesz, gdzie jest hotel „Savoy”?

— Musowo!

Feliks uznał, że odpowiedź ta oznacza to samo, co „Tak, panie szanowny!”. Wręczył chłopcu kopertę i jednego pensa.

— Policz powoli do stu, a potem zanieś ten list do hotelu. Zrozumiałeś?

— Tak, panie szanowny.

151

Feliks wspiał się po schodach na most. Od strony Dworca Waterloo walił nim gęsty tłum mężczyzn w melonikach. Feliks przyłączył się do

pochodu.

Wstąpił do sklepiku z gazetami i kupił Timesa. W drzwiach omal nie zderzył się z wbiegającym młodzieńcem. Powstrzymał go wyciągniętą ręką.

— Uważaj, jak idziesz! — zawołał. Facet spojrział na niego zaskoczony.

— Nerwowy typ, no nie? — usłyszał Feliks wychodząc.

— Cudzoziemiec — odparł kioskarcz. Feliks był już na zewnątrz. Skręcił w Strand i wszedł do hotelu. Usiadł w hallu i postawił walizkę

między nogami. Już niedaleko, pomyślał.

Ze swego miejsca widział dobrze zarówno drzwi wejściowe, jak i ladę recepcji. Wsunął rękę pod płaszcz i udał, że spogląda na nie istniejący zegarek na łańcuszku. Potem rozpostarł gazetę i usiadł wygodnie, tak jakby zbyt wcześnie przybył na umówione spotkanie.

Przysunął walizkę bliżej do fotela i wyciągnął nogi, aby uchronić ją od przypadkowego kopnięcia. Hall był pełen ludzi, dochodziła dziesiąta rano. O tej porze, pomyślał, klasy panujące zasiadają dopiero do śniadania. On sam był na czczo: nie miał tego ranka apetytu.

Przyglądał się znad gazety innym ludziom w hallu. Spostrzegł dwóch mężczyzn, którzy wyglądali na detektywów. Zastanawiał się, czy uda im się przeszkodzić mu w ucieczce. Jeśli nawet usłyszą wybuch, pomyślał, nie będą wiedzieć, która z kilkudziesięciu osób przemierzających hall jest zań odpowiedzialna. Nikt nie wie, jak wyglądam. Mogą się domyślić, kim jestem, tylko wówczas, jeśli ci z góry będą mi deptać po piętach. Nie wolno mi dopuścić, żeby ktoś mnie ścigał.

Zastanawiał się, czy mały ulicznik w ogóle się pojawi. Dostał już przecież swojego pensa. Może wyrzucił kopertę do rzeki i pobiegł kupić sobie coś słodkiego. Jeśli tak, Feliksowi nie pozostało nic innego, jak wyjść i znaleźć sobie nowego, uczciwszego posłańca.

Zerkając co kilka sekund na drzwi, czytał artykuł w gazecie. Rząd chciał zmusić tych, co zasilali konto Społeczno-Politycznej Unii Kobiet, żeby płacili za szkody wyrządzone przez sufrażystki. Przygotowywano nawet specjalną ustawę, która to umożliwi. Jak głupie bywają rządy, pomyślał, kiedy upierają się przy swoim.

Ludzie będą po prostu wpłacać pieniądze anonimowo.

Co się dzieje z tym chłopakiem?

Zastanawiał się, co robi w tej chwili Orłów. Wszystko wskazywało na to, że przebywa w którymś z pokoi hotelowych, kilkanaście czy kilkadziesiąt metrów nad głową Feliksa. Zajada śniadanie, goli się,

152

pisze list albo dyskutuje z Waldenem. Chciałbym zabić również Waldena, pomyślał.

Nie można wykluczyć, że obaj pojawią się lada minuta w hallu. To byłoby zbyt piękne. Co uczyniłbym w takim wypadku?

Rzuciłbym bombę i zginął w pełni szczęśliwy.

Przez szklane drzwi zobaczył ulicznika.

Chłopak szedł wąską alejką, która prowadziła do drzwi hotelu. Feliks widział w jego dłoni kopertę: chłopak trzymał ją za róg, prawie z niesmakiem, jakby to ona była brudna, a on nieskazitelnie czysty, nie odwrotnie. Przy drzwiach zatrzymał go hotelowy szwajcar w wysokim cylindrze. Wywiązała się krótka dyskusja, której nie było słyhać ze środka.

Chłopak odszedł, a do hallu wkroczył szwajcar, z kopertą w dłoni.

Feliks zamarł w napięciu. Czy podstęp się uda?

Szwajcar wręczył kopertę recepcjoniście za ladą.

Ten przyjrzał się listowi, wziął ołówek, napisał coś w prawym górnym rogu — prawdopodobnie numer pokoju? — i skinął na hotelowego posłańca.

Udało się!

Feliks wstał, ostrożnie uniósł walizkę i skierował się w stronę schodów.

Posłaniec minął go na pierwszym piętrze i szedł dalej schodami na górę.

Feliks podążał za nim.

To było prawie zbyt łatwe.

Odczekał, aż posłaniec oddali się o jedną kondygnację, a potem przyspieszył kroku, żeby nie stracić go z oczu.

Na piątym piętrze chłopak skręcił w korytarz.

Feliks zatrzymał się i obserwował.

Chłopak zapukał do drzwi pokoju. Otworzono mu. W szparze pojawiła się ręka, która wzięła

kopertę.

Mam cię, Orłów.

Posłaniec odegrał całą pantomimę udając, że szykuje się do odejścia, po czym został ponownie wezwany. Feliks nie usłyszał słów dobiegających ze środka pokoju. Chłopak dostał napiwek.

— Dziękuję panu bardzo, sir, bardzo jestem zobowiązany — powiedział. Drzwi zamknęły się.

Feliks ruszył korytarzem.

Posłaniec zobaczył jego walizkę i sięgnął po nią pytając:

— Czy mogę panu pomóc, sir?

— Nie! — ostro odparł Feliks.

— Jak pan sobie życzy, sir — powiedział chłopak. Feliks minął go. Podszedł do drzwi apartamentu Orłowa. Czy nie przedsięwzięto

żadnych środków ostrożności? Walden mógł się łudzić, że zamachowiec

153

nie zdoła dotrzeć do hotelowego pokoju, ale Orłów miał chyba lepsze rozeznanie. Przez moment Feliksa kusilo, żeby odejść, ponownie przemyśleć sprawę, przeprowadzić jeszcze jeden rekonesans; ale znalazł się już zbyt blisko Orłowa.

Postawił walizkę na dywanie obok drzwi.

Otworzył ją, sięgnął w głąb poduszki i ostrożnie wyjął zieloną butelkę.

Powoli się wyprostował.

Zapukał do drzwi.

.

O.

w,

alden przyjrzał się kopercie. Zaadresowana była wyraźnym, nie wyróżniającym się charakterem pisma. Nadawcą musiał być cudzoziemiec: Anglik napisałby Książę Orłów albo Książę Aleksy, ale nigdy Książę A.A. Orłow. Walden ciekaw był, co jest wewnątrz, ale Aleksy wyprowadził się z hotelu w środku nocy i nie wypadało czytać listu pod jego nieobecność. Była to, mimo wszystko, korespondencja prywatna.

Wręczył list Basilowi Thomsonowi, który nie odczuwał żadnych tego rodzaju skrupułów.

Rozdarł kopertę i wyjął pojedynczy arkusz papieru.

— Nie zapisany! — stwierdził. Rozległo się pukanie do drzwi.

Wszyscy zajęli szybko stanowiska. Walden podszedł do okien. Stał za kanapą, daleko od drzwi i poza linią strzału, gotów w każdej chwili przykucnąć. Dwaj detektywi zajęli miejsca na obu krańcach pokoju i wyciągnęli broń. Thomson stanął na środku za wielkim, wypchanym fotelem.

Pukanie rozległo się ponownie.

— Proszę wejść! Otwarte! — zawołał Thomson. Drzwi otworzyły się. Za nimi stał on.

Walden zacisnął ręce na oparciu kanapy. Ten człowiek naprawdę wzbudzał strach.

Był wysoki; miał na sobie czarny, zapięty pod szyję płaszcz i melonik. Jego pociągła twarz była wychudła i blada. W lewej ręce trzymał dużą, zieloną butelkę. Omiótł wzrokiem pokój i natychmiast zorientował się, że wpadł w pułapkę.

— Nitro! — powiedział podnosząc do góry butelkę.

— Nie strzelać! — warknął Thomson na

detektywów.

155

Waldenowi zrobiło się niedobrze ze strachu. Wiedział, czym jest nitrogliceryna: jeśli butelka upadnie na podłogę, wszyscy zginą. Chciał żyć; nie chciał spłonąć podczas nagłego wybuchu.

Przez dłuższy moment panowała cisza. Nikt się nie poruszył. Walden wpatrywał się w twarz zabójcy. Była przebiegła, zacięta i pełna determinacji. W ciągu tej krótkiej, strasznej chwili Walden wrył sobie w pamięci każdy jej szczegół: zakrzywiony nos, szerokie usta, smutne oczy, gęste, czarne włosy wystające spod kapelusza. Czy to szaleniec, zastanawiał się. Sadysta? Człowiek rozczarowany do życia? Czy pozbawiony serca? Po jego twarzy można było poznać tylko tyle, że nie wie, co to strach.

— Poddaj się! — przerwał ciszę Thomson. — Postaw butelkę na podłodze. Nie bądź głupi!

Jeśli detektywi otworzą do niego ogień i facet zwali się z nóg, spekulował Walden, ciekawe, czy zdołam tam dobiec i złapać butelkę, zanim roztrzaska się o podłogę...

Nie, to niemożliwe.

Zabójca stał bez ruchu z podniesioną wysoko butelką. Patrzy na mnie, a nie na Thomsona, uświadomił sobie Walden; przygląda mi się tak, jakbym go fascynował; zapamiętuje szczegóły, szuka we mnie słabego punktu. Jest mną tak samo zainteresowany, jak ja nim.

Zorientował się, że nie ma tutaj Aleksa. Co teraz zrobi?

— Nie jesteś taki głupi, na jakiego wyglądasz — odezwał się po rosyjsku zamachowiec. Mówił do Waldena.

Może to samobójca, zastanawiał się Walden. Może chce zginąć razem z nami. Lepiej, żeby mówił dalej.

W tym momencie zamachowiec zniknął im z oczu.

Walden słyszał, jak biegnie korytarzem.

Ruszył w stronę drzwi. Wyprzedzili go trzej pozostali mężczyźni.

Na korytarzu detektywi przyklękli mierząc do uciekającego z pistoletów. Ten biegł dziwnym, płynnym krokiem; w opuszczonej nieruchomo lewej ręce trzymał butelkę, starając się, o ile to możliwe, nie chybotać jej zawartością.

Czy zginiemy, jeśli nitrogliceryna wybuchnie właśnie w tej chwili? — zastanawiał się Walden. Chyba nie, chyba jest już za daleko.

Thomson najwidoczniej doszedł do tego samego wniosku.

— Strzelajcie! — krzyknął. Rozległy się dwa strzały. Zamachowiec zatrzymał się i obrócił. Czy któryś z pocisków doszedł do celu? Zamachnął się i cisnął w ich kierunku butelkę.

Thomson i dwaj detektywi padli płasko na podłogę. Walden w mgnie-

156

niu oka zdał sobie sprawę, że jeśli nitrogliceryna wybuchnie gdzieś w pobliżu, wcale ich to nie uratuje.

Butelka leciała ku nim obracając się powoli w powietrzu. Wydawało się, że upadnie mniej więcej półtora metra od Waldena. Jeśli uderzy o podłogę, na pewno wybuchnie.

Walden rzucił się ku lecącej butelce.

Spadała płaskim łukiem. Sięgnął po nią obydwoma rękami. Złapał. Szkło wyslizgiwało mu się z palców. Przerażony zaciskał je kurczowo na butelce, która o mało nie wypadła; w końcu

udało mu się chwycić ją lepiej...

Nie upuść jej, Chryste Panie, nie upuść...

...i jak bramkarz łapiący piłkę, przyciągnął ją do siebie, przycisnął do piersi i obrócił się cały w kierunku jej lotu; w chwilę potem stracił równowagę, padł na kolana i zastygł w bezruchu, wciąż trzymając butelkę. Teraz umrę, przemknęło mu przez myśl.

Nic się nie stało.

Pozostali gapili się na niego, jak klęczcy, tuląc w ramionach butelkę niczym nowo narodzone niemowlę.

Jeden z detektywów zemdłał.

Przez ułamek sekundy Feliks wpatrywał się z podziwem w Waldena, a potem odwrócił się i zbiegł po schodach.

Ten Walden był niesamowity. Trzeba mieć stalowe nerwy, żeby złapać coś takiego!

— Za nim! — usłyszał daleko z tyłu.

To już któryś raz z rzędu, pomyślał. Znowu uciekam. Co się ze mną dzieje?

Schody nie miały końca. Za sobą słyszał kroki biegnących. Huknął strzał.

Na następnym piętrze zderzył się z kelnerem

niosącym tacę. Kelner przewrócił się, rozrzucając wokół talerze z jedzeniem.

Pościg był piętro czy dwa wyżej. Schody się skończyły. Feliks przybrał spokojny wyraz twarzy i wkroczył do hallu.

Wciąż kłębił się tu tłum.

Miał poczucie, jakby stapał po linie.

Kątem oka dostrzegł dwóch mężczyzn, których zidentyfikował wcześniej jako detektywów. Rozmawiali z ożywieniem i wyglądali na przejętych; musieli usłyszeć odgłosy strzałów.

Feliks przeszedł powoli przez hall, z całych sił walcząc z pokusą, żeby puścić się biegiem. Miał wrażenie, że wszyscy mu się przyglądają. On sam patrzył nieruchomo przed siebie.

Dotarł do drzwi i wyszedł na zewnątrz.

157

— Życzy pan sobie dorożkę? — zapytał odźwierny.

Feliks wskoczył do czekającej dorożki, która z miejsca ruszyła.

Kiedy skręcali w Strand, obejrzał się do tyłu. Jeden z detektywów, których widział na górze,

wypadł na ulicę, za nim wybiegli tamci dwaj z hallu. Powiedzieli coś do portiera, a on wskazał ręką na dorożkę Feliksa. Detektywi wyciągnęli broń i ruszyli w pogoń.

Ruch był gęsty. Dorożka zatrzymała się na Strandzie.

Feliks wyskoczył na jezdnię.

— Hej! Co to za numery, panie! — zawołał dorożkarz.

Feliks przemknął się między przejeżdżającymi pojazdami na drugą stronę ulicy i puścił się biegiem na północ.

Obejrzał się przez ramię. Wciąż deptali mu po piętach.

Musiał uciekać prosto przed siebie, dopóki nie zgubi ich w labiryncie zaułków albo na jakimś dworcu.

Umundurowany policjant dostrzegł biegnącego Feliksa i przyglądał mu się podejrzliwie z drugiej strony ulicy. W chwilę później policjanta zauważyli detektywi, zawołali go, a on przyłączył się do pościgu.

Feliks przyspieszył kroku. Serce waliło mu w piersi, z trudem łapał powietrze.

Skręcił za rogiem i znalazł się na targu owocowo-warzywnym Covent Garden.

Wybrukowane kocimi łbami uliczki zastawione były ciężarówkami i furgonami. Wszędzie kręcili się tragarze dźwigający skrzynki albo popychający przed sobą ręczne wózki. Umieśnieni mężczyźni w podkoszulkach zdejmowali z przyczep beczki z jabłkami. Kupcy w melonikach handlowali między sobą skrzynkami sałaty, pomidorów i truskawek. Przynosili je bądź zabierali mężczyźni w czapkach. Wszędzie panował potworny hałas.

Feliks dał nura w sam środek targu.

Ukrył się za stertą pustych skrzynek i lypał okiem przez szpary między deskami. Po chwili zobaczył ścigających. Przystanęli rozglądając się wokoło. Chwilę rozmawiali, a potem rozdzielili się.

To Lidia mnie wydała, myślał Feliks odzyskując powoli oddech. Czy wiedziała wcześniej, że szukam Orłowa, aby go zabić? Nie, nie mogła tego wiedzieć. Tamtego ranka nie grała żadnej roli; jej pocałunki nie były udawane. Ale gdyby uwierzyła w opowieść o marynarzu,

którego staram się wydostać z więzienia, z pewnością nie powiedziała ani słowa Waldenowi. Być może dopiero później dotarło do niej, że ją okłamałem, i ostrzegła męża, nie chcąc ponosić odpowiedzialności za zabójstwo Orłowa. A więc w gruncie rzeczy wcale mnie nie zdradziła.

Następnym razem już mnie nie pocałuje.

Nie będzie następnego razu.

158

Zbliżał się do niego umundurowany policjant.

Feliks okrążył stertę skrzynek i znalazł się w małej kryjówce, otoczonej ze wszystkich stron pojemnikami.

W każdym razie udało mi się wydostać z zastawionej przez nich pułapki, pomyślał. Dzięki nitroglicerynie.

Ale to przecież oni powinni się mnie bać.

Ja jestem myśliwym; ja jestem tym, który zastawia sidła.

To Walden; on stanowi dla mnie największe zagrożenie. Już po raz drugi stanął na mojej drodze. Kto by się spodziewał, że siwowłosego arystokrata będzie miał w sobie aż tyle wigoru?

Zastanawiał się, gdzie podział się ten

policjant. Wyrzwał z za desek.

Stali teraz oko w oko.

Twarz policjanta wykrzywiła się w zdumieniu. Feliks złapał go za płaszcz i wciągnął do swojej kryjówki.

Policjant potknął się.

Feliks podstawił mu nogę. Tamten upadł. Feliks wskoczył na niego, złapał go za gardło i zaczął dusić.

Feliks nienawidził policjantów.

Pamiętał łamistrajków — zbirów z metalowymi prętami — którzy bili robotników na dziedzińcu fabryki w Białymstoku, podczas gdy policja przyglądała się temu z założonymi rękoma. Pamiętał, jak w czasie pogromu przez żydowską dzielnicę przebiegali chuligani wznecając ogień, znęcając się nad starcami i gwałcąc młode dziewczęta, a policjanci patrzyli na to obojętnie i śmiali się. Pamiętał Krwawą Niedzielę, kiedy wojsko strzelało raz za razem do pokojowego tłumu, zgromadzonego przed Pałacem Zimowym, a policja stała obok wznosząc radosne okrzyki. Przed oczyma miał tajniaków, którzy zabrali go do Twierdzy Pietropaw-łowskiej

na tortury, policjantów, którzy eskortowali go na Syberię i ukradli mu płaszcz, tych, którzy wymachując pałkami wdarli się na zebranie komitetu strajkowego w Petersburgu i bili po głowach kobiety. Oni zawsze biją kobiety.

Policjant jest robotnikiem, który zaprzedał swą duszę.

Feliks zacisnął mocniej palce.

Policjant zamknął oczy i przestał się szarpać.

Feliks ścisnął go jeszcze mocniej.

Usłyszał jakiś odgłos.

Obejrzał się.

Obok stało małe, dwu- albo trzyletnie dziecko i gryząc jabłko przyglądało się, jak Feliks dusi policjanta.

Na co tu jeszcze czekam, pomyślał.

Puścił swoją ofiarę.

Dziecko podeszło bliżej i przyglądało się nieprzytomnemu.

159

Feliks wyjrzał na zewnątrz. W zasięgu wzroku nie było żadnego detektywa.

— Czy on zasnął? — spytało dziecko.

Feliks wyszedł z kryjówki.

Wydostał się z targu nie natknąwszy się na żadnego ze swoich prześladowców.

Wrócił na Strand.

Poczuł się bezpieczniej.

Na Trafalgar Square wsiadł do omnibusu.

O mało nie zginąłem, powtarzał sobie Walden; o mało nie zginąłem.

Siedział w apartamencie hotelowym, podczas gdy Thomson zbierał swoją ekipę detektywów. Ktoś podał mu kieliszek brandy z wodą sodową i dopiero wtedy zauważył, że trzęsą mu się ręce. Przed oczyma ciągle miał lądującą mu w dłoniach butelkę nitrogliceryny.

Starał się skupić uwagę na tym, co mówi Thomson. Szef Wydziału Specjalnego zachowywał się całkiem inaczej, kiedy przemawiał do swoich ludzi: wyjął ręce z kieszeni i usiadł na skraju krzesła. Nie cedził powoli słów; jego głos przypominał teraz raczej karabin maszynowy.

W trakcie jego przemowy Walden zaczął się uspokajać.

— Facet wyslizgnął nam się z rąk — stwierdził Thomson. — To nie może się zdarzyć ponownie.

Wiemy o nim teraz to i owo, i z pewnością dowiemy się więcej. Wiemy, że przebywał w Petersburgu w roku 1895, a może i wcześniej, ponieważ lady Walden go stamtąd pamięta. Wiemy, że był w Szwajcarii, ponieważ walizka, w której przyniósł bombę, jest szwajcarska. Wiemy także, jak wygląda.

Ta twarz, pomyślał Walden; odruchowo zacisnął pięści.

— Watts, chcę, żebyś razem ze swoimi ludźmi — mówił dalej Thomson — przepuścił trochę forsy na East Endzie. Ten facet to prawie na pewno Rosjanin, jest więc prawdopodobnie Żydem i anarchistą, ale nie trzymajcie się kurczowo tej wersji. Zobaczymy, czy nie uda nam się ustalić jego nazwiska. Gdyby się udało, zatelegrafujcie do Zurychu i Petersburga z prośbą o więcej informacji.

Richards, ty zajmiesz się kopertą. Prawdopodobnie została kupiona luzem, więc subiekt mógł zapamiętać, komu ją sprzedał.

Woods, ty sprawdzisz butelkę. Jest typu Winchester, z korkiem ze szlifowanego szkła. Na spodzie odbita jest nazwa firmy. Sprawdź, komu

w Londynie dostarczają swoje wyroby. Wyślij ekipy do wszystkich drogerii; niech sprawdzą, czy któryś ze sprzedawców nie przypomina sobie klienta odpowiadającego naszemu rysopisowi. Składniki do wyrobu nitrogliceryny musiał oczywiście kupić w kilku różnych sklepach; jeśli je

160

odnajdziemy, będziemy wiedzieć, w której części Londynu mamy go szukać.

Walden był pod wrażeniem. Nie zdawał sobie sprawy, że zamachowiec zostawił za sobą aż tyle śladów. Wyraźnie poprawiło mu się samopoczucie.

— Do ciebie należy najtrudniejsze zadanie, Taylor — zwrócił się Thomson do młodzieńca w filcowym kapeluszu i miękkim kołnierzyku. — Lord Walden i ja widzieliśmy zamachowca tylko przez moment, ale lady Walden miała sposobność dłużej mu się przyjrzeć. Pójdiesz z nami do lady Walden, i na podstawie jej, a także naszego opisu sporządzisz portret tego człowieka. Ma być powielony dzisiaj wieczorem, tak aby jutro do południa znalazł się na wszystkich

londyńskich posterunkach.

Z pewnością, myślał Walden, temu człowiekowi nie uda się teraz wyslizgnąć nam z rąk. Ale potem przypomniał sobie, że tak samo myślał, kiedy zastawiali na niego pułapkę w hotelowym apartamencie; i znowu zaczęły mu drżeć ręce.

Feliks przejrzał się w lustrze. Ostrzygł włosy bardzo krótko, na pruską modłę, i wyskubał sobie brwi, tak że zostały mu tylko dwie cienkie kreski. Od tej chwili przestanie się golić; jutro będzie wyglądał jak lump, ale po tygodniu broda i wąsy zakryją mu usta i podbródek. Nie mógł niestety nic poradzić na swój nos. Kupił sobie używane okulary. w drucianej oprawce. Szkła były niewielkie, mógł więc patrzeć ponad nimi. Zamienił melonik i czarny płaszcz na niebieską bluzę marynarską i tweedową czapkę z daszkiem.

Ktoś, kto przyjrzałby mu się uważniej, odkryłby, że to wciąż ta sama osoba; przypadkowy obserwator nie powinien jednak zauważyć żadnego podobieństwa.

Wiedział, że musi się wynieść z domu Bridget. Wszystkie chemikalia kupił w zasięgu dwóch

kilometrów. Kiedy odkryje to policja, zaczną sprawdzać dom po domu. Wcześniej czy później pojawią się na jego uliczce i któryś z sąsiadów powie: „Znam go, mieszka w suterenie u Bridget”.

Był ścigany. To poniżające i przygnębiające uczucie. Był niejednokrotnie ścigany także wcześniej, ale zawsze po udanym zamachu, nigdy przed.

Wziął swoją brzytwę, wszystko, co miał z bielizny, dynamit domowej roboty i opowiadania Puszkina, zawinął to w czystą koszulę i poszedł na górę do Bridget.

— Jezusie, Maryjo i Józefie święty! — zawołała. — Coś ty zrobił ze swoimi brwiami? Był z ciebie kiedyś przystojny mężczyzna.

11 — Człowiek.

161

— Muszę wyjechać — powiedział. Przyjrzała się jego zawiniątku.

— Widzę, że już się spakowałeś.

— Jeśli przyjdzie tu policja, nie musisz ich okłamywać.

— Powiem, że cię wyrzuciłam, bo zaczęłam podejrzewać, że jesteś anarchista.

— Do widzenia, Bridget.

— Zdejmij te swoje idiotyczne okulary i daj mi całusa. Feliks pocałował ją w policzek i wyszedł.

— Powodzenia, chłopcze! — zawołała za nim.

Wziął swój rower i po raz trzeci od przyjazdu do Londynu wyruszył na poszukiwanie nowej kwatery.

Pedałował powoli. Doszedł do siebie po ranach od szpady, jego siły podkopało jednak poczucie klęski. Minął północny Londyn i City, a potem przejechał przez Most Londyński na drugi brzeg Tamizy. Kierując się na południowy wschód minął pub o nazwie „Elephant and Castle”. W okolicy Old Kent Road znalazł parę ruder, gdzie pokoje były tanie i nikt nie zadawał zbędnych pytań. Wynajął izbę na czwartym piętrze czynszowej kamienicy, należącej, jak oznajmił mu z żalobną miną gospodarz, do kościoła anglikańskiego. Nie było tu warunków do wyrobu nitrogliceryny; w jego pokoju, tak jak zresztą w całym budynku, nie było bieżącej wody — mieszkańcy korzystali ze stojącej na podwórku pompy i wygodki.

Pokój wyglądał ponuro. W kącie stała pułapka

na myszy, okno zasłonięte było gazetą, farba luszczyła się ze ściany, a materac śmierdział.

Gospodarz, przygarbiony, tłusty mężczyzna, kaszłał i powłóczył nogami w przydeptanych kapciach.

— Jeśli chce pan wstawić szybę, mogę to tanio załatwić — powiedział.

— Gdzie mógłbym przechować rower? — zapytał Feliks.

— Na pana miejscu trzymałbym go tutaj, bo wszędzie indziej mogą go panu podwędzić.

Kiedy Feliks wstawił rower do środka, w pokoju zostało akurat tyle miejsca, żeby dostać się do łóżka.

— Biorę ten pokój — oznajmił.

— Należy się w takim razie dwanaście szylingów.

— Powiedział pan trzy szylingi tygodniowo.

— Płatne za cztery tygodnie z góry.

Feliks dał mu pieniądze. Po kupnie okularów i wymianie ubrania został mu jeden funt i dziewiętnaście szylingów.

— Jeśli chce pan odnowić sobie pokój, załatwię panu malowanie za pół ceny —

zaproprowował gospodarz.

162

— Dam panu znać — odparł Feliks. Pokój lepił się od brudu, ale było to obecnie najmniejsze z jego zmartwień.

Nazajutrz musiał znów zacząć szukać Orłowa.

— Stephen! Dzięki Bogu jesteś cały i zdrowy — zawołała Lidia. Objął ją ramieniem.

— Oczywiście, że jestem cały i zdrowy.

— Co się stało?

— Niestety nie udało nam się złapać zamachowca.

Lidia omal nie zemdląła ze szczęścia. Od chwili kiedy Stephen zapowiedział „Dostanę go w swoje ręce”, była podwójnie przerażona: tym, że Feliks zabije Stephena, i tym, że jeżeli do tego nie dojdzie, po raz drugi w życiu Feliks znajdzie się w więzieniu z jej winy. Pamiętała, przez co musiała przejść za pierwszym razem i na myśl o tym robiło jej się niedobrze.

— Znasz chyba, jak sądzę, pana Basila Thomsona — powiedział Stephen — a to pan Taylor, policyjny artysta. Pomożemy mu sporządzić portret zamachowca.

Zamarło jej serce. Miała teraz w obecności własnego męża spędzić długie godziny odtwarzając z pamięci wygląd kochanka. Kiedy to się skończy? — pomyślała.

— A przy okazji, gdzie jest Charlotte? — zapytał Stephen.

— Pojechała na zakupy.

— To dobrze. Nie chcę, żeby wiedziała cokolwiek na ten temat, a zwłaszcza, dokąd przeniósł się Aleks.

— Mnie też tego nie mów — poprosiła Lidia. — Wolę nie wiedzieć. Nie będę wtedy mogła ponownie popełnić tego samego błędu.

Usiedli. Artysta wyjął swój szkicownik.

Rysował tę twarz bez końca. Lidia potrafiłaby to zrobić w pięć minut. Z początku próbowała wprowadzić rysownika w błąd, mówiąc „Niezupełnie tak”, kiedy idealnie uchwycił podobieństwo, i „Tak właśnie”, gdy coś było całkiem na opak; ale Stephen i Thomson przyjrzeni się Feliksowi dokładnie, choć przez krótką chwilę, i obaj ją poprawiali. W końcu przestraszyła się, że ją zdemaskują, i współpracowała z nimi tak, jak potrafiła. Ani

przez chwilę nie opuszczała jej jednak świadomość, że w ten sposób pomaga im być może wtrącić Feliksa ponownie do więzienia. W rezultacie portret bardzo wiernie przedstawiał ukochane przez Lidię rysy.

Tak była po tym wszystkim roztrzęsiona, że połknęła laudanum i poszła spać. Śniło jej się, że wyjeżdża do Petersburga na spotkanie z Feliksem. Obląkana logika snu sprawiła, że wyruszyła do portu

163

powozem, mając za towarzyszki dwie księżne, które gdyby znały jej przeszłość, pierwsze kazałyby jej się wynosić z dobrego towarzystwa. Nie wiadomo dlaczego wybrały złą drogę i zamiast do Southampton przybyły do Bournemouth. Zatrzymały się, żeby odpocząć, choć dochodziła piąta, a statek odpływał o siódmej. Księżne wyznały Lidii, że sypiają ze sobą i uprawiają w łóżku perwersyjne pieszczoty. Wcale jej to nie zdziwiło, mimo że obie były potwornie stare. Wciąż powtarzała: „Musimy już jechać”, ale one wcale się tym nie przejmowały. Przybył posłaniec z wiadomością dla Lidii. List

podpisany był „Twój kochanek anarchista”. „Przekaż mojemu kochankowi anarchiście — oznajmiła Lidia posłańcowi — że spróbuję wsiąść na statek, który odpływa o siódmej”. Tym samym wszystko się wydało. Księżne mrugały do siebie znacząco. Za dwadzieścia siódma, wciąż w Bournemouth, Lidia zdała sobie nagle sprawę, że nie jest jeszcze spakowana. Biegała w kółko wrzucając rzeczy do walizek, ale niczego nie mogła znaleźć; nad głową tykały głośno sekundy, ona była już dawno spóźniona, i nie potrafiła w żaden sposób wypełnić walizki. Zostawiła w panice bagaże, wybiegła na dwór, wspięła się na kozioł i sama złapała za lejce. Zmyliła jednak drogę przy nabrzeżu w Bournemouth. Nie mogła wydostać się z miasta i obudziła się nie zdolawszy zbliżyć się do Southampton choćby na jedną milę.

Leżała w łóżku, wpatrując się szeroko otwartymi oczyma w sufit, serce waliło jej jak młotem. Powtarzała sobie w duchu: To tylko sen. Dzięki Bogu, to tylko sen!

Feliks poszedł spać w ponurym nastroju i obudził się wściekły.

Był wściekły na samego siebie. Zabójstwo

Orłowa nie było nadludzkim zadaniem. Ten człowiek może być strzeżony, ale nikt przecież go nie zamknie w podziemnym skarbcu; poza tym nawet podziemne skarbcie można sforsować. Feliks był inteligentny i pełen determinacji. Jeśli będzie cierpliwy i wytrwały, jakoś uda mu się przezwyciężyć wszystkie przeszkody, które stawiają mu na drodze przeciwnicy.

Był ścigany. Dobrze, zatem nie powinien dać się złapać. Będzie przemykał się zaułkami, unikał sąsiadów, wystrzegał się niebieskich policyjnych mundurów. Odkąd wstąpił na drogę przemocy, wielokrotnie deptano mu po piętach, nigdy jednak nie dał się złapać.

Wstał z łóżka, umył się przy pompie na podwórku, pamiętając, żeby się nie golić, włożył swoją tweedową czapkę, marynarską bluzę i okulary, zjadł śniadanie w ulicznej budce, wsiadł na rower i popedałował, unikając głównych ulic, do Parku św. Jakuba.

164

Od razu dostrzegł umundurowanego policjanta przechadzającego się wzdłuż domu Waldenów.

To oznaczało, że nie może zająć swojej dawnej pozycji. Musiał wycofać się w głąb parku i prowadzić obserwację z większej odległości. Nie chcąc zwrócić na siebie uwagi policjanta, nie mógł także pozostawać zbyt długo w tym samym miejscu.

Koło południa w bramie pojawił się automobil. Feliks popędził po rower.

Nie zauważył, żeby automobil wjeżdżał przedtem do środka, należał więc prawdopodobnie do Waldena. Dotychczas rodzina podróżowała wyłącznie powozem, ale oprócz pojazdów konnych, mogli przecież posiadać również automobil. Feliks znajdował się zbyt daleko, żeby dostrzec, kto siedzi w środku. Miał nadzieję, że to Walden.

Automobil skierował się w stronę Trafalgar Square. Feliks popedałował na skróty przez trawnik, żeby go nie stracić z oczu.

Kiedy wjechał na jezdnię, automobil znajdował się parę metrów przed nim. Bez większego wysiłku Feliks okrążył w ślad za nim Trafalgar Square, a potem dał się nieco wyprzedzić na prowadzącej na północ Charing

Cross Road.

Pedałował szybko, ale w znośnym tempie. Przede wszystkim nie chciał na siebie zwracać uwagi, a poza tym uważał, że powinien zachować siły na później. Okazało się jednak, że był zbyt ostrożny, bo kiedy dotarł do Oxford Street, automobil zniknął mu z oczu. Feliks przeklinał własną głupotę. W którą stronę skręcił? Były cztery możliwości: w lewo, prosto, w prawo i ostrym skosem w prawo.

Wybrał drogę na wprost.

Przy końcu Tottenham Court Road dostrzegł, że automobil utknął w korku ulicznym. Odetchnął z ulgą. Dopędził go w chwili, kiedy tamten skręcał na wschód. Zaryzykował i podjechał zupełnie blisko, żeby zajrzeć do środka. Za kierownicą zobaczył mężczyznę w czapce szofera. Pasażer z tyłu miał siwe włosy i brodę: to Walden!

Zabiję i jego, pomyślał Feliks; na Boga, zabiję go.

W ulicznym korku niedaleko dworca EUston wyprzedził automobil i wysforował się do przodu, ryzykując, że Walden może go zobaczyć, kiedy

znów się z nim zrówna. Jechał przodem przez całą Euston Road, zerkając ciągle przez ramię, czy ma za sobą automobil. Przy King's Cross czekał chwilę, łapiąc z trudem oddech. Maszyna minęła go i skręciła na północ. Kiedy przejeżdżała, Feliks odwrócił twarz w drugą stronę, potem ruszył w ślad za nią.

Ruch był dość gęsty i Feliksowi udawało się utrzymać stały dystans, ale odczuwał coraz większe zmęczenie. Rosła w nim nadzieja, że Walden rzeczywiście jedzie na spotkanie z Orłowem. Nie rzucający się w oczy

165

dom na północnych przedmieściach Londynu mógł stanowić świetną kryjówkę. Ogarnęło go podniecenie. Był w stanie zabić ich obu.

Przejechali tak prawie kilometr, potem ruch zaczął się zmniejszać. Automobil był duży i miał potężny silnik. Feliks musiał pedałować coraz szybciej. Obficie się pocił. Jak długo jeszcze? — pytał sam siebie.

Mały korek przy Holloway Road pozwolił mu na chwilę wytchnienia, ale potem na Seven Sisters Road automobil wyraźnie przyspieszył.

Feliks pedałowal najszybciej, jak potrafil. W kazdej chwili Walden mogl teraz zjechać z glownej drogi; zaledwie minuty mogly dzielic ich od celu podrózy. Potrzebuję tylko troche szczęscia, myslal Feliks. Zmobilizowal resztki sil. Bolały go nogi, z trudem łapał powietrze. Automobil nieublaganie się oddalał. Kiedy wyprzedzil go o sto metrów i wciąż przyspieszal, Feliks dal za wygraną.

Toczył się jeszcze chwile rozpędem, a potem zatrzymal na poboczu i pochylony nad kierownica czekał, aż dojdzie do siebie. Zrobilo mu się słabo.

Tak to jest, pomyslal z goryczą: kiedy dochodzi do walki, klasa rządząca zawsze dysponuje większym komfortem. Choćby taki Walden: siedzi rozparty wygodnie w wielkim, eleganckim automobilu, pali cygaro i nie musi nawet kręcić kierownica.

Najwyraźniej wybieral się za miasto. Orłów mogl znajdować się w jakimś miejscu na północ od Londynu w odległości paru godzin jazdy szybkim samochodem. Feliks po raz kolejny zostal pokonany.

Z braku lepszego pomysłu zawrócił i popedałował z powrotem do Parku św. Jakuba.

Charlotte wciąż brzmiały w uszach słowa pani Pankhurst.

To zrozumiała, że świat pełen jest nędzy i cierpienia, skoro cała władza skupiła się w rękach jednej tylko połowy rodzaju ludzkiego, która na dodatek nie rozumie problemów tej drugiej. Mężczyźni godzą się z istnieniem niesprawiedliwości i bestialstwa, ponieważ nie są one wymierzone przeciwko nim, lecz przeciw kobietom. Gdyby kobiety uzyskały władzę, wtedy nikogo nie wolno by już było krzywdzić.

W dzień po zebraniu sufrażystek jej umysł nadal pełen był podobnych spekulacji. Ujrzała teraz w nowym świetle wszystkie otaczające ją kobiety: służące, ekspedientki, pielęgniarki, nawet mamę. Nie miała już dłużej za złe rodzicom, że ją oszukiwali. Właściwie nie było to oszustwo, ale zaniedbanie; a jeśli już upierać się przy tym określeniu, to siebie oszukiwali w takim samym prawie stopniu co ją. Papa zdecydował się z nią szczerze porozmawiać wbrew swym oczywistym zwyczajom. Mimo to nadal pragnęła

odkryć prawdę na własną rękę; tylko w ten sposób mogła być jej pewna.

166

Rano zdobyła trochę gotówki, wybierając się po prostu na zakupy razem z lokajem i mówiąc mu „Daj mi szylinga”. Potem, gdy powóz czekał na nią przed główną bramą domu towarowego „Liberty” przy Regent Street, wyslizgnęła się bocznym wyjściem na Oxford Street, gdzie znalazła kobietę sprzedającą gazetkę sufrażystek Prawo głosu dla kobiet. Kosztowała jednego pensa. Charlotte wróciła do „Liberty”, ukryła gazetkę pod suknią w damskiej toalecie i wsiadła z powrotem do powozu.

Po lunchu przeczytała gazetkę w swojej sypialni. Dowiedziała się, że incydent w pałacu podczas jej debiutu nie był pierwszą próbą zwrócenia uwagi króla i królowej na los kobiet. W grudniu poprzedniego roku trzy sufrażystki w pięknych wieczorowych sukniach zabarykadowały się w łoży Covent Garden. Okazję stanowiło galowe wystawienie Joanny d'Arc Raymonda Roze'a, na którym zjawiała się para królewska wraz z całym dworem. Pod koniec

pierwszego aktu jedna z sufrażystek wstała z miejsca i zaczęła przemawiać do króla przez megafon. Pół godziny minęło, zanim wyłamano drzwi i usunięto kobiety z łoży. Wtedy z pierwszych rzędów galerii powstało czterdzieści kolejnych sufrażystek. Rozrzuciły ulotki i wymaszerowały z widowni.

Zarówno przed, jak i po tym incydencie król odmówił przyjęcia pani Pankhurst na audiencji. Sufrażystki zaś argumentowały, że wszystkim poddanym przysługuje odwieczne prawo zwracania się do króla z petycjami i skargami, i w związku z tym ogłosiły, że do pałacu uda się specjalna deputacja, której towarzyszyć będą tysiące kobiet.

Czytając gazetkę Charlotte uświadomiła sobie, że pochód miał się odbyć właśnie dzisiaj — tego popołudnia — teraz.

Pragnęła wziąć w nim udział.

Nie wystarczy poznać przyczyn zła, powiedziała sobie, trzeba starać się z nim walczyć. Wciąż brzmiały jej w uszach słowa pani Pankhurst: „Duch, którymi ożywione są dzisiaj kobiety, nie wygaśnie nigdy...”

Papa wyjechał gdzieś razem z Pritchardem samochodem. Mama położyła się, jak zwykle po lunchu. Nikt nie mógł jej przeszkodzić.

Włożyła skromną sukienkę, swój najbardziej odstręczający kapelusz i płaszcz, zeszła cicho po schodach i wymknęła się z domu.

Feliks przechadzał się po parku, obserwując bacznie dom Waldenów i łamiąc sobie bez przerwy głowę.

Musiał się jakoś dowiedzieć, dokąd jeździ Walden. Ale jak tego dokonać? Czy jeszcze raz spotkać się z Lidią? Przy pewnym ryzyku mógłby ominąć policjanta i dostać się do rezydencji, ale czy udałoby mu się stamtąd wyjść? Czy Lidia nie podniosłaby alarmu? Nawet jeśli pozwoliłaby mu wyjść, prawdopodobnie nie zdradziłaby mu po raz

167

drugi, gdzie ukrył się Orłów, teraz, kiedy już wie, do czego mu potrzebna ta informacja. Mógłby ją uwieść — ale kiedy i gdzie?

Nie był w stanie śledzić samochodu Waldena jadąc za nim na rowerze. A może pojechać za nim innym samochodem? Mógł ukraść jakiś, ale nie

umiał prowadzić. Czy zdoła się nauczyć? A jeśli nawet zdoła, to czy szofer Waldena nie zauważy, że jest śledzony?

Gdyby tak udało mu się ukryć się w samochodzie Waldena... Żeby to zrobić, musiałby dostać się do garażu, otworzyć bagażnik, spędzić w nim kilka godzin — i cały czas modlić się o to, żeby ktoś nie zechciał przypadkiem czegoś do niego włożyć przed rozpoczęciem podróży. Szanse były zbyt nikłe, żeby ryzykować wszystko w tej grze.

Musiałby wtajemniczyć w całą sprawę szofera. Czy udałoby się go przekupić? Upić? Porwać? Rozważał właśnie te możliwości, gdy ujrzał wychodzącą z domu dziewczynę.

Zastanawiał się, kto to jest. Chyba służąca. Członkowie rodziny zawsze korzystali z powozu opuszczając dom; z drugiej jednak strony dziewczyna wyszła głównym wejściem, a Feliks nie widział dotąd, żeby robił to ktoś ze służby. To mogła być córka Lidii. Mogła wiedzieć, gdzie przebywa Orłów.

Postanowił ją śledzić.

Szła w kierunku Trafalgar Square. Feliks

zostawił swój rower w zaroślach i ruszył za nią. Teraz mógł się jej lepiej przyjrzeć. Nie była ubrana jak służąca. Przypomniawszy sobie, że tej nocy, kiedy po raz pierwszy próbował zabić Orłowa, w powozie była dziewczyna. Nie przyjrzał jej się wtedy dobrze, ponieważ nie mógł oderwać oczu od Lidii, ku własnej zgubie. W trakcie wielodniowej obserwacji domu widywał od czasu do czasu jakąś dziewczynę w powozie. To pewnie ona, uznał. Korzystając z tego, że ojciec wyjechał, a matka jest zajęta, wymknęła się na potajemną schadzkę.

Jest w niej coś znajomego, myślał idąc przez Trafalgar Square. Był całkowicie pewien, że nigdy przedtem nie widział jej z bliska, a jednak kiedy patrzył na jej przyjemną sylwetkę, wyprostowane plecy i zdecydowany, szybki chód, miał silne wrażenie déjà vu. Kiedy przechodziła przez ulicę, udało mu się dostrzec profil jej twarzy i coś w zarysie jej podbródka czy w oczach, co poruszyło w jego pamięci ukrytą głęboko strunę. Czy przypominała mu młodą Lidię? Niezupełnie, Lidia zawsze wydawała się drobna i krucha, miała delikatne rysy, natomiast twarz tej dziewczyny

była prostokątna i znamionowała siłę. Przypominała Feliksowi obraz włoskiego malarza, który oglądał kiedyś w genewskiej galerii. Po chwili przypomniał sobie nazwisko artysty: Modigliani.

Podszedł do dziewczyny bliżej i po minucie czy dwóch zobaczył ją en face. Serce zabiło mu żywiej. Jest po prostu piękna, pomyślał.

168

Dokąd szła? Na spotkanie z ukochanym? Kupić sobie coś zakazanego? Może chciała zrobić coś, czego z pewnością nie pochwalaliby jej rodzice: na przykład pójść do kina albo na musical?

Najbardziej prawdopodobna była ta pierwsza możliwość. Z punktu widzenia Feliksa była ona także najbardziej obiecująca. Mógł odkryć, kim jest jej chłopiec, i zagrozić, że wyda jej tajemnicę, jeśli ona nie powie mu, gdzie przebywa Orłów. Dziewczyna nie uczyni tego naturalnie od razu, zwłaszcza jeśli ją uprzedzono, że na życie Orłowa nastaje zamachowiec; ale zmuszona wybierać między miłością młodego człowieka i bezpieczeństwem swego rosyjskiego kuzyna, z

pewnością, zdaniem Feliksa, wybierze to pierwsze.

W oddali usłyszał gwar. Skreślił w ślad za dziewczyną na skrzyżowaniu i nagle znalazł się na ulicy wypełnionej maszerującymi kobietami. Wiele z nich nosiło barwy sufrażystek: zieleń, biel i purpurę. Wiele trzymało w rękach transparenty. Było ich tysiące. Niewidoczna orkiestra wygrywała marszową melodię.

Dziewczyna przyłączyła się do pochodu.

Wspaniale, pomyślał Feliks.

Wzdłuż trasy demonstracji stali policjanci, ale w większości zwróceni byli twarzami w stronę idących kobiet i Feliks mógł przemykać się chodnikiem za ich plecami. Ruszył w tym samym kierunku co manifestantki, starając się nie stracić z oczu dziewczyny. Potrzebował trochę szczęścia i oto spełniło się jego pragnienie. Okazało się, że jest potajemną sufrażystką. Można ją było szantażować, ale prawdopodobnie istniały też i inne, bardziej subtelne metody manipulacji.

Tak czy inaczej, pomyślał, wydobędę z niej to, czego chcę.

Charlotte była poruszona. Pochód sprawnie

się uformował; ład utrzymywała w nim kobieca służba porządkowa. Manifestantki były w większości dobrze ubrane i wzbudzały szacunek. Orkiestra grała wesołego fokstrota. Pod transparentem głoszącym: „Żądamy obalenia rządu, który odmawia kobietom prawa głosu” szło nawet kilku mężczyzn.

Charlotte nie czuła się już dłużej wyrzutkiem społeczeństwa, kimś, kto wyznaje heretyckie poglądy. Tysiące kobiet myślało i czuło to samo co ona. W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin były chwile, kiedy zastanawiała się, czy mężczyźni nie mają przypadkiem racji twierdząc, że kobiety są głupie, słabe i niedouczone. Rzeczywiście czuła się czasami słaba i głupia, i z całą pewnością była niedouczona. Kiedy weźmiemy się do nauki, przestaniemy być ignorantkami, myślała teraz; kiedy zaczniemy dbać o nasze sprawy, przestaniemy być głupie; a kiedy połączymy nasze siły w walce, nie będziemy już nigdy więcej słabe.

169

Orkiestra zaintonowała hymn Jeruzalem i kobiety zaczęły śpiewać. Charlotte dołączyła się

do nich z zapalem.

Myśl moja już nie spocznie w boju,
Nie uśnie miecz w uścisku rąk

Nie dbam o to, czy ktoś mnie tu przypadkiem
zobaczy, pomyślała buntowniczo, choćby to były
same księżne!

Póki nie stanie Jeruzalem W Anglii zielonej,
kraju lak. *

Pochód przeciął Trafalgar Square i wkroczył
na The Mail. Nagle pojawiło się znacznie więcej
policjantów. Przyglądali się uważnie kobietom.
Po obu stronach ulicy stało również wielu
gapiów, w większości mężczyzn. Krzyczeli i
gwizdali szyderczo.

— Przydałoby się, żeby was ktoś wyruchał! —
usłyszała Charlotte i oblała się rumieńcem.
Zauważyła, że wiele kobiet ma na sobie dziwne
ubrania ozdobione srebrnymi strzałami. Zapytała
najbliższą w rzędzie kobietę, co oznaczają.

— Strzały na więziennym ubraniu — wyjaśniła
tamta. — Wszystkie, które je noszą, siedziały już
w więzieniu.

— W więzieniu! — Charlotte była
wstrząśnięta. Wiedziała o kilku sufrażystkach,

które wsadzono za kratki, ale teraz widziała wokół siebie setki kobiet ze srebrnymi strzałami. Po raz pierwszy przyszło jej do głowy, że ten dzień może się dla niej zakończyć pobytem w więzieniu. Na myśl o tym zrobiło jej się słabo. Nie pójdę dalej, postanowiła. Mieszkam niedaleko stąd, za parkiem; za pięć minut mogę być z powrotem w domu. Więzienie! Prędzej bym umarła! Obejrzała się do tyłu. Nie zrobiłam przecież nic złego, pomyślała. Dlaczego boję się więzienia? Dlaczego nie miałabym przekazać petycji królowi? Dopóki tego nie uczynimy, kobiety zawsze będą słabe, głupie i niedouczone. W chwilę potem zaczęła znów grać orkiestra, Charlotte wyprostowała ramiona i pomaszerowała naprzód w takt muzyki.

Przy końcu The Mail zamajaczyła fasada Pałacu Buckingham. Przed budynkiem rozciągał się kordon policjantów, wielu z nich siedziało na koniach. Charlotte znajdowała się blisko czoła pochodu; zastanawiała się, co zamierzają robić przywódczyni, kiedy dojdą do bramy.

Przypomniła sobie, jak któregoś popołudnia wychodziła z klubu

Przekład Jerzy Pietrkiewicz

170

„Derry & Toms” i o mało nie wpadł na nią zataczający się pijak. Jakiś dżentelmen w cylindrze odepchnął go wtedy laską, a lokaj szybko pomógł Charlotte wejść do czekającego przy krawężniku powozu.

Dzisiaj nikt nie obroni jej przed rozpychającym się tłumem.

Kobiety zatrzymały się przed bramą pałacu.

Ostatnim razem przyszłam tutaj zaproszona, pomyślała.

Czoło pochodu napotkało policyjny kordon. Przez chwilę trwał impas. Ludzie z tyłu napierali na przednie szeregi. Nagle Charlotte zobaczyła panią Pankhurst. Miała na sobie zakiet i spódnicę z purpurowego atłasu, białą bluzkę zapiętą pod szyję i zieloną kurtkę, a na głowie purpurowy kapelusz z wielkim białym strusim piórem i woalką. Oderwała się od pochodu i zdołała w jakiś sposób przedostać się do bramy prowadzącej na pałacowy dziedziniec. Ta dzielna i niepozorna kobieta maszerowała z podniesioną głową do siedziby króla!

Zatrzymał ją inspektor policji, wielki, zwalisty mężczyzna w kapeluszu, wyższy od niej chyba o pół metra. Nastąpiła krótka wymiana zdań. Pani Pankhurst dała krok do przodu. Inspektor zagroził jej drogę. Próbowała prześlizgnąć się obok niego. Wtedy, ku przerażeniu Charlotte, policjant złapał panią Pankhurst niedźwiedzim chwytem, podniósł do góry i odstawił od bramy.

Charlotte była rozwścieczona — podobnie jak wszystkie zgromadzone kobiety. Demonstrantki natarły gwałtownie na policyjny kordon. Charlotte zobaczyła, jak jedna, a potem druga przedzierają się i biegną w stronę pałacu, gonione przez konstabli. Konie stanęły dęba, ich żelazne podkowy dzwoniły przerażająco o płyty chodnika. Kordon zaczął się łamać. Kilka kobiet wdało się w walkę z policjantami, którzy przewrócili je na ziemię. Perspektywa rękoczynów napełniła Charlotte przerażeniem. Część mężczyzn przypatrujących się do tej pory biernie ruszyła na pomoc policji i szarpanina zamieniła się w regularną bitwę. Policjant stojący niedaleko Charlotte złapał za pośladek kobietę w średnim wieku.

— Niech pan trzyma ręce przy sobie! — krzyknęła z oburzeniem kobieta.

— Mogę cię dzisiaj macać, gdzie mi się podoba, staruszek! — zawołał.

Przez tłum przedzierała się grupa mężczyzn w słomianych kapeluszach, popychając i bijąc kobiety gdzie popadnie. Charlotte krzyknęła głośno. Do kontrataku przystąpiła nagle drużyna sufrażystek wymachujących indiańskimi maczugami i słomiane kapelusze rozpierzchły się w popłochu. Nikt nie był już biernym obserwatorem: wszyscy znaleźli się w ogniu walki. Charlotte chciała uciekać, ale gdziekolwiek się obróciła, widziała otaczającą ją przemoc. Jakiś facet w meloniku jedną ręką chwycił młodą kobietę za piersi, a drugą wsadził jej między uda.

171

— Długo na to czekałaś, prawda? — krzyknął.

Bestialstwo tego wszystkiego przeraziło Charlotte: przed oczyma stanęły jej przedstawiające czyściec średniowieczne obrazy, gdzie wszyscy bez wyjątku cierpią niewysłowione katusze; tyle tylko, że teraz działa się to w rzeczywistości, a ona w tym uczestniczyła. Nagle

ktos popchnął ją z tyłu; apadła ocierając sobie ręce i kolana. Ktos inny nadepnął jej na dłoń. Próbowala wstać, ale przewrócono ją ponownie. Uprzytomniła sobie, że w każdej chwili może zginąć stratowana końskimi kopytami. W desperacji chwyciła się płaszcza stojącej obok kobiety i podciągnęła do góry.

Niektóre sufrażystki sypały napastnikom pieprz w oczy, ale trudno było dobrze wycelować i udało im się „ten sposób wyeliminować z walki tyle samo kobiet co mężczyzn. Walka stawała się coraz zacieklejsza. Charlotte ujrzała leżącą na ziemi kobietę; z nosa lała jej się krew. Chciała jej pomóc, ale nie mogła się ruszyć, z trudem utrzymywała się na nogach. Mężczyznom, zarówno policjantom, jak i cywilom, szturchanie i kopanie kobiet dostarczało wyraźnej satysfakcji. Dlaczego tak szczerzą zęby, pomyślała bliska hysterii. Poczula, ku swemu przerażeniu, jak ktoś chwyta ją za pierś i wykręca boleśnie. Odwróciła się i odepchnęła nieporadnie rękę napastnika. Stała twarzą w twarz z dwudziestokilkuletnim mężczyzną, ubranym w elegancki, tweedowy garnitur. Wyciągnął ręce i złapał ją tym razem za

obie piersi wpijając się głęboko palcami. Nikt dotychczas jej tam nie dotykał. Walcząc z napastnikiem, widziała na jego twarzy mieszaninę nienawiści i pożądania.

— Tego ci właśnie trzeba — wrzasnął i uderzył ją z całej siły pięścią w brzuch. Wstrząs był straszny, ból jeszcze gorszy, ale najbardziej przeraziło ją to, że kompletnie straciła oddech. Stała zgięta wpół, otwierając szeroko usta. Chciała zaczerpnąć powietrza, chciała krzyżeć, ale nie mogła. Zdawało jej się, że zaraz umrze. Niejasno uświadomiła sobie, że w jej kierunku przepycha się wysoki mężczyzna, rozgarniając tłum na boki, jak zboże. Złapał za klapy faceta w tweedowym garniturze i uderzył go w szczękę. Cios był tak potężny, że tamten pofrunął w powietrzu i zwałił się na ziemię. Wyraz zdumienia na jego twarzy był niemal komiczny. Tymczasem Charlotte odzyskała oddech i dyszała ciężko, z trudem łapiąc powietrze. Wysoki mężczyzna objął ją mocno ramieniem.

— Tędy — szepnął jej do ucha. Zdała sobie sprawę, że jest ocalona. Myśl, że znalazła się w rękach kogoś silnego i opiekuńczego, sprawiła jej

taką ulgę, że o mało nie zemdłała.

Wysoki mężczyzna starał się wyprowadzić ją z tłumu. Na drodze stanął im sierżant policji. Zamierzył się na Charlotte pałką. Jej obrońca podniósł rękę, żeby sparować uderzenie, i krzyknął głośno z bólu, kiedy drewniana pałka wyśladowała na jego przedramieniu. Puścił na chwilę

172

Charlotte. Nastąpiła krótka wymiana ciosów, w wyniku której sierżant legł zakrwawiony na ziemi, a wysoki mężczyzna ruszył dalej prowadząc Charlotte przez ciżbę ludzką.

Nagle znaleźli się poza tłumem. Kiedy Charlotte zdała sobie sprawę, że jest bezpieczna, zaczęła płakać. Szlochała cicho, pozwalając, by łzy płynęły jej po policzkach. Mężczyzna ponaglił ją, żeby szła dalej.

— Chodźmy stąd — powiedział. Mówił z cudzoziemskim akcentem. Charlotte była zupełnie bezwolna; szła tam, dokąd ją prowadził.

Po chwili zaczęła dochodzić do siebie. Zorientowała się, że są gdzieś w okolicy Dworca Victoria. Mężczyzna zatrzymał się przy Lyons

Corner House.

— Ma pani ochotę na filiżankę herbaty? — zapytał. Skinęła głową i weszli do środka.

Pomógł jej usiąść, a sam zajął miejsce naprzeciwko. Po raz pierwszy miała okazję lepiej mu się przyjrzeć. Przez chwilę znowu poczuła lęk. Miał pociągłą twarz, zakrzywiony nos, krótko przycięte włosy i zarosnięte policzki. Było w nim coś drapieżnego. Ale potem spojrzała mu w oczy i nie dostrzegła w nich nic prócz współczucia. Odetchnęła głęboko.

— Jak zdołam się panu kiedykolwiek odwdzińczyć? — odezwała się. Pomiął to milczeniem.

— Ma pani ochotę coś zjeść?

— Napiję się tylko herbaty — powiedziała. Po akcencie poznała, że jest Rosjaninem i przeszła na rosyjski. — Skąd pan pochodzi?

Wydawał się zadowolony, że może rozmawiać z nią w swym ojczystym języku.

— Urodziłem się w guberni tambowskiej. Świetnie mówi pani po rosyjsku.

— Moja matka jest Rosjanką. I guwernantka. Podeszła do nich kelnerka.

— Prosimy dwie hierbaty, kochana — powiedział.

Nauczył się angielskiego od londyńskich prostaków, pomyślała Charlotte.

— Nie wiem nawet, jak się pan nazywa — powiedziała po rosyjsku. — Jestem Charlotte Walden.

— Feliks Krzesiński. Wykazała pani dużą odwagę biorąc udział w tym marszu.

Potrząsnęła głową.

— Odwaga nie miała z tym nic wspólnego. Nie zdawałam sobie po prostu sprawy, że dojdzie do czegoś takiego.

Kim jest ten mężczyzna? — zastanawiała się. Skąd się tu wziął? Miał w sobie coś fascynującego. Ale jednocześnie widać było, że się pilnuje. Chciałabym dowiedzieć się o nim czegoś więcej.

173

— A czego się pani spodziewała? — zapytał.

— Po marszu? Nie wiem... Dlaczego atakowanie kobiet sprawiało tym mężczyznom taką przyjemność?

— To interesujące pytanie. — Ożywił się nagle

i Charlotte uświadomiła sobie, że ma atrakcyjną, wyrazistą twarz. — Widzi pani, postawiliśmy kobietę na piedestale i udajemy, że jest istotą czystą i bezbronną. W rezultacie, przynajmniej w kulturalnym społeczeństwie, mężczyźni muszą wmawiać sobie, że nie odczuwają wrogości wobec kobiet, co więcej, że nie budzą one w nich pożądania. I w takiej sytuacji pojawia się grupa kobiet — sufrażystek — które nie pozują na bezbronne istoty ani nie wymagają, by otaczać je czcią, ale wprost przeciwnie, łamią prawo. Zaprzeczają mitowi, w który mężczyźni kazał sam sobie wierzyć, i dlatego można na nie bezkarnie napadać. Mężczyźni czują się oszukani i dają upust całemu swemu pożądaniu i gniewowi, których nie wolno im było wcześniej okazywać. Wyładowują przy tym skrywane dotąd napięcia i dlatego odczuwają taką przyjemność.

Charlotte popatrzyła na niego zdumiona. To było fantastyczne: ot, tak sobie, za jednym zamachem, wszystko jej wyjaśnił, po prostu powiedział, co myśli. Podoba mi się ten człowiek, pomyślała.

— W jaki sposób zarabia pan na życie? —

zapytała. Znowu stał się czujny.

— Jestem bezrobotnym filozofem — odparł.

Przyniesiono herbatę. Była mocna, bardzo słodka i Charlotte poczuła się po niej trochę lepiej. Intrygował ją ten tajemniczy Rosjanin i chciała go trochę rozruszać.

— Uważa pan — powiedziała — że cała ta sprawa, to znaczy obecna pozycja kobiety w społeczeństwie przynosi mężczyznom tyle samo zła co kobietom?

— Jestem tego pewien.

— Dlaczego? Zawahał się.

— Mężczyzna i kobieta są szczęśliwi, kiedy się kochają. — Po jego twarzy przemknął cień i zaraz zniknął. — Miłość to nie to samo co cześć. Czcią otacza się istotę boską. Ludzi można tylko kochać. Kiedy otaczamy kobietę czcią, nie jesteśmy w stanie jej pokochać. A potem, kiedy odkrywamy, że wcale nie jest boginią, zaczynamy jej nienawidzić. To smutne.

— Nigdy się nad tym nie zastanawiałam — odparła zamyślona.

— Poza tym, każda religia ma swoich dobrych i złych bogów: Pana Światłości i Szatana. Mamy

więc także dobre i złe kobiety; wobec tych ostatnich, na przykład sufrażystek albo prostytutek, mężczyzna czuje się bezkarny, może z nimi robić, co mu się podoba.

174

— Co to są prostytutki? Wydawał się zaskoczony.

— Kobiety, które biorą pieniądze za to, że można się z nimi... — użył rosyjskiego słowa, którego Charlotte nie znała.

— Może pan to przetłumaczyć?

— Ruchać — powiedział po angielsku. Charlotte zaczerwieniła się i uciekła ze wzrokiem.

— Czy to nieprzyzwoite słowo? — zapytał. — Przepraszam, ale nie znam innego.

Charlotte zebrała całą swoją odwagę.

— To się nazywa stosunek płciowy — powiedziała ściszym głosem. Przeszedł z powrotem na rosyjski.

— Sądzę, że pani także postawiona została na piedestale — powiedział.

— Nie może pan sobie wyobrazić, jakie to okropne — powiedziała z pasją. — Być taką ignorantką! Czy kobiety naprawdę sprzedają się

w ten sposób?

— O, tak. Szanujące się mężatki muszą udawać, że wcale nie lubią stosunków płciowych. To z kolei nie podoba się mężczyznom, którzy idą wtedy do prostytutek. prostytutki udają, że bardzo to lubią, chociaż tak naprawdę wcale nie sprawia im to przyjemności, bo robią to zbyt często i ze zbyt wieloma mężczyznami. Każdy coś udaje.

Takie właśnie rzeczy powinnam wiedzieć, pomyślała. Chciałabym zabrać go do domu i przykuć łańcuchem w swoim pokoju, żeby dzień i noc mógł wyjaśniać mi różne sprawy.

— Co sprawia, że ludzie godzą się na całe to udawanie? — zapytała.

— To problem, nad którego rozwiązaniem można strawić całe życie. Niekoniecznie z pozytywnym rezultatem. Ja w każdym razie jestem pewien, że ma to coś wspólnego z władzą. Mężczyźni mają władzę nad kobietami, bogacze nad biedakami. Żeby podtrzymać ten system, wymyślono mnóstwo fikcji: fikcję monarchii, kapitalizmu, wychowania i płci. Te fikcje nas unieszczęśliwiają, gdyby jednak je usunąć, ktoś

straciłby całą swą władzę. A ludzie nie wyzbywają się dobrowolnie władzy, nawet jeżeli przynosi im ona nieszczęście.

— Co robić?

— Słynne pytanie. Ludziom, którzy nie chcą sami oddać władzy, trzeba ją odebrać. Kiedy władza przechodzi z rąk do rąk w obrębie tej samej klasy społecznej, nazywa się to zamachem stanu i nic naprawdę się nie zmienia. Kiedy władza przechodzi z rąk jednej klasy w ręce innej, nazywa się to rewolucją i wtedy dochodzi do zasadniczych zmian. — Zawahał się. — Chociaż niekoniecznie idą one w pożądanym przez rewolucjonistów kierunku. Do rewolucji dochodzi — podjął przerwany

175

wątek — kiedy naród powstaje przeciwko swym ciemnościom, podobnie jak to, zdaje się, czynią sufrażystki. Rewolucje są zawsze krwawe, ponieważ ci, co są u władzy, gotowi są zabijać, byle tylko jej nie stracić. Mimo to są nieuniknione, ponieważ zawsze znajdą się inni, gotowi oddać życie za wolność.

— Czy jest pan rewolucjonistą?

— Może pani zgadywać, do trzech razy sztuka — odparł po angielsku. Charlotte roześmiała się.

Sprawił to jej śmiech.

Mówiąc obserwował jednocześnie jej twarz, śledził jej reakcje. Wyraźnie go rozbroiła, czuł, jakby coś go z nią łączyło. Miałem ją omotać, pomyślał, tymczasem to ona owinęła mnie wokół palca.

I wtedy się roześmiała.

Uśmiechnęła się szeroko; w kącikach jej piwnych oczu pojawiły się zmarszczki; odchyliła nieco głowę wysuwając do przodu podbródek; podniosła dłonie jakby w obronnym geście i zaśmiała się serdecznie, głośno, od ucha do ucha.

Feliks przeniósł się pamięcią dwadzieścia lat wstecz. Przed oczyma miał trzyizbową chatę przylegającą bokiem do drewnianej cerkwi. Wewnątrz, za stołem skleconym z surowych desek, siedzieli naprzeciwko siebie chłopak i dziewczyna. Na kuchni stał żeliwny garnek; gotowała się w nim kapusta omaszczona skrawkiem boczku i obficie polana wodą. Na dworze zapadał zmrok i w każdej chwili mógł zjawić się na kolacji ojciec. Piętnastoletni Feliks

opowiedział właśnie swej osiemnastoletniej siostrze Nataszy dowcip o podróżnym i chłopskiej córce. Odchyliła głowę do tyłu i wybuchnęła śmiechem.

Feliks nie odrywał oczu od Charlotte. Była uderzająco podobna do Nataszy.

— Ile ma pani lat? — zapytał.

— Osiemnaście.

Myśl, która przyszła mu do głowy, była tak zdumiewająca, tak niewiarygodna i obezwładniająca, że serce zamarło mu w piersi. Przełknął ślinę.

— Kiedy obchodzi pani urodziny? — zapytał.

— Drugiego stycznia.

Otworzył usta. Urodziła się dokładnie siedem miesięcy po ślubie Lidii i Waldena, dziewięć — po tym, jak po raz ostatni kochał się z Lidią. Charlotte wyglądała dokładnie tak samo jak jego siostra Natasza. I w tym momencie dotarła do niego cała prawda. Charlotte była jego córką.

c o się stało? — zapytała Charlotte.

— Słucham?

— Wygląda pan, jakby zobaczył ducha.

— Kogoś mi pani przypomniała. Proszę mi wszystko o sobie opowiedzieć.

Przyjrzała mu się badawczo. Zachowuje się, jakby coś utkwilo mu w gardle, pomyślała.

— Nie jest pan przeziębiony? — spytała.

— Nigdy się nie przeziębiam. Jakie jest pani najwcześniejsze wspomnienie?

Zastanawiała się przez chwilę.

— Wychowywałam się na wsi, w domu, który nazywa się Walden Hall, w hrabstwie Norfolk. To piękna budowla z szarego kamienia, otoczona uroczym ogrodem. W lecie pijamy herbatę na dworze, pod kasztanem. Musiałam mieć około czterech lat, kiedy po raz pierwszy pozwolono mi wypić herbatę z mamą i papą. Bardzo się nudziłam. Na trawniku nie było nic ciekawego. Zawsze chciałam obejść dom naokoło i zajrzeć do stajni. Któregoś dnia osiodłano osiołka i pozwolono mi na nim pojeździć. Widziałam, jak inni jeżdżą wierzchem i byłam przekonana, że sama też tak potrafię. Powiedziano mi, żebym siedziała nieruchomo, bo inaczej spadnę, ale nie wierzyłam. Najpierw ktoś wziął za uzdę i oprowadzał mnie w kółko. Potem pozwolono mi

samej trzymać za cugle. Wydawało mi się to takie łatwe, że uderzyłam go piętami, tak jak to podpatrzyłam u innych, i wtedy on zaczął biec klusem. Ocknęłam się na ziemi, cała we łzach. Nie mogłam po prostu uwierzyć, że spadłam z siodła.

Roześmiała się na to wspomnienie.

— Zdaje się, że miała pani szczęśliwe dzieciństwo — powiedział Feliks.

12 — Człowiek.

177

— Nie mówiłby pan tego, gdyby znał moją guwernantkę. Nazywa się Maria, to prawdziwy ruski dragon. „Przyzwoite panienki mają zawsze czyste ręce”. Wciąż za mną chodzi... pełni teraz rolę przyzwoitki.

— A jednak... miała pani zawsze dobre jedzenie, ładne stroje, nigdy nie było pani zimno. W chorobie zawsze odwiedzał panią doktor.

— Czy na tym ma polegać szczęście?

— Nie miałbym nic przeciwko temu. A pani najpiękniejsze wspomnienie?

— Kiedy papa podarował mi na własność kucyka — odparła natychmiast. — Tak strasznie

chciałam go dostać... to było tak, jakby spełniło się moje marzenie. Nigdy nie zapomnę tego dnia.

— Jaki on jest?

— Kto?

Feliks zawahał się.

— Lord Walden.

— Papa? Cóż... — To dobre pytanie, pomyślała. Jak na kogoś zupełnie obcego, Feliks był podejrzenie dociekliwy. Ale ona była nim zaintrygowana chyba jeszcze bardziej. Wydawało się, że w jego pytaniach kryje się teraz jakaś głęboka melancholia; nie było jej jeszcze przed kilkoma minutami. Może to dlatego, że miał nieszczęśliwe dzieciństwo, a jej własne wydawało się o tyle wspanialsze.

— Myślę, że papa jest chyba strasznie dobry...

— Ale?

— Traktuje mnie jak dziecko. Wiem, że jestem pewnie okropnie naiwna, ale to się nie zmieni, dopóki nie dowiem się czegoś więcej o życiu. On nie rozmawia ze mną tak... tak jak pan to robi. Wpada w straszliwe zakłopotanie, kiedy ma mówić o... mężczyźnie i kobiecie, wie pan... a kiedy rozmawia o polityce, jego poglądy wydają

mi się, no nie wiem... chyba trochę kołtuńskie.

— To całkiem naturalne. Przez całe życie miał wszystko, czego potrzebował, i to tanim kosztem. Uważa oczywiście, że świat jest wspaniały taki, jaki jest, z wyjątkiem paru drobnych problemów, które i tak rozwiąże się w odpowiednim czasie. Kocha go pani?

— Tak, z wyjątkiem tych chwil, kiedy go nienawidzę. — Badawcze spojrzenie Feliksa sprawiło, że poczuła się nieswojo. Miała wrażenie, że on pije słowa z jej ust, że stara się zapamiętać na zawsze wyraz jej twarzy. — Papa jest uroczym człowiekiem. Dlaczego to pana tak interesuje?

Twarz wykrzywił mu dziwny uśmiech.

— Całe życie walczyłem z klasą panującą, ale rzadko miałem okazję rozmawiać z jedną z jej przedstawicielek.

Charlotte mogłaby się założyć, że nie była to prawdziwa odpowiedź.

178

Zastanawiała się, dlaczego ją okłamuje. Może coś wprawilo go w zakłopotanie — najczęściej z tego właśnie powodu ludzie nie byli z nią całkiem

szczerzy.

— Nie jestem przedstawicielką klasy panującej, a jeśli nawet, to w nie większym stopniu niż którykolwiek z psów w sforze mego ojca.

Uśmiechnął się.

— Proszę opowiedzieć mi o swojej matce.

— Ma słabe nerwy. Czasami musi brać laudanum.

— Co to jest laudanum?

— Lekarstwo zawierające opium. Uniósł brwi.

— To niedobrze.

— Dlaczego?

— Sądziłem, że zażywanie opium uważa się za przejaw degeneracji.

— Nie, jeżeli robi się to z przyczyn zdrowotnych.

— Aha.

— Nastawiony jest pan sceptycznie.

— Zawsze.

— No dobrze, niech pan w takim razie powie, co pan ma na myśli.

— Jeżeli pani matka musi zażywać opium, to podejrzewam, że jest nieszczęśliwa, a nie chora.

— Dlaczego miałyby być nieszczęśliwa?

— To pani matka, więc pani powinna wiedzieć lepiej.

Charlotte zadumała się. Czy mama jest nieszczęśliwa? Na pewno nie wyglądała na zadowoloną z życia, jak ojciec. Za bardzo się wszystkim przejmowała, zbyt łatwo dawała się wytrącić z równowagi.

— Jest spięta — powiedziała — ale nie potrafię sobie wyobrazić powodu, dla którego miałyby być nieszczęśliwa. Może ma to coś wspólnego z faktem, że opuściła swój kraj?

— Możliwe — odparł Feliks, ale nie wydawał się przekonany. — Czy ma pani braci albo siostry?

— Nie. Moją najlepszą przyjaciółką jest stryjeczna siostra Belinda. Jest w tym samym wieku co ja.

— Jakich ma pani jeszcze przyjaciół?

— Żadnych, tylko znajomych.

— A inni krewni?

— Mam dwóch sześcioletnich stryjecznych braci bliźniaków. I oczywiście masę krewnych w Rosji, ale żadnego z nich nigdy nie widziałam, z

wyjątkiem Aleksa, który jest ode mnie dużo starszy.

— Co zamierza pani robić w przyszłości?

— Co za pytanie!

— Nie wie pani?

179

— Jeszcze się nie zdecydowałam.

— A jaki ma pani wybór?

— To ciekawe pytanie, naprawdę. Oczekuje się po mnie, że poślubię jakiegoś młodego człowieka z mojej własnej sfery i będę wychowywać dzieci. Przypuszczam, że będę musiała wyjść za mąż.

— Dlaczego?

— Bo po śmierci ojca Walden Hall przypadnie komuś innemu, wie pan...

— Nie rozumiem.

— Dom dziedziczy się razem z tytułem... a ja nie mogę być earlem Walden. Posiadłość obejmie więc Peter, jeden z bliźniaków.

— Aha.

— A ja nie będę mogła sama się utrzymać.

— Naturalnie, że będzie pani mogła.

— Niczego mnie nie nauczono.

— To niech się pani nauczy teraz.

— Co mogłabym robić? Feliks wzruszył ramionami.

— Hodować konie. Prowadzić sklep. Zostać urzędnikiem państwowym albo profesorem matematyki. Napisać sztukę teatralną.

— Mówi pan tak, jakbym potrafiła zrobić każdą rzecz, jaka przyjdzie mi do głowy.

— Wierzę, że pani potrafi. Mogę sprzedać pani jeden pomysł, zupełnie serio. Mówi pani świetnie po rosyjsku, mogłaby więc pani tłumaczyć rosyjską literaturę na angielski.

— Naprawdę uważa pan, że mogłabym?

— Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

Charlotte przygryzła wargę.

— Skąd bierze się ta pańska wiara we mnie? Moi rodzice wcale we mnie nie wierzą.

Zastanawiał się przez chwilę, a potem uśmiechnął.

— Gdybym to ja panią wychowywał, skarżyłaby się pani, że nieustannie zmuszam ją do ciężkiej pracy i nie pozwalam chodzić na tańce.

— Nie ma pan dzieci? Uciekł spojrzeniem w

bok.

— Nigdy się nie ożeniłem. To ją zaciekawiło.

— A miał pan taki zamiar?

— Tak.

Wiedziała, że nie powinna pytać dalej, ale nie mogła się oprzeć: chciała dowiedzieć się, jak zachowywał się ten dziwny człowiek, kiedy był zakochany.

180

— Co stało na przeszkodzie?

— Ta dziewczyna wyszła za kogoś innego.

— Jak miała na imię?

— Lidia.

— Tak nazywa się moja matka.

— Naprawdę?

— Lidia Szatowa, to jej panieńskie nazwisko.

Jeśli bywał pan w Petersburgu, musiał pan słyszeć o księciu Sza to wie.

— Tak, słyszałem. Ma pani zegarek?

— Co? Nie.

— Ja też nie. — Rozejrzał się i dostrzegł zegar wiszący na ścianie. Pobieгла za jego wzrokiem.

— Wielkie nieba, już piąta. Miałam wrócić do domu, zanim mama zejdzie na poobiednią

herbatę. — Wstała.

— Czy będzie pani miała kłopoty? — zapytał podnosząc się z miejsca.

— Przypuszczam, że tak. — Skierowała się do wyjścia.

— Charlotte...

— Tak?

— Czy nie mogłaby pani zapłacić za herbatę? Jestem biedny jak mysz kościelna.

— Och! Nie jestem pewna, czy mam jakieś pieniądze. Tak! Proszę spojrzeć, mam jedenaście pensów. Czy to wystarczy?

— Naturalnie. — Wyłuskał sześć pensów z jej dłoni i podszedł do kontuaru, żeby zapłacić. To zabawne, przeszło jej przez myśl, o ilu rzeczach trzeba pamiętać, kiedy nie przebywa się w dobrym towarzystwie. Co pomyślałaby o mnie Maria, gdyby zobaczyła, że funduję herbatę nieznanemu. Raziłaby ją chyba apopleksja.

Feliks oddał jej resztę i przytrzymał drzwi, kiedy wychodziła.

— Odprowadzę panią kawałek.

— Dziękuję.

Feliks ujął ją pod ramię i szli razem ulicą.

Słońce wciąż mocno świeciło. Z naprzeciwka zbliżał się policjant. Kiedy ich mijał, Feliks zatrzymał się i razem z Charlotte przyglądał się przez chwilę sklepowej witrynie.

— Dlaczego nie chce pan, żeby nas zobaczył?
— spytała.

— Mogą szukać ludzi, którzy brali udział w demonstracji. Charlotte uniosła brwi. Wydawało jej się to trochę nieprawdopodobne, ale on widać znał się na tym lepiej. Szli dalej.

— Uwielbiam czerwiec — powiedziała.

— Pogoda w Anglii jest wspaniała.

— Tak pan uważa? W takim razie nigdy nie był pan na południu Francji.

181

— Pani oczywiście była.

— Jeździmy tam każdej zimy. Mamy willę w Monte Carlo. — Żachnęła się nagle. — Nie myśli pan chyba, że się przechwalam.

— Z pewnością nie. — Uśmiechnął się. — Musiała się pani już chyba zorientować, że bogactwo według mnie stanowi raczej powód do wstydu niż do dumy.

|— Sądzę, że powinnam, ale się nie

zorientowałam. Czy w takim razie pan mną pogardza?

— Nie, zresztą bogactwo nie należy przecież do pani.

— Jest pan najbardziej interesującym człowiekiem, jakiego w życiu spotkałam. Czy mogłabym się jeszcze kiedyś z panem zobaczyć?

— Tak — odparł. — Ma pani może chusteczkę? Wyciągnęła chusteczkę z kieszeni i podała mu.

— Przeziębił się pan jednak. Łzy płyną panu z oczu.

— Chyba ma pani rację. — Otarł oczy. — Czy możemy spotkać się w tej samej kawiarni?

— Nie jest to specjalnie atrakcyjne miejsce, prawda? Pomyślmy o czymś innym. Mam! Umówimy się w Galerii Narodowej. Jeśli spotkam tam kogoś znajomego, możemy udawać, że się nie znamy.

— Zgoda.

— Lubi pan malarstwo?

— Z przyjemnością dam się trochę podszkolić.

— W takim razie jesteśmy umówieni.

Odpowiada panu pojutrze, o drugiej po południu?

— Całkowicie.

Uświadomiła sobie, że być może nie uda jej się wyrwać z domu.

— Jeśli coś pójdzie nie po mojej myśli i nie będę mogła przyjść, czy mogę przesłać panu wiadomość?

— Cóż... nie mam stałego miejsca... — Nagle przyszła mu do głowy pewna myśl. — Można dla mnie zawsze zostawić wiadomość u pani Bridget Callahan. Mieszka przy Cork Street, numer dziewiętnaście, w Camden Town.

Powtórzyła adres.

— Zapiszę go sobie zaraz po przyjściu do domu. Mieszkam kilkaset metrów stąd. — Zawahała się. — Musimy się pożegnać już tutaj. Mam nadzieję, że pan się nie obrazi, ale naprawdę lepiej będzie, jeśli nikt nie zobaczy nas razem.

— Obrazić się? — odparł ze swoim zabawnym, krzywym uśmiechem. — Nie, skądże.

Wyciągnęła do niego rękę.

— Do widzenia.

— Do widzenia. — Mocno uściskał jej dłoń.

182

Odwróciła się i odeszła. W domu czekają mnie kłopoty, pomyślała. Na pewno odkryli, że nie ma mnie w moim pokoju i zaczną się przesłuchanie. Powiem, że wyszłam na spacer do parku. Z pewnością im się to nie spodoba.

Właściwie nie obchodziło ją, co sobie pomyśla. Znalazła prawdziwego przyjaciela. Była bardzo szczęśliwa.

Przy bramie obejrzała się. Nadal stał tam, gdzie go zostawiła, i patrzył za nią. Pomachała mu dyskretnie ręką. Odpowiedział jej tym samym. Kiedy tak stał samotnie, wydał jej się, nie wiadomo dlaczego, żaloszny i słaby. Zdała sobie sprawę, że to głupota. Pamiętała przecież, jak wyratował ją z opresji. W rzeczywistości był bardzo twardy.

Weszła na dziedziniec i wspięła się po schodkach do drzwi wejściowych.

Walden przybył do Walden Hall cierpiąc na niestrawność na tle nerwowym. Wyjechał w pośpiechu z Londynu jeszcze przed lunchem, zaraz po sporządzeniu przez policyjnego

rysownika portretu zamachowca. Zjadł kanapki i wypił butelkę Chablis po drodze, nie zatrzymując samochodu. To także wpłynęło na jego zdenerwowanie.

Dzisiaj czekała go kolejna tura rozmów z Alekssem. Spodziewał się, że Aleks wysunął kontrpropozycję i czeka na telegraficzną aprobatę cara. Miał nadzieję, że ambasada rosyjska będzie na tyle domyślna, by przekazać depezę do Walden Hall. Miał także nadzieję, że kontrpropozycja jest w miarę rozsądna i że będzie mógł ją przedstawić Churchillowi jako sukces.

Kusiło go, żeby natychmiast przystąpić do rozmów z Alekssem, ale wiedział, że w rzeczywistości parę minut nikogo nie zbawi, i że błędem jest okazywać pośpiech podczas negocjacji: zanim wszedł do pokoju ośmiokątneho, zatrzymał się na chwilę w hallu i przybrał obojętny wyraz twarzy.

Aleks siedział zamyślony przy oknie, przed nim stała nie tknięta wielka taca z herbatą i ciastkami. Na widok Waldena ożywił się.

— Jakie wiadomości? — zapytał.

— Facet pojawił się, ale niestety nie udało

nam się go złapać. Aleks uciekł spojrzeniem w bok.

— Przyszedł, żeby mnie zabić...

Walden poczuł, jak ogarnia go fala współczucia dla tego chłopca. Był młody, spoczywała na nim olbrzymia odpowiedzialność, przebywał w obcym kraju i zamachowiec deptał mu po piętach. Ale nie należało dopuścić, by popadł w melancholię.

— Mamy teraz jego rysopis — odezwał się z werwą. — Policyjny

183

artysta sporządził jego portret. Thomson dopadnie go jutro albo pojutrze. A ty jesteś tutaj całkowicie bezpieczny. W żaden sposób nie zdoła odkryć, gdzie przebywasz.

— Uważaliśmy, że jestem bezpieczny w hotelu, a jednak udało mu się mnie wysledzić.

— To się już nie powtórzy. — Walden uświadomił sobie, że nie jest to najlepszy wstęp do negocjacji. Musiał znaleźć jakiś sposób, żeby zwrócić uwagę Aleksa ku bardziej pogodnym sprawom. — Piłeś już herbatę?

— Nie mam ochoty.

— Przejdźmy się trochę. Może nabierzesz apetytu przed obiadem.

— Dobrze. — Aleks wstał.

Walden wziął strzelbę — na króliki, jak powiedział Aleksowi — i ruszyli drogą prowadzącą na folwark. Jeden z dwóch wyznaczonych przez Basila Thomsona członków ochrony podążał za nimi dziesięć metrów z tyłu.

Walden pokazał Aleksowi swoją macioreę rekordzistkę, Księżniczkę Walden.

— Od dwóch lat zdobywa pierwsze nagrody na Wystawie Rolniczej Wschodniej Anglii — powiedział.

Aleks podziwiał solidne, ceglane domki dzierżawców, wysokie, pomalowane na biało stodoły i wspaniałe konie pociągowe.

— Z folwarku nie czerpię oczywiście żadnych zysków — mówił Walden. — Cały dochód idzie na rozwój stada, na meliorację, budynki, ogrodzenie... ale tym samym uczę dzierżawców pewnego stylu gospodarowania i po mojej śmierci folwark będzie wart o wiele więcej niż wtedy, kiedy go odziedziczyłem.

— W Rosji nie potrafimy uprawiać ziemi w

ten sposób — zauważył Aleks. Dobra nasza, przeszło przez głowę Waldenowi, nareszcie myśli o czymś innym. — Nasi chłopci nie chcą stosować żadnych nowych metod — mówił dalej książę — boją się maszyn rolniczych, nie dbają o to, żeby mieć nowe budynki albo lepsze narzędzia. Wiesz, co robią, kiedy jest nieurodzaj i nie mają co jeść? Podpalają puste stodoły.

Na południowym polu trwały sianokosy. Dwunastu robotników pochylonych nad kosami posuwało się naprzód nierówną tyralierą. Słysząc było monotonny szelest wysokiej trawy padającej jak kostki domina.

Samuel Jones, najstarszy z robotników, pierwszy dotarł do końca łąki. Podszedł do nich z kosą i przytknął palce do czapki. Walden uściśnął jego zgrubiałą dłoń. Miał wrażenie, jakby wziął do ręki kawałek skały.

184

— Czy jego lordowska mość znalazł czas, żeby pojechać na tę wystawę w Lunnun? — spytał Samuel.

— Tak, byłem tam.

— Czy widział pan tam tę maszynę do

koszenia, o której tyle pan opowiadał?

Na twarzy Waldena pojawił się wyraz powątpiewania.

— To piękna maszyna, Sam... ale jak by to powiedzieć... Sam pokiwał głową.

— Maszyna nigdy nie dorówna w robocie człowiekowi.

— Z drugiej strony moglibyśmy skosić siano w trzy dni zamiast w dwa tygodnie i dzięki temu nie balibyśmy się deszczu. A potem wypożyczylibyśmy maszynę dzierżawcom.

— Ale też nie potrzebowaliby pan wtedy aż tylu robotników — zauważył Sam.

Walden udał, że nie takiej konkluzji oczekiwał.

— Nie — odparł — nie wolno mi nikogo zwolnić. Po prostu nie musielibyśmy w porze żniw najmować do roboty Cyganów.

— W takim razie niewiele by się zmieniło.

— Niezupełnie. Trochę niepokoi mnie, jak przyjmą to ludzie... sam wiesz... dla młodego Petera Dawkinsa każdy powód jest dobry, żeby kręcić nosem.

Sam odchrząknął z dezaprobatą.

— Tak czy owak — mówił dalej Walden — w przyszłym tygodniu pan Samson jedzie obejrzyć tę kosiarkę. — Samson był miejscowym rządcą. — Słuchaj no! — wykrzyknął, jakby przyszedł mu do głowy nowy pomysł. — A nie chciałbyś czasem wybrać się tam razem z nim, Sam?

Sam udał, że niezbyt go obchodzi cała ta sprawa.

— Do Lunnun? — spytał. — Byłem tam w 1888. Nie podobało mi się.

— Mógłbyś pojechać pociągiem z panem Samsonem... wziąłbyś może ze sobą młodego Dawkinsa... zobaczylibyście kosiarkę, zjedli obiad w Londynie i po południu byłibyście już z powrotem.

— Nie wiem, co powie na to moja pani.

— Ja w każdym razie jestem ciekaw twojej opinii na temat tej maszyny.

— No to może powinienem jej się przyjrzeć.

— W takim razie załatwione. Powiem panu Samsonowi, żeby wszystko przygotował. — Walden uśmiechnął się konspiracyjnie. — Możesz dać pani Jones do zrozumienia, że praktycznie zmusiłem cię do wyjazdu.

Twarz Sama wykrzywiła się w uśmiechu.

— Tak właśnie zrobię, milordzie.

185

Sianokosy były już prawie skończone. Robotnicy przerwali na chwilę pracę. Jeśli na polu były króliki, kryły się teraz na niewielkim obszarze nie skoszonej trawy. Walden przywołał do siebie Dawkinsa i wręczył mu strzelbę.

— Masz dobre oko, Peter. Zobaczymy, czy uda ci się upolować jednego dla siebie i jednego dla pałacu.

Wszyscy zeszli na skraj pola, poza linię strzału, a potem skosili resztki trawy z drugiej strony, żeby wypłoszyć króliki na otwartą przestrzeń. Wybiegły cztery. Dawkins położył dwa za pierwszym strzałem, trzeciego za drugim. Aleks skrzywił się na ten odgłos.

Walden zabrał strzelbę i jednego królika, po czym ruszyli razem z Alekssem w drogę powrotną do pałacu. Aleks potrząsnął głową z podziwem.

— Masz wspaniałe podejście do tych ludzi — powiedział. — Mnie nigdy nie udawało się pogodzić utrzymywania dyscypliny z wielkodusznością we właściwy sposób.

— To wymaga praktyki — odparł Walden. Uniósł do góry królika. — Tak naprawdę, to wcale go nie potrzebujemy w pałacu... ale wziąłem go, żeby im przypomnieć, że króliki są moje, i że dostają je ode mnie w prezencie, a nie dlatego, że im się coś należy. — Gdybym miał syna, pomyślał, w ten właśnie sposób uczyłbym go postępować z ludźmi.

— Najlepsze rezultaty osiąga się poprzez dialog i porozumienie — podsumował Aleks.

— To najlepsza metoda, nawet jeśli trzeba czasem ustąpić.

— Co sprowadza nas z powrotem do kwestii Bałkanów — uśmiechnął się Aleks.

Nareszcie, dzięki Bogu, pomyślał Walden.

— Czy mam zreasumować? — podjął Aleks. — Jesteśmy skłonni walczyć po waszej stronie przeciwko Niemcom, wy zaś jesteście skłonni uznać nasze prawo do swobodnej żeglugi przez Bosfor i Dardanele. Nas jednak nie zadowala samo prawo, chcemy mieć możliwość jego egzekwowania. Nasza sugestia, zgodnie z którą mielibyście uznać cały Półwysep Bałkański od Rumunii po Kretę za rosyjską sferę wpływów, nie

spotkała się z waszą aprobatą; bez wątpienia uznaliście, że to zbyt wiele. W związku z tym moim zadaniem było sformułowanie skromniejszych żądań: takich, które zabezpieczałyby nasze prawo do swobodnej żeglugi przez cieśninę, a zarazem nie wymagały bezwarunkowego poparcia Wielkiej Brytanii dla naszej polityki na Bałkanach.

— Tak. — Ma umysł jak skalpel chirurga, pomyślał Walden. Kilka minut temu dawałem mu ojcowskie rady, teraz nagle wyrasta na równorzędnego co najmniej partnera. Przypuszczam, że tak właśnie to wygląda, kiedy własny syn staje się mężczyzną.

186

— Przykro mi, że trwało to tak długo — mówił Aleks. — Musiałem za pośrednictwem naszej ambasady wysłać zaszyfrowaną depezę do Petersburga. Wymiana poglądów na taką odległość nie może odbywać się tak szybko, jakbyśmy tego pragnęli.

— Rozumiem — powiedział Walden. No dalej, pomyślał, mów, o co chodzi!

— Istnieje obszar o powierzchni około

dwudziestu pięciu tysięcy kilometrów kwadratowych, obejmujący połowę Tracji. Obecnie należy on do Turcji. Jego linia brzegowa biegnie wzdłuż Morza Czarnego, Bosforu, Morza Marmara, Dardaneli i kończy się przy Morzu Egejskim. Innymi słowy obszar ten przylega do drogi wodnej między Morzem Czarnym a Śródziemnym na całej długości. Dajcie go nam, a staniemy po waszej stronie.

Walden opanował ogarniające go podniecenie. Oto realna podstawa do dalszych rokowań.

— Problem polega na tym — powiedział — że nie możemy dawać czegoś, co do nas nie należy.

— Rozważmy, co stanie się, gdy wybuchnie wojna — podjął Aleks. — Możliwość pierwsza: Turcja staje po naszej stronie. Prawo do swobodnego przejścia cieśnin mamy wtedy zagwarantowane. Jest to jednak możliwość mało prawdopodobna. Możliwość druga: Turcja zachowuje neutralność. Oczekujemy wówczas, że Wielka Brytania wywrze na nią odpowiedni nacisk, by respektowała nasze prawo na dowód swej autentycznej neutralności. Jeśli nie przyniesie to oczekiwanych rezultatów,

oczekujemy, że Wielka Brytania poprze naszą interwencję wojskową w Tracji. Możliwość trzecia, najbardziej prawdopodobna: Turcja opowiada się po stronie Niemiec. Wielka Brytania uznaje wówczas, że Tracja należy do nas, z chwilą kiedy zostanie przez nas zajęta.

— Nie wiem, jak wypowiedzieliby się w tej sprawie sami Trakowie — stwierdził z powątpiewaniem Walden.

— Wolą należeć do Rosji niż do Turcji.

— Obawiam się, że najbardziej odpowiadałoby im niepodległość. Twarz Aleksa rozjaśnił chłopięcy uśmiech.

— Ani ty, ani ja, ani tym bardziej żaden z naszych rządów nie jest w najmniejszym stopniu zainteresowany, co odpowiadałoby najbardziej mieszkańcom Tracji.

— To prawda — odparł Walden. Musiał się z tym zgodzić. Kolejny raz dał się nabrać na chłopięcy urok Aleksa. Kryła się za nim inteligencja wytrawnego gracza. Walden jak zwykle łudził się, że w pełni kontroluje tok rozmowy i dopiero nagły sztych Aleksa wykazał, że jest całkiem na odwrót.

Wspięli się na szczyt wzgórza, skąd ścieżka wiodła na tyły pałacu.

187

Walden dostrzegł strażników penetrujących las. Na jego grubych, juchtowych butach osiadł kurz. Ziemia była sucha; niewiele padało przez ostatnie trzy miesiące. Kontrpropozycja Aleksa wprawiała go w podekscytowanie. Co powie na nią Churchill? Z pewnością można oddać Rosjanom część Tracji, bo któż, na Boga, przejmowałby się Tracją?

Przeszli przez ogród przy kuchni. Ogrodnik podlewał właśnie sałatę. Na ich widok przytknął palce do czapki. Walden szukał w pamięci jego imienia, ale uprzedził go Aleks.

— Ładny wieczór, Stanley — odezwał się.

— Mogłoby trochę popadać, wasza wysokość.

— Ale niezbyt dużo, prawda?

— Nie inaczej, wasza wysokość. Aleks się uczy, pomyślał Walden.

Weszli do domu. Walden zadzwonił na lokaja.

— Zaraz wyślę depezę do Churchilla z propozycją spotkania jutro rano. O świcie wyjeżdżam do Londynu.

— Dobrze — odparł Aleks. — Nie mamy wiele czasu.

Lokaj, który otworzył drzwi Charlotte, zrobił na jej widok wielkie oczy.

— O! Dzięki Bogu, jest panienka z powrotem, lady Charlotte! — powiedział.

Charlotte podała mu płaszcz.

— Nie widzę powodu, dla którego miałbyś dziękować Bogu, Williamie.

— Lady Walden martwiła się o panienkę. Prosiła, żeby natychmiast po powrocie do domu przysłać panienkę do niej.

— Pójdę się tylko trochę ogarnąć.

— Lady Walden powiedziała „natychmiast”.

— A ja powiedziałam, że pójdę się trochę ogarnąć. — Charlotte skierowała się na górę, do swego pokoju.

Umyła twarz i rozpuściła włosy. Czuła tępy ból w żołądku od uderzenia, miała poza tym lekko otartą skórę na dłoniach. Kolana były na pewno podrapane, ale nikt nigdy im się nie przyglądał. Stała za parawanem i ściągnęła sukienkę. Chyba nie była podarta. Nikt nie pozna, że brałam udział w zamieszkach, pomyślała.

Usłyszała, jak otwierają się drzwi do sypialni.

— Charlotte! — To był głos mamy.

Wślizgnęła się w szlafrok. O rany, przeszło jej przez głowę, wygląda na to, że tym razem mama jest naprawdę bliska hysterii. Wyszła zza parawanu.

188

— O mało nie umarliśmy ze zmartwienia! — oznajmiła mama.

W ślad za nią do pokoju wsunęła się Maria. Miała obłudny wyraz twarzy i zimne spojrzenie.

— No więc dobrze, jestem tutaj cała i zdrowa. Możecie przestać się martwić — odparła Charlotte.

Mama poczerwieniała na twarzy.

— Co za tupet! — krzyknęła. Dała krok do przodu i uderzyła Charlotte w twarz.

Charlotte opadła ciężko na łóżko. Oszłomiło ją nie tyle samo uderzenie, ile fakt, że coś takiego mogło się w ogóle zdarzyć. Mama nigdy przedtem jej nie uderzyła. Nie wiadomo dlaczego policzek bolał ją bardziej niż wszystkie razy, które otrzymała podczas zamieszek. Dostrzegła wzrok Marii i szczególny wyraz satysfakcji na jej twarzy.

Opanowała się.

— Nigdy ci tego nie wybaczę.

— Masz jeszcze czelność mówić, że mi nie wybacysz! — W gniewie mama przechodziła na rosyjski. — A kiedy ja mam tobie wybaczyć to, żeś przyłączyła się do motłochu przed Pałacem Buckingham?

Charlotte zatkało z wrażenia.

— Kto ci powiedział?

— Maria widziała, jak maszerujesz The Mail razem z tymi... tymi sufrażystkami. Taki wstyd! Bóg jeden wie, kto jeszcze cię widział. Jeśli dowie się o tym król, nie będziemy mieli wstępu do pałacu.

— Rozumiem. — Charlotte wciąż piekł policzek. — Nie martwiłyście się zatem — powiedziała z przekąsem — o moje bezpieczeństwo, ale o reputację rodziny.

Mama wydawała się zraniona.

— Martwiłyśmy się i o to, i o to — wtrąciła się Maria.

— Nie odzywaj się, Mario — odparła Charlotte. — Dostyc już zła wyrządziłaś swoim długim językiem.

— Maria postąpiła właściwie — stwierdziła mama. — Nie mogła mi tego nie powiedzieć.

— Nie uważasz, że kobiety powinny mieć prawo głosu? — zapytała Charlotte.

— Oczywiście, że nie; i ty również nie powinnaś tak uważać.

— Ale uważam — odparła Charlotte — i w tym tkwi cały problem.

— Nic nie wiesz o życiu; jesteś jeszcze dzieckiem.

— Zawsze się na tym kończy, prawda? Jestem jeszcze dzieckiem i nic nie wiem o życiu. A kto jest odpowiedzialny za moją ignorancję? Przez piętnaście lat Maria zajmowała się moją edukacją. Powtarzasz, że jestem dzieckiem, ale w gruncie rzeczy świetnie zdajesz sobie sprawę, że dawno nim nie jestem. Byłabyś całkiem szczęśliwa, gdyby

189

udało się mnie wydać za mąż jeszcze przed Bożym Narodzeniem. A niektóre dziewczęta rodzą dzieci w wieku trzynastu lat, zamężne albo nie.

Mama była wstrząśnięta.

— Kto ci opowiada takie rzeczy?

— Na pewno nie Maria. Ona nigdy nie powiedziała mi nic sensownego. Tak samo jak ty.

— Nie potrzebujesz wcale wiedzieć takich rzeczy — głos mamy stał się niemal błagalny — jesteś przecież damą.

— Widzisz, o co ci chodzi: pragniesz wyłącznie tego, żebym nadal pozostała ignorantką. Aleja nie zamierzam nią być ani chwili dłużej.

— Chcę tylko, żebyś była szczęśliwa! — odezwała się płaczliwie mama.

— Nie, to nieprawda — z uporem brnęła dalej Charlotte. — Chcesz, żebym była taka sama jak ty.

— Nie! Nie! — krzyknęła mama. — Nie chcę, żebyś była taka jak ja! — Zaniosła się płaczem i wybiegła z pokoju.

Charlotte popatrzyła w ślad za nią zawstydzona i zdumiona.

— Widzisz teraz, coś narobiła — odezwała się Maria.

Charlotte zmierzyła ją wzrokiem: szara suknia, szare włosy, brzydka twarz, bezczelne spojrzenie.

— Wyjdź stąd, Mario.

— Nie zdajesz sobie nawet sprawy, ile zmartwień i bólu przysporzyłaś mamie swym dzisiejszym zachowaniem.

Gdybyś trzymała gębę na kłódkę, chciała powiedzieć Charlotte, oszczędziłabyś nam wielu zmartwień.

— Wyjdź stąd — powiedziała zamiast tego.

— Posłuchaj mnie, mała Charlotte...

— Jestem dla ciebie lady Charlotte.

— Jesteś małą Charlotte i...

Charlotte złapała lusterko i cisnęła nim w Marię. Ta pisnęła głośno. Pocisk był źle wycelowany i rozbił się o ścianę. Maria czmychnęła z pokoju.

Nareszcie wiem, jak z nią postępować, pomyślała Charlotte.

Przyszło jej do głowy, że odniosła coś w rodzaju zwycięstwa. Doprowadziła mamę do łez i przepłoszyła Marię z pokoju. To już coś, pomyślała; mimo wszystko mogę mieć nad nimi przewagę. Zasługują na ostre traktowanie. Maria doniosła mamie na mnie, mama mnie spoliczkowała. A ja wcale się nie płaszczyłam, nie

przepraszałam i nie obiecywałam, że będę grzeczną dziewczynką. Odpłaciłam im pięknym za nadobne. Powinnam być z siebie dumna.

Więc czemu czuję się taka zawstydzona?

190

Nienawidzę się, myślała Lidia.

Wiem, co czuje Charlotte, ale nie potrafię jej powiedzieć, że to rozumiem. Tracę nad sobą panowanie. Nigdy mi się to przedtem nie zdarzało. Byłam zawsze spokojna i pełna godności. Kiedy Charlotte była małą dziewczynką, potrafiłam śmiać się z jej drobnych przewinień. Teraz jest dorosłą kobietą. Dobry Boże, co ja takiego uczyniłam? Odzywa się w niej krew ojca, krew Feliksa, jestem tego pewna. Co mam teraz robić? Sądziłam, że jeśli będę udawać, że jest córką Stephena, to sprawię, że rzeczywiście zachowywać się będzie jak córka Stephena, jak niewinna angielska dama. Ale tak się nie stało. Przez wszystkie te lata tkwiła w niej skaza, głęboko uszpięta, ale jednak obecna. Teraz ujawniła się, teraz górę biorą w niej skłonności odziedziczone po ojcu, pozbawionym zasad moralnych rosyjskim chłopie. Widzę to i wpadam

w panikę, nie mogę na to nic poradzić. Jestem przeklęta, wszyscy jesteśmy przeklęci, grzechy ojców mszczą się na ich dzieciach, nawet w trzecim albo czwartym pokoleniu. Kiedy zostaną mi odpuszczone? Feliks jest anarchistą, Charlotte sufrażystką. Feliks jest rozpustnikiem, Charlotte opowiada o trzynastoletnich matkach; nie ma pojęcia, jak potworną rzeczą jest ulec pożądaniu: ja sama doprowadziłam się do zguby i z nią będzie to samo, tego właśnie się obawiam, to dlatego krzyczę, zalewam się łzami i dostaję hysterii, to dlatego uderzyłam ją w twarz, ale, słodki Jezu, nie pozwól jej upaść tak nisko, ona jest dla mnie wszystkim. Wywiozę ją gdzieś i zamknę. Gdyby tylko udało się ją wydać za męża za miłego chłopca, i to jak najszybciej, zanim zdąży się wykoleić, nim wszyscy zorientują się, że coś jest nie w porządku z jej pochodzeniem. Ciekawe, czy Freddie oświadczy się jej przed końcem sezonu; to byłoby najlepsze rozwiązanie. Muszę do tego doprowadzić. Muszę ją szybko wydać za męża. Wtedy nie zdąży zejść na złą drogę; z jednym albo dwojgiem dzieci nie będzie miała na to zresztą czasu. Muszę doprowadzić do

tego, żeby o wiele częściej spotykała się z Freddie'm. Jest całkiem ładna, będzie odpowiednią żoną dla kogoś, kto zdoła utrzymać ją w ryzach i będzie zarazem na tyle przyzwoity, żeby kochać ją nie wyzwalając drzemających w niej ciemnych żądz, dla kogoś, kto będzie spał w przyległej sypialni i dzielił z nią łóżko raz w tygodniu, przy zgaszonym świetle. Freddie jest dla niej w sam raz. Jeśli za niego wyjdzie, nigdy nie będzie musiała przejść przez to, przez co przeszłam ja. Nigdy nie dowie się, jak nikczemną i niszczącą siłą jest pożądanie, przekleństwo nie przejdzie na następne pokolenia, nie będzie kobietą upadłą jak ja. Uważa, że chcę, aby była do mnie podobna. Gdyby tylko wiedziała! Gdyby tylko wiedziała!

191

Feliks nie mógł opanować płaczu.

Ludzie oglądali się za nim, kiedy szedł przez park po swój rower. Wstrząsało nim łkanie, łzy płynęły po jego twarzy. Nigdy nie przeżył czegoś takiego i nie potrafił tego pojąć. Obezwładniał go wielki smutek.

Odnalazł rower tam, gdzie go zostawił, pod

krzakiem i znajomy widok trochę go uspokoił. Co się ze mną dzieje? — pytał się w duchu. Mnóstwo ludzi ma dzieci. Teraz wiem, że ja też. I co z tego? Ponownie zalał się łzami.

Usiadł na zeschniętej trawie obok roweru. Ona jest taka piękna, pomyślał. Ale nie płakał z powodu tego, co odnalazł — płakał z powodu tego, co utracił. Przez osiemnaście lat był ojcem, nic o tym nie wiedząc. Podczas gdy on wędrował od jednej wioski do drugiej, gdy siedział w więzieniu i harował w kopalni złota, gdy przemierzał Syberię i montował bomby w Białymstoku, ona dorastała. Uczyła się chodzić i mówić, używać sztucców i zawiązywać sznurowadła. W lecie bawiła się na zielonym trawniku pod kasztanem, a któregoś dnia osiołek zrzucił ją z siodła i płakała. Kiedy Feliks rył ziemię skutą łańcuchem ze współwięź-niem, „ojciec” Charlotte podarował jej kucyka. Nosila białe sukienki w lecie i wełniane rajtuzy w zimie. Mówiła tak samo dobrze po rosyjsku, jak po angielsku. Kto inny czytał jej na głos bajki; kto inny wołał „Zaraz cię złapię” i gonił ją po schodach; kto inny nauczył podawać rękę i mówić

„Dzień dobry panu”, kto inny kąpał ją, szcotołkował włosy i kazał zmiatać wszystko z talerza. Feliks obserwował często rosyjskich chłopów i ich dzieci. Zachodził w głowę, skąd mimo całej nędzy i ubóstwa bierze się w nich tyle przywiązania i czułości dla własnego potomstwa, dla malców, których trzeba było wyżywić, samemu odejmując sobie od ust. Teraz wiedział: miłość przychodzi sama, nieproszona. Przywołał na pamięć obrazy cudzych dzieci i na ich podstawie starał się wyobrazić sobie kolejne wcielenia Charlotte: oto berbeć z wystającym brzuchem i zsuwającą się z bioder spódniczką; oto niesforna siedmiolatka w podartej sukience i z podrapanymi kolanami; oto niezgrabna i chuda uczennica z palcami powalnymi atramentem i w zawsze trochę przymałym ubraniu; oto nieśmiała panienka, chichocząca za plecami chłopców, potajemnie skrapiająca się perfumami mamy i zakochana w koniach; i wreszcie...

I wreszcie stawała mu przed oczyma piękna, dzielna, żywa jak iskra i ciekawa świata, wspaniała młoda kobieta.

Jestem jej ojcem, myślał.

Jej ojcem.

Co ona takiego powiedziała? Jest pan najbardziej interesującym człowiekiem, jakiego w życiu spotkałam. Czy mogłabym się jeszcze kiedyś z panem zobaczyć? Zbierał właśnie siły, żeby pożegnać się z nią na zawsze.

192

Kiedy dowiedział się, że nie będzie tego musiał robić, stracił nad sobą panowanie. Pomyślała wtedy, że się przeziębził. Och, jest jeszcze dość młoda, żeby wesoło dworować sobie z kogoś, komu właśnie pęka serce.

Staję się sentymentalny, pomyślał; muszę wziąć się w garść.

Wstał i podniósł z ziemi rower. Wytarł twarz chustką, którą od niej dostał. W rogu widniał wyhaftowany kwiat dzwonka. Zastanawiał się, czy wyszyła go sama. Wsiadł na rower i popedałował w stronę Old Kent Road.

Zbliżała się pora kolacji, ale wiedział, że nie jest w stanie przełknąć nawet jednego kęsa. Właściwie dobrze się składało, ponieważ kończyły mu się pieniądze, a tego wieczoru był zbyt wytrącony z równowagi, żeby kraść. Marzył o

tym, by znaleźć się we własnym mrocznym pokoju, gdzie mógł spędzić całą noc na rozmyślaniach. Odtworzy w myślach każdą minutę ich spotkania, od momentu, kiedy wyszła z domu aż do ostatniego gestu na pożegnanie.

Przydałaby mu się do towarzystwa butelka wódki, ale nie było go na nią stać.

Zastanawiał się, czy ktoś podarował kiedykolwiek Charlotte czerwoną piłkę.

Wieczór był niezbyt upalny, ale w miejskim powietrzu czuło się duchotę. Puby przy Old Kent Road wypełniały się ubranymi kolorowo robotnikami, ich mężami, narzeczonymi albo ojcami. Wiedziony impulsem Feliks zatrzymał się przed wejściem do jednego z nich. Przez otwarte drzwi dochodził dźwięk starego pianina. Chęć, żeby ktoś się do niego uśmiechnął, pomyślał, nawet jeśli to będzie tylko barmanka. Stać mu jedynie na mały kufel ale. Przymocował rower do ogrodzenia i wszedł do środka.

W dusznym wnętrzu było pełno dymu. Jego nozdrza uderzył jedyny w swoim rodzaju, przesycony piwem zapach angielskiego pubu. Było wcześniej, ale pub rozbrzmiewał głośnym

śmiechem i piskami kobiet. Wszyscy wydawali się świetnie bawić. Nikt nie wie lepiej od biedaków, jak wydawać pieniądze, pomyślał. Dołączył do tłumu przy barze. Z pianina popłynęła nowa melodia i wszyscy zaczęli śpiewać.

Raz na kolanach starca biednego Młoda panienska sadowiąc się Prosi o bajkę: Powiedz dlaczego, Nie masz się biedny podziac gdzie? Gdzie twoje dzieci, gdzie twój dom? Miałem dziewczynę, dawno, przed laty. Gdzie ona teraz, nie będę krył. Słuchaj uważnie, wszystko opowiem, Jak mnie zdradziła, nim minął bal.

13 — Człowiek.

193

Głupia, sentymentalna, naiwna piosenka sprawiła, że łzy napłynęły mu do oczu i wyszedł nie zamówiwszy piwa.

Odjechał stamtąd. Śmiech i muzyka zostały daleko z tyłu. Nie dla niego były tego rodzaju rozrywki. Nigdy w nich nie gustował i nigdy nie będzie. Dojechał do swojej kamienicy i wniósł rower na najwyższe piętro, do pokoju. Zdjął płaszcz i kapelusz, i rzucił się na łóżko. Zobaczy ją znowu za dwa dni. Będą wspólnie oglądać obrazy.

Postanowił, że przed spotkaniem pójdzie się wykąpać do miejskiej łaźni. Przejechał ręką po policzku: w ciągu dwóch dni nie uda mu się zapuścić przyzwoitej brody. Powrócił pamięcią do chwili, kiedy wyszła z domu. Przyglądał się jej z oddali, nie śniąc nawet...

O czym wtedy myślałem?

Nagle sobie przypomniał.

Zastanawiałem się, czy ta dziewczyna może wiedzieć, gdzie ukrywa się Orłów.

Przez całe popołudnie nie pomyślałem ani razu o Orłowie.

Wszystko wskazuje na to, że ona wie, gdzie go szukać; a jeśli nawet nie wie, to może się dowiedzieć.

Mogę się nią posłużyć, żeby pomogła mi go zabić.

Czy jestem do tego zdolny?

Nie, nie jestem. Nie zrobię tego. Nie! Nie!

Co się ze mną dzieje?

O dwunastej w południe Walden spotkał się z Churchillem w gmachu Admiralicji. Pierwszy Lord nie krył zadowolenia.

— Tracja! — zagrzemiał. — Jasne, że możemy

im dać pół Tracji. Pies z kulawą nogą nie dba o to, czy będą mieli pół, czy całą Trację!

— Tak właśnie sądziłem — odparł Walden. Reakcja Churchilla ucieszyła go. — Czy można również oczekiwać w tej sprawie zgody pańskich kolegów?

— Sądzę, że tak — stwierdził po zastanowieniu Churchill. — Z Greyem będę się widział po lunchu, z Asąithem dzisiaj wieczorem.

— A cały gabinet? — Walden nie chciał prowadzić negocjacji z Alekssem po to tylko, żeby później ich ustalenia spotkały się ze sprzeciwem rządu.

— Jutro rano. Walden wstał.

— Mogę więc zaplanować kolejny wyjazd do Norfolk na jutrzejsze południe.

— Świetnie. Czy złapali już tego przekłętego anarchistę?

194

— Jestem umówiony na lunch z Basilem Thomsonem z Wydziału Specjalnego. Przekażę mi najświeższe wiadomości.

— Proszę mnie informować.

— Naturalnie.

— I dziękuję. Za złożoną ofertę, oczywiście.

Churchill wyjrzał sennym wzrokiem przez okno.

— Tracja... — mruknął pod nosem. — Czy ktoś kiedykolwiek słyszał coś o Tracji?

Walden pozostawił go jego myślom.

W drodze z gmachu Admiralicji do klubu przy Pall Mail poczuł przypływ optymizmu. Zazwyczaj jadł lunch w domu, ale nie chciał, by wizyta policjanta zakłóciła spokój Lidii, zwłaszcza że była ostatnio w dziwnym nastroju. Bez wątpienia, podobnie jak on sam, martwiła się o Aleksa. Chłopak był dla nich niemal jak rodzony syn: jeśli coś mu się przydarzy...

Wszedł po schodach do klubu i już w drzwiach wręczył kapelusz i rękawiczki odźwiernemu.

— Ładne lato mamy tego roku, milordzie — odezwał się tamten.

Od kilku miesięcy panowała wyjątkowo wspaniała pogoda, uprzytomnił sobie Walden w drodze do sali jadalnej. Kiedy nastąpi w końcu zmiana, zaczną się burze z piorunami. W sierpniu czeka nas niezła kanonada, pomyślał.

Thomson już na niego czekał. Sprawiał wrażenie raczej zadowolonego z siebie. Cóż by to była za ulga, gdyby udało im się złapać zamachowca, przemknęło przez głowę Waldenowi. Uścisnęli sobie ręce i Walden usiadł. Kelner podał kartę.

— No i co? — spytał Walden. — Złapaliście go?

— Prawie — odparł Thomson.

To oznacza, że nie, pomyślał Walden. Zamarło mu serce.

— A niech to licho! — powiedział. Podszedł do nich kelner z kartą win.

— Zamówić dla pana aperitif? — zapytał Walden.

— Nie, dziękuję.

Walden skinął ze zrozumieniem głową. Koktajle to parszywy amerykański wynalazek.

— Może kieliszek sherry?

— Tak, proszę.

— Dwa razy — powiedział Walden do kelnera.

Zamówili zupeł Brown Windsor i gotowanego łososia. Do popicia Walden wybrał butelkę reńskiego.

— Zastanawiam się, czy zdaje pan sobie do końca sprawę z powagi sytuacji. Moje negocjacje z księciem Orłowem zbliżają się prawie do

195

końca. Jeśliby padł teraz ofiarą zamachu, porozumienie zostałoby zerwane, co miałyby poważne konsekwencje dla bezpieczeństwa kraju.

— Oczywiście, że zdaję sobie sprawę, milordzie — odparł Thomson. — Proszę pozwolić mi opowiedzieć, jak bardzo posunęliśmy się naprzód. Nasz człowiek nazywa się Feliks Krześciński. Nazwisko jest tak trudne do wymówienia, że proponuję, byśmy mówili o nim po prostu Feliks. Ma czterdzieści lat, jest synem wiejskiego duchownego i pochodzi z guberni tambowskiej. Mój petersburski kolega zebrał na jego temat tomy akt. Trzykrotnie był aresztowany. Poszukuje się go w związku z pół tuzinem zabójstw.

— Dobry Boże — szepnęła Walden.

— Mój petersburski kolega twierdzi także, że Feliks jest ekspertem w dziedzinie sporządzania bomb i wyjątkowo niebezpiecznym przestępcą. — Thomson przerwał na chwilę. — Łapiąc tę

butelkę, wykazał pan niebywałą odwagę.

Walden uśmiechnął się niewyraźnie; wolałby, żeby mu o tym nie przypomniano.

Podano zupę i obaj mężczyźni jedli ją przez chwilę w milczeniu. Thomson popijał oszczędnie wino. Walden lubił ten klub. Jedzenie nie było tu tak dobre jak w domu, ale panowała swobodna atmosfera. W palarni stały stare, wygodne fotele, obok których przesuwali się dostojnym krokiem wiekowi kelnerzy. Tapeta była wyblakła, obrazy zakurzone. Wciąż mieli tutaj gazowe oświetlenie. Mężczyźni tacy jak Walden przychodzili tutaj, żeby odpocząć od własnych, zdominowanych przez kobiety, schludnych domów.

— Zdawało mi się, że powiedział pan, iż prawie go złapaliście.

— Nie opowiedziałem panu nawet połowy.

— Aha.

— W końcu maja pojawił się w klubie anarchistów w Stepney przy Jubilee Street. Nie wiedzieli, kim jest naprawdę, a on podał im fałszywe personalia. Facet zachowuje dużą ostrożność: trudno odmówić mu przezorności, gdyż jeden albo dwóch spośród tych anarchistów

jest u mnie na liście płac. Moi szpiedzy poinformowali mnie o jego przybyciu, ale nie wzbudziło to wówczas mojego zainteresowania, ponieważ facet nie wydawał się niebezpieczny. Powiedział, że pisze książkę. Potem ukradł pistolet i wyniósł się stamtąd.

— Nie mówiąc oczywiście nikomu, dokąd się udaje.

— Dokładnie.

— Chytra z niego sztuka. Kelner sprzątnął talerze.

— Czy nie mają panowie ochoty na kawałek pieczeni? — zapytał. — Mamy dzisiaj baraninę.

196

Obaj zamówili baraninę z galaretką z czerwonej porzeczki, do tego pieczone ziemniaki i szparagi.

— Składniki do sporządzenia nitrogliceryny zakupił w czterech różnych sklepach w Camden Town — powiedział Thomson. — Przeczesał tam dom po domu. — Nabrał pełne usta baraniny.

— I co? — dopytywał się niecierpliwie Walden.

— Zamieszkał pod numerem dziewiętnastym przy Cork Street, w Camden, w domu, którego właścicielką jest wdowa o nazwisku Bridget Callahan.

— Ale wyprowadził się?

— Tak.

— Do diabła, Thomson, czy nie widzi pan, że ten facet jest po prostu od pana sprytniejszy?

Thomson spojrzał na niego zimno nie mówiąc ani słowa.

— Przepraszam — powiedział Walden — to było niegrzeczne z mojej strony. Ten osobnik wyprowadza mnie po prostu z równowagi.

— Pani Callahan twierdzi — kontynuował Thomson — że wymówiła Feliksowi pokój, ponieważ wydawał jej się podejrzany.

— Dlaczego nie złożyła doniesienia na policji? Thomson skończył pieczeń i odłożył nóż i widelec.

— Twierdzi, że nie miała żadnego konkretnego powodu. Wydało mi się to podejrzane i sprawdziłem jej przeszłość. Jej mąż był irlandzkim rebeliantem. Gdyby wiedziała, jakie są zamiary naszego przyjaciela Feliksa,

mogłaby z nim śmiało sympatyzować.

Walden wołałby, żeby Thomson nie nazywał Feliksa „naszym przyjacielem”.

— Czy uważa pan, że ona wie, dokąd udał się ten osobnik?

— Nawet jeśli wie, to nic nie powie. Ale nie widzę powodu, dla którego on miałby się jej spowiadać. Ważniejsze jest to, że może tam powrócić.

— Czy zarządził pan stałą obserwację?

— Tak i to w sposób nie wzbudzający niczyich podejrzeń. Jeden z moich ludzi wprowadził się właśnie do sutereny jako lokator. Znalazł przypadkowo szklany pręt, taki, jakich używa się w laboratorium. Najwyraźniej Feliks sporządził nitroglicerynę w tym właśnie miejscu, w zlewku.

Waldenowi zrobiło się zimno na myśl o tym, że w samym sercu Londynu każdy, kto ma na to ochotę, może sobie kupić pewne chemikalia, zmieszać je w zwyczajnym zlewku, sporządzić w ten sposób środek wybuchowy o potwornej sile, a potem przespacerować się z nim do hotelowego apartamentu na West Endzie.

Po baraninie na stół wjechały apetyczne gęsie

wątróbki.

197

— Jakie jest pana następne posunięcie? — spytał Walden.

— Portret Feliksa znajduje się na każdym londyńskim posterunku policji. Jeśli nie ukrywa się przez cały dzień w jakiejś norze, prędzej czy później zauważy go któryś z posterunkowych. W razie gdyby miało do tego dojść raczej później, moi ludzie odwiedzają tymczasem tanie hotele i kamienice z pokojami do wynajęcia i pokazują tam jego podobiznę.

— Przypuśćmy, że zmieni wygląd?

— W jego przypadku będzie to nieco trudne.

Relację Thomsona przerwało pojawienie się kelnera. Obaj panowie zrezygnowali z kremówek Black Forest i zdecydowali się na lody. Walden zamówił pół butelki szampana.

— Nie może ukryć swojej postury — kontynuował Thomson — ani swego rosyjskiego akcentu. Ma wyraziste rysy. Nie zdążył zapuścić brody. Może zmienić ubiór, ostrzyc się na zero lub nosić perukę. Na jego miejscu przebrałbym się za marynarza, lokaja albo księdza. Ale

policjanci mają oko na takie rzeczy.

Po lodach podano ser Stilton, biskwity i porto z klubowej piwnicy.

To wszystko było zbyt nieokreślone, myślał Walden. Feliks znajdował się wciąż na wolności, a on nie odzyska spokoju, dopóki tamten nie zostanie zamknięty i przykuty łańcuchami do ściany.

— Feliks zalicza się najwyraźniej — mówił Thomson — do grona najbardziej niebezpiecznych międzynarodowych terrorystów. Jest świetnie poinformowany; wiedział na przykład o planowanym przyjeździe księcia Orłowa do Anglii. Jest poza tym inteligentny i zdecydowany na wszystko. Z drugiej strony Orłów znajduje się daleko stąd, znakomicie ukryty.

Walden zastanawiał się, do czego zmierza jego rozmówca.

— W przeciwieństwie do pana — mówił dalej Thomson — który spaceruje sobie dalej po ulicach Londynu niczym ruchoma tarcza strzelnicza.

— Dlaczego miałbym tego nie robić?

— Na miejscu Feliksa skoncentrowałbym się teraz na panu. Śledziłbym pana w nadziei, że zaprowadzi mnie pan do Orłowa; albo porwałbym pana i torturował, żeby się dowiedzieć, gdzie przebywa książę.

Walden spuścił oczy, żeby ukryć ogarniający go lęk.

— Jak mógłby tego dokonać w pojedynkę?

— Może mieć pomocników. Chcę, żeby towarzyszył panu ktoś z ochrony.

Walden potrząsnął głową.

— Mam odpowiedniego człowieka: Pritcharda. W mojej obronie zaryzykuje własne życie; zdarzyło się to już raz w przeszłości.

198

— Czy jest uzbrojony?

— Nie.

— Potrafi strzelać?

— Bardzo dobrze. Brał ze mną udział w safari, dawno temu, w Afryce. Wtedy właśnie zaryzykował życie w mojej obronie.

— W takim razie niech pan mu da pistolet.

— W porządku — zgodził się Walden. — Jutro jadę z powrotem na wieś. Mam tam dla niego

odpowiedni rewolwer.

Na deser Walden zamówił brzoskwinie, a dla Thomsona melbę z gruszką. Potem przeszli do palarni na kawę z biskwitami. Walden zapalił cygaro.

— Sądzę, że powinienem wrócić do domu pieszo, żeby lepiej to wszystko przetrawić — stwierdził Walden. Starał się zachować absolutny spokój, ale głos miał dziwnie cienki.

— Wolałbym, żeby pan tego nie robił — sprzeciwił się Thomson. — Nie przyjechał tu pan swoim powozem?

— Nie...

— Byłbym spokojniejszy o pańskie bezpieczeństwo, gdyby od tej chwili udając się gdziekolwiek korzystał pan z własnych środków lokomocji.

— Bardzo dobrze — westchnął Walden. — Będę musiał mniej jeść.

— Dzisiaj niech pan weźmie dorożkę. Być może powinienem panu towarzyszyć.

— Naprawdę uważa pan to za konieczne?

— On może czekać na pana przed klubem.

— Skąd mógłby wiedzieć, do jakiego klubu

należę?

— Zaglądając pod pańskie nazwisko w Who's Who.

— No tak, rzeczywiście. — Walden potrząsnął głową. — Człowiek po prostu nie zdaje sobie sprawy z takich rzeczy.

Thomson spojrział na zegarek.

— Powiniennem już wracać do Scotland Yardu... więc jeśli jest pan gotów...

— Oczywiście.

Wyszli z klubu. Feliks nie czaił się nigdzie w pobliżu. Pojechali dorożką do Waldena, a potem Thomson kazał się odwieźć do Scotland Yardu. Walden wszedł do domu. Sprawiał na nim wrażenie nie zamieszkanego. Postanowił, że pójdzie do swego pokoju. Usiadł przy oknie i skończył cygaro.

Bardzo chciał z kimś porozmawiać. Spojrział na zegarek. Lidia skończyła już pewnie swoją sjęstę i wkładała teraz suknię, żeby zejść na herbatę, a potem przyjmować gości. Przeszedł do jej sypialni.

Siedziała przed lustrem w szlafroku. Jest jakaś spięta, pomyślał; to

wszystko przez te kłopoty. Patrząc na jej odbicie w lustrze położył jej dłonie na ramionach, a potem pochylił się i pocałował ją w głowę.

— Feliks Krzesiński.

— Co? — Wydawała się przerażona.

— Tak nazywa się nasz zamachowiec. Czy coś ci mówi to nazwisko?

— Nie.

— Sprawiałaś takie wrażenie, jakby było ci znane.

— To... to jakieś luźne skojarzenie.

— Basil Thomson dowiedział się o nim wszystkiego. To morderca, wyjątkowo groźny. Niewykluczone, że zetknęłaś się z nim jeszcze w Petersburgu. To wyjaśnia, dlaczego wydawało ci się, że znasz skądś jego nazwisko, kiedy złożył tutaj wizytę.

— Tak, to chyba dlatego.

Podszedł do okna i spojrzął na park. O tej właśnie porze nianie wyprowadzały swoich podopiecznych na spacer. W alejkach pełno było dziecinnych wózków, wszystkie zaś ławki zajęły niemodnie ubrane, rozplotkowane kobiety.

Przeszło mu przez myśl, że dawno temu, w Petersburgu Lidia mogła być w jakiś sposób związana z Feliksem, lecz nie chce się do tego przyznać. To podejrzenie zawstydziło go i odsunął je od siebie.

— Thomson uważa — powiedział — że kiedy Feliks zorientuje się, że nie jest w stanie odnaleźć Aleksa, będzie się starał mnie porwać.

Lidia wstała i podeszła do niego. Nie mówiąc ani słowa objęła go w pasie rękami i położyła głowę na jego piersi. Poglaskał ją po włosach.

— Muszę wszędzie jeździć własnym powozem, a Pritchard powinien mieć przy sobie broń.

Spojrzała na niego i ku swemu zdumieniu zobaczył, że jej szare oczy są pełne łez.

— Dlaczego właśnie nam się to przydarza? — spytała. — Najpierw Charlotte bierze udział w zamieszkach, teraz zagrożone jest twoje życie... wygląda na to, że wszyscy jesteśmy w niebezpieczeństwie.

— Nonsens. Tobie nic nie grozi, a Charlotte się po prostu wygłupiła. A jeśli o mnie chodzi, mam dobrą ochronę. — Poglaskał ją po plecach. Przez cienki szlafrok czuł ciepło jej ciała; nie

miała na sobie gorsetu. Chciał się z nią kochać, teraz, w tej chwili. Nigdy nie robili tego w biały dzień.

Pocałował ją w usta. Przywarła do niego mocno i zdał sobie sprawę, że ona pragnie tego samego. Nie pamiętał, żeby zachowywała się tak kiedykolwiek przedtem. Zerknął w stronę drzwi, zastanawiając się, czy-by ich nie zamknąć. Spojrzał na nią, a ona kiwnęła ledwo dostrzegalnie głową. Po nosie spływała jej łza. Walden zbliżył się do drzwi.

200

W tym samym momencie ktoś zapukał.

— Cholera! — mruknął pod nosem.

Lidia odwróciła twarz i przyłożyła chusteczkę do oczu. Do pokoju wszedł Pritchard.

— Proszę o wybaczenie, milordzie. Pilny telefon od pana Basila Thomsona. Wyśledzili, gdzie mieszka ten Feliks. Jeśli chce pan uczestniczyć w polowaniu, pan Thomson przyjedzie po pana za trzy minuty.

— Podaj mi płaszcz i kapelusz — zdecydował Walden.

10.

Jakiś Feliks wyszedł kupić poranną gazetę, gdziekolwiek się obrócił, widział dzieci. Na podwórku bawiły się tańcząc i śpiewając małe dziewczynki. Obok grały w krykieta jacyś smarkacze. Bramkę narysowali kredą na ścianie, a za kij służyła im zgniła deska. Niewiele starsi od nich chłopcy pchali na ulicy ręczne wózki. Gazetę kupił od kilkunastoletniej dziewczyny. Kiedy wracał do pokoju, drogę zagroził mu raczkujący na schodach goły berbec. To była dziewczynka — kiedy na nią spojrział, uniosła się nagle niepewnie i powoli przechyliła do tyłu. Złapał ją i postawił na podeście schodów. W otwartych drzwiach pojawiła się jej matka, młoda kobieta w zaawansowanej ciąży. Miała bladą cerę i przetłuszczzone włosy. Złapała małą w objęcia i zniknęła w swoim pokoju rzuciwszy Feliksowi podejrzliwe spojrzenie.

Kiedy zastanawiał się, w jaki sposób skłonić Charlotte do tego, żeby zdradziła mu miejsce pobytu Orłowa, miał wrażenie, że jego myśli rozbijają się o twarde, ceglany mur. Rozwagał różne możliwości: że wyciągnie od niej tę informację podstępnie, a ona nawet nie zorientuje się, że powiedziała mu coś istotnego; że uraczy ją jakąś wyssaną z palca historyjką podobną do tej, którą opowiedział Lidii; albo że powie jej bez ogródek, iż chce zabić Orłowa. Za każdym razem jednak zawodziła go wyobraźnia.

Kiedy uświadamiał sobie, jaka jest stawka w tej grze, jego skrupuły wydawały mu się wprost śmieszne. Mógł ocalić życie milionom ludzi i rozniecić płomień rewolucji w Rosji — a przejmował się tym, że będzie musiał oszukać młodą arystokratkę! Nie miał przecież zamiaru zrobić jej żadnej krzywdy — po prostu musiał się nią posłużyć, okłamać, nadużyć jej zaufania. Zaufania swojej własnej córki, którą dopiero co odnalazł...

Żeby zająć czymś ręce, zabrał się do formowania prymitywnej bomby z dynamitu. Umieścił nasycony nitrogliceryną wsad w

pękniętym porcelanowym wazonie. Namyslał się, jak rozwiązać problem zapalnika.

202

Płonący papier może okazać się niewystarczający. Wcisnął w watę pół tuzina zapalek, tak że wystawały z niej tylko ich czerwone, nasycone siarką łebki. Trudno mu było jednak utrzymać je w pozycji pionowej, ponieważ miał niepewne ręce.

Nigdy przecież nie drżały mi ręce!

Co się ze mną dzieje?

Skręcił gazetę w stożek i wcisnął go między zapalki, a potem obwiązał łebki kawałkiem bawełnianej przędzy. Zawiązanie supła sprawiło mu znaczną trudność.

Przeczytał w Timesie cały dział międzynarodowy przedzierając się zaciekle przez bombastyczny angielski tekst. Był prawie całkiem pewien, że wybuchnie wojna, ale „prawie całkiem” już mu nie wystarczało. Z przyjemnością zgładziłby bezużytecznego próżniaka pokroju Orłowa, nawet gdyby potem okazało się, że nic przez to nie osiągnął. Ale niszczyć bez żadnego powodu więź, jaka łączyła go z Charlotte...

Więź? Jaka więź?

Wiesz dobrze jaka więź.

Od lektury Timesa rozboleła go głowa. W pokoju było zbyt ciemno, czcionka była zbyt drobna, a gazeta beznadziejnie konserwatywna. Jej redakcję powinno się wysadzić w powietrze.

Zapragnął znowu zobaczyć się z Charlotte.

Usłyszał szuranie nóg na podeście. Po chwili rozległo się pukanie do drzwi.

— Proszę — powiedział nieostrożnie. Do środka wszedł pokasłując gospodarz.

— Dzień dobry.

— Dzień dobry, panie Price. Czego znowu chce ten stary dureń?

— A to co? — spytał Price wskazując na bombę leżącą na stole.

— To? Śweczka domowej roboty — odparł Feliks. — Może się palić miesiącami.

— Zastanawiałem się, czy nie potrzebuje pan przypadkiem zapasowej pościeli. Mógłbym ją dla pana tanio załatwić.

— Nie, dziękuję — odparł Feliks. — Do widzenia.

— No to do widzenia. — Price wyszedł.

Powiniennem gdzieś schować tę bombę, pomyślał Feliks. Co się ze mną dzieje?

— Tak, jest u siebie — oznajmił Price Thomsonowi. Walden poczuł ucisk w żołądku.

Siedzieli na tylnym siedzeniu policyjnego samochodu zaparkowanego

203

za rogiem kompleksu mieszkaniowego Canada. Towarzyszyli im inspektor z Wydziału Specjalnego i ubrany po cywilnemu komendant posterunku w Southwark.

Gdyby udało im się złapać Feliksa, Aleks mógłby spać spokojnie, pomyślał Walden. Cóż to byłaby za ulga.

— Pan Price — mówił Thomson — zgłosił się na posterunek z informacją, że wynajął pokój podejrzanemu osobnikowi z cudzoziemskim akcentem i niewielką ilością pieniędzy, który zapuszcza brodę, tak jakby jego zamiarem było ukrycie swej prawdziwej tożsamości. Zidentyfikował Feliksa na podstawie portretu sporządzonego przez naszego rysownika. Dobra robota, Price.

— Dziękuję, sir.

Komendant posterunku rozłożył plan o dużej podziałce. Jego powolność i namaszczenie mogły przyprawić o szaleństwo.

— Kompleks mieszkaniowy Canada składa się z trzech pięciopiętrowych bloków okalających podwórko. Każdy blok ma trzy klatki schodowe. Toronto House znajduje się po prawej ręce patrząc od wejścia na podwórko. Feliks mieszka na najwyższym piętrze, w środkowej klatce. Na zapleczu Toronto House mieści się zakład przedsiębiorcy budowlanego.

Walden opanował ogarniającą go niecierpliwość.

— Po lewej znajduje się Vancouver House, za nim biegnie inna ulica. Trzeci budynek, usytuowany na wprost patrząc od wejścia na podwórko, to Montreal House. Na jego tyłach biegnie linia kolejowa.

— Co to jest, tu na środku podwórka? — wskazał palcem Thomson.

— Ustęp — odparł komendant. — Wyjątkowo cuchnący. Tylu ludzi z niego korzysta.

No, dalej, kończcie tę gadaninę, pomyślał Walden.

— Z tego, co widzę — stwierdził Thomson — Feliks może wydostać się z podwórka trzema drogami. Po pierwsze, przez główną bramę: oczywiście ją zablokujemy. Po drugie, alejką pomiędzy Van-couver House i Montreal House, po przeciwnej stronie podwórka. Alejka wychodzi na ulicę. Niech pan postawi tam trzech ludzi, komendancie.

— Tak jest, sir.

— Po trzecie, alejką pomiędzy Montreal House i Toronto House. Prowadzi ona na podwórko firmy budowlanej. Tam także proszę posłać trzech ludzi.

Komendant kiwnął głową.

— Czy te bloki mają okna po tamtej stronie?

— Tak, sir.

— A zatem Feliks ma też czwartą drogę ucieczki: przez okno i dalej

204

przez podwórko firmy. Lepiej rozstawić tam sześciu ludzi. Na koniec, urządzimy małą demonstrację siły tutaj, na środku podwórka, żeby zachęcić go do potulnego wyjścia. Czy aprobeuje pan to wszystko, komendancie?

— Jak najbardziej, sir.

Nie wie, z jakiego pokroju człowiekiem mamy do czynienia, przeszło przez myśl Waldenowi.

— Pan oraz obecny tu inspektor Sutton — zwrócił się Thomson do komendanta — dokonacie aresztowania. Masz przy sobie broń, Sutton?

Sutton odchylił płaszcz, pokazując niewielki, umocowany pod pachą rewolwer. Walden był zaskoczony; sądził, że żaden brytyjski policjant nie nosi przy sobie broni palnej. Jak widać, nie dotyczyło to Wydziału Specjalnego. Przyjął to z zadowoleniem.

— Dobrze ci radzę — instruował Suttona Thomson. — Kiedy zapukasz do drzwi, trzymaj rewolwer w dłoni. Niech pan lepiej weźmie mój pistolet — zwrócił się do komendanta.

Komendant wydawał się lekko urażony.

— Spędziłem w służbie dwadzieścia pięć lat, sir, i ani razu w ciągu tego czasu nie byłem zmuszony użyć broni palnej, więc jeśli nie robi to panu różnicy, wołałbym teraz nie zaczynać.

— Przy próbie aresztowania tego człowieka zginęło już kilku policjantów.

— Obawiam się, że nigdy nie nauczono mnie posługiwać się bronią, sir.

Dobry Boże, pomyślał Walden, w jaki sposób ludzie tacy jak my mają poradzić sobie z kimś takim jak Feliks.

— Lord Walden i ja będziemy przy wejściu na podwórko.

— Zostanie pan w samochodzie, sir?

— Tak, zostaniemy w samochodzie. Do dzieła, pomyślał Walden.

— Do dzieła — powiedział Thomson.

Feliks uświadomił sobie, że jest głodny. Nie miał nic w ustach od ponad dwudziestu czterech godzin. Zastanawiał się, co robić. Sklepikarze baczniej obserwować będą kogoś zarośniętego i ubranego jak robotnik. Trudniej będzie coś ukraść.

Zbeształ się za takie myśli. Nigdy nie jest trudno coś ukraść. Trzeba tylko ruszyć głową. Mogę wybrać dom na przedmieściach — taki, w którym zatrudnia się jedną, co najwyżej dwie osoby służby i wejść przez drzwi dla domokrażnych handlarzy. W kuchni będzie się kręcić

służąca albo kucharka. „Jestem zboczeńcem — powiem z uśmiechem — ale jeśli zrobisz mi kanapkę, to cię nie zgwałcę”. Zablokuję drzwi, żeby odciąć jej drogę ucieczki. Może narobić wrzasku; wtedy ucieknę i spróbuję jeszcze raz gdzie indziej. Ale najprawdopodobniej da mi jedzenie. „Dziękuję — powiem wtedy — miła z ciebie kobieta”. I pójdę sobie. Nigdy nie jest trudno coś ukraść.

Problemem natomiast były pieniądze. Czyżbym wyglądał na kogoś, kto może sobie pozwolić na pościel, przemknęło mu przez głowę. Gospodarz był optymistą. Mógł się już chyba zorientować, że nie śmierdę groszem.

Mógł się już zorientować, że nie śmierdę groszem.

Wizyta ??i?? wydała mu się naraz podejrzana. Czy był tylko optymistą? Czy może przyszedł na przeszpiegi? Coraz wolniej reaguję, pomyślał Feliks. Wstał i podszedł do okna.

Jezu Chryste.

Na podwórku roilo się od ubranych w niebieskie mundury policjantów.

Feliks przyglądał im się przerażony.

Ich widok przypominał mu gniazdo robaków wijących się i wpełzających z dziury w ziemi.

Uciekaj! Uciekaj! — podpowiadał mu instynkt.

Dokąd?

Zablokowali wszystkie wyjścia z podwórka.

Przypomniał sobie o oknach po drugiej stronie budynku.

Wybiegł z pokoju na klatkę schodową. Okno wychodziło na teren firmy budowlanej. Zerknął w dół i zobaczył pięciu albo sześciu policjantów zajmujących stanowiska za stosami cegieł i stertami desek. Nie sposób było tędy uciec.

Pozostawał tylko dach.

Pobiegł z powrotem do swego pokoju i wyjrzał przez okno. Policjanci stali w miejscu, wyjąwszy dwóch mężczyzn, jednego w mundurze, drugiego po cywilnemu, którzy zdecydowanym krokiem zmierzali w stronę klatki schodowej Feliksa.

Złapał bombę i pudełko zapalek i zbiegł piętro niżej. Zamykane na klamkę małe drzwi prowadziły do składziku pod schodami. Feliks otworzył je i umieścił wewnątrz bombę. Zapalił papierowy lont i zamknął drzwi. Zawrócił. Miał

dość czasu, żeby wbiec na górę, zanim lont się wypali...

Po schodach pełzła na czworakach mała dziewczynka.

Cholera.

Złapał ją i wbiegł do jej pokoju. Matka dziewczynki siedziała na brudnym łóżku gapiąc się pustym wzrokiem w ścianę. Feliks wcisnął jej dziecko w ramiona.

206

— Siedź tutaj! Nie ruszaj się! — wrzasnął na nią. Na twarzy kobiety pojawiło się przerażenie.

Wyskoczył na klatkę schodową. Piętro niżej znajdowali się dwaj mężczyźni. Feliks ruszył biegiem...

Żeby tylko teraz nie wybuchło, żeby tylko teraz nie... ..na swoje piętro. Usłyszeli go.

— Hej, ty tam! — zawołał jeden z nich. Puścili się biegiem.

Feliks wpadł do swego pokoju, złapał stojące tam krzesło i ustawił je na podeście dokładnie pod włazem prowadzącym na strych. Bomba nie eksplodowała. Może zgasł lont. Feliks stanął na krześle. Dwaj mężczyźni wbiegli na jego piętro.

Feliks pchnął w górę klapę włazu.

— Jesteś aresztowany! — krzyknął policjant w mundurze. Facet po cywilnemu podniósł rewolwer i wycelował w Feliksa. Bomba wybuchła.

Rozległ się głuchy, tępy odgłos, jakby coś bardzo ciężkiego uderzyło o ziemię. Klatka schodowa runęła w dół, w powietrze wzbiły się kawałki desek, a siła wybuchu odrzuciła obu mężczyzn do tyłu. Nad gruzami strzeliły się płomienie. Feliks wczuł się na strych.

— Niech go wszyscy diabli, podłożył bombę! — krzyknął Thomson. I znowu wszystko wzięło w łeb, pomyślał Walden.

Rozległ się brzęk tłuczonej szyby, która wypadła z okna na trzecim piętrze.

Walden i Thomson wyskoczyli z samochodu i ruszyli biegiem przez podwórko.

Thomson wybrał na chybił trafił dwóch policjantów w mundurach.

— Ty i ty, chodźcie ze mną do środka. Pan niech zostanie tutaj — zwrócił się do Waldena. Wbiegli do budynku.

Walden wycofał się na kraniec podwórka

wpatrując się w okna Toronto House. Gdzie jest Feliks?

— Jest ranny w plecy, mówię wam— powiedział któryś z policjantów. Pięć czy sześć dachówek roztrzaskało się o ziemię. Na pewno odpadły

od dachu w wyniku eksplozji, pomyślał Walden.

Z trudem powstrzymywał się, żeby nie oglądać się przez ramię, tak jakby nie wiadomo skąd mógł się nagle wyłonić za nim Feliks.

Lokatorzy podchodzili do okien i drzwi, żeby zobaczyć, co się dzieje. Podwórko powoli zapełniło się ludźmi. Część policjantów próbowała

207

niezbyt energicznie zagonić ich z powrotem do środka. Z Toronto House wybiegła kobieta.

— Pali się! — krzyczała. Gdzie jest Feliks?

Thomson razem z innym policjantem wynieśli na zewnątrz Suttona. Był martwy albo nieprzytomny. Walden przyjrzał mu się uważniej. Nie, nie był martwy: zaciskał kurczowo w dłoni pistolet.

Z dachu spadły następne dachówki.

— Tam w środku jest niezły bajzel — powiedział policjant towarzyszący Thomsonowi.

— Nie widział pan Feliksa? — spytał Walden.

— Nic nie mogłem zobaczyć.

Thomson i policjant zniknęli ponownie we wnętrzu budynku. O ziemię roztrzaskały się następne dachówki... Waldena uderzyła nagłą myśl. Spojrzał do góry. Przez dziurę w dachu wypełzał na zewnątrz Feliks.

— Jest tam! — krzyknął Walden.

Wszyscy przyglądali się bezsilnie Feliksowi, który wczołgał się na szczyt dachu.

Gdybym miał broń...

Walden uklęknął przy nieprzytomnym Suttonie i wyłuskał mu z palców pistolet.

Spojrzał w górę. Feliks klęczał na szczycie dachu. Szkoda, że nie mam strzelby, pomyślał Walden podnosząc broń. Celował wzdłuż lufy. Feliks popatrzył na niego. Ich spojrzenia spotkały się.

Feliks ruszył do przodu.

Rozległ się strzał.

Nie poczuł nic.

Przyspieszył kroku.

To było jak bieg po linie. Musiał balansować rękami, żeby nie stracić równowagi, musiał precyzyjnie stawiać stopy na wąskim szczycie dachu, musiał zapomnieć o piętnastometrowej przepaści rozciągającej się w dole.

Kolejny strzał.

Feliks wpadł w panikę.

Pędził teraz tak szybko, jak tylko mógł. Dach kończył się. Przed sobą widział pochyły dach następnego budynku, Montreal House. Nie miał pojęcia, jak szeroki jest odstęp między dwoma blokami. Zawahał się i zwolnił. W tym momencie Walden znowu strzelił.

Feliks przyspieszył i odbił się od skraju dachu.

Leciał w powietrzu. Usłyszał, jakby z oddali, własny krzyk.

208

Przez moment widział trzech policjantów stojących piętnaście metrów niżej, w alejce, gapiących się na niego z otwartymi ustami.

A potem spadł na dach Montreal House, lądując twardo na rękach i kolanach.

Uderzenie przewróciło go na plecy. Ześlizgnął się w dół. Stopą natrafił na rynnę, która jakby cofała się pod jego ciężarem, i pomyślał, że zjedzie aż na sam skraj dachu, a potem runie w dół — ale rynna wytrzymała i przestał się zsuwać.

Bał się.

Jak to? Przecież ja nie wiem, co to strach, protestował jakiś odległy zakamarek w jego umyśle.

Wdrapał się na szczyt dachu, a potem zsunął w dół po drugiej stronie.

Na tyłach Montreal House biegła linia kolejowa. Na torach nie było ani jednego policjanta. Nie przewidzieli tego, pomyślał z triumfem Feliks; sądzili, że złowili mnie w pułapkę, nie przyszło im nawet do głowy, że mogę uciec po dachach.

Teraz muszę tylko zejść na dół.

Wychylił głowę zza rynny, żeby przyjrzeć się ścianie budynku. Nie było tutaj pionowych rynien, woda leciała w dół przez specjalne otwory w kształcie rzygaczy wystające poza skraj dachu. Ale okna na najwyższym piętrze znajdowały się tuż poniżej i miały szerokie parapety.

Feliks chwycił rynnę prawą dłonią i szarpnął sprawdzając jej wytrzymałość.

Od kiedy to tak dbam o swoje cenne życie?

(Wiesz od kiedy.)

Wybrał na dachu miejsce położone dokładnie nad oknem, złapał się mocno obiema rękami i powoli opuścił w dół.

Przez moment zwisał swobodnie w powietrzu.

Wyczuł stopami parapet okna. Oderwał prawą dłoń od rynny i wymacał cegłę obok okna. Wsunął palce w wąską szczelinę, a potem puścił rynnę drugą ręką.

Zajrzał przez szybę. Mężczyzna, który był w pokoju, zobaczył go i krzyknął ze strachu.

Feliks kopnął okno i wskoczył do środka. Odepchnął przerażonego lokatora na bok i wybiegł na klatkę schodową.

Zbiegał po cztery schodki naraz. Jeżeli zdoła dostać się na parter, wyskoczy przez okno na tory kolejowe.

Dotarł do podestu na pierwszym piętrze i zatrzymał się, łapiąc z trudem oddech. W drzwiach wejściowych zamajaczył niebieski mundur. Feliks obrócił się i podbiegł do okna.

Szarpnął je do góry. Zacięło się. Otworzył je na oścież mocnym uderzeniem. Na schodach zadudniły

14 — Człowiek.

209

kroki. Feliks wdrapał się na parapet, przelazł na drugą stronę, przez chwilę zwisał na wyciągniętych rękach, a potem odepchnął się od ściany i skoczył.

Wylądował w wysokiej trawie rosnącej na nasypie. Po prawej stronie dwaj mężczyźni przeskakowali przez płot firmy budowlanej. W oddali po lewej ktoś strzelił. Z okna, z którego wyskoczył Feliks, wyjrzał policjant.

Feliks wdrapał się na nasyp.

Linia kolejowa rozgałęziała się tutaj na cztery albo pięć torów. Z daleka nadjeżdżał z dużą szybkością pociąg. Znajdował się chyba na skrajnym przeciwnym torze. Feliksa ogarnął na chwilę strach, bał się przebiec tuż przed zbliżającą się lokomotywą; potem puścił się biegiem.

Dwaj policjanci z firmy budowlanej i trzeci z Montreal House ścigali go przeskakując przez

szyny.

— Zejdźcie z linii strzału! — rozległo się wołanie z lewej strony. Trzej ścigający utrudniali Waldenowi celowanie.

Feliks obejrzał się przez ramię. Pościg został w tyle. Rozległ się strzał. Feliks pochylił się i zaczął biec zygzakiem. Dudnienie pociągu było coraz głośniejsze. Usłyszał gwizd lokomotywy. Kolejny strzał. Nagle skręcił w bok, potknął się i upadł na ostatni tor. Uszy rozdarł mu straszliwy huk. Zobaczył nad sobą tembr lokomotywy. Szarpnął się konwulsyjnie i umknął z torów na zwirowy nasyp po drugiej stronie. Pociąg z rykiem przemknął tuż nad jego głową. Przez ułamek sekundy widział białą, wykrzywioną z przerażenia twarz maszynisty.

Wstał i zbiegł z nasypu.

Walden stał przy ogrodzeniu wpatrując się w przejeżdżający pociąg. Podszedł do niego Basil Thomson.

Policjanci na nasypie podbiegli do ostatniego toru i stanęli bezradnie na nasypie, czekając, aż przetoczy się ostatni wagon. Wydawało się, że upłynęły całe wieki.

Kiedy przejechał, nie było ani śladu Feliksa.

— Gość rozpląnął się w powietrzu — powiedział któryś z policjantów.

— Niech to wszyscy diabli! — zaklął Basil Thomson. Walden odwrócił się i ruszył z powrotem do samochodu.

Feliks przeskoczył przez mur i znalazł się na zaniedbanej uliczce, zabudowanej stojącymi w szeregu małymi domkami. Wylądował akurat na polu karnym, tuż przed prowizoryczną bramką futbolową. Mali chłopcy w wielkich czapkach przerwali grę i przyglądali mu się zaskoczeni. Pobiegnął dalej.

210

.

Przerzucenie posiłków na drugą stronę torów zabierze ścigającym co najmniej kilka minut. Zjawią się tutaj zbyt późno. Zanim zaczną przeczesywać teren, on będzie się już znajdował pół mili stąd.

Cały czas biegł, dopóki nie znalazł się na zatłoczonej ulicy handlowej. Tam, wiedziony impulsem, wskoczył do przejeżdżającego omnibusu.

Udało mu się uciec, ale to, co się stało, budziło w nim straszliwy niepokój. Takie przygody zdarzały mu się także wcześniej, ale nigdy się nie bał, nigdy nie wpadał w panikę. Przypomniawsobie słowa, które przemknęły mu przez głowę, kiedy zsuwał się z dachu: „nie chcę umrzeć”.

Na Syberii utracił zdolność odczuwania strachu. Teraz strach wracał. Po raz pierwszy od lat chciał żyć dalej, chciał przeżyć. Znowu staje się istotą ludzką, pomyślał.

Spoglądał przez okno na zaniedbane uliczki południowo-wschodniego Londynu i zastanawiał się, czy te brudne dzieci i kobiety o bladych twarzach są w stanie dostrzec w nim człowieka, który narodził się na nowo.

To była klęska. Stanie się bardziej powolny, zagubi gdzieś cały swój styl, nie będzie mógł skutecznie działać.

Boję się, pomyślał.

Chcę żyć.

Chcę znowu zobaczyć się z Charlotte. †

11.

eliksa obudził pierwszy poranny tramwaj. Z zawieszonych wysoko przewodów sypały się snopy błękitnych iskier. Za szybami widać było mężczyzn o tępych spojrzeniach ubranych w robocze kombinezony. Poziewując i paląc tytoń

jechali do pracy przy naprawianiu dróg, dźwiganiu skrzynek i sprzątanii ulic.

Słońce świeciło jasno tuż nad horyzontem, ale Feliks spoczywał w cieniu Mostu Waterloo. Leżał na chodniku z głową opartą o mur, owinięty szczelnie gazetami. Obok niego leżała cuchnąca, stara kobieta o czerwonej pijackiej twarzy. Wydawała się gruba, ale kiedy przyjrzał się jej uważniej, dostrzegł między skrajem sukienki i cholewkami męskich buciorów, w które obute były jej stopy, kilkanaście centymetrów chudych jak patyki, białych, brudnych nóg; zorientował się, że jej pozorna otyłość bierze się z nałożonych na siebie kilku warstw odzieży. Polubił ją: poprzedniej nocy zabawiała pozostałych włóczęgów ucząc go nieprzyzwoitych angielskich wyrazów oznaczających różne części ciała. Feliks powtarzał je po niej i wszyscy zrywali boki ze śmiechu.

Po drugiej stronie miał młodego Szkota z rudą czupryną. Dla niego noc spędzona pod gołym niebem była prawdziwą przygodą. Był twardy, żyłasty i miał wesole usposobienie. Przyglądając się śpiącemu chłopakowi, Feliks odkrył, że jego

policzki nie pokryły się wcale porannym zarostem: był jeszcze strasznie młody. Co się z nim stanie, kiedy nadejdzie zima?

Leżało ich na chodniku około trzydzieścioro, wszyscy z głowami opartymi o mur i nogami wyciągniętymi ku jezdni, przykryci płaszczami, workami albo gazetami. Feliks ocknął się pierwszy. Zastanawiał się, czy któryś z jego towarzyszy nie zmarł przypadkiem tej nocy.

Wstał. Po nocy spędzonej na chłodzie bolały go kości. Wyszedł na słońce. Dzisiaj miał się spotkać z Charlotte. Bez wątpienia wyglądał i cuchnął jak włóczęga. Zastanawiał się, czyby nie wykąpać się w Tamizie,

212

ale rzeka wydawała się brudniejsza nawet od niego. Wyruszył na poszukiwanie łaźni.

Znalazł ją na południowej stronie rzeki. Tabliczka na drzwiach informowała, że łaźnia czynna jest od godziny dziewiętej. Jakie to charakterystyczne dla rządów socjaldemokracji, pomyślał Feliks, budują łaźnię, aby robotnicy mogli się kąpać, a potem otwierają ją o takiej porze, gdy wszyscy są w pracy. Niewątpliwie

ubolewają głęboko nad faktem, że masy nie umieją korzystać z tak wspaniałomyślnie oferowanych udogodnień.

Obok Dworca Waterloo natknął się na uliczną budkę i zjadł w niej śniadanie. Miał straszliwą ochotę na kanapkę z sadzonym jajkiem, ale nie było go na nią stać. Poprosił jak zwykle o herbatę i chleb, odkładając resztę pieniędzy na gazetę. Po nocy spędzonej z włóczęgami czuł wstręt do samego siebie. To śmieszne, pomyślał, na Syberii spałem razem ze świniami i byłem zadowolony mogąc się przy nich ogrzać. Nietrudno było zrozumieć, dlaczego teraz czuł się inaczej: niedługo miał się spotkać ze swoją córką, powinien więc być świeży i pachnący, ubrany w jedwabną koszulę, białe rękawiczki i kapelusz, a może nawet trzymać w ręku parasol dla ochrony przed słońcem.

Kupił na dworcu Timesa, a potem usiadł na kamiennej ławce obok łaźni i czytał czekając na jej otwarcie.

Wiadomość na pierwszej stronie wstrząsnęła nim do głębi.

AUSTRIACKI NASTĘPCA TRONU I JEGO

ŻONA ZGINĘLI Z RĘKI STUDENTA W STOLICY BOŚNI WCZEŚNIEJ TEGO SAMEGO DNIA MIAŁ MIEJSCE ZAMACH BOMBOWY CESARZ POGRAŻONY W ŻAŁOBIE Wczoraj w godzinach porannych w Sarajewie, stolicy Bośni, zamordowany został austro-węgierski następca tronu, arcyksiążę Franciszek Ferdynand, wraz ze swą małżonką, księżniczką Hohenberg. Zabójcą okazał się student wyższej uczelni. Z samopowtarzalnego rewolweru postrzelił śmiertelnie księżęcą parę, kiedy wracała ona z przyjęcia wydanego na jej cześć w miejskim ratuszu.

Zamach był niewątpliwie rezultatem starannie zaplanowanego spisku. Już w drodze do ratusza arcyksiążę wraz z małżonką cudem tylko uniknęli śmierci. Osobnik, którym okazał się kompozytor z Trebinje, garnizonowego miasta na południowym skraju Hercegowiny, rzucił bombę na automobil arcyksięcia. Uzyskałszy kilka szczegółów na temat pierwszego zamachu. Podano tutaj, iż arcyksiążę odtrącił bombę ręką, i że wybuchła ona zaraz za automobilem, raniąc osoby jadące w następnym pojeździe.

Sprawca następnego zamachu pochodzi z miejscowości Grahovo w Bośni.

213

Nie otrzymaliśmy dotychczas żadnych informacji, jakiego jest wyznania i narodowości. Przypuszcza się, że należy do serbskiej, a w każdym razie prawosławnej części ludności Bośni.

Obaj przestępcy zostali natychmiast ujęci i z trudem tylko udało ich się uratować przed samosądem.

Podczas gdy w stolicy Bośni rozgrywała się tragedia, sędziwy cesarz Franciszek Józef znajdował się w drodze do swojej letniej rezydencji w Ischl. Poddani zgotowali mu entuzjastyczne pożegnanie w Wiedniu i jeszcze bardziej entuzjastyczne przyjęcie w Ischl.

Feliks był oszołomiony. Głęboką radość sprawiał mu fakt, że usunięto kolejnego bezużytecznego pasożyta wywodzącego się z arystokracji, kolejny cios zadany został tyranii; a jednocześnie wstyd mu było, że do uśmiercenia austriackiego następcy tronu okazał się zdolny zwyczajny student, podczas gdy jemu już któryś

raz z rzędu nie udaje się zabić rosyjskiego księcia. Najbardziej jednak absorbowały go zmiany, jakie zamach niewątpliwie musi spowodować na scenie międzynarodowej. Austriacy, popierani przez Niemców, podejmą kroki odwetowe wobec Serbii. Sprzeciwią się temu Rosjanie. Czy przeprowadzą mobilizację? Z pewnością zrobią to, jeśli będą pewni, że poprze ich Wielka Brytania. Mobilizacja w Rosji oznaczać będzie mobilizację w Niemczech; a kiedy Niemcy zostaną zmobilizowane, nikt nie zdoła powstrzymać ich generałów od rozpętania wojny.

Feliks zmagał się wytrwale z pokrętną angielszczyzną kolejnych, zamieszczonych na tej samej stronie doniesień na temat zamachu. OFICJALNY RAPORT POLICJI, REAKCJA CESARZA AUSTRII, TRAGEDIA DOMU PANUJĄCEGO, NASZ SPECJALNY KORESPONDENT DONOSI Z MIEJSCA ZBRODNI głośiły nagłówki. Było tam mnóstwo bzdur o tym, jak to wszyscy są niebywale wstrząśnięci, przerażeni i zasmuceni; towarzyszyły im wielokrotnie powtarzane zapewnienia, że nie należy się zbytnio niepokoić,

ponieważ morderstwo to, choć niewątpliwie tragiczne, nie będzie miało większego wpływu na sytuację w Europie — opinie, które, jak Feliks zdążył się już zorientować, były nader charakterystyczne dla Timesa. Czterej Jeźdźcy Apokalipsy w interpretacji tej gazety jawiliby się z pewnością jako ludzie silnej ręki, których obecność przyczyni się jedynie do ustabilizowania sytuacji międzynarodowej.

Na razie nie było mowy o austriackich krokach odwetowych, ale z pewnością zostaną podjęte, Feliks był tego pewien. A wtedy...

Wtedy wybuchnie wojna.

Nie było żadnego istotnego powodu, dla którego Rosja miałaby wziąć w niej udział, myślał z gniewem. To samo odnosiło się do Anglii.

214

To Francja i Niemcy parły do wojny: Francuzi chcieli odzyskać utracone w roku 1871 Alzację i Lotaryngię, niemieccy generałowie uważali zaś, że ich kraj zawsze będzie mocarstwem drugiej kategorii, dopóki nie zademonstruje całemu światu, jaki jest silny.

Co mogło powstrzymać Rosję od przystąpienia

do wojny? Spory z sojusznikami. Co mogło spowodować spór między Rosją i Anglią? Zabójstwo Orłowa.

Jeśli zamach w Sarajewie mógł spowodować wybuch wojny, kolejny zamach w Londynie mógł jej zapobiec.

A Charlotte wiedziała, gdzie jest Orłów.

Z niechęcią stawał na nowo przed dylematem, który dręczył go od czterdziestu ośmiu godzin. Czy coś się zmieniło po zamachu na arcy-księcia? Czy miał teraz prawo wykorzystać do swoich celów tę młodą dziewczynę?

Zbliżała się pora otwarcia łaźni. Przed drzwiami zgromadził się tłumek kobiet trzymających tobołki z praniem. Feliks zwinął gazetę i wstał z ławki.

Wiedział, że ją wykorzysta. Nie rozwiązał swojego dylematu — po prostu zdecydował, co ma robić. Zamach na Orłowa z pewnością stanowiłby kulminację całego jego życia. Z raz obranej drogi nie mogło go zawrócić nawet przekonanie, że wszystko, co robił do tej pory, oparte jest na błędzie.

Biedna Charlotte.

Drzwi łaźni otworzyły się i Feliks wszedł do środka.

Charlotte wszystko sobie wcześniej zaplanowała. Lunch podawano u Waldenów o pierwszej, w porze, kiedy nie przyjmowało się gości. Nie później niż o wpół do trzeciej mama pójdzie się zdrzemnąć do swojej sypialni. Charlotte zdąży zatem wyślizgnąć się z domu wystarczająco wcześnie, żeby o trzeciej spotkać się z Feliksem. Spędzi z nim godzinę. O w pół do piątej odświeżona, przebrana i niewinna jak lilia pojawi się w pokoju porannym, żeby wraz z mamą podejmować gości herbatą.

Wszystko miało potoczyć się inaczej. W południe mama popsuła cały plan.

— Och, zapomniałam ci powiedzieć... — napomknęła mimochodem — jesteśmy zaproszone na lunch do księżny Middlesex, do jej domu przy Grosvenor Square.

— O, nie! — jęknęła Charlotte. — Naprawdę nie jestem w nastroju, żeby iść na przyjęcie.

— Nie bądź niemądra, na pewno będziesz się świetnie bawić.

Źle to rozegrałam, uświadomiła sobie

natychmiast Charlotte.

215

Powinnam powiedzieć, że pęka mi głowa i że nie jestem w stanie nigdzie się ruszyć. Nie okazałam się dość przekonywająca. Potrafiłabym skłamać bez zmrużenia powiek, gdybym była na to przygotowana, ale nie umiem tego robić na poczekaniu.

— Przykro mi, mamó — spróbowała ponownie — ale nie mam ochoty tam iść.

— Dość tych bzdur, idziesz i koniec. Chcę, żeby poznała cię księżna, znajomość z nią może ci się bardzo przydać. Poza tym będzie tam także markiz Chalfont.

Lunch u księżnej zaczynał się zazwyczaj o w pół do drugiej i trwał do trzeciej albo i dłużej. Mogę być w domu o wpół do czwartej, pomyślała Charlotte, i zjawić się w Galerii Narodowej o czwartej; ale do tego czasu on z pewnością da za wygraną i sobie pójdzie, a poza tym, nawet gdyby jeszcze czekał, to i tak prawie natychmiast będę się musiała z nim rozstać, żeby zdążyć do domu na podwieczorek. Chciała porozmawiać z nim o zamachu; ciekawa była, co o nim sądzi. Nie

chciała jeść lunchu w towarzystwie starej księżny i jakiegoś...

— Kto to jest markiz Chalfont?

— To Freddie, chyba go znasz. Nie uważasz, że jest czarujący?

— A, to on. Czarujący? Nie zauważyłam.

Mogłabym napisać liścik, umieścić na nim ten adres w Camden Town i wychodząc zostawić na stoliku w hallu, żeby lokaj wysłał go pocztą; ale Feliks właściwie tam nie mieszka, a poza tym wiadomość nie dotrze do niego przed trzecią.

— No dobrze — powiedziała mama. — Więc postaraj się go dzisiaj zauważyć. Myślę, że chyba wpadłaś mu w oko.

— Komu?

— Freddie'emu. Naprawdę, Charlotte, musisz zwracać trochę więcej uwagi na młodzieńca, który się tobą interesuje.

Więc to dlatego tak jej zależy na tym przyjęciu.

— Och, mamó, nie bądź niemądra...

— Co jest w tym niemądrego? — odparła mama z irytacją.

— Nie zamieniłam z nim nawet trzech zdań.

— W takim razie to nie konwersacja z tobą tak go oczarowała.

— Mamo, proszę!

— No dobrze, nie będę ci dokuczać. Idź się przebrać. Załóż tę kremową suknię z brązowymi koronkami: świetnie pasuje do twoich rumieńców.

Charlotte zrezygnowana poszła do swego pokoju. Powinam pewnie czuć się mile połączona tym, że Freddie zwrócił na mnie uwagę, myślała zdejmując sukienkę. Dlaczego nie wzbudza we mnie zainteresowania żaden z tych młodzieńców? Może po prostu nie jestem jeszcze na to

216

wszystko przygotowana. Mam teraz na głowie tyle innych spraw. Przy śniadaniu papa powiedział, że ten zamach na arcyksięcia doprowadzi do wybuchu wojny. Dziewczęta nie powinny się przecież interesować takimi sprawami. Szczytem moich ambicji powinno być złapanie na haczyk narzeczonego jeszcze przed końcem pierwszego sezonu — to właśnie zajmuje bez reszty Belindę. Ale nie wszystkie dziewczęta

są takie jak Belinda — nie zapominaj o sufrażystkach.

Przebrała się i zeszła na dół. Mama popijała sherry. Porozmawiały chwilę o sprawach nieistotnych, a potem pojechały razem na Grosvenor Square.

Księżna była otyłą damą po sześćdziesiątce: przywodziła Charlotte na myśl stary drewniany statek gnijący pod świeżą warstwą farby. W przyjęciu uczestniczyły prawie same kobiety. Gdyby rzecz rozgrywała się na scenie, dumiała Charlotte, znalazłoby się tu miejsce dla poety o ponurym wejrzeniu, dla dyskretnego członka gabinetu, żydowskiego bankiera o nienagannych manierach i co najmniej jednej oszałamiająco pięknej kobiety. W rzeczywistości jedynymi zaproszonymi oprócz Freddie'ego panami byli siostrzeniec księżnej i konserwatywny członek parlamentu. Każdą z pań przedstawiano jako żonę takiego to a takiego. Jeśli kiedykolwiek wyjdę za mąż, pomyślała Charlotte, będę nalegać, by mnie przedstawiano jako mnie samą, a nie jako czyjaś żonę.

Urządzanie interesujących przyjęć nie było dla

księżnej rzeczą łatwą, ponieważ bardzo wiele osób nie miało prawa jadać przy jej stole: zaliczali się do nich wszyscy liberałowie, wszyscy Żydzi, a także każdy, kto zajmował się handlem, występował kiedykolwiek na scenie bądź splamił się rozwodem, prócz tego całe mnóstwo ludzi, którzy przy tej czy innej okazji dopuścili się, w mniemaniu gospodyni, czegoś niestosownego. Ograniczało to krąg gości do samych nudziarzy.

Ulubionym tematem konwersacji było dla księżnej pytanie, co doprowadza ten kraj do ruiny. Pierwsze miejsca na liście odpowiedzi zajmowały: działalność wywrotowa (uprawiana przez Lloyda George'a i Churchilla), wulgarność (Diagilew i postimpresjoniści) oraz podatek od wartości dodanej (jeden szyling i trzy pensy od każdego funta).

Dzisiaj jednak sprawa ruiny Anglii ustąpiła miejsca zamachowi na arcyksięcia. Konserwatywny poseł do parlamentu wyjaśniał w cokolwiek zawły sposób, dlaczego nie powinno dojść do wybuchu wojny.

— Zupełnie nie rozumiem, dlaczego ci nihiliści rzucają bomby i strzelają do ludzi — oznajmiła

tonem rozkapryszonej dziewczynki żona jakiegoś południowoamerykańskiego ambasadora. Jej głupota doprowadzała Charlotte do białej gorączki.

Księżna miała odpowiedź i na to pytanie. Lekarz domowy wyjaśnił jej, iż wszystkie sufrażystki cierpią na dolegliwość nerwową, którą

217

medycyna określa mianem hysterii; jej zdaniem rewolucjoniści dotknięci są męską odmianą tego schorzenia.

— A może chodzi o to, że Serbowie nie chcą po prostu pozostawać dłużej pod panowaniem Austrii? — odezwała się Charlotte, która tego ranka przeczytała od deski do deski Timesa. Mama rzuciła jej piorunujące spojrzenie. Wszyscy pozostali przyglądali jej się przez chwilę, jakby spadła z księżycy, a potem całkowicie zignorowali jej wybryk.

Freddie siedział obok niej. Jego okrągła fizjonomia zawsze lekko błyszczała.

— Opowiadasz horrendalne rzeczy — odezwał się do niej przyciszonym tonem.

— A cóż jest w tym horrendalnego? —
zażądała wyjaśnień Charlotte.

— No wiesz, ktoś mógłby pomyśleć, że
pochwalasz ludzi, którzy strzelają do arcyksiążąt.

— Sądzę, że gdyby Austriacy próbowali
okupować Anglię, i ty także strzelałbyś do
arcyksiążąt, nieprawdaż?

— Jesteś niezrównana — stwierdził Freddie.

Charlotte odwróciła się do niego plecami.
Czuła się tak, jakby straciła głos: do nikogo
najwyraźniej nie docierało nic z tego, co mówiła.
Zaczynało ją to denerwować.

Księżna tymczasem dolewała oliwy do ognia.
Warstwy niższe składają się z samych
próżniaków, twierdziła. I mówi to ktoś, myślała
Charlotte, kto nigdy w życiu nie tknął niczego
palcem! Proszę sobie wyobrazić, kontynuowała
księżna, że każdy robotnik ma dzisiaj do pomocy
chłopaka, który nosi za nim jego narzędzia, a
przecież każdy powinien sam nosić to, co do
niego należy, mówiła, podczas gdy lokaj podtykał
jej pod nos srebrną tacę z gotowanymi
ziemniakami. Żłopia tak dużo piwa w ciągu dnia,
prawiała wychylając trzeci kieliszek słodkiego

wina, że po południu niezdolni są już do pracy. Za bardzo się dzisiaj wszyscy rozbisurmanili, perorowała w momencie, gdy trzech lokaje wraz z dwiema pokojówkami sprząтали talerze po trzecim daniu i podawali czwarte; nie jest rzeczą rządu troszczyć się o zasiłek dla biednych, ubezpieczenia chorobowe i emerytury. Bieda nauczy warstwy niższe cnoty oszczędności, stwierdziła przy końcu posiłku, którym dziesięcioosobowa robotnicza rodzina wyżywiłaby się przez dwa tygodnie. Ludzie muszą polegać tylko na własnych siłach, dodała, kiedy lokaj pomagał jej wstać z fotela i przejść do salonu.

W tym momencie Charlotte kipiała niemal z tłumionej wściekłości. Któż mógłby mieć za złe rewolucjonistom, że biorą sobie za cel kogoś takiego jak księżna?

Freddie podał jej filiżankę kawy.

— Wspaniała z niej rezonerka, nie sądzisz? — zapytał.

218

— Według mnie to najbardziej obmierzła stara baba, jaką w życiu spotkałam.

— Cicho! — rzucił półgłosem Freddie. Na jego okrągłej twarzy pojawił się wyraz zakłopotania.

Nikt przynajmniej nie może powiedzieć, przeszło przez myśl Charlotte, że się do niego zalecam.

Stojący na kominku zegar wybił trzecią. Charlotte miała uczucie, jakby znalazła się w więzieniu. Na schodach Galerii Narodowej czekał już na nią Feliks. Musiała wydostać się z domu księżnej. Co ja tutaj robię, myślała, i to w chwili, kiedy mam nareszcie szansę spotkać się z kimś, kto mówi do rzeczy.

— Muszę wracać do parlamentu — oznajmił nagle konserwatywny poseł. Jego żona również podniosła się z krzesła. Charlotte dostrzegła sposób na wydostanie się z pułapki. Zbliżyła się do żony posła.

— Trochę boli mnie głowa — powiedziała cicho. — Czy mogłabym pojechać razem z państwem? Będziecie mijali mój dom po drodze do Westminsteru.

— Naturalnie, lady Charlotte — odparła tamta.

Mama rozmawiała z księżną. Charlotte

przerwała im i opowiedziała jeszcze raz historyjkę o bolącej głowie.

— Wiem, że mama ma ochotę zostać trochę dłużej, zabiorę się więc z panią Shakespeare. Dziękuję za uroczy lunch, wasza wysokość.

Księżna skinęła majestatycznie głową.

Całkiem niezłe to rozegrałam, pomyślała Charlotte zbiegając na dół po schodach.

Poddała swój adres stangretowi pani Shakespeare.

— Nie musisz wjeżdżać na dziedziniec — dodała. — Wystarczy, że zatrzymasz się przy bramie.

Podczas jazdy pani Shakespeare doradziła jej, żeby po powrocie do domu wypła łyżeczkę laudanum.

Stangret zatrzymał powóz tam, gdzie mu polecono. Dwadzieścia po trzeciej Charlotte stała na chodniku przed swoim domem czekając, aż powóz zniknie jej z oczu. Zamiast wejść na dziedziniec, ruszyła w stronę Trafalgar Square.

Dotarła na miejsce trochę po wpół do czwartej i wbiegła szybko po schodach do Galerii Narodowej. Nie było ani śladu po Feliksie.

Poszedł sobie, pomyślała, po tym wszystkim poszedł sobie. Nagle wynurzył się zza masywnej kolumny, tak jakby czaił się w ukryciu. Jego widok tak ją ucieszył, że gotowa była rzucić mu się na szyję.

— Przepraszam, że kazałam panu czekać — powiedziała ściskając jego dłoń — ale nie mogłam się wcześniej wyrwać z potwornie nudnego przyjęcia.

219

— To nieistotne, skoro jest pani tutaj. — Uśmiechał się z przymusem. Jakby witał się z dentystą, pomyślała, z którym umówił się na rwanie zęba.

Weszli do środka. Charlotte uwielbiała to muzeum, panujący w nim chłód i ciszę, przeszklone kopuły, marmurowe kolumny i obrazy, z których emanował kolor, pasja i piękno.

— Rodzice nauczyli mnie przynajmniej podziwiać obrazy — powie-• działa.

Zwrócił na nią swoje smutne, ciemne oczy.

— Będzie wojna — powiedział.

Ze wszystkich osób, które mówiły dzisiaj o tej możliwości, tylko ojciec i Feliks sprawiali

wrażenie, że są nią naprawdę poruszeni.

— Papa mówi to samo. Ale ja nie rozumiem, dlaczego miałyby wybuchnąć.

— Zarówno Francja, jak i Niemcy sądzą, że mają dużo do wygrania. Natomiast Austria, Rosja i Anglia zostaną do niej wciągnięte.

Szli dalej. Feliks nie wydawał się szczególnie zainteresowany malarstwem.

— Dlaczego pan się tym tak przejmuje? — spytała Charlotte. — Czy będzie pan musiał iść na front?

— Jestem na to za stary. Ale myślę o milionach niewinnych, oderwanych prosto od pługą rosyjskich chłopów, którzy zginą albo zostaną okaleczeni w imię sprawy, której nie rozumieją, i na której, gdyby ją nawet zrozumieli, nic a nic im nie zależy.

Charlotte zawsze sądziła, że wojna polega na tym, iż jedni ludzie zabijają innych. Feliks najwyraźniej uważał inaczej: to wojna zabija ludzi, po obu stronach barykady. Jak zwykle ukazał jej całą sprawę w nowym świetle.

— Nigdy nie patrzyłam na to w ten sposób — wyjąkała.

— Również earl Walden nie patrzy na to w ten sposób. Dlatego gotów jest dopuścić do wybuchu wojny.

— Jestem pewna, że gdyby papa tylko mógł, nigdy by do tego nie dopuścił...

— Myli się pani — przerwał jej Feliks. — On robi, co może, żeby do tego doprowadzić.

Charlotte zmarszczyła brwi.

— Co pan przez to rozumie? — spytała zaintrygowana.

— To wszystko ma związek z przyjazdem księcia Orłowa do Anglii. Jej zdumienie rosło.

— Skąd pan wie o Aleksie?

— Wiem o całej sprawie więcej niż pani. Policja ma szpiegów wśród anarchistów, ale niektórzy z nich pracują na obie strony. O wszystkim się dowiedzieliśmy. Walden i Orłów przygotowują traktat, w rezultacie którego Rosja zostanie wciągnięta do wojny po stronie Wielkiej Brytanii.

220

Charlotte już miała zaprotestować, że nie, że papa nigdy by nie przyłożył ręki do czegoś takiego, kiedy nagle uświadomiła sobie, że Feliks

ma rację. To wyjaśniało niektóre uwagi, które wymieniali między sobą papa i Aleks, kiedy ten ostatni przebywał jeszcze w ich domu, wyjaśniało też, dlaczego ojciec wywołał konsternację wśród swoich przyjaciół zadając się z liberałami w rodzaju Churchilla.

— Dlaczego mój ojciec miałby to robić? — zapytała.

— Obawiam się, że gdy w grę wchodzi utrzymanie angielskiej dominacji w Europie, mało go obchodzi los rosyjskich chłopów.

No tak, rzeczywiście, pomyślała, papa tak właśnie zapatruje się na te sprawy.

— To straszne — odezwała się na głos. — Dlaczego nie powiecie o tym ludziom? Ujawnijcie to, krzyczcie o tym z dachów domów!

— Kto będzie tego słuchał?

— Czy wasz głos nie dotrze do Rosji?

— Dotrze, jeśli zdołamy w drastyczny sposób zwrócić uwagę na to, co mamy do powiedzenia.

— Na przykład jak?

Feliks popatrzył jej prosto w oczy.

— Na przykład porywając księcia Orłowa.

Było to tak niesamowite, że parsknęła

głośnym śmiechem, a potem nagle umilkła. Pomyślała, że on może bawi się z nią w jakąś grę i specjalnie udaje, żeby zdobyć dla siebie punkt; ale kiedy spojrzała na jego twarz, zdała sobie sprawę, że jest śmiertelnie poważny. Po raz pierwszy przyszło jej do głowy, że może nie wszystko jest z nim w porządku.

— Chyba nie mówi pan tego serio — powiedziała z niedowierzaniem. Uśmiechnął się krzywo.

— Uważa mnie pani za szaleńca? Wiedziała, że nim nie jest. Potrząsnęła głową.

— Jest pan najrozsądniejszym człowiekiem, jakiego w życiu spotkałam.

— W takim razie proszę usiąść. Wszystko pani wyjaśnię. Wziął ją pod ramię i usiedli.

— Już teraz car nie ufa Anglikom, ponieważ udzielają oni schronienia uchodźcom politycznym takim jak ja. Gdyby któryś z nas porwał jego ukochanego siostrzeńca, wywołałoby to prawdziwą burzę. Oba państwa nie mogłyby już liczyć na wzajemną pomoc w razie wojny. A gdyby prości ludzie w Rosji dowiedzieli się, w co chciał ich wplątać Orłów, doszłoby do takiego

wrzenia, że carowi nie udałoby się ich wysłać na żadną wojnę. Rozumie pani?

Kiedy mówił, Charlotte przyglądała się jego twarzy. Był spokojny,

221

rozsądny, trochę tylko spięty. W jego oczach nie dostrzegła śladu szaleństwa ani fanatyzmu. Wszystko, co mówił, wydawało się logiczne, lecz była to logika rodem z bajki; jedna rzecz wynikała z drugiej, ale razem tworzyły historię jakby z innego świata, nie z tego w każdym razie, w którym żyła.

— Rozumiem — odparła — ale nie może pan przecież porwać Aleksa, on jest taki sympatyczny.

— Ten sympatyczny człowiek, jeśli mu się na to pozwoli, poprowadzi na śmierć miliony innych sympatycznych ludzi. Taka jest rzeczywistość, Charlotte. Rzeczywistość różni się od tych batalistycznych płócien, na których rumaki stają dęba, a nad polem bitwy unoszą się bogowie. Walden i Orłów mówią o prawdziwej wojnie: o ludziach posiekanych szablami, o chłopcach, którym szrapnel pourywał nogi, o krwawiących, dogorywających w błocie i wyjących z bólu

nieszczęśnikach, którym nie ma kto pomóc. Właśnie coś takiego szykują Walden i Orłów. Połowa całego zła na tym świecie bierze się stąd, iż sympatycznym młodzieńcom pokroju Orłowa wydaje się, że mają prawo prowadzić całe narody do wojny.

Przyszła jej do głowy straszna myśl.

— Już raz próbował pan go porwać. Kiwnął głową.

— W parku. Była pani w powozie. Nie udało mi się wtedy.

— O Boże! — poczuła się nagle kompletnie załamana. Wziął ją za rękę.

— Pani wie, że mam rację, prawda?

Uprzytomniła sobie, że rzeczywiście racja jest po jego stronie. Jego świat był prawdziwy, to ona była postacią z bajki. W świecie bajek ubrane na biało debutantki przedstawiane są w pałacu królowi i królowej, księżę wyrusza na wojnę, a earl jest dobry dla całej swojej służby, która w zamian otacza go miłością. Księżna jest tu dostojną, starą damą, i nie istnieje coś takiego jak stosunek płciowy. W prawdziwym świecie dziecko Annie urodziło się martwe, bo mama

wyrzuciła ją ze służby nie dając żadnych referencji. W prawdziwym świecie trzynastoletnią matkę skazuje się na śmierć, ponieważ pozwoliła umrzeć swemu dziecku, ludzie śpią na ulicach, bo nie mają gdzie mieszkać, a księżna jest obrzydliwą starą wiedźmą. Do tego świata należy mężczyzna w tweedowym ubraniu, który uderzył Charlotte pięścią w brzuch obok pałacu Buckingham.

— Wiem, że ma pan rację — powiedziała.

— To bardzo ważne — odparł. — W pani rękach leży klucz do całej sprawy.

— W moich? O, nie!

— Potrzebna mi jest pani pomoc.

222

— Nie, proszę, niech pan tego nie mówi!

— Widzi pani, ja nie mogę odnaleźć Orłowa.

To nie jest uczciwe, pomyślała, wszystko to dzieje się zbyt szybko. Czowała się beznadziejnie złapana w pułapkę. Chciała pomóc Feliksowi, rozumiała, jakie to ważne, ale Aleks był przecież jej kuzynem, był gościem w jej domu — jakże mogłaby go zdradzić?

— Pomoże mi pani? — zapytał.

— Nie wiem, gdzie jest Aleks — odparła wymijająco.

— Ale może się pani dowiedzieć.

— Tak.

— Zrobi to pani?

— Nie wiem. — Westchnęła.

— Charlotte, musi pani.

— Niczego nie muszę — wy buchnęła. —
Wszyscy mi mówią, co muszę. Sądziłam, że ma pan dla mnie więcej szacunku.

Wydawał się zbity z tropu.

— Żałuję, że muszę panią o to prosić. Ścisnęła go za rękę.

— Zastanowię się nad tym.

Chciał coś powiedzieć, ale zamknęła mu usta palcem.

— Musi się pan tym na razie zadowolić — powiedziała.

O siódmej trzydzieści Walden wyjechał z domu swoim lanchesterem. Miał na sobie wieczorowy strój i jedwabny kapelusz. Poruszał się teraz wszędzie samochodem; w razie gdyby coś się miało wydarzyć, był szybszy i zwrotniejszy od powozu. Siedzący za kierownicą Pritchard

miał pod marynarką rewolwer w kaburze. Najwyraźniej zbliżał się kres cywilizowanego życia. Podjechali od tyłu pod dom przy Downing Street numer 10. Tego popołudnia zebrał się gabinet, aby przedyskutować warunki porozumienia wynegocjowane przez Waldena i Aleksa. Miał się za chwilę dowiedzieć, czy zostały zaakceptowane.

Wprowadzono go do niewielkiej jadalni. Był już tam Churchill wraz z premierem Asquithem. Oparci o kredens popijali sherry. Walden i Asquith uścisnęli sobie dłonie.

— Dzień dobry, panie premierze.

— Dobrze, że pan przyszedł, lordzie Walden.

Asquith miał srebrzyste włosy i gładko wygolone policzki. Zmarszczki wokół oczu zdradzały poczucie humoru, ale wąskie wargi i szeroki, kwadratowy podbródek wskazywały na uparte usposobienie. Ani londyńskie uczelnie, ani oksfordzkie Balliol College nie zdołały, zdaniem Waldena, usunąć z wymowy Asquitha śladów akcentu z rodzinnego

której, jak powiadano, mieścił się umysł precyzyjny jak maszyna, choć z drugiej strony, myślał sobie Walden, ludzie zawsze uważają premiera za mądrzejszego, niż jest w rzeczywistości.

— Obawiam się, że gabinet nie zaakceptuje pańskiej propozycji — powiedział Asquith.

Waldenowi zamarło serce.

— A to dlaczego? — Starał się pokryć ogarniające go rozczarowanie niefrasobliwym tonem.

— Sprzeciwiał się przede wszystkim Lloyd George. Walden popatrzył na Churchilla i uniósł brwi. Churchill pokiwał głową.

— Sądzi pan zapewne, jak wszyscy — powiedział — że L.G. i ja jesteśmy zawsze tego samego zdania. Teraz pan widzi, że jest wprost przeciwnie.

— Dlaczego się nie zgadza?

— To kwestia zasad — odparł Churchill. — On twierdzi, że podsuwamy innym pod nos Bałkany, jakby to była bombonierka: proszę się poczęstować, może życzyć sobie państwo Trację, a może Bośnię, Bułgarię czy Serbię. Do

wyboru, do koloru. Twierdzi, że małe kraje mają swoje prawa. Tak to jest, kiedy bierze się do rządu Walijczyka. Walijczyka i na dodatek notariusza, sam nie wiem, co gorsze.

Waldena irytowała jego niefrasobliwość. Ten projekt jest tak samo mój jak i jego, pomyślał, dlaczego więc nie wytrąciło go to z równowagi tak jak mnie?

Zasiedli do kolacji. Dania podawał lokaj. Asquith jadł bardzo niewiele. Churchill, zdaniem Waldena, zbyt dużo sobie nalewał. Walden siedział ponury, przy każdym kęsie klnąc w duchu Lloyda George'a.

— Musimy zawrzeć ten traktat, wie pan o tym — odezwał się Asquith, gdy kończyli pierwsze danie. — Między Francją i Niemcami wcześniej czy później dojdzie do wojny, a wtedy, jeśli Rosjanie będą stali z boku, Niemcy podbiją całą Europę. Nie możemy do tego dopuścić.

— Co trzeba zrobić, żeby skłonić Lloyda George'a do zmiany stanowiska? — zapytał Walden.

Asquith uśmiechnął się lekko.

— Gdyby wypłacano mi jednego funta za

każdym razem, kiedy słyszę to pytanie, byłbym już dawno bogatym człowiekiem.

Lokaj podał przepiórki i nalał do kieliszków czerwone wino.

— Musimy zmodyfikować naszą propozycję tak, by uwzględniała zastrzeżenia Lloyda George'a — stwierdził Churchill.

Jego beztroski ton doprowadzał Waldena do furii.

— Zdaje pan sobie świetnie sprawę, że to nie takie proste — warknął.

224

— Oczywiście — odparł łagodnie Asąith. — Ale mimo to musimy próbować. Przypuśćmy, że Tracja stanie się niepodległym państwem pod protektoratem Rosji, czy coś w tym rodzaju.

— Cały miesiąc straciłem na targach z Rosjanami — stwierdził ze znużeniem Walden.

— Śmierć biednego Franciszka Ferdynanda zasadniczo zmienia całą sytuację — powiedział Asąith. — Obecnie Austria staje się coraz bardziej agresywna na Bałkanach, a Rosjanie bardziej niż kiedykolwiek potrzebują na tym terenie mocnego przyczółka, który w zasadzie

skłonni jesteśmy im dać.

Walden opanował rozczarowanie i postarał się myśleć konstruktywnie.

— Co sądzicie panowie o Konstantynopolu? — zapytał po chwili.

— Co pan ma na myśli?

— Przypuśćmy, że zaoferujemy Rosjanom Konstantynopol... czy Lloyd George miałby coś przeciwko temu?

— Mógłby powiedzieć, że to tak, jakby oddać Cardiff irlandzkim republikanom — zauważył Churchill.

Walden zignorował tę uwagę i popatrzył na Asquitha. Premier odłożył nóż i widelec.

— No cóż. Teraz, kiedy już pokazał, jaki jest pryncypialny, może dla odmiany zechce wykazać się odrobiną rozsądku, zwłaszcza jeśli zaproponuje mu się kompromis. Sądzę, że powinien się zgodzić. Czy zadowolili to Rosjan?

Walden nie był pewien, ale podniecał go jego własny pomysł.

— Jeśli uda wam się przekonać Lloyda George'a — powiedział bez zastanowienia — ja zdołam przekonać Orłowa.

— Wspaniale — stwierdził Asquith. — A teraz, jak wygląda sprawa z tym anarchistą?

Waldena opuścił optymizm.

— Robią wszystko, co tylko możliwe, żeby zapewnić Aleksowi bezpieczeństwo, ale wciąż spędza nam to sen z oczu.

— Sądziłem, że Basil Thomson zna się na swojej robocie.

— Znakomicie — odparł Walden. — Ale obawiam się, że Feliks jeszcze lepiej zna się na swojej.

— Moim zdaniem — wtrącił Churchill — nie powinniśmy przesadnie obawiać się tego osobnika.

— Ja osobiście bardzo się go obawiam, panowie — przerwał mu Walden. — Feliks trzykrotnie wymknął nam się z garści. Ostatnim razem mieliśmy do dyspozycji trzydziestu policjantów. Nie widzę, w jaki sposób mógłby dokonać teraz zamachu na Aleksa, ale to, że ja tego sposobu nie widzę, wcale nie oznacza, że nie widzi go Feliks. A wiemy, czym grozi śmierć Aleksa: nasz sojusz z Rosją z pewnością się załamie. Feliks jest obecnie najbardziej

niebezpieczną osobą w Anglii.

15 — Człowiek...

225

Asquith kiwnął ponuro głową.

— Jeśli nie będzie pan w pełni usatysfakcjonowany środkami bezpieczeństwa podjętymi dla ochrony Orłowa, proszę kontaktować się bezpośrednio ze mną.

— Dziękuję.

Lokaj podał Waldenowi cygaro, ale on czuł, że nie ma już po co tutaj dłużej siedzieć.

— Życie musi toczyć się dalej — powiedział. — Czeka mnie jeszcze koktajl u pani Glenville. Tam wypalę swoje cygaro.

— Proszę nie zdradzić jej przypadkiem, gdzie pan jadł kolację — powiedział z uśmiechem Churchill.

— Nie ośmieliłbym się, bo nikt nie odezwałby się do mnie więcej ani słowem. — Walden wypił do końca porto i wstał.

— Kiedy przedstawi pan nową propozycję Orłowowi? — zapytał Asquith.

— Jutro z samego rana jadę samochodem do Norfolk.

— Wspaniale.

Lokaj przyniósł Waldenowi kapelusz i rękawiczki. Earl pożegnał się i wyszedł.

Przy bramie do ogrodu stał Pritchard gawędząc z pełniącym służbę policjantem.

— Z powrotem do domu — zarządził Walden.

Podczas jazdy doszedł do wniosku, że trochę się zagalopował. Przyrzekł im, że nakłoni Aleksa do przyjęcia nowego planu, ale teraz nie był już wcale taki pewien, czy mu się to uda. Zaczął zastanawiać się nad fortelami, którymi się jutro posłuży.

Dojechał do domu, nie wymyśliwszy ani jednego.

— Za kilka minut będzie nam znowu potrzebny samochód, Pritchard.

— Tak jest, milordzie.

Walden wszedł do domu i udał się na górę, żeby umyć ręce. Na schodach spotkał Charlotte.

— Czy mama jest już gotowa? — zapytał.

— Tak, zejdzie za kilka minut. Jak się posuwają twoje sprawy?

— Pomalutku.

— Dlaczego tak nagle zaangażowałaś się z

powrotem w politykę? Uśmiechnął się.

— W największym skrócie: żeby nie dać Niemcom podbić całej Europy. Ale nie zawracaj sobie tym swojej małej, ślicznej główki...

— Wcale nie zamierzam. Ale gdzie, u licha, ukryłeś przed nami kuzyna Aleksa?

Zawahał się. W zasadzie cóż by szkodziło jej powiedzieć, z drugiej jednak strony, zawsze mogła potem niechcący wypaplać komuś tajemnicę. Dla jej dobra lepiej pozostawić ją w nieświadomości.

226

— Jeśli ktoś cię zapyta — powiedział — powiedz, że nie masz pojęcia. — Uśmiechnął się i poszedł do swego pokoju.

Zdarzały się chwile, kiedy uroki angielskiego życia wydawały się Lidii całkiem zwietrzałe.

Zazwyczaj lubiła chodzić na koktajle. Kilkaset osób gromadziło się w czyimś domu, nie mając tam praktycznie nic do roboty; Nie trzeba było zasiadać do stołu, nikt nie tańczył ani nie grał w karty. Ścisnęła się dłoń gospodyni, brało kieliszek szampana i przechadzało po pokojach gawędząc z przyjaciółmi i podziwiając cudze stroje. Dzisiaj

uderzył ją bezsens tego wszystkiego. Jej niezadowolenie przybrało formę tęsknoty za Rosją. Piękne kobiety są tam bardziej olśniewające, intelektualiści mniej układni, rozmowy bardziej rzeczowe, a wieczorne powietrze nie tak balsamiczne i senne. W rzeczywistości była zbyt zatroskana — o Stephena, o Feliksa i o Charlotte — żeby czuć się dobrze w tak licznym towarzystwie.

Weszła po szerokich schodach w asyście Stephena i Charlotte. Panią Glenville zachwycił jej brylantowy naszyjnik. Przeszli dalej. Stephen oddalił się, żeby zamienić kilka słów z jednym ze swoich znajomych z Izby Lordów. Lidię doleciały słowa „poprawka do ustawy” i więcej nie słuchała. Przeciskała się z córką przez tłum, witając się i rozdając uśmiechy. Co ja tutaj robię? — zadawała sobie pytanie.

— A propos, mamó, gdzie się podział Aleks?

— Nie wiem, kochanie — odparła z roztargnieniem. — Zapytaj ojca. Dobry wieczór, Freddie.

Freddie zainteresowany był Charlotte, nie Lidią.

— Rozmyślałem o tym, co powiedziałaś podczas lunchu — oznajmił. — Uważam, iż różnica polega na tym, że my jesteśmy Anglikami.

Lidia zostawiła ich przy tej kwestii. W moich czasach, pomyślała, zdecydowanie nie zdobywało się mężczyzny dyskusjami politycznymi. Najwyraźniej Freddie'ego interesuje każdy temat, o którym ma ochotę mówić Charlotte. Ciekawe, czy się oświadczy. Boże mój, cóż to by była za ulga...

W pierwszym pokoju gościom przygrywał cicho kwartet smyczkowy. Spotkała tam swoją bratową Clarissę. Zaczęły rozmawiać o córkach. Clarissa zamartwiała się strasznie o Belinę, co sprawiło, że Lidii zrobiło się trochę lżej na duszy, choć nie dała tego po sobie poznać.

— Nie przejmowałabym się tak bardzo tym, że kupuje sobie ekstrawaganckie stroje, pokazuje łydki i pali papierosy, gdyby tylko się tak z tym nie afiszowała — mówiła Clarissa. — Na dodatek odwiedza jakieś straszne miejsca, gdzie murzyńskie orkiestry grają jazz, a w zeszłym tygodniu była na meczu bokserkim.

— Pozwalasz jej samej wychodzić z domu?

— Obiecałam jej, że może wychodzić bez opieki, jeśli jest w towarzystwie dziewcząt, które znam. Widzę teraz, że popełniłam błąd. Charlotte zapewne nigdy nie wychodzi z domu bez przyzwoitki.

— Teoretycznie tak — przyznała Lidia — ale jest strasznie nieposłuszna. Pewnego dnia wymknęła się z domu i poszła na zebranie sufrażys-tek. — Lidii nie przeszłaby przez gardło cała haniebna prawda: „zebranie sufrażystek” nie brzmiało tak źle jak „demonstracja”. — Interesuje się poza tym rzeczami, które zupełnie nie przystoją młodej damie. Na przykład polityką. Zupełnie nie wiem, skąd jej to przychodzi do głowy.

— Doskonale to rozumiem — powiedziała Clarissa. — Belinda zawsze słuchała najlepszej muzyki, czytała odpowiednie książki, miała surową guwernantkę i obracała się w najlepszym towarzystwie... naprawdę zachodzę w głowę, skąd wzięło się to jej upodobanie do rzeczy wulgarnych. Najgorsze, że ona w żaden sposób

nie chce uwierzyć, że chodzi mi tylko o jej dobro.

— Dosłownie spada mi kamień z serca, kiedy to słyszę — pocieszyła ją Lidia. — U mnie jest dokładnie to samo. Charlotte doszła chyba do wniosku, że chroniąc ją postępujemy nieuczciwie lub niemądrze. Musimy szybko wydać je za mąż — westchnęła — zanim zdążą sobie same wyrządzić krzywdę.

— Wyjąłś mi to z ust. Czy ktoś interesuje się Charlotte?

— Freddie Chalfont.

— A tak, słyszałam coś o tym.

— Wygląda na to, że gotów jest konwersować z nią nawet o polityce. Obawiam się jednak, że ona nie jest nim szczególnie zafascynowana. A jak Belinda?

— Z nią jest całkiem odwrotnie. Podobają jej się wszyscy chłopcy.

— Nie mów! — zaśmiała się Lidia i ruszyła dalej, nieco podniesiona na duchu. W pewnych dziedzinach Clarissa, jako macocha, miała chyba przed sobą daleko trudniejsze zadanie. Zdaje się, że mam jednak za co dziękować losowi, pomyślała.

Z następnego pokoju dochodził głos księżnej Middlesex. Większość gości spędzała koktajl na stojąco, ale księżnę stać było na to, żeby rozsiąść się w fotelu i pozwalać innym podchodzić do siebie. Lidia zbliżyła się do niej dokładnie w chwili, kiedy pani Gay-Stephens usunęła się na bok.

— Sądzę, że Charlotte całkiem już przeszedł ból głowy — odezwała się księżna.

— Tak, istotnie. To miło, że jej wysokość tak się interesuje.

— Och, wcale się nie interesuję. Mój siostrzeniec widział ją o czwartej w Galerii Narodowej.

228

W Galerii Narodowej! Co, na litość boską, tam robiła? Znowu wyniknęła się z domu! Ale Lidia nie miała zamiaru zdradzić się przed księżną, że Charlotte zrobiła coś bez jej wiedzy.

— Zawsze interesowała się sztuką — zaimprovizowała.

— Była tam z mężczyzną — oznajmiła księżna.
— Freddie Chalfont najwyraźniej ma jakiegoś rywala.

Mała łajdaczka! Lidia zdusiła ogarniającą ją wściekłość.

— W samej rzeczy — odparła uśmiechając się z przymusem.

— Kto to jest?

— Któryś z ich grona — brnęła dalej Lidia.

— O, nie — zaprzeczyła księżna uśmiechając się złośliwie. — Wyglądał na czterdzieści lat i miał na głowie tweedową czapkę.

— Tweedową czapkę! — Lidia zdawała sobie sprawę, że została upokorzona, ale mało ją to obchodziło. Kim mógł być ten człowiek? Co Charlotte sobie wyobraża?! Jej reputacja...

— Trzymali się za ręce — dodała księżna i uśmiechnęła się szeroko ukazując spróchniały ząb.

Lidia nie mogła już dłużej udawać, że wszystko jest w całkowitym porządku.

— O, mój Boże — jęknęła. — W co zaplątało się to dziecko?

— W moich czasach — odezwała się księżna — najprościej było zapobiegać takim rzeczom zatrudniając przyzwoitkę.

Satysfakcja, jaką zdawała się czerpać księżna z

całej tej katastrofy, wytrąciła Lidię z równowagi.

— To było sto lat temu — wypaliła. Odeszła, zostawiając księżną samą. Tweedową czapka! Trzymali się za ręce! Czterdzieści lat! To było zbyt straszne, żeby mogła o tym spokojnie myśleć. Czapka oznaczała, że wywodził się z klasy robotniczej, czterdzieści lat, że był rozpustnikiem, a trzymanie się za ręce, że sprawy zaszły bardzo daleko, być może za daleko. Cóż mogę poradzić, pomyślała bezradnie, jeśli dziecko wychodzi z domu bez mojej wiedzy? Och, Charlotte, nawet nie wiesz, jaką krzywdę sama sobie wyrządzasz!

— Jak ci się podobał mecz bokserski? — spytała Charlotte Belinę.

— Był wstrętny, a jednocześnie piekielnie ekscytujący. Dwóch olbrzymich, ubranych tylko w szorty mężczyzn stało tam próbując zatłuc się wzajemnie na śmierć.

Charlotte nie rozumiała, jak można się czymś takim ekscytować.

— Brzmi to dość ponuro — zauważyła.

— Tak mnie poniosło — Belinda ściszyła głos — że o mało nie pozwoliłam Peterowi na zbyt

wiele.

229

— Co masz na myśli?

— No wiesz. Już po meczu, w dorożce, która wiozła nas do domu. Pozwoliłam mu się całować... i tak dalej.

— Co to znaczy i tak dalej?

— Całował mnie po piersiach — szepnęła Belinda.

— O! — Charlotte ściągnęła brwi. — Było ci przyjemnie?

— Bosko!

— No, no — Charlotte spróbowała wyobrazić sobie Freddie'ego całującego ją po piersiach. Coś jej podpowiadało, że nie byłoby to wcale takie boskie.

Zbliżyła się do nich Lidia.

— Idziemy, Charlotte — powiedziała przechodząc.

— Wygląda na zdenerwowaną — stwierdziła Belinda.

— To u niej całkiem normalne.

— Po koktajlu idziemy posłuchać spirituals. Nie wybrałabyś się razem z nami?

— Co to są spirituals?
— Jazz. Wspaniała muzyka.
— Mama mnie nie puści.
— Twoja mama jest taka staroświecka.
— Nie musisz mi tego mówić. Lepiej już pójde.

— No to na razie.

Charlotte zbiegła po schodach i odebrała z szatni narzutkę. Miała uczucie, jakby mieszkały w niej dwie różne osoby, niczym Doktor Jekyll i Mister Hyde. Jedna z nich uśmiechała się, prowadziła uprzejme rozmowy i plotkowała z Belinda o dziewczęcych sprawach; druga planowała porwanie i zdradę i zadawała niewinnym głosem podstępne pytania.

Nie czekając na rodziców wyszła na zewnątrz.

— Samochód lorda Waldena — powiedziała odźwiernemu.

Po chwili ich lanchester podjechał do krawężnika. Wieczór był ciepły i Pritchard opuścił dach. Wsiadł z samochodu i otworzył drzwiczki przed Charlotte.

— Powiedz mi, Pritchard, gdzie jest książe Orłów? — zapytała.

- To tajemnica, lady Charlotte.
- Mnie możesz powiedzieć.
- Lepiej niech się panienka spyta ojca.

Nie udało się. Ci służący znali ją od dziecka, nie potrafiła wyrzucić na nich odpowiedniego wrażenia. Dała za wygraną.

— Idź lepiej do środka i powiedz im, że czekam w samochodzie.

— Tak jest, lady Charlotte.

Usiadła z tyłu na skórzanym siedzeniu. Zadała to samo pytanie trzem osobom, które powinny wiedzieć, gdzie przebywa Aleks. Żadna z nich jej

230

nie odpowiedziała. Nie wierzyli, że potrafi utrzymać język za zębami. Do szaleństwa doprowadzała ją myśl, że mieli oczywiście absolutną rację. Z drugiej strony, wciąż nie była do końca zdecydowana, czy pomoże Feliksowi. Skoro nie potrafi zdobyć informacji, na której mu zależało, być może nie będzie musiała podejmować tej strasznej decyzji. Kamień spadłby jej z serca.

Umówiła się z Feliksem, że spotkają się pojutrze w tym samym miejscu, o tej samej

porze. Co jej powie, kiedy się okaże, że przyszła z pustymi rękami? Czy będzie nią pogardzał za to, że sprawiła mu zawód? Nie, Feliks nie był taki. Będzie straszliwie zawiedziony. Być może znajdzie jakiś inny sposób, żeby dowiedzieć się, gdzie przebywa Aleks. Nie mogła się doczekać następnego spotkania. Tak bardzo ją fascynował, tak wiele dowiedziała się od tego człowieka, że przyszłość bez niego wydawała jej się wprost nie do zniesienia nudna. Nawet męka, którą cierpiała teraz z jego powodu, lepsza była od jałowych dni wypełnionych przestrzeganiem towarzyskiej etykiety i przebieraniem się w kolejne kreacje.

Mama i ojciec wsiedli do samochodu i Pritchard ruszył.

— O co chodzi, Lidio? — zapytał ojciec. — Wydajesz się zdenerwowana.

Mama spojrzała na Charlotte.

— Co robiłaś dziś po południu w Galerii Narodowej? — zapytała. Serce Charlotte zabiło trochę szybciej. Została zdemaskowana. Ktoś

ją szpiegował. Teraz zaczną się kłopoty. Zaczęły jej drżeć ręce. Skrzyżowała je na kolanach.

- Oglądałam obrazy.
- Byłaś tam z mężczyzną.
- O, nie! Charlotte, co to ma wszystko znaczyć? — wtrącił się ojciec.
- Po prostu spotkałam tam kogoś — odparła.
- Nie sądzę, żeby się wam spodobał.
- Oczywiście, że by się nam nie spodobał — wybuchła Lidia. — Miał na głowie tweedową czapkę!
- Tweedową czapkę! — zdziwił się ojciec. — Co to za człowiek, do diabła?
- To ktoś szalenie interesujący, on rozumie rzeczy, które...
- I trzyma cię za rękę! — przerwała mama.
- Jakie to wulgarne, Charlotte! — powiedział ze smutkiem ojciec. — W Galerii Narodowej!
- Nie ma między nami żadnego romansu. Nie musicie się niczego obawiać.
- Nie musimy się niczego obawiać? — powtórzyła mama łamiącym się głosem. — Wie o tym ta piekielna księżna, a ona wszystkim rozpowie.

- Jak mogłaś zrobić coś takiego swojej

mamie? — dodał ojciec. Charlotte nie była w stanie wydobyć z siebie słowa. Zbierało jej się

na płacz. Nie zrobiłam przecież nic złego, myślała, po prostu porozmawiałam trochę z kimś, kto mówi do rzeczy. Jak oni mogą być tacy okrutni?! Nienawidzę ich!

— Lepiej powiedz mi zaraz, kto to jest — nalegał ojciec. — Sądzę, że uda nam się go spłacić.

— A ja sądzą, że jest jednym z nielicznych ludzi na świecie, z którym ci się to nie uda! — krzyknęła Charlotte.

— Przypuszczam, że to jakiś radykał — oznajmiła mama. — To on kładł jej do głowy te wszystkie bzdury o sufrażystkach, nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Na pewno nosi sandały i zjada kartofle razem z łupiną. — Straciła nad sobą panowanie. — Może jest na dodatek wyznawcą wolnej miłości! Jeśli zrobiłaś coś...

— Nie, nic takiego nie zrobiłam — przerwała Charlotte. — Mówiłam wam już, że nie ma między nami romansu. — Po nosie spłynęła jej łza. — Nie mam romantycznego usposobienia.

— Nie wierzę ci ani przez moment —

stwierdził z oburzeniem ojciec. — Nikt ci już nie wierzy. Czy zdajesz sobie z tego sprawę, czy nie, ta historia stanowi dla nas wszystkich towarzyską katastrofę.

— Oddajmy ją lepiej do klasztoru! — zawołała mama zdławionym głosem i załża się łzami.

— Jestem pewien, że nie okaże się to konieczne — zaproponował ojciec. Mama potrząsnęła głową.

— Nie chciałam tego powiedzieć. Przepraszam, ale nie mogę się opanować, tak strasznie się martwię...

— Z drugiej strony, ona nie może po tym wszystkim przebywać dalej w Londynie.

— Na pewno nie.

Automobil zajechał na podwórze ich domu. Mama otarła oczy, żeby służba nie domyśliła się przypadkiem, że coś wyprowadziło ją z równowagi. A więc nie pozwolą mi już więcej spotykać się z Feliksem, wyprawią z Londynu i umieszczą gdzieś pod kluczem, myślała Charlotte. Żałuję teraz, że zamiast się wahać i mówić, że się nad tym zastanowię, od razu nie obiecałam mu pomóc. Przynajmniej wtedy wiedziałby, że jestem

po jego stronie. Ale i tak nie poddam się ich woli. Nie będę żyła tak, jak to sobie wymarzyli. Nie wyjdę za Freddie'ego Chalfonta i nie będę mu rodzić tłustych, zadowolonych z siebie bachorów. Mogą mnie trzymać w zamknięciu, jak długo chcą. Kiedy tylko skończę dwadzieścia jeden lat, odejdę od nich i zacznę pracować dla pani Pankhurst. Będę czytać anarchistyczną literaturę, założę dom dla niezamężnych matek i jeśli kiedykolwiek urodzę dzieci, nigdy, ale to nigdy nie będę ich oszukiwać.

232

Weszli do domu.

— Chodźmy do bawialni — powiedział ojciec.

— Czy podać sandwicze, milordzie? — zapytał Pritchard, który wsunął się za nimi do pokoju.

— Nie teraz. Zostaw nas na chwilę samych, dobrze? Pritchard wyszedł.

Papa nalał sobie brandy z wodą sodową i upił trochę ze szklanki.

— Zastanów się dobrze, Charlotte — powiedział. — Czy powiesz nam wreszcie, kim jest ten mężczyzna?

Jest anarchistą i stara się nie dopuścić do

wybuchu wojny, do której dążycie, chciała krzyknąć. Ale potrząsnęła tylko głową.

— W takim razie musisz zrozumieć — powiedział prawie łagodnie — że niestety nie możemy ci ufać.

Kiedys było to możliwe, pomyślała z goryczą, teraz jest już na to za późno.

,

— Musi po prostu wyjechać na miesiąc na wieś — zwrócił się ojciec do matki. — To jedyny sposób, żeby uchronić ją przed kłopotami. Potem, po regatach w Cowes, może przyjechać do Szkocji na polowanie. — Westchnął. — Być może w przyszłym roku stanie się bardziej odpowiedzialna.

— Wyślijmy ją wobec tego do Walden Hall — zaproponowała mama. Rozmawiają o mnie tak, jakby mnie nie było wcale w pokoju, pomyślała Charlotte.

— Jutro rano jadę do Norfolk na kolejne spotkanie z Alekssem — oznajmił ojciec. — Zabiorę ją ze sobą.

Charlotte oniemiała. Aleks był w Walden Hall.

Nigdy nie przyszło mi to do głowy! Teraz wiem!

— Niech lepiej idzie na górę się spakować — powiedziała mama. Charlotte wstała i wyszła z bawialni ze spuszczoną nisko głową. Nie

chciała, żeby spostrzegli na jej twarzy wyraz triumfu.

JL. ja piętnaście trzecia Feliks czekał już w przedsionku Galerii Narodowej. Charlotte prawdopodobnie się spóźni, tak jak poprzednim razem, ale i tak nie miał w tym czasie nic lepszego do roboty.

Był zdenerwowany i rozgorączkowany, miał dosyć ciągłego ukrywania się i czekania. Dwie kolejne noce przespał na dworze, pierwszą w Hyde Parku, drugą pod sklepieniem Charing Cross. W ciągu dnia krył się w zaułkach, na bocznicach kolejowych i zapuszczonych skwerach. Wychodził tylko po to, żeby zdobyć coś do jedzenia. Przypominało mu to boleśnie okres, kiedy uciekał z Syberii. Nawet teraz, czekając na Charlotte, był w ciągłym ruchu, przechodził z przedsionka do sal wystawowych, oglądał obrazy i co chwila wracał, by sprawdzić, czy nie przyszła. O wpół do czwartej wciąż jej nie było. Pewnie

znów nie może się wyrwać z potwornie nudnego przyjęcia.

Z pewnością zdołała się dowiedzieć, gdzie przebywa Orłów. Wiedział, że jest sprytną dziewczyną. Nawet jeśli nie dowie się tego wprost od ojca, znajdzie jakiś inny sposób, żeby odkryć prawdę. Osobnym problemem było, czy mu ją przekaze. Miała silną wolę.

Wolałby...

Wolałby, żeby mnóstwo rzeczy potoczyło się inaczej. Wolałby nie oszukiwać Charlotte. Wolałby odnaleźć Orłowa nie korzystając z jej pomocy. Wolałby, żeby nie było na ziemi ani jednego księcia, hrabiego, cesarza i cara. Wolałby poślubić Lidię i znać Charlotte od dziecka. Wolałby, żeby już przyszła: minęła czwarta.

Większość obrazów zupełnie do niego nie przemawiała: sentymentalne sceny religijne albo portrety bezmyślnych holenderskich kupców w ich pozbawionych życia domach. Podobała mu się Alegoria Bronziniego, ale tylko z powodu jej zmysłowości. Sztuka była tą dziedziną ludzkiego doświadczenia, którą dotychczas skrętnie omijał. Może któregoś dnia

Charlotte nauczy go ją podziwiać. Ale nie wydawało się to zbyt prawdopodobne. Najpierw trzeba przeżyć kilka następnych dni i uniknąć aresztowania po zamachu na Orłowa. Nawet tego nie mógł być pewien. Potem postara się odzyskać przychylność Charlotte, mimo że ją wykorzystał, oszukał i zabił jej kuzyna. To było prawie nie do pomyślenia, a nawet gdyby się udało, musiałby znaleźć jakiś sposób, żeby zobaczyć się z nią za plecami policji... Nie, nie miał wielkich szans, by jeszcze kiedykolwiek spotkać się z nią po zamachu. Musi nacieszyć się nią teraz. Dochodziło wpół do piątej.

To nie spóźnienie, pomyślał przygnębiony: coś musiało pokrzyżować jej plany. Mam nadzieję, że nie spotkały jej jakieś nieprzyjemności ze strony Waldena. Mam nadzieję, że nie zaryzykowała i nie została zdemaskowana. Dałbym wszystko, żeby wbiegła teraz po schodach, zdyszana i nieco zarumieniona, w lekko przekrzywionym kapeluszu i z niepokojem na ślicznej twarzą, mówiąc: „Strasznie przepraszam, że kazałam panu czekać, ale nie mogłam się wcześniej

wyrwać...".

W galerii było coraz mniej ludzi. Feliks zastanawiał się, co robić dalej. Wyszedł na zewnątrz i zbiegł po schodach na chodnik. Ani śladu. Zawrócił na górę, ale w drzwiach zatrzymał go portier.

— Za późno, kolego — powiedział. — Właśnie zamykamy. Feliks odwrócił się. Nie mógł czekać na stopniach galerii w nadziei, że Charlotte jeszcze się pojawi, ponieważ w tym miejscu, na Trafalgar Square, zbyt rzucałby się w oczy. Zresztą minęły już dwie godziny od ustalonej pory: na pewno już nie przyjdzie. Na pewno nie przyjdzie.

Przyjmij to do wiadomości, pomyślał: postanowiła nie mieć z tobą więcej do czynienia i była to z jej strony całkiem rozsądna decyzja. Ale przecież mogła tutaj przyjść, żeby mi o tym zakomunikować. Mogła przesłać wiadomość...

Mogła przesłać wiadomość.

Podał jej adres Bridget. Miała dokąd przesłać wiadomość. Feliks ruszył na północ.

Minął zaułki dzielnicy teatralnej i ciche placzki Bloomsbury. Zmieniała się pogoda. Przez

cały czas, odkąd przyjechał do Anglii, było słonecznie i ciepło, ani razu nie padało. Ale mniej więcej od wczoraj zrobiło się duszno, tak jakby burza wisiała w powietrzu.

Ciekawe, myślał, jak też wygląda życie w takim Bloomsbury, w mieszczańskiej atmosferze dostatku, gdzie nikt nie chodzi głodny i można łatwo zaoszczędzić pieniądze na książki. Po rewolucji, powiedział sobie, usuniemy przegrody broniące dostępu do takich enklaw.

Bolała go głowa. Od dzieciństwa nie dokuczał mu ani razu ból głowy. Zastanawiał się, czy to nie z powodu nadciągającej burzy. Ale nie,

235

przyczyną były raczej nękające go zmartwienia. Po rewolucji ból głowy zostanie zakazany, pomyślał.

Czy u Bridget czeka na niego jakaś wiadomość? Starał się ją sobie wyobrazić. „Drogi panie Krzesiński, muszę z żalem odwołać nasze dzisiejsze spotkanie. Szczerze zobowiązana Charlotte Walden”. Nie, list z pewnością będzie inny. „Drogi Feliksie, książkę Orłów ukrywa się w budynku rosyjskiego ataszatu morskiego pod

numerem 25A przy Wilton Place, na drugim piętrze, w sypialni po lewej stronie od frontu. Twoja serdeczna przyjaciółka Charlotte". To było bardziej prawdopodobne. „Drogi ojcze! Tak! — odkryłam całą prawdę. Ale mój »papa« zamknął mnie w pokoju na klucz. Uwolnij mnie, proszę! Twoja kochająca córka, Charlotte Krzesińska". Nie bądź skończonym idiotą.

Dotarł do Cork Street i rozejrzył się uważnie. Żaden policjant nie pilnował domu, przed pubem nie stał żaden osiłek zasłonięty płachtą gazety. Miejsce wydawało się bezpieczne. Cudowna jest świadomość, pomyślał, że gdzieś czeka z utęsknieniem na człowieka kobieta, wszystko jedno, czy jest nią młoda dzierlatka o imieniu Charlotte, czy tłusta stara wiedźma Bridget. Zbyt wiele czasu spędziłem w swoim życiu w męskim towarzystwie — albo sam jak palec.

Zapukał do drzwi Bridget. Czekając, rzucił okiem na okna swojego starego pokoju w suterenie i spostrzegł, że wiszą w nim nowe zasłony. Drzwi uchyliły się.

Bridget spojrzała na niego i uśmiechnęła się szeroko.

— Niech mnie kule biją, jeśli to nie nasz międzynarodowy terrorysta — powiedziała. — Wchodź do środka, mój ty rycerzu.

Wszedł do salonu.

— Chcesz może herbaty? Świeżo naparzona.

— Tak, proszę. — Usiadł. — Czy niepokoiła cię policja?

— Przesłuchiwał mnie inspektor. Wygląda na to, że z ciebie niezłe ziółko.

— Co mu powiedziałaś? Wydawała się urażona.

— Nie tacy jak on próbowali mnie straszyć. Nic ze mnie nie wyciągnął.

Feliks uśmiechnął się.

— Dostałaś może list...

— Chcesz z powrotem swój pokój? — mówiła nie zwracając uwagi na pytanie. — Wynajęłam go innemu facetowi, ale nie chcę go tutaj. Nosi bokobrody, a mnie zawsze robiło się niedobrze na ich widok.

— Nie, nie chcę pokoju...

236

— Śpisz na ulicy, nietrudno to po tobie poznać.

— To prawda.

— Nie wiem, po coś przyjechał do Londynu, ale nie udało ci się do tej pory tego zrobić.

— Nie.

— Coś ci pokrzyżowało plany, zmieniłeś się...

— Tak.

— Co to takiego?

Nagle wdzięczny był losowi, że jest ktoś, komu może się zwierzyć.

— Dawno temu byłem związany z pewną kobietą. Nie wiedziałem, że zaszła ze mną w ciążę. Kilka dni temu... spotkałem swoją córkę.

— A! — Spojrzała na niego ze współczuciem.

— Mój ty biedaku. Tak jakbyś i bez tego nie miał dość zmartwień na głowie. Czy to ona napisała do ciebie ten list?

Feliks mruknął z zadowoleniem.

— A więc jest list.

— Przypuszczam, że po to właśnie przyszedłeś. — Podeszła do kominka i sięgnęła ręką za zegar. — A na dodatek tę biedną dziewczynę otaczają ze wszystkich stron tyrani i prześladowcy?

— Tak.

— Domyśliłam się po pieczęci. Nie masz zbyt wiele szczęścia, prawda? — Podała mu kopertę. Na odwrocie widniała pieczęć. Feliks rozerwał ją. W środku znalazł dwie kartki zapisane starannym, wytwornym charakterem pisma.

Walden Hall, 1 lipca 1914

Drogi Feliksie,

Zanim dotrze do pana ten list, będzie pan zapewne czekać na mnie na próżno w nadziei, że przyjdę na nasze umówione spotkanie. Strasznie mi przykro, że sprawiłam panu zawód. Niestety widziano nas razem w poniedziałek i wzięto pana za mego potajemnego kochanka!!!

Nawet w opałach nie traci dobrego humoru, pomyślał.

Zostałam zesłana na wieś aż do końca sezonu. Ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Nikt nie chciał mi powiedzieć, gdzie jest Aleks, ale teraz poznałam całą tajemnicę, ponieważ ukrywa się on właśnie tutaj.

Feliks poczuł, jak wypełnia go dziki triumf.

— A więc to tam znalazły sobie norę te szczury.

— Czy to dziecko ci w czymś pomogło? —

zapytała Bridget.

237

— Była moją ostatnią nadzieją.

— W takim razie rzeczywiście miałeś prawo się martwić.

— Wiem.

Niech pan wsiądzie do pociągu na dworcu przy Liverpool Street i dojedzie do stacji Waldenhall. To nasza wieś. Żeby dostać się do pałacu, musi pan przejść trzy mile drogą na północ. Nie powinien pan jednak, rzecz jasna, składać mi wizyty w domu!!! Po lewej stronie drogi zobaczy pan las. Codziennie, między siódmą a ósmą rano, będę tamtędy przejeżdżać konno i wyglądać, czy pan nie przyjechał.

W chwili kiedy zdecydowała, po której jest stronie, nie istniały dla niej żadne półśrodki.

Nie wiem, kiedy ten list zostanie wysłany. Położę go na stoliku w hallu, kiedy tylko zobaczę, że są tam jakieś inne listy: dzięki temu nikt nie zauważy mojego charakteru pisma na kopercie i lokaj zabierze go po prostu razem z pozostałą korespondencją, kiedy będzie szedł na pocztę.

— Dzielna z niej dziewczyna! — powiedział na

głos Feliks.

Robię to wszystko, ponieważ jest pan jedyną osobą w moim życiu, która rozmawiała ze mną serio. Szczerze oddana, Charlotte.

Feliks oparł się o krzesło i zamknął oczy. Był z niej taki dumny i jednocześnie tak się wstydził samego siebie, że łzy napłynęły mu do oczu. Bridget wyjęła mu list z nie stawiających oporu palców i zaczęła czytać.

— A więc ona nie wie, że jesteś jej ojcem — powiedziała.

— Nie.

— Dlaczego ci w takim razie pomaga?

— Wierzy, że to, co robię, jest słuszne. Bridget chrząknęła z dezaprobatą.

— Tacy mężczyźni jak ty zawsze znajdują sobie kobiety chętne do pomocy. Na Boga, powinnam o tym pamiętać. — Czytała dalej. — Ma charakter pisma uczennicy.

— Tak.

— Ile ma lat?

— Osiemnaście.

— Wystarczająco dorosła, żeby mieć swój własny rozum. To Aleks jest tym, któremu

depczesz po piętach?

238

Feliks kiwnął głową.

— Co to za ptaszek?

— Rosyjski książę.

— Wobec tego zasługuje na to, żeby umrzeć.

— Wciąga Rosję do wojny. Pokiwała głową.

— A ty wciągasz Charlotte w to wszystko.

— Uważasz, że robię źle?

Oddała mu list. Na jej twarzy malował się gniew.

— Tego się nigdy nie wie, prawda? — odpowiedziała pytaniem.

— Taka jest polityka.

— Takie jest życie.

Przedarł kopertę na pół i wyrzucił ją do kosza. Powinien zniszczyć również list, ale nie potrafił się do tego zmusić. Kiedy to wszystko się skończy, pomyślał, może to być jedyna rzecz, która będzie mu ją przypominała. Złożył dwa arkusiki i schował je do kieszeni kurtki.

Wstał.

— Niedługo odjeżdża mój pociąg — powiedział.

— Chcesz, żebym zrobiła ci kanapki na drogę?
— Dziękuję. — Potrząsnął głową. — Nie jestem głodny.

— Czy masz pieniądze na bilet?

— Nigdy nie płacę za przejazd.

Sięgnęła dłonią do kieszeni fartucha i wyjęła suwerena.

— Masz. Możesz sobie za to kupić także filiżankę herbaty.

— To mnóstwo pieniędzy.

— Mogę je zarobić w ciągu tygodnia. Zmiataj stąd, zanim się rozmyślę. Feliks wziął monetę i pocałował Bridget na pożegnanie.

— Byłaś dla mnie dobra — powiedział.

— To nie dla ciebie, to dla mojego Seana, niech jego dusza spoczywa w spokoju.

— Do widzenia.

— Powodzenia, chłopcze.

Za Feliksem zamknęły się drzwi.

Wchodząc do gmachu Admiralicji, Walden był w optymistycznym nastroju. Wypełnił to, czego się podjął: udało mu się sprzedać Konstantynopol Aleksowi. Wczoraj po południu Aleks wysłał do cara telegram, w którym rekomendował przyjęcie

brytyjskiej propozycji. Walden był przekonany, że car pójdzie za radą swego ukochanego siostrzeńca, zwłaszcza po zamachu w Sarajewie. Nie był jednak pewien, czy Lloyd George da się przekonać Asquithowi.

239

Wprowadzono go do gabinetu Pierwszego Lorda Admiralicji. Churchill zerwał się z fotela i obiegł biurko, żeby uścisnąć mu dłoń.

— Sprzedaliśmy to Lloydowi George'owi — zawołał triumfalnie.

— To wspaniale — odparł Walden. — A ja sprzedałem to Orłowski.

— Wiedziałem, że się panu uda. Proszę siadać.

Znając go, mogłem z góry przewidzieć, że nie będzie żadnych podziękowań, pomyślał Walden. Ale nawet Churchill nie był w stanie popsuć mu dzisiaj humoru. Usiadł w skórzanym fotelu i rozejrzał się po pokoju. Na ścianach wisały mapy, na biurku stały marynarskie pamiątki.

— W każdej chwili może nadejść odpowiedź z Petersburga — powiedział. — Ambasada brytyjska prześle depezę bezpośrednio na pana

ręce.

— Im szybciej, tym lepiej — odparł Churchill.

— W Berlinie przebywał książę Hoyos. Według informacji naszego wywiadu zawiózł tam list, w którym Austriacy zapytują kajzera, czy Niemcy poprą ich w wojnie przeciwko Serbii. Nasz wywiad twierdzi, że udzielono na to pytanie odpowiedzi pozytywnej.

— Niemcy nie chcą przecież walczyć z Serbią...

— Nie — przerwał mu Churchill — ale chcą mieć jakiś powód do zaatakowania Francji. Mobilizacja w Niemczech wywoła mobilizację we Francji, a to stanie się dla Niemców wystarczającym pretekstem, aby do niej wkroczyć. Nie można teraz tego wszystkiego powstrzymać.

— Czy Rosjanie zdają sobie z tego sprawę?

— Poinformowaliśmy ich. Mam nadzieję, że nam uwierzyli.

— Czy nie da się już nic zrobić, żeby uratować pokój?

— Robimy wszystko, co tylko możliwe — odparł Churchill. — Edward Grey zajmuje się tą

sprawą dzień i noc, podobnie jak nasi ambasadorowie w Berlinie, Paryżu, Wiedniu i Petersburgu. Nawet sam król wysyła depesze do swoich kuzynów, kajzera „Willy'ego” i cara „Nicky'ego”. Bez rezultatu.

Rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju wszedł młody sekretarz. W ręku trzymał kartkę papieru.

— Wiadomość od ambasadora Rosji, sir — powiedział. Walden znieruchomiał.

Churchill rzucił okiem na papier, po czym spojrzał na Waldena z triumfem w oczach.

— Zgadzą się.

Walden pojaśniał z zadowolenia.

— Pioruńsko dobra robota.

Sekretarz wyszedł. Churchill wstał zza biurka.

— Trzeba to uczcić. Napije się pan whisky z wodą sodową?

— Naturalnie.

240

Churchill otworzył kredens.

— Dziś w nocy będę miał zredagowany ostateczny tekst porozumienia, a jutro po południu zawiozę go do Walden Hall. Jutro

wieczorem możemy urządzić małą uroczystość z okazji podpisania traktatu. Musi on potem zostać oczywiście ratyfikowany przez Asąutha i cara, ale to tylko formalność, jeśli oczywiście Orłów i ja podpiszemy go tak szybko, jak to tylko możliwe.

Rozległo się pukanie i w drzwiach ponownie pojawił się sekretarz.

— Przybył pan Basil Thomson, sir.

— Prosić.

Do pokoju wszedł Thomson.

— Natrafiliśmy znowu na ślad naszego anarchisty — zaczął bez zbędnych ceregieli.

— Świetnie! — powiedział Walden. Thomson usiadł.

— Pamiętacie panowie, że umieściłem tajniaka w pokoju w suterenie przy Cork Street, który Feliks kiedyś wynajmował, w razie gdyby się tam jeszcze pojawił.

— Pamiętam — stwierdził Walden.

— Wrócił tam. Kiedy wyszedł, mój człowiek ruszył w ślad za nim.

— Dokąd poszedł?

— Na dworzec przy Liverpool Street. — Thomson zrobił małą przerwę. — Kupił tam bilet

do stacji Waldenhall.

16 — Człowiek...

13.

Walden poczuł, jak ogarnia go chłód.

Pierwsza jego myśl dotyczyła Charlotte. Była tam całkiem bezbronna: strażnicy koncentrowali się na Aleksie, nie miała do obrony nikogo oprócz własnej służby. Jak mogłem być taki głupi, pomyślał.

Prawie tak samo niepokoił się o Aleksa. Traktował go niemal jak syna. Uznał, że będzie bezpieczny w jego domu — a teraz jedzie tam Feliks, uzbrojony w pistolet albo bombę, jedzie, żeby pozbawić życia księcia, a być może także Charlotte, i nie dopuścić do zawarcia traktatu.

— Dlaczego go nie powstrzymaliście, do diabła? — wybuchnął.

— Nie jest to moim zdaniem dobry pomysł — oświadczył ze spokojem Thomson — żeby jeden człowiek próbował powstrzymać naszego przyjaciela Feliksa. Widzieliśmy już, do czego był zdolny, kiedy miał za przeciwników kilkunastu

naszych ludzi. Wydaje się, że ten facet nie dba w ogóle o własne życie. Poinstruowałem mojego agenta, żeby go śledził i składał raporty.

— To za mało... — zaczął Walden.

— Wiem, milordzie — przerwał mu Thomson.

— Nie traćmy zimnej krwi, panowie — odezwał się Churchill. — Wiemy przynajmniej, gdzie go szukać. Mając do dyspozycji wszelkie środki, którymi rozporządza rząd Jego Królewskiej Mości, z pewnością go ujmemy. Co pan proponuje, Thomson?

— Właściwie podjąłem już pewne działania. Odbyłem telefoniczną rozmowę z okręgowym komisarzem policji. Odkomenderuje duży oddział na stację Waldenhall z rozkazem aresztowania Feliksa. Jeśli nawet coś pójdzie nie tak, mój agent nie będzie go odstępował ani na krok.

— To nic nie da — stwierdził Walden. — Musicie zatrzymać pociąg i aresztować go, zanim dotrze w pobliże mego domu.

— Zastanawiałem się nad tym — odparł Thomson — ale więcej

242

może być z tego szkody niż pożytku. O wiele

lepiej będzie pozwolić mu myśleć, że nic mu nie grozi, a potem działać z zaskoczenia.

— Zgadzam się — odezwał się Churchill.

— To nie pański dom! — wykrzyknął Walden.

— Obawiam się, że będzie pan musiał zostawić to profesjonalistom — odparł Churchill.

Walden zdał sobie sprawę, że nie uda mu się narzucić im swojej woli.

— Natychmiast wyruszam do Walden Hall samochodem. Jedzie pan ze mną, Thomson?

— Nie dzisiaj. Mam zamiar aresztować tę Callahan. Kiedy go już ujmemy, będziemy musieli sporządzić akt oskarżenia. Ona może być naszym głównym świadkiem. Przyjadę jutro, żeby przesłuchać Feliksa.

— Nie wiem, skąd pan ma pewność, że będzie już po wszystkim — powiedział gniewnie Walden.

— Tym razem go złapiemy.

— W Bogu nadzieja, że się pan nie myli.

Pociąg sunął w zapadający zmrok. Feliks patrzył na słońce zachodzące nad angielskimi polami. Nie był na tyle młody, żeby uważać kolej żelazną za coś oczywistego: jazda pociągiem wciąż wydawała mu się czymś zgoła magicznym.

Chłopakowi, który przemierzał w chodakach błotniste rosyjskie bezdroża, nie powstało nawet w głowie, że będzie kiedykolwiek podróżować w ten sposób.

Oprócz niego w przedziale siedział także młody człowiek, który postanowił chyba przeczytać od deski do deski wieczorną Pall Mail Gazetę. Feliks był prawie wesóły. Jutro rano zobaczy się z Charlotte. Jak pięknie będzie wyglądać jego córka na koniu, z włosami rozwianymi na wietrze. Zostanie jego współniczką. Powie mu, gdzie znajduje się pokój Orłowa i gdzie go można znaleźć o różnych porach dnia. Pomoże mu zdobyć jakąś broń.

Uprzytomnił sobie, że to jej list wprowadził go w tak radosny nastrój. Była teraz po jego stronie, cokolwiek miało się wydarzyć. Tylko...

Tylko że powiedział jej, iż ma zamiar jedynie porwać Orłowa. Ilekroć sobie o tym przypominał, miał ochotę zapaść się pod ziemię. Starał się przestać o tym myśleć, ale na próżno. Świadomość, że ją oszukał, nie dawała mu spokoju, niczym przykre swędzenie. Trudno, nic się na to nie poradzi, mówił sobie. Muszę

przynajmniej ją do tego przygotować. Być może powinienem jej powiedzieć, że jestem jej ojcem. Cóż to byłby dla niej za szok!

Przez moment kusilo go, żeby wycofać się z całego przedsięwzięcia, zniknąć, nie spotykać się więcej z Charlotte: może lepiej będzie zostawić

243

ją w spokoju. Nie, pomyślał po chwili, nie taki los jest jej pisany, podobnie jak i mnie.

Ciekawe, co mnie czeka po zamachu na Orłowa? Czy zginę? Potrząsnął głową, jakby można było pozbyć się tej myśli niczym natrętnej muchy. Nie miał teraz czasu na smętne rozważania. Musiał ułożyć plan akcji.

W jaki sposób zabiję Orłowa? W rezydencji Waldena jest zapewne jakaś broń: Charlotte powie mi, gdzie ją znaleźć albo sama mi ją dostarczy. Jeśli to się nie uda, są jeszcze kuchenne noże. W ostateczności mogę to uczynić gołymi rękami.

Rozprostował palce.

Czy będę musiał dostać się do środka, czy też zaczekam, aż Orłów wyjdzie na zewnątrz? Czy lepiej dokonać zamachu w dzień, czy w nocy? Z

politycznego punktu widzenia śmierć Waldena nie przyniesie żadnego pożytku, ale nie bacząc na to powinienem go zabić. A więc to sprawa osobista... i co z tego?

Przed oczyma stanął mu Walden chwytający butelkę z nitrogliceryną. Nie lekcewał tego człowieka, pomyślał.

Muszę zadbać o jakieś alibi dla Charlotte — nikt nie może się dowiedzieć, że mi pomagała.

Pociąg zwolnił i wtoczył się na małą wiejską stacyjkę. Feliks próbował przypomnieć sobie mapę, którą oglądał na dworcu przy Liverpool Street. O ile dobrze zapamiętał, od przystanku Waldenhall dzieliły go jeszcze cztery stacje.

Jego towarzysz podróży skończył w końcu lekturę Pall Mail Gazette i położył ją obok siebie na siedzeniu. Feliks doszedł do wniosku, że dopóki nie zapozna się dokładnie z terenem działania, nie będzie w stanie dobrze zaplanować zamachu.

— Czy mogę pożyczyć pańską gazetę? — zapytał współpasażera. Mężczyzna wydawał się zaskoczony. Anglicy nie rozmawiają w pociągu z nieznajomymi, uświadomił sobie Feliks.

— Ależ oczywiście — odparł tamten.

Feliks wiedział już, że ten zwrot oznacza odpowiedź twierdzącą. Podziękował i wziął gazetę z ławki.

Rzucił okiem na nagłówki. Jego towarzysz wyglądał przez okno z widocznym zakłopotaniem. Miał zarost, który stał się modny, kiedy Feliks był chłopcem. Feliks próbował przypomnieć sobie właściwe angielskie słowo... bokobrody, tak, tak właśnie się to nazywa.

Bokobrody.

Chcesz z powrotem swój pokój? Wynajęłam go innemu facetowi, ale nie chcę go tutaj. Nosi bokobrody, a mnie zawsze robiło się niedobrze na ich widok.

244

Teraz sobie przypomniiał, że ten człowiek stał za nim w kolejce po bilety.

Poczuł, jak przeszywa go lęk.

Zasłonił się szczelniej gazetą, żeby nie zdradził go przypadkiem wyraz twarzy. Zmusił się do jasnego i spokojnego myślenia. Coś z tego, co powiedziała Bridget policji, musiało wzbudzić ich podejrzenia i w jej domu umieszczono wtyczkę.

Sposób był prosty: facet wynajął po prostu pokój zwolniony przez Feliksa. Zauważył, że Feliks przyszedł z wizytą do Bridget, rozpoznał go i poszedł za nim na dworzec. Ustawił się za nim w kolejce, usłyszał, jak Feliks prosi o bilet do Waldenhall i wykupił bilet do tego samego miejsca. Potem wsiadł za nim do pociągu.

Nie, niezupełnie. Feliks wsiadł do pociągu mniej więcej na dziesięć minut przed odjazdem. Facet z bokobrodami wskoczył w ostatniej chwili. Co robił przez te parę brakujących minut?

Prawdopodobnie rozmawiał z kimś przez telefon.

Feliks mógł sobie wyobrazić wymianę zdań między detektywem dzwoniącym z biura zawiadowcy stacji a jego rozmówcą:

— Anarchista pojawił się ponownie w domu przy Cork Street, sir. Idę za nim.

— Gdzie teraz jesteś?

— Na dworcu przy Liverpool Street. Kupił bilet do stacji Waldenhall. Jest teraz w pociągu.

— Czy pociąg już odjechał?

— Nie... zostało jeszcze siedem minut.

— Czy na dworcu są jacyś policjanci?

- Tylko kilku posterunkowych.
- Za mało... to niebezpieczny przestępca.
- Mogę opóźnić odjazd do czasu, aż zorganizujecie silniejszą grupę.
- Nasz ptaszek może nabrać podejrzeń i ulotnić się. Nie. Siedź go dalej.

Jakie działania zostały później podjęte, zastanawiał się Feliks, jeśli tak właśnie przebiegała ta rozmowa? Mogli zatrzymać go w pociągu gdzieś po drodze albo zastawić pułapkę na stacji Waldenhall.

Tak czy inaczej powinien jak najszybciej wydostać się z pociągu.

Co zrobić z agentem? Musi pozostać w pociągu, niezdolny podnieść alarmu, dopóki Feliks się nie ulotni.

Mógłbym go związać, gdybym miał czym, pomyślał. Mógłbym go ogłuszyć, gdybym miał coś ciężkiego i twardego, czym można by go zdzielić. Mógłbym go udusić, ale to by za długo trwało i ktoś mógłby nas przypadkiem zobaczyć. Mógłbym wyrzucić go z pociągu, ale zależy mi przecież, żeby w nim pozostał...

Pociąg zaczął zwalniać. Mogą na mnie czekać

na tej stacji, pomyślał.

245

Szkoda, że nie mam broni. Czy agent ma przy sobie pistolet? Chyba nie. Mógłbym stłuc szybę i poderżnąć mu gardło kawałkiem szkła — ale wtedy zbiegłby się tutaj cały tłum.

Muszę wydostać się z pociągu.

Dostrzegł kilka domów stojących wzdłuż torów. Wjeżdżali do wioski albo małego miasteczka. Zazgrzytały hamulce i w oknie pojawiły się zabudowania stacji. Feliks rozejrzał się wypatrując śladów policyjnej obławy. Peron wydawał się pusty. Lokomotywa zadygotała i stanęła wypuszczając ze świstem kłęby pary.

Pasażerowie zaczęli wysiadać. Kilka osób przeszło obok okna Feliksa, kierując się ku wyjściu: rodzina z dwojgiem małych dzieci, kobieta z pudłem na kapelusze, wysoki mężczyzna w tweedowym ubraniu.

Mógłbym zdzielić agenta, raz a dobrze, ale trudno jest pozbawić kogoś przytomności jednym uderzeniem.

Policja mogła rozstawić obławę na następnej stacji. Muszę się stąd natychmiast wydostać.

Rozległ się gwizd lokomotywy.

Feliks wstał.

Detektyw wyraźnie się wystraszył.

— Czy jest tu gdzieś w wagonie ubikacja? — zapytał Feliks. Pytanie zbiło tamtego z tropu.

— Eee... — zająknął się — z pewnością, z pewnością.

— Dziękuję.

Nie wie, czy mi wierzyć, pomyślał Feliks.

Wyszedł z przedziału na korytarz.

Pobiegł na koniec wagonu. Pociąg sapnął i szarpnął do przodu. Feliks obejrzał się. Detektyw wysadził głowę z przedziału. Feliks wszedł do ubikacji i zaraz się cofnął. Detektyw wciąż go obserwował. Pociąg rozpędzał się. Feliks zbliżył się do drzwi wagonu. Detektyw wyskoczył z przedziału i ruszył biegiem w jego stronę.

Feliks odwrócił się i uderzył go z całej siły w twarz. Cios zatrzymał tamtego w biegu. Feliks uderzył ponownie, tym razem w brzuch. Krzyknęła jakaś kobieta. Chwycił detektywa za płaszcz i wciągnął go do ubikacji. Ten wściekle się opierał. Jeden z jego ciosów trafił Feliksa w żebra i pozbawił na chwilę oddechu. Feliks złapał go za

głowę i walnął nią o brzeg umywalki. Pociąg nabierał szybkości. Feliks tłukł dalej głową tamtego o umywalkę, aż facet osunął się bezwładnie na podłogę. Wtedy puścił go i wydostał się z ubikacji. Otworzył drzwi wagonu. Pociąg rozpędzał się coraz bardziej. Z końca korytarza patrzyła na niego pobladła kobieta. Wskoczył z pociągu. Drzwi zatrzasnęły się za nim. Wylądował w biegu, potknął się i zaraz odzyskał równowagę. Pociąg oddalał się wciąż nabierając szybkości.

Podszedł do wyjścia.

246

— Trochę późno pan wysiadł — zauważył bileter. Feliks kiwnął głową i podał mu bilet.

— Ma pan bilet do Waldenhall, to trzy stacje dalej — stwierdził tamten.

— Zmieniłem zdanie w ostatniej chwili.

Zazgrzytały hamulce. Obaj spojrzeli na tory. Pociąg gwałtownie zwalniał: ktoś pociągnął za hamulec bezpieczeństwa.

— A to co znowu? — zdziwił się bileter.

Feliks wzruszył niedbale ramionami. Kosztowało go to trochę wysiłku.

— Nie mam pojęcia — powiedział. Miał ochotę rzucić się do ucieczki, ale była to najgorsza rzecz, jaką mógł zrobić.

Bileter wahał się. Nieufność do Feliksa walczyła w nim z ciekawością, co wydarzyło się w pociągu.

— Pan tutaj zaczeka — powiedział w końcu i pobiegł wzdłuż peronu. Pociąg zatrzymał się kilkaset metrów za stacją. Feliks patrzył, jak bileter dobiega do końca peronu i zeskakuje na nasyp.

Rozejrzał się. Był sam. Szybko wy dostał się ze stacji i ruszył w kierunku miasteczka.

Kilka minut później minął go automobil z trzema policjantami pędzący z maksymalną szybkością w stronę stacji.

Gdy dotarł na przedmieścia, przeskoczył przez ogrodzenie i schował się w pszenicy. Przeleżał tam aż do zmroku.

Na podjeździe do Walden Hall zawarczał potężny silnik lanchestera. W domu paliły się wszystkie światła. Przy drzwiach stał umundurowany policjant, inny zaś pełnił wartę na tarasie. Pritchard zatrzymał samochód.

Policjant przy wejściu wyprężył się w pozycji na baczność i zasalutował. Pritchard otworzył drzwiczki przed Waldenem.

Z domu wyszła na powitanie ochmistrzyni, pani Braithwaite.

— Dobry wieczór, milordzie.

— Witam, pani Braithwaite. Kto jest w domu?

— W salonie jest sir Arthur razem z księciem Orłowem.

Walden skinął głową i weszli razem do domu. Sir Arthur Langley był komendantem miejscowej policji i jego starym przyjacielem jeszcze ze szkoły.

— Czy jest pan po obiedzie, milordzie? — zapytała pani Braithwaite.

— Nie.

— Może podać kawałek pasztetu myśliwskiego i butelkę burgunda?

— Zostawiam to pani.

— Tak jest, milordzie.

Pani Braithwaite oddaliła się, a Walden wkroczył do bawialni. Aleks

247

i sir Arthur stali oparci o kominek, z

kieliszkami brandy w dłoniach. Obaj ubrani byli wieczorowo.

— Witaj, Stephenie — odezwał się sir Arthur.

— Jak się miewasz? Walden uściskał mu dłoń.

— Złapaliście anarchistę?

— Niestety wyślizgnął nam się z rąk...

— Do jasnej cholery! — wykrzyknął Walden.

— Właśnie tego się obawiałem. Ale nikt nie chciał mnie słuchać. — Przypomniał sobie o dobrych manierach i podał rękę Aleksowi. — Sam nie wiem, co mam ci powiedzieć, drogi chłopcze... na pewno uważasz nas za bandę głupców. — Odwrócił się do sir Arthura. — Jak, u diabła, do tego doszło?

— Feliks wyskoczył z pociągu w Tingley.

— A gdzie był wtedy nieoceniony detektyw Thomsona?

— W ubikacji, z rozbitą głową.

— Cudownie — stwierdził z goryczą Walden i opadł na krzesło.

— W momencie kiedy zjawiała się tam miejscowa policja, Feliks rozplynał się we mgle.

— Jest w drodze tutaj, zdajecie sobie chyba z tego sprawę?

— Tak, oczywiście — odparł sir Arthur uspokajającym tonem.

— Powinieneś wydać swoim ludziom rozkaz, żeby strzelali do niego bez ostrzeżenia, kiedy tylko będą go mieli w zasięgu wzroku.

— Teoretycznie tak... ale moi ludzie nie są przecież uzbrojeni.

— Powinni być, do diabła.

— Uważam, że masz słuszość, ale opinia publiczna...

— Zanim przedyskutujemy tę sprawę, powiedz mi, jakie środki już przedsięwziąłeś.

— Wyzaczyłem pięć patroli, które kontrolują drogi pomiędzy Walden Hall i Tingley.

— Nie wypatrzą go w ciemności.

— Być może, ale ich obecność sprawi, że Feliks nie będzie mógł działać szybko albo w ogóle powstrzyma się od działania.

— Wątpię. Co jeszcze?

— Wyzaczyłem sierżanta z posterunkowym do pilnowania domu.

— Widziałem ich na zewnątrz.

— Będą zmieniani co osiem godzin, w dzień i w nocy. Sam książę pilnowany jest przez dwóch

strażników z Wydziału Specjalnego. Czterech następnych Thomson przyśle tutaj samochodem dzisiaj w nocy. Będą pełnili całodobowe dyżury; tak że księciu będzie towarzyszyło bez przerwy trzech funkcjonariuszy. W przeciwieństwie do moich ludzi, policjanci Thomasona są uzbrojeni: mają rewolwery. Dopóki nie złapiemy Feliksa, życzyłbym sobie, aby księżę pozostawał w swoim pokoju i żeby obsługiwali go wyłącznie strażnicy.

248

— Dobrze — zgodził się Aleks.

Walden spojrzał na niego. Był blady, ale spokojny. Znosi to bardzo dzielnie, pomyślał. Gdybym był na jego miejscu, niekompetencja brytyjskiej policji dawno doprowadziłaby mnie do białej gorączki.

— Uważam, że tych kilku strażników to za mało — powiedział. — Potrzebna nam cała armia.

— Będziemy ją mieli jutro rano — odparł sir Arthur. — O dziewiątej zaczynamy przeczesywanie terenu.

— Dlaczego nie o świcie?

— Ponieważ najpierw trzeba zgromadzić tę armię. Przybędzie tutaj stu pięćdziesięciu ludzi z

całego hrabstwa. Większość z nich w tej chwili jeszcze smacznie śpi. Trzeba do nich dotrzeć, wydać rozkazy i dać czas na dojazd.

Weszła pani Braithwaite. Na tacy niosła pasztet myśliwski na zimno, połówkę kurczaka, sałatkę ziemniaczaną, pieczywo, parówki, pomidory, ser cheddar i kilka rodzajów sosów, a do tego owoce. Za nią wszedł lokaj niosąc butelkę wina, dzbanek mleka, kawę, salaterkę z lodami, jabłecznik i tort czekoladowy.

— Obawiam się, że burgund nie zdążył jeszcze dojrzeć, milordzie — odezwał się lokaj. — Czy mam go odkorkować?

— Tak, proszę.

Lokaj nakrył mały stolik i przygotował miejsca do siedzenia. Walden odczuwał głód, ale był zbyt spięty, żeby jeść. Nie sądzę, żeby udało mi się zasnąć dzisiejszej nocy, pomyślał.

Aleks nalał sobie jeszcze trochę brandy. Bez przerwy popija, uświadomił sobie Walden. Książę poruszał się powoli, niczym automat, tak jakby starał się za wszelką cenę nie stracić nad sobą panowania.

— Gdzie jest Charlotte? — zapytał nagle Walden.

— Poszła spać — odparł Aleks.

— Nie wolno jej wychodzić z domu, dopóki to wszystko się nie skończy.

— Czy mam jej to powtórzyć, milordzie? — spytała pani Braithwaite.

— Nie, proszę jej nie budzić. Zobaczę się z nią przy śniadaniu. Aleks uśmiechnął się słabo.

— To wszystko nie ma chyba większego sensu, prawda? Feliksowi zawsze udaje się mnie wytropić. Najlepiej, żebym ukrył się teraz w swoim pokoju, możliwie najszybciej podpisał traktat i wracał do domu.

Walden przytaknął. Służba wyszła.

— Hmm, jest jeszcze coś więcej, Stephenie — odezwał się sir Arthur. Wydawał się zakłopotany. — Zastanawiam się, skąd Feliks wiedział, że ma jechać prosto do Waldenhall.

Ogarnięty paniką Walden ani razu o tym nie pomyślał.

249

— Właśnie! Na Boga, w jaki sposób to odkrył?

— Z tego, co wiem, o miejscu pobytu księcia Orłowa poinformowane były tylko dwie grupy osób. Po pierwsze, personel ambasady, który wysyłał i odbierał telegramy. Po drugie, twoi domownicy.

— Czyżby zdrajcą był ktoś ze służby? — spytał Walden. Ta myśl przyprawiła go o drżenie.

— Tak — odparł z wahaniem sir Arthur. — Albo, oczywiście, ktoś z rodziny.

Wydane przez Lidię przyjęcie okazało się katastrofą. Pod nieobecność Stephena honory gospodarza musiał pełnić George, co czyniło liczbę gości nieparzystą. Co gorsza, Lidia była do tego stopnia wytrącona z równowagi, że z trudnością udawało jej się prowadzić w miarę uprzejmą konwersację, nie mówiąc już o błyskotliwej. Z wyjątkiem paru najbardziej życzliwych gości wszyscy pytali o Charlotte, świetnie oczywiście wiedząc, że popadła w niełaskę. Lidia odpowiadała krótko, że córka wyjechała na parę dni na wieś, żeby odpocząć. Odzywała się jak automat, słabo zdając sobie sprawę z tego, co mówi. Umysł wypełniały jej koszmary: aresztowany Feliks i śmiertelnie ranny

Stephen; pobity Feliks i krwawiący Stephen; uciekający Feliks i dogorywający Stephen. Tak bardzo pragnęła otworzyć przed kimś duszę, powiedzieć, co czuje, tymczasem jej goście potrafili rozmawiać tylko o wieczornym balu, o regatach w Cowes, sytuacji na Bałkanach i budzecie zaproponowanym przez Lloyda George'a.

Na szczęście nie siedzieli długo po kolacji; wszyscy spieszyli się na jakiś bal, koktajl albo koncert. Kiedy za ostatnim gościem zamknęły się drzwi, Lidia przeszła do hallu i podniosła słuchawkę telefonu. Nie mogła rozmawiać ze Stephenem, bo z Walden Hall nie było jeszcze połączenia, zadzwoniła więc do Winstona Churchilla, do jego domu przy Eccleston Square. Nie zastała go. Próbowała w Admiralicji, na Downing Street pod numerem dziesiątym, w klubie liberałów — wszędzie bez skutku. Musiała dowiedzieć się, co się wydarzyło. Na koniec przyszedł jej na myśl Basil Thomson i zadzwoniła do Scotland Yardu. Thomson był jeszcze w swoim gabinecie.

— Moje uszanowanie, lady Walden — odezwał

się.

W takich wypadkach ludzie starają się być grzeczni, pomyślała.

— Jakie ma pan wiadomości?

— Obawiam się, że złe. Nasz przyjaciel Feliks znowu wyslizgnął nam się z rąk.

Na Lidię spłynęła nagła fala ulgi.

— Dzięki... dziękuję — powiedziała.

250

— Moim zdaniem nie musi się pani zbytnio martwić - - podjął Thomson. — Księżę Orłów jest teraz bardzo dobrze strzeżony.

Lidia pokraśniała ze wstydu: fakt, że Feliksowi nic się nie stało, tak ją ucieszył, że na moment zapomniała o tym, że niepokoi się przecież także o Aleksa i Stephena.

— Postaram się... postaram się nie martwić — odpowiedziała. — Dobranoc.

— Dobranoc, lady Walden. Odłożyła słuchawkę.

Weszła na górę i zadzwoniła na pokojówkę, żeby ją rozsznurowała. To wszystko wytrąciło ją z równowagi. Sytuacja była wciąż nie rozstrzygnięta; tym, których kochała, nadal

zagrażało niebezpieczeństwo. Jak długo to jeszcze potrwa? Feliks nie zrezygnuje, tego była pewna, chyba że go złapią.

Weszła pokojówka. Rozpięła jej suknię i rozsznurowała gorset. Niektóre damy zwierzają się swoim pokojówkom, Lidia wiedziała o tym. Sama tego nie robiła. Popełniła ten błąd kiedyś w Petersburgu...

Było jeszcze za wcześnie, żeby położyć się spać, postanowiła więc napisać list do siostry. Kazała pokojówce przynieść przybory do pisania z pokoju porannego. Włożyła szlafrok i siadła przy otwartym oknie spoglądając na pogrążony w ciemności park. Zapadał zmierzch. Od trzech miesięcy nie padało, ale ostatnie dni były duszne; najwyraźniej zbierało się na burzę.

Pokojówka przyniosła papier, pióra, atrament i koperty. Lidia wzięła arkusz. Droga Tatiano...

Nie wiedziała, od czego zacząć. Jak mogę opisać to, co dzieje się z Charlotte, skoro sama nie jestem w stanie jej zrozumieć, pomyślała. Nie ośmielę się też nic napisać o Feliksie, Tatiana mogłaby bowiem powiedzieć wszystko carowi, a gdyby ten dowiedział się, jak blisko Aleks otarł się

o śmierć...

Feliks jest taki przebiegły. Skąd, u diaska, dowiedział się, gdzie przebywa Aleks. Nie zdradziliśmy tego nawet Charlotte!

Charlotte.

Lidia poczuła, jak ogarnia ją chłód.

Charlotte?

— O nie! — krzyknęła zrywając się z krzesła.

Wyglądał na czterdzieści lat i miał na głowie tweedową czapkę.

Poczuła się beznadziejnie schwyтана w pułapkę. To było tak jak w złych snach, kiedy człowiek obawia się czegoś najgorszego i ta rzecz zaczyna się natychmiast spełniać: przewraca się drabina, dziecko ginie pod kołami, umierają najbliżsi.

Ukryła twarz w dłoniach. Zakręciło jej się w głowie.

251

Muszę zebrać myśli, muszę się skoncentrować.

Boże, proszę, pomóż mi zebrać myśli.

Charlotte spotkała tego człowieka w Galerii Narodowej. Tego samego wieczoru zapytała

mnie, gdzie jest Aleks. Nie powiedziałam jej. Być może zapytała też Stephena, ale on z pewnością jej tego nie wyjawiał. Potem wysłaliśmy ją do Walden Hall i tam oczywiście spotkała Aleksa. Dwa dni później Feliks wykupił bilet do stacji Waldenhall.

Boże, spraw, żeby to był tylko sen, modliła się; spraw, żebym obudziła się we własnym łóżku i spraw, żeby był już ranek.

To nie był sen. Feliks jest tym mężczyzną w tweedowej czapce. Charlotte spotkała swego ojca. Trzymali się za ręce.

To straszne, straszne.

Czy Feliks wyjawiał Charlotte prawdę? Czy powiedział: „Jestem twoim prawdziwym ojcem”, czy odsłonił jej tajemnicę ukrywaną przez dziewiętnaście lat? Czy on w ogóle wie? Na pewno, musi wiedzieć. Bo inaczej dlaczego Charlotte miałaby mu... pomagać?

Moja córka, knująca z anarchistą spisek na czyjeś życie.

Na pewno nadal mu pomaga.

Co mogę uczynić? Muszę ostrzec Stephena — ale jak mam to zrobić nie wyjawiając mu

zarazem, że to nie on jest ojcem Charlotte? Żebym tylko zdołała zebrać myśli...

Zadzwoiła jeszcze raz na pokojówkę. Muszę znaleźć jakiś sposób, żeby położyć temu kres, pomyślała. Nie wiem jeszcze co, ale muszę coś zrobić.

— Pakujemy się — oznajmiła pokojówce. — Wyjeżdżam jutro z samego rana. Muszę być w Walden Hall.

Po zapadnięciu zmroku Feliks ruszył przez pola. Noc była ciepła, wilgotna i bardzo ciemna; księżyc i gwiazdy skryły się za niskimi chmurami. Szedł powoli, prawie nic przed sobą nie widząc. Dotarł do linii kolejowej i skręcił na północ.

Trzymając się torów mógł poruszać się trochę szybciej, widział bowiem niewyraźny odbłask szyn i miał pewność, że nie natrafi na żadne przeszkody. Skradając się wzdłuż opustoszałych peronów mijał pogrążone w ciemnościach stacje. Słyszał szczury harcujące w pustych poczekalniach. Nie bał się szczurów: kiedyś, dawno temu, zabijał je gołymi rękami i zjadał. Nazwy stacji wyryte były na metalowych tabliczkach i mógł je odczytać wodząc po nich

dłonią.

Kiedy dotarł do Waldenhall, przypomniał sobie instrukcję Charlotte: Żeby dostać się do pałacu, musi pan przejść trzy mile drogą na północ. Linia kolejowa biegła na północny wschód. Trzymał się jej przez jakieś

252

półtora kilometra mierząc odległość krokami. Kiedy naliczył ich mniej więcej tysiąc sześćset, zderzył się z jakimś mężczyzną.

Tamten krzyknął zaskoczony i w tej samej chwili Feliks złapał go za gardło.

Mężczyzna roztaczał wokół siebie silny odór piwa. Feliks uprzytomnił sobie, że to po prostu pijak wracający po nocy do domu i zwolnił uścisk.

— Nie bój się, chłopie — wybełkotał tamten.

— W porządku — odparł Feliks. Puścił go.

— To jedyny sposób, żeby dojść do domu i się nie zgubić.

— Więc w drogę, ruszaj dalej. Mężczyzna posłuchał go.

— Tylko nie kładź się spać na torach — powiedział, gdy uszedł kilka kroków. — O czwartej jedzie tędy pociąg z mlekiem.

Nie doczekawszy się odpowiedzi potoczył się dalej.

Feliks pokiwał głową z niezadowoleniem. Nie powinien być taki nerwowy, o mało tamtego nie udusił. Poczucie ulgi sprawiło, że ogarnęła go fala słabości. Niepotrzebnie.

Postanowił odnaleźć drogę. Oddalił się od torów, przez chwilę potykał się o nierówny grunt, a potem wymacał przed sobą liche ogrodzenie z drutu. Zatrzymał się na chwilę. Co było po drugiej stronie? Pole? Czyjś ogródek? Może łąka? Nigdzie nie panują takie egipskie ciemności jak podczas bezgwiezdnej nocy na wsi, o sto kilometrów od najbliższej ulicznej latarni. Nagle tuż obok siebie usłyszał jakiś szmer. Kątem oka dostrzegł coś białego. Schylił się i pomacał ziemię palcami. Znalazł kamyk i rzucił go w stronę majaczącej bieli. Dobiegło go rzenie konia i stukot oddalających się kopyt.

Nasłuchiwał. Jeśli w okolicy są psy, powinny się odezwać na odgłos rzenia. Cisza.

Pochylił się i przeszedł pod ogrodzeniem. Ruszył wolnym krokiem przez pastwisko. Raz nadział się na jakiś krzak. Potem znów usłyszał

rzenie konia, ale nie widział go.

W końcu natknął się na następne ogrodzenie z drutu. Wspiął się na nie i zeskoczył na jakiś drewniany daszek. W tej samej chwili rozległo się przeraźliwe gdakanie kurczaków. Zaszczekał pies. W oknie domu pojawiło się światło. Feliks rzucił się na ziemię i zastygł w bezruchu. W świetle padającym z okna spostrzegł, że znalazł się na małym podwórku. Zeskoczył prosto na dach kurnika. Za farmą ujrzał drogę, której szukał. Kurczaki uspokoiły się, pies, nieco zawiedziony, zawył po raz ostatni i światło zgasło. Feliks wyszedł na polną drogę.

Jej skrajem biegł wyschnięty rów. Za nim majaczyło coś ciemnego, chyba las. Po lewej stronie drogi zobaczy pan las, przypomniał sobie. Był prawie na miejscu.

253

Ruszył wyboistą drogą na północ, nasłuchując, czy ktoś się nie zbliża. Po przejściu niecałych dwóch kilometrów wyczuł instynktownie, że po lewej stronie wyrósł mur. Trochę dalej natrafił na bramę, za którą widać było światło.

Oparł się o żelazne pręty i zajrzał do środka.

Aleja dojazdowa wydawała się bardzo długa. Na jej końcu dostrzegł wsparty na kolumnach portyk rozległego budynku, słabo widoczny w migotliwym świetle dwu lamp. Kiedy na niego patrzył, na tle drzwi przesunęła się wysoka postać: wartownik.

W tym domu, pomyślał, ukrywa się księżę Orłów. Ciekawe, które z okien należy do jego sypialni? Nagle dobiegł go odgłos zbliżającego się bardzo szybko samochodu. Natychmiast cofnął się dziesięć kroków i ukrył w rowie. W chwilę później mur omiotły światła reflektorów. Samochód zatrzymał się przy bramie. Ktoś wysiadł.

Feliks usłyszał pukanie. Domyślił się, że przy bramie musi być budka strażnika: w ciemnościach wcale jej nie zauważył. Otworzyło się okienko.

— Kto tam? — zapytał ktoś.

— Policja, Wydział Specjalny Scotland Yardu
— odpowiedział przybyły.

— Chwileczkę.

Feliks zastygł w bezruchu. Słyszał kroki mężczyzny, który wysiadł z samochodu i kręcił się

niespokojnie w pobliżu. Drzwi budki otworzyły się. Zaszczekał pies.

— Cicho, Reks — odezwał się czyjś głos.

Feliks wstrzymał oddech. Czy pies wyczuł jego zapach? Czy zacznie węszyć w rowie, znajdzie go i podniesie alarm?

Żelazna brama rozsunęła się ze zgrzytem. Pies znowu zaszczekał.

— Zamknij się, Reks! — skarcił go głos.

Trzasnęły drzwiczki i samochód ruszył dalej aleją. W rowie znOwu zrobiło się ciemno. Jeśli teraz znajdzie mnie pies, pomyślał Feliks, mogę go zadusić, a potem zabić strażnika przy bramie i uciec...

Napiął mięśnie, gotów do skoku, kiedy tylko usłyszy nad sobą węszenie.

Zazgrzytała zamykana brama.

W chwilę później w budce strażnika trzasnęły drzwi.

Feliks odetchnął z ulgą.

14.

harlotte obudziła się o szóstej rano.

Poprzedniego wieczoru rozsunęła specjalnie zasłony, żeby padające na twarz pierwsze promienie słońca wyrwały ją ze snu; robiła tak przed wielu laty, kiedy odwiedzała ją Belinda. Uwielbiały wałęsać się wtedy po całym domu. O tej porze starsi spali jeszcze smacznie w łóżkach i nie było nikogo, kto by je strofował i kazał się zachowywać, jak na młode damy przystało.

Pierwsza myśl, która przysła jej do głowy, dotyczyła Feliksa. Nie zdołali go złapać: był taki przebiegły! Dzisiaj z pewnością będzie czekał na nią w lesie. Pogoda się nie popsowała: miał przynajmniej suchą noc.

Umyła się w zimnej wodzie i ubrała szybko w długą spódnicę, buty do konnej jazdy i żakiet. Wybierając się na swoje poranne przejażdżki nigdy nie wkładała kapelusza.

Zeszła na dół. Po drodze nie spotkała nikogo. W kuchni powinna być już jedna czy dwie podkuchenne, które o tej porze rozpałały zwykle ogień i grzały wodę, ale pozostali służący byli jeszcze w łóżkach. Wyszła na dwór przez wyjście południowe i omal nie zderzyła się w progu z wielkim umundurowanym policjantem.

— Wielkie nieba! — krzyknęła. — Kim pan jest?

— Konstabl Stevenson, panienko.

Powiedział do niej „panienko”, a zatem nie wiedział, z kim ma do czynienia.

— Jestem Charlotte Walden.

— O, proszę wybaczyć, lady Walden.

— Nie szkodzi. Co pan tutaj robi?

— Pilnuję domu, lady Walden.

— Ach, rozumiem. To znaczy księcia Orłowa.

Pokrzepił mnie pan na duchu. Ilu jest was tutaj?

255

- Dwóch na zewnątrz i czterech w środku. Ci w domu są uzbrojeni. Ale niedługo będzie tu mnóstwo policjantów.

— Tak?

— Robimy wielką obławę. Słyszałem, że o dziewiątej ma tu być stu pięćdziesięciu ludzi. Dopadniemy tego anarchistę, może się pani nie obawiać.

— To świetnie.

— Planowała pani konną przejażdżkę? Na

pani miejscu nie oddalałbym się od domu. Nie dzisiaj.

— Nie, wcale nie zamierzam — skłamała.

Okrzyżyła wschodnie skrzydło i dostała się na tyły pałacu. W stajniach nie było nikogo. Weszła do środka i odnalazła swoją klacz. Nazywała się Łatka, z powodu białych łat na przednich nogach. Przemawiała do niej przez chwilę, pogładziła po pysku i dała jabłko. Potem ją osiodłała, wyprowadziła ze stajni i wskoczyła na siodło.

Okrzyżyła park szerokim łukiem, pozostając cały czas poza zasięgiem wzroku policjantów. Przejechała galopem przez rozciągające się na zachód od pałacu pastwiska, przesadziła niskie ogrodzenie i znalazła się w lesie. Poprowadziła Łatkę powoli między drzewami, a kiedy dotarła do ścieżki, puściła ją kłusem.

W lesie panował chłód. Dęby i brzozy były gęste od liści ocieniających ścieżkę. W miejscach, gdzie przeświecało słońce, parowała rosa unosząc się ku górze wąskimi wstęgami. Co jakiś czas grzały ją w plecy przebijające się przez korony drzew promienie słońca. Ćwierkały głośno ptaki.

Cóż może począć Feliks przeciwko stu

pięćdziesięciu ludziom, mówiła sobie. Jego plan był teraz nierealny: zbyt pilnie strzeżono Aleksa, zbyt szczelną zorganizowano obławę. Charlotte mogła go przynajmniej ostrzec.

Dojechała do skraju lasu, lecz nigdzie go nie dostrzegła. Była rozczarowana: miała prawie pewność, że dzisiaj właśnie się tu spotkają. Zaczęła się niepokoić. Jeśli się z nim nie zobaczy, nie będzie mogła go ostrzec, a wtedy z pewnością go złapią. Ale nie było jeszcze siódmej: być może nie zaczął jeszcze jej wypatrywać. Zeskoczyła z siodła i ruszyła z powrotem przez las prowadząc Łatkę za uzdę. Być może Feliks ją zauważył i teraz czeka, żeby się upewnić, czy nikt jej nie śledzi. Przystanęła na polanie, żeby popatrzeć na wiewiórkę. Tutejsze wiewiórki nie zwracały uwagi na ludzi, natomiast uciekały na widok psów. Nagle poczuła, że jest obserwowana. Obejrzała się i zobaczyła go. Patrzył na nią. W oczach miał dziwny smutek.

— Witaj, Charlotte — powiedział.

Podeszła do niego i ujęła za obie ręce. Urosła mu już całkiem porządna broda. Ubranie miał całe w liściach i trawie.

— Wygląda pan na strasznie zmęczonego — powiedziała po rosyjsku.

256

— Jestem głodny. Przyniosłaś coś do jedzenia?

— O Boże, nie! — Wzięła jabłko dla konia, ale nie miała nic dla Feliksa. — Nie pomyślałam o tym.

— Nie szkodzi. Bywałem już bardziej głodny niż teraz.

— Niech pan posłucha — zaczęła. — Musi pan stąd uciekać, natychmiast. Jeśli wyruszy pan teraz, może uda się panu wymknąć z obławy.

— Dlaczego miałbym uciekać? Zamierzam przecież porwać Orłowa.

Potrząsnęła głową.

— Teraz to niemożliwe. Pilnują go uzbrojeni strażnicy, dom jest strzeżony przez policjantów, a o dziewiątej zaczną pana tropić stu pięćdziesięciu ludzi.

Uśmiechnął się.

— Jeśli nawet ucieknę, jak będzie wyglądać moje dalsze życie?

— Ale ja przecież nie pomogę panu popełnić

samobójstwa!

— Siądźmy na trawie — powiedział. — Muszę ci coś wyjaśnić. Usiadła opierając się plecami o szeroki pień dębu. Feliks usiadł przed

nią i skrzyżował nogi niczym Kozak. Po jego znużonej twarzy przesuwały się słoneczne plamki. Mówił okrągłymi, pełnymi zdaniem, tak jakby już wcześniej wszystko sobie przećwiczył.

— Powiedziałem ci kiedyś, że byłem zakochany w dziewczynie o imieniu Lidia, a ty odparłaś: „Tak właśnie nazywa się moja matka”. Pamiętasz?

— Pamiętam wszystko, co mi pan powiedział.
— Zastanawiała się, do czego on zmierza.

— To była twoja matka. Wlepiała w niego oczy.

— Kochał się pan w mojej mamie?

— Więcej. Byliśmy kochankami. Przychodziła do mnie do pokoju... sama... rozumiesz, co mam na myśli.

Charlotte zarumieniła się ze wstydu i zakłopotania.

— Tak, rozumiem.

— Jej ojciec, twój dziadek, odkrył to. Kazał mnie aresztować, a potem zmusił twoją matkę,

żeby wyszła za Waldena.

— To straszne — powiedziała cicho Charlotte. Z jakiegoś powodu bała się tego, co może teraz usłyszeć.

— Urodziłaś się siedem miesięcy po ich ślubie.

Najwyraźniej przywiązywał do tego wielką wagę. Charlotte zmarszczyła brwi.

— Czy wiesz, ile czasu dziecko dojrzewa w łonie matki? — zapytał.

— Nie.

— Normalnie trwa to dziewięć miesięcy, czasami trochę krócej.

17 — Człowiek.

257

Serce waliło jej w piersiach.

— Do czego pan zmierza?

— Mogłaś zostać spłodzona jeszcze przed ślubem.

— Czy to oznacza, że pan może być moim ojcem? — spytała z niedowierzaniem.

— Jest jeszcze coś więcej. Z wyglądu bardzo przypominasz moją siostrę Nataszę.

Miała wrażenie, że serce podchodzi jej do

gardła.

— Sądzi pan, że jest moim ojcem? — zadanie tego pytania przyszło jej z niejakim trudem.

— Jestem tego pewien.

— O Boże! — Charlotte ukryła twarz w dłoniach i wpatrywała się w nie nic przed sobą nie widząc. Czuła się tak, jakby dopiero co się przebudziła i nie mogła się połapać, co jest snem, a co jawą. Myślała o papie, który nie był jej papą; o mamie, która miała kochankę; i o Feliksie, przyjacielu, który nagle okazał się jej ojcem.

— Czy okłamali mnie nawet w takiej sprawie? — zapytała.

Była tak wytrącona z równowagi, że wydawało jej się, iż nie wstanie z miejsca. To było tak, jakby ktoś jej powiedział, że wszystkie mapy, jakie dotąd oglądała, są błędne i w rzeczywistości żyje w Brazylii; albo że prawdziwym właścicielem Walden Hall jest Pritchard; albo że konie potrafią mówić, ale nie odzywają się, bo tak im się po prostu podoba; jednakże to, co usłyszała, było o wiele gorsze od wszystkich tych rzeczy razem wziętych.

— To tak, jakby mi pan powiedział, że w

rzeczywistości jestem chłopcem, tylko matka zawsze przebierała mnie za dziewczynkę...

Mama... i Feliks? Ta myśl sprawiła, że znowu oblała się rumieńcem. Feliks pogładził ją po ręce.

— Przypuszczam — powiedział — że cała miłość i zainteresowanie, jakimi mężczyzna darzy normalnie swoją żonę i dzieci, w moim przypadku przeniosły się na politykę. Muszę spróbować porwać Orłowa, nawet jeśli jest to zupełnie niemożliwe; podobnie jak ojciec tonącego dziecka rzuca się do wody, żeby je ratować, mimo że nie umie pływać.

Nagle Charlotte uprzytomniła sobie, jak niepewnie musi czuć się Feliks w stosunku do niej, córki, której w rzeczywistości nigdy nie miał. Zrozumiała teraz, dlaczego spoglądał na nią nieraz w taki dziwny, bolesny sposób.

— Mój ty biedaku — powiedziała. Przygryzł wargę.

— Jesteś taka wielkoduszna — odparł. Nie wiedziała, dlaczego to powiedział.

— Co teraz zrobimy? — spytała.

258

Wziął głęboki oddech.

— Czy możesz przemycić mnie do pałacu i ukryć gdzieś w środku? —

zapytał.

Zastanawiała się przez chwilę.

— Dobrze — odpowiedziała.

Wspiął się za nią na konia. Klacz potrząsnęła głową i parsknęła, jakby obrażona, że ktoś oczekuje po niej dźwigania podwójnego ciężaru. Charlotte zmusiła ją do kłusu. Posuwali się przez chwilę ścieżką, a potem skręcili w las. Wjechali przez bramę na pastwisko, przecięli je i znaleźli się na wąskiej alejce. Nadal nie było widać pałacu; Feliks domyślił się, że zataczają wielki łuk, żeby dostać się do rezydencji od strony północnej.

Była niezwykleym dzieckiem. Miała taki silny charakter. Czy odziedziczyła go po nim? Chciałby, żeby tak było. To, że wyjawiał jej prawdę, wypełniało go szczęściem. Miał wrażenie, że jeszcze niezupełnie się z tym pogodziła, ale to przyjdzie z czasem. Słuchała tego, co mówił, i ziemia usuwała jej się spod nóg, nie zareagowała jednak na to histerią, jedynie silnym wzburzeniem; tego szczególnego opanowania z

pewnością nie odziedziczyła po matce.

Zjechali z alejki do sadu. Między koronami drzew mógł teraz dostrzec dachy Walden Hall. Sad kończył się przy murze. Charlotte zatrzymała konia.

— Lepiej idź teraz pieszo obok mnie — powiedziała. — Trudniej cię będzie dostrzec przez okno.

Zeskoczył na ziemię. Posuwali się wzdłuż muru, który wkrótce skręcił pod kątem prostym.

— Co jest za tym murem? — zapytał.

— Ogród kuchenny. Lepiej się teraz nie odzywaj.

— Jesteś cudowna — szepnął, ale ona nie usłyszała.

Zatrzymali się przy następnym rogu. Ujrzał dziedziniec otoczony niskimi zabudowaniami.

— To stajnie — szepnęła. — Zostań tutaj przez chwilę. Kiedy dam ci sygnał, biegnij do mnie tak szybko, jak potrafisz.

— Którędy będziemy szli?

— Po dachach.

Wjechała na dziedziniec, zeskoczyła z siodła i przywiązała cugle do poręczy. Feliks patrzył, jak

przechodzi przez małe podwórko rozglądając się na obie strony, a potem wraca i zagląda do stajni.

— Cześć, Peter — powiedziała.

Ze stajni wyszedł dwunastoletni może chłopak ściskając w ręku czapkę.

259

— Dzień dobry pani.

Feliks zastanawiał się, w jaki sposób uda jej się go spławić.

— Gdzie jest Daniel? — spytała Charlotte.

— Je właśnie śniadanie, proszę pani.

— Biegnij po niego i powiedz, żeby rozsiadł Łatkę.

— Mogę to zrobić sam, proszę pani.

— Chcę, żeby to zrobił Daniel — oznajmiła kategorycznym tonem. — Już cię nie ma.

Cudownie, pomyślał Feliks.

Chłopak wybiegł pędem z podwórka. Charlotte odwróciła się do Feliksa i przywołała go ruchem ręki. Podbiegł do niej.

Wskoczyła na niski, żelazny składzik, a potem wdrapała na dach przybudówki z falistej blachy. Stamtąd wspięła się na pochyły dach parterowego budynku z kamienia.

Feliks szedł w ślad za nią.

Przesuwali się na czworakach, aż dotarli do ceglanej ściany głównego budynku. Wtedy wczołgali się na szczyt dachu.

Feliks uświadomił sobie ze strachem, że jest tu widoczny jak na dłoni.

Charlotte wyprostowała się i zajrzała przez okno w ceglanej ścianie.

— Co to za pokój? — spytał szeptem.

— Sypialnia pokojówek. Ale są teraz na dole, nakrywają do śniadania.

Wdrapała się na parapet i stanęła na nim. Sypialnia znajdowała się na poddaszu i okno sięgało prawie samego szczytu dachu, który opadał stromo z obu stron. Charlotte przesunęła się wzdłuż parapetu, a potem zadarła nogę zaczepiając ją o skraj dachu.

Wyglądało to niebezpiecznie. Feliks przestraszył się, że dziewczyna może spaść. Ale wdrapanie się na szczyt dachu nie sprawiło jej większych trudności.

Poszedł w jej ślady.

— Teraz już nikt nas nie widzi — powiedziała.

Rozejrzał się. Miała rację: z dołu nie byli

widoczni. Odetchnął z ulgą.

— Dachy mają tutaj cztery akry powierzchni — powiedziała.

— Cztery akry! Większość rosyjskich chłopów nie posiada na własność tyle ziemi!

Widok był nie byle jaki. Ze wszystkich stron, wyżej i niżej, otaczały ich dachy, różnych rozmiarów i z różnych materiałów. Wszędzie przymocowano drabiny i deski, po których można się było poruszać bez obawy, że obruszy się jakąś dachówkę. System rynien wydał mu się nie mniej skomplikowany od instalacji naftowych w rafinerii w Batumi, którą kiedyś oglądał.

— W życiu nie widziałem tak dużego budynku.

260

Charlotte wyprostowała się.

— Chodź za mną.

Wdrapała się po drabinie na następny dach, a potem po szerokiej kładce i krótkich drewnianych schodkach dotarła do małych kwadratowych drzwiczek w ścianie.

— Kiedyś wychodziło się tędy, żeby zreperować dach, ale teraz wszyscy zapomnieli o

tym przejściu. — Otworzyła drzwiczki i wślizgnęła się do środka.

Feliks z wdzięcznością dał za nią nura w witającą go życzliwie ciemność.

Lidia pożyczyła samochód wraz z szoferem od swego szwagra George'a i nazajutrz, po nie przespanej nocy, z samego rana wyjechała z Londynu. Samochód zajechał pod Walden Hall o dziewiątej rano. Przed pałacem i w parku dostrzegła ku swemu zdumieniu setki policjantów, dziesiątki pojazdów i całe sfory psów. Szofer George'a z trudem przecisnął się samochodem przez ten tłum kierując się ku południowemu wejściu. Na trawniku stała olbrzymia waza z herbatą, do której ustawili się w kolejce policjanci z filizankami. Pritchard dźwigał na wielkiej tacy górę kanapek i wyglądał na bardzo znużonego. Nie zauważył nawet przyjazdu swojej pani. Na tarasie stał rozkładany stół, za którym siedzieli Stephen i sir Arthur Langley. Wydawali polecenia otaczającym ich wianuszkami oficerom policji. Lidia podeszła do nich. Sir Arthur trzymał przed sobą mapę.

— W skład każdej drużyny — mówił —

wejdzie motocyklista, który co godzina będzie mi składał meldunek, oraz ktoś miejscowy, kogo zadaniem będzie pilnowanie wyznaczonej trasy.

Stephen spostrzegł Lidię i odłączył się od grupy, żeby zamienić z nią kilka słów.

— Dzień dobry, kochanie, co za miła niespodzianka. Jak się tutaj dostałaś?

— Pożyczyłam samochód od George'a. Co się tutaj dzieje?

— Organizujemy obławę.

— O! — Jakie szanse ucieczki może mieć Feliks, skoro tropi go aż tylu ludzi?

— Mimo to żałuję, że nie zostałam w mieście. Byłbym znacznie spokojniejszy o twoje bezpieczeństwo.

— A ja zamartwiałabym się, oczekując złych wiadomości.

A jakiej dobrej wiadomości mogłabym się spodziewać? — pomyślała. Być może tego, że Feliks wycofał się i uciekł. Wiedziała jednak, że on nigdy tego nie zrobi. Przyjrzała się twarzy męża. Pod pozornym spokojem

Stephen: najpierw oszukała go jego własna żona, a teraz córka. Z poczuciem winy dotknęła jego policzka.

— Tylko się nie przemęczaj — powiedziała.

Zabrzmiał gwizdek. Policjanci dopili w pośpiechu herbatę, wpychając do ust resztki kanapek, po czym włożyli hełmy i uformowali się w sześć drużyn, każda wokół swego dowódcy. Lidia przyglądała się temu stojąc u boku Stephena. Co chwila rozlegały się głośne komendy i jeszcze częściej sygnał gwizdka. W końcu odmaszerowali. Pierwsza grupa ruszyła tyralierą przez park na południe i wkrótce zniknęła w lesie. Dwie następne skierowały się na zachód w stronę pastwisk. Trzy pozostałe ruszyły aleją dojazdową w kierunku drogi prowadzącej do wsi.

Lidia spojrzała na trawnik. Wyglądał jakby przed chwilą obozowała tu szkółka niedzielna. Pani Braithwaite z bolesną miną zajęła się zaprowadzaniem porządku. Lidia weszła do domu.

W hallu spotkała Charlotte. Widok matki ją zaskoczył.

— Witaj, mammo — odezwała się. — Nie wiedziałam, że się do nas wybierasz.

— W mieście panuje taka nuda — odparła machinalnie Lidia. Co ja plotę za bzdury? — przeleciało jej przez głowę.

— Jak się tutaj dostałaś?

— Pożyczyłam samochód od wujka George'a.

— Lidia zorientowała się, że Charlotte rozmawiając z nią myśli zupełnie o czym innym.

— Pewnie wyjechałaś z samego rana? — dopytywała się dalej dziewczyna.

— Tak.

Skończmy z tym wreszcie! Przestańmy udawać! Dlaczego nie powiemy sobie prawdy, chciała krzyknąć Lidia. Nie potrafiła się jednak przemóc.

— Czy ci wszyscy policjanci już sobie poszli? — pytała Charlotte. Patrzyła na matkę w dziwny sposób, jakby widziała ją pierwszy raz w życiu. Wprawiało to Lidię w zakłopotanie. Szkoda, że nie potrafię czytać jej w myślach, pomyślała.

— Tak, nie ma ich już tutaj — odparła.

— To wspaniale.

To było jedno z powiedzonek Stephena: „to

wspaniale". Mimo wszystko w jej córce było coś ze Stephena: ciekawość świata, zdecydowanie, równowaga ducha. Nie odziedziczyła tych cech, musiała je nabyć przez naśladowanie...

— Mam nadzieję, że złapią tego anarchistę — powiedziała badając reakcję córki.

— Jestem tego pewna — odparła tamta radośnie.

Tak mocno świecą jej się oczy, pomyślała Lidia. Dlaczego jest taka pogodna w chwili, kiedy setki policjantów przeczesują teren w po-

262

szukiwaniu Feliksa? Dlaczego nie jest załamana i niespokojna tak jak ja? Nie boi się, że go złapią, to jedyne wytłumaczenie. Z jakiegoś powodu uważa, że Feliksowi nic nie grozi.

— Powiedz mi, mamó — odezwała się Charlotte — ile czasu dojrzewa dziecko w łonie matki?

Lidia otworzyła usta. Cała krew odpłynęła z jej twarzy. Patrzyła na Charlotte i w głowie kołatała jej się jedna myśl: Dowiedziała się! Dowiedziała się!

Charlotte uśmiechnęła się i kiwnęła głową.

Jakby trochę posmutniała.

— Nieważne — powiedziała — i tak odpowiedziałam na moje pytanie. — Odwróciła się i wbiegła na górę.

Lidia chwyciła się balustrady. Zrobiło jej się słabo. Feliks powiedział Charlotte. To było po prostu zbyt okrutne, po tych wszystkich latach. Ogarnęła ją straszna złość na niego. Dlaczego doprowadza do zguby jej córkę? Hall zawirował jej w oczach i usłyszała głos pokojówki:

— Czy dobrze się pani czuje, lady Walden? Oprzytomniała.

— Jestem trochę zmęczona po podróży. Weź mnie pod rękę. Pokojówka ujęła ją pod ramię i razem ruszyły na górę, do pokoju

Lidii. Inna pokojówka rozpakowywała właśnie jej rzeczy. W ubieralni stała przygotowana gorąca woda. Lidia usiadła.

— Zostawcie mnie teraz — powiedziała. — Rozpakujecie rzeczy później.

Pokojówki wyszły. Lidia rozpięła płaszcz, ale nie miała siły go zdjąć. Zaintrygował ją nastrój Charlotte. Była prawie wesoła, chociaż z pewnością miała wiele powodów do zmartwień.

Lidia rozumiała to; znała ten stan ducha; sama często go doznawała. W taki nastrój człowiek wpada, kiedy obcuje z Feliksem. Czuje wtedy, że życie jest fascynujące i kryje w sobie nieskończenie wiele niespodzianek, czuje, że ma do zrobienia mnóstwo ważnych rzeczy, że świat jest kolorowy i pasjonujący, i że wciąż się zmienia. Charlotte widziała się z Feliksem i jest przekonana, że znajduje się on w bezpiecznym miejscu.

Co powinnam zrobić? — zastanawiała się Lidia.

Rozebrała się z wysiłkiem. Toaleta zabrała jej sporo czasu, który wykorzystała, żeby się uspokoić. Rozmyślała o tym, co czuła Charlotte dowiedziawszy się, że Feliks jest jej ojcem. Z pewnością bardzo go polubiła. Ludzie go lubią, myślała, ludzie go kochają. Skąd jej córka znalazła tyle siły, żeby znieść spokojnie taką nowinę?

W końcu uznała, że najlepiej będzie, jeśli zajmie się domem. Przejrzała się w lustrze, przybrała dystygowany wyraz twarzy i wyszła. Na dole spotkała pokojówkę, która niosła tacę

zapełnioną plasterkami szynki, jajecznicą, świeżym pieczywem, mlekiem, kawą i winogronami.

263

— Dla kogo to? — spytała.

— Dla lady Charlotte, proszę pani — odpowiedziała pokojówka. Lidia poszła dalej. Czyżby Charlotte nie straciła nawet apetytu?

Weszła do pokoju porannego i posłała po kucharkę. Pani Rowse była szczupłą, nerwową kobietą, która nigdy nie tknęła żadnego z tłustych dań, które przyrządzała dla swoich chlebodawców.

— Rozumiem, proszę pani — powiedziała — że na lunchu będzie pan Thomson, a na kolacji również pan Churchill.

Lidia ułożyła z nią menu, a potem ją odprawiła. Dlaczego, u diaska, Charlotte zamawia takie obfite śniadanie do swojego pokoju? Na dodatek, tak późno! Na wsi Charlotte wstawiała zwykle wcześniej i jadła śniadanie, kiedy Lidia przewracała się dopiero na drugi bok.

Posłała po Pritcharda i ustaliła z nim, jak usadzi gości wokół stołu. Pritchard

zakomunikował jej, że Aleks będzie aż do odwołania spożywać wszystkie posiłki w swoim pokoju. Nie miało to większego znaczenia; i tak była przewaga mężczyzn, a w zaistniałej sytuacji Lidia nie mogła sobie raczej pozwolić na zapraszanie kogoś z zewnątrz, żeby wyrównać liczbę pań i panów. Zrobiła, co było możliwe, i odprawiła Pritcharda.

Gdzie Charlotte spotkała się z Feliksem? I skąd brała pewność, że go nie złapią? Czy znalazła dla niego jakieś schronienie? Czy Feliks ma takie przebranie, że nikt go nie pozna?

Chodziła po pokoju patrząc na obrazy, posążki z brązu, szklane ozdoby, biurko. Bolała ją głowa. Zabrała się do przestawiania kwiatów w dużym wazonie przy oknie i wywróciła go. Zadzwoiła na służbę, żeby ktoś to posprzątał i wyszła z pokoju.

Nerwy miała w bardzo złym stanie. Zastanawiała się, czyby nie wziąć laudanum. Ostatnio nie pomagało jej już tak skutecznie jak niegdyś.

Co zrobi teraz Charlotte? Czy zachowa tajemnicę? Dlaczego dzieci nie rozmawiają z

rodzicami?

Przeszła do biblioteki, żywiąc słabą nadzieję, że jakaś książka pozwoli jej zapomnieć o tym wszystkim. Ujrzała Stephena siedzącego przy swoim biurku i opanowało ją poczucie winy. Podniósł wzrok, kiedy weszła, uśmiechnął się zapraszająco i pisał coś dalej.

Lidia chodziła wzdłuż półek. Zastanawiała się, czy nie wziąć Biblii. Gdy była dzieckiem, w jej domu ciągle czytało się Biblię, często chodziło do kościoła, odmawiało wspólnie modlitwy. Miała surowe niańki, które ekscytowały się okropnościami piekła i karami, które spadną na tych, co zgrzeszą nieczystością. Miała także niemiecką guwernantkę, luterankę, która wciąż rozprawiała o grzechu. Ale ponieważ Lidia popełniła cudzołóstwo i ściągnęła potępienie na siebie i na swą córkę, nigdy nie udało jej się znaleźć pocieszenia w religii. Powinnam wtedy od razu pójść do klasztoru i pogodzić się z Bogiem, pomyślała; mój ojciec miał rację.

264

Wzięła jakąś książkę, usiadła i otworzyła ją na chybił trafił.

— Niezwykły wybór, jak na ciebie — odezwał się Stephen. Z tej odległości nie mógł odczytać tytułu, ale wiedział, jaki autor zajmuje którą półkę. Czytał tyle książek, Lidia nie wiedziała, skąd bierze na to czas. Spojrzała na grzbiet tomiku. To były Wiersze z Wessex Thomasa Hardy'ego. Nie lubiła Hardy'ego: nie lubiła jego zdecydowanych na wszystko, namiętnych heroin ani silnych mężczyzn, których unieszczęśliwiały.

Często tak siadywali, ona i Stephen, zwłaszcza zaraz po jej przyjeździe do Walden Hall. Z nostalgią przypomniała sobie, jak siedziała i czytała, podczas gdy on pracował. W tamtych czasach nie był taki spokojny: wciąż powtarzał, że z ziemi nikt nie wyciśnie już ani grosza i że jeżeli jego rodzina chce utrzymać swoje bogactwo i pozycję, musi zdecydowanie wkroczyć w dwudziesty wiek. Sprzedał wtedy kilka farm, kilka tysięcy akrów po bardzo niskiej cenie i ulokował pieniądze w kolejach żelaznych, bankach i domach w Londynie. Plan musiał się powieść, ponieważ wkrótce odzyskał dobry humor.

To po przyjeździe na świat Charlotte wszystko

zaczęło się dobrze układać. Służba uwielbiała dziecko i pokochała Lidię za to, że je urodziła. Młoda małżonka przyzwyczała się do angielskiego stylu życia, zaakceptowało ją londyńskie towarzystwo. Nastąpiło osiemnaście lat spokoju.

Westchnęła. Te lata minęły bezpowrotnie. Przez długi czas udawało jej się ukrywać swój sekret tak głęboko, że nie stał się udręką dla nikogo oprócz niej, a i jej samej zdarzało się czasem o nim zapomnieć; ale teraz wszystko wychodziło na jaw. Sądziła, że Londyn znajduje się w bezpiecznej odległości od Petersburga; ale może lepiej było schronić się w Kalifornii; możliwe, że w ogóle nie ma dla niej na świecie bezpiecznego miejsca. Czas spokoju skończył się. Wszystko waliło się w gruzy. Co teraz będzie?

Spojrzała na otwartą książkę i przeczytała:

Świat by cały oddała, by mu „tak” odrzec szczerze, Życie jego zawisło — czuła! — od tych słów; I jej serce szeptało: „Powiedz, choćby w złej wierze! Duszę warto poświęcić, aby dobrą być: mów!”*

Czy to o mnie? — pomyślała. Czy zaprzedałam

duszę, kiedy zgodziłam się wyjść za Stephena po to tylko, żeby Feliks nie zgnił w Pietropawłowskiej Twierdzy? Od tamtego czasu bez przerwy gram cudzą rolę, udaję,

" Przekład Jan Gondowicz

265

że nie jestem rozpustną, grzeszną, wyuzdaną dziwką. Ale jestem nią. I to nie tylko ja. Inne kobiety czują to samo. Jak inaczej można wytłumaczyć fakt, że wiceksiężna i Charlie Stott chcieli otrzymać przylegające do siebie sypialnie, i że opowiadając o tym lady Girard mrugała znacząco okiem. Musiała rozumieć, co czują. Gdybym była po prostu małą rozpustnicą, być może Stephen przychodziłby częściej do mojej sypialni i moglibyśmy mieć syna. Znowu westchnęła.

— Daję pensa — odezwał się Stephen.

— Co?

— Pensa za twoje myśli. Uśmiechnęła się.

— Czy nigdy nie nauczę się tych wszystkich angielskich powiedzonek? Nigdy dotąd go nie słyszałam.

— Uczymy się przez całe życie. Mówi się tak, kiedy chce się poznać czyjeś myśli.

— Myślałam o Walden Hall, o tym, że po twojej śmierci posiadłość przejmie syn George'a.

— Chyba że będziemy mieli syna.

Spojrzała na jego twarz: miał jasne niebieskie oczy i elegancką szpakowatą bródkę. Włożył dzisiaj niebieski krawat w białe grochy.

— Czy jest na to za późno? — zapytał.

— Nie wiem — odparła. To zależy od tego, co teraz robi Charlotte, pomyślała.

— Więc spróbujmy — powiedział.

Zazwyczaj nie rozmawiali tak otwarcie; wyczuł, że Lidia jest w nastroju do zwierzeń. Wstała z krzesła i podeszła do niego. Zauważyła, że Stephen ma na potylicy małą łysinę. Od jak dawna?

— Tak — odparła — spróbujmy. — Pochyliła się i pocałowała go w czoło, a potem, pod wpływem nagłego impulsu, w usta. Zamknął oczy.

Po chwili odsunęła się. Wydawał się trochę zakłopotany: rzadko pozwalali sobie na coś takiego w biały dzień, zawsze kręciło się zbyt

wiele służby. Dlaczego żyjemy w ten sposób, pomyślała, skoro nie daje nam to szczęścia?

— Kocham cię — powiedziała.

— Wiem o tym — uśmiechnął się.

Nagle poczuła, że nie może już tego dłużej znieść.

— Muszę iść przebrać się przed lunchem, zanim przyjedzie Basil Thomson.

Kiwnął głową.

Wyszła czując, że śledzą ją jego oczy. Poszła na górę zastanawiając się, czy jest jeszcze szansa na to, by ona i Stephen mogli być szczęśliwi. Weszła do swojej sypialni. Wciąż trzymała w dłoni tomik poezji.

266

Odłożyła go. Klucz do całej sprawy był w ręku Charlotte. Musiała z nią porozmawiać. Człowiek mimo wszystko potrafi mówić o trudnych sprawach, musi tylko zdobyć się na odwagę, a cóż ona miała teraz do stracenia? Nie wiedząc do końca, co powie, postanowiła pójść do pokoju Charlotte, piętro wyżej.

Jej kroki tłumił dywan. Doszła do szczytu schodów i spojrzała na korytarz. Zobaczyła, jak

Charlotte znika w starym pokoju dzieciennym. Chciała ją zawołać, ale powstrzymała się. Co ona takiego niosła? Najwyraźniej talerz z kanapkami i dzbanek mleka.

Zaintrygowana, weszła do sypialni swojej córki. Na stole stała taca, ta sama, którą niosła niedawno pokojówka. Cała szynka i pieczywo zniknęły. Dlaczego Charlotte zamawia pełną tacę jedzenia, robi sobie kanapki i zjada je w pokoju dzieciennym? O ile pamiętała, nie było tam niczego oprócz starych mebli przykrytych pokrowcami. Czy Charlotte była do tego stopnia wytrącona z równowagi, że szukała ucieczki w zamkniętym świecie dzieciństwa?

Postanowiła to sprawdzić. Przez chwilę wzbraniała się przed wkraczaniem w intymny świat Charlotte, ale potem pomyślała: to mój dom, moja córka i chyba powinnam wiedzieć. Poza tym może łatwiej mi będzie powiedzieć w takiej chwili, co mi leży na sercu. Wyszła z sypialni córki i zajrzała do pokoju dzieciennego.

Charlotte tam nie było.

Rozejrzała się. Był tu stary koń na biegunach, pod pokrowcem odznaczały się wyraźnie jego

uszy. Przez otwarte drzwi widziała pokój szkolny z mapami i dziecinnymi bazgrołami na ścianach. Kolejne drzwi prowadziły do sypialni. Ona także była pusta, zostały w niej tylko zasłony. Czy wszystkie te pomieszczenia znowu się zapełnią? Czy będziemy mieli nianie, pieluszki i małe, malutkie ubranka? Mamkę, ołowianych żołnierzyków i zapisane niezdarkim pismem, poplamione kleksami zeszyty?

Ale gdzie jest Charlotte?

Drzwi do garderoby były otwarte. Ależ oczywiście! — przypomniała sobie nagle Lidia. To ta jej mała kryjówka. Niewielkie pomieszczenie, o którym, zdaniem Charlotte, nikt prócz niej nie wiedział, i w którym się chowała, kiedy ją skarcono za złe zachowanie. Sama je umeblowała rzeczami pozbieranymi z całego domu. Wszyscy udawali, że nie wiedzą, gdzie giną niektóre przedmioty. W tym wypadku Lidia wyjątkowo okazała się pobłażliwa i pozwoliła Charlotte zachować swój „sekret”, nie pozwoliła nawet Marii go „odkryć”; sama bowiem chowała się czasami w pokoju kwiatowym i wiedziała, jak ważną rzeczą jest mieć jakieś miejsce tylko dla

siebie.

Więc Charlotte wciąż jeszcze tutaj przychodzi!
Lidia podeszła bliżej.

267

Bała się, że córka uzna ją za intruza, ale jednocześnie kusilo ją, żeby wejść. Nie, pomyślała, nie będę jej przeszkadzać.

Nagle usłyszała głosy.

Czy Charlotte mówi sama do siebie?

Nadstawiła ucha.

Mówi do siebie po rosyjsku?

Potem usłyszała inny głos, niski, męski, odpowiadający po rosyjsku, głos, który brzmiał jak pieszczota, głos, od którego zadrżała z pożądania.

W kryjówce był Feliks.

Przez chwilę myślała, że zemdleje. Feliks! W zasięgu ręki! Ukryty tutaj, w Walden Hall, podczas gdy policja przeszukuje całą okolicę! Ukryty przez Charlotte.

Nie wolno mi krzyczeć!

Włożyła pięść do ust i przygryzła ją.
Wstrząsnął nią dreszcz.

Muszę się stąd wydostać. Nie potrafię jasno

myśleć. Nie wiem, co robić.

Straszliwie bolała ją głowa. Muszę zażyć laudanum, pomyślała. Ta myśl dodała jej sił. Udało jej się powstrzymać drzenie. Odczekała chwilę i wycofała się z pokoju dziecinnego.

Prawie biegiem pokonała korytarz i schody. Laudanum było w ser-wantce w jej sypialni. Otworzyła butelkę. Nie mogła utrzymać nieruchomo łyżeczki, łyknęła więc prosto z butelki. Po paru chwilach zaczęła się uspokajać. Odstawiła butelkę i zamknęła szufladę. W miarę jak laudanum koło jej nerwy, ogarniało ją uczucie błogiego zadowolenia. Już nie bolała ją tak bardzo głowa. W tej chwili nic naprawdę się nie liczyło. Podeszła do garderoby i otworzyła drzwi. Popatrzyła na rząd sukien. Zupełnie nie mogła się zdecydować, w którą z nich ma się przebrać do lunchu.

Feliks przemierzał mały pokoik niczym tygrys w klatce, robiąc po trzy kroki w każdą stronę, z pochyloną nisko głową, żeby nie zahaczyć o sufit. Słuchał tego, co mówiła Charlotte.

— Drzwi do pokoju Aleksa są cały czas zamknięte. Dwóch uzbrojonych ludzi pilnuje go

w środku, jeden na zewnątrz. Ci wewnątrz nie otworzą drzwi, dopóki nie każe im tego zrobić ich kolega.

— Dwóch w środku i jeden na zewnątrz. — Feliks podrapał się w głowę i zaklął po rosyjsku. Znowu trudności, zawsze wyłaniają się jakieś trudności, myślał. Oto jestem tutaj, mając za współnika jednego z domowników, ale sprawa wciąż nie wydaje się prosta. Dlaczego nie dopisuje mi szczęście, tak jak tym studentom w Sarajewie? Dlaczego musiało się okazać, że jestem częścią tej rodziny? Popatrzył na Charlotte. Nie mówię, żebym tego żałował, pomyślał. Dostrzegła jego spojrzenie.

— O co chodzi? — zapytała.

268

— Nic. Cokolwiek się zdarzy, jestem zadowolony, że cię spotkałem.

— Ja też. Ale co zamierzasz w związku z Alekssem?

— Możesz narysować mi plan pałacu? Charlotte wydeła usta.

— Mogę spróbować.

— Musisz go dobrze znać, mieszkasz tutaj od

urodzenia.

— Znam oczywiście tę jego część... ale są miejsca, w których nigdy nie byłam. Pokój kamerdynera, mieszkanie ochmistrzyni, piwnice, pomieszczenia nad kuchnią, tam gdzie trzyma się mąkę i inne rzeczy...

— Postaraj się. Narysuj plan każdego piętra.

Odnalazła wśród swoich dzieciennych skarbów kawałek papieru i ołówek, i uklękała przy małym stoliku.

Feliks zjadł kolejną kanapkę i dopił mleko. Dostarczenie mu jedzenia trochę trwało, ponieważ pokojówki sprzątały korytarz. Jedząc przyglądał się, jak Charlotte rysuje. Marszczyła brwi i przygryzała koniec ołówka.

— Człowiek nie zdaje sobie sprawy, jakie to trudne — powiedziała w pewnej chwili — dopóki nie spróbuje.

Znalazła gumkę wśród starych kredek i często jej używała. Zauważył, że potrafi rysować linie proste bez linijki. Uznał, że w tej pozie jest wzruszająca. Przez długie lata tak właśnie musiała siedzieć w swoim szkolnym pokoju, pomyślał, rysując domy, później mamę i „pape”,

jeszcze później mapę Europy, liście angielskich drzew, park w zimie... Walden zapewne wiele razy oglądał ją w tej pozie.

— Dlaczego się przebrałaś? — zapytał.

— Och, wszyscy muszą się tutaj bez przerwy przebierać. O każdej porze dnia trzeba być inaczej ubranym. Ramiona mają być odsłonięte przy kolacji, ale broń Boże przy lunchu. Do obiadu nosi się gorset, do podwieczorku nie. Kiedy idzie się z wizytą, nie wolno mieć na sobie domowej sukni. Wolno nosić wełniane pończochy w bibliotece, ale w pokoju porannym już nie. Nie wyobrażasz sobie, ile reguł muszą zapamiętać.

Kiwnął głową. Żaden przejaw degeneracji klasy rządzącej nie mógł go już zadziwić.

Kiedy Charlotte podała mu szkice, znowu przybrał rzeczowy ton.

— Gdzie przechowuje się broń? — spytał. Dotknęła jego ramienia.

— Nie bądź taki obcesowy — powiedziała. — Jestem po twojej stronie, pamiętasz?

Nagle znowu była dorosła. Feliks uśmiechnął się ze skruchą.

— Zapomniałem — odparł.

— Broń trzyma się w zbrojowni. — Wskazała ją na planie.— Naprawdę miałeś romans z moją mamą?

269

— Tak.

— Trudno mi uwierzyć, że mogła się zaangażować w coś takiego.

— Była wtedy bardzo namiętna. Nadal jest, choć udaje, że jest wprost przeciwnie.

— Naprawdę sądzisz, że nadal jest taka?

— Wiem o tym.

— Wszystko, dosłownie wszystko okazuje się inne, niż myślałam.

— To jest właśnie dojrzewanie. Zamyśliła się.

— Zastanawiam się, jak powinnam się do ciebie zwracać.

— Co masz na myśli?

— Czułabym się bardzo dziwnie mówiąc do ciebie „ojcze”.

— Na razie wystarczy „Feliksie”. Potrzebujesz trochę czasu, żeby przywyknąć do myśli, że jestem twoim ojcem.

— Czy mi go starczy?

Z jej młodej twarzy biła taka powaga, że wziął ją za rękę.

— Dlaczego nie?

— Co zrobisz, kiedy już będziesz miał Aleksa?

Uciekł spojrzeniem w bok, żeby nie zobaczyła w jego oczach poczucia winy.

— To zależy, w jaki sposób i kiedy uda mi się go porwać, ale najprawdopodobniej będę go trzymać związanego właśnie tutaj. Będziesz musiała przynosić nam jedzenie, poza tym wyślesz do moich przyjaciół w Genewie zaszyfrowany telegram z wiadomością, co się stało. Potem, kiedy wieść o tym wywoła pożądany skutek, wypuścimy Orłowa na wolność.

— A później?

— Będą mnie szukać w Londynie, więc ucieknę na północ. Są tam, zdaje się, duże miasta: Birmingham, Manchester, Hull. Przez pewien czas mogę się w nich ukrywać. Po kilku tygodniach wyruszę z powrotem do Szwajcarii, a potem może do Petersburga. Powinienem być w Petersburgu, tam zacznie się rewolucja.

— Więc już nigdy cię nie zobaczę. Nie będziesz tego chciała, pomyślał.

— Dlaczego nie? — powiedział głośno. — Mogę kiedyś wrócić do Londynu. Ty możesz wybrać się do Petersburga. Możemy spotkać się w Paryżu. Nikt tego nie wie. Jeśli istnieje coś takiego jak Przeznaczenie, prawdopodobnie jeszcze nas ze sobą zetknie. — Sam chciałbym w to wierzyć, pomyślał, chciałbym w to wierzyć.

— To prawda — odparła ze smutnym uśmiechem i Feliks zrozumiał, że ona także w to nie wierzy. Wstała. — Muszę teraz przynieść ci trochę wody. Powinieneś się umyć.

270

— Nie przejmuj się. Bywałem brudniejszy niż dziś. Nie zwracam na to uwagi.

— Ale ja tak. Strasznie śmierdzisz. Wracam za chwilę. Z tymi słowami wyszła.

Był to najbardziej posępny lunch, jaki Walden pamiętał od lat. Lidia była w jakimś zamroczeniu, Charlotte milcząca, ale podenerwowana jak nigdy. Sztuńce leciały jej z rąk, przewróciła kieliszek. Thomson milczał jak sfinks. Jedyne sir Arthur Langley starał się bezskutecznie rozweselić towarzystwo. Sam Walden był nieobecny myślami. Nie dawała mu spokoju

zagadka, w jaki sposób Feliks odkrył, że Aleks przebywa w Walden Hall. Dręczyło go brzydkie podejrzenie, że ma to coś wspólnego z Lidia. To Lidia powiedziała przecież Feliksowi, że Aleks jest w hotelu „Savoy”, sama też przyznała się do tego, że mógł być jej dawnym znajomym z Petersburga. Czy to możliwe, żeby Feliks miał na nią jakiś wpływ? Dziwnie się zachowuje przez całe lato, jest jakaś rozstrojona. Kiedy tak rozmyślał o Lidii, pierwszy raz od dziewiętnastu lat w obiektywny sposób zmuszony był przyznać, że jego żona jest oziębła seksualnie. Oczywiście wszyscy spodziewają się takiego zachowania po kobietach z dobrego towarzystwa; ale Walden zdawał sobie świetnie sprawę, że to ugrzecznione pozory, i że na ogół kobiety mają takie same pragnienia jak mężczyźni. Czy Lidia przypadkiem nie pragnęła skrycie kogoś innego, kogoś z przeszłości? To wyjaśniałoby wszystkie sprawy, które do tej chwili zdawały się nie potrzebować wyjaśnienia. Jakie to potworne, pomyślał, kiedy człowiek spogląda na swoją towarzyszkę i nagle widzi w niej kogoś całkowicie obcego.

Po lunchu sir Arthur wycofał się do pokoju

ośmiokątne, gdzie miał swoją tymczasową kwaterę. Walden i Thomson włożyli kapelusze i poszli wypalić cygara na tarasie. W promieniach słońca park wyglądał jak zwykle uroczo. Z odległej bawialni doszły ich silne akordy otwierające koncert Czajkowskiego: to Lidia zasiadła do fortepianu. Walden poczuł ogarniający go smutek. Po pewnej chwili muzykę zagłuszył ryk motocykla. To pojawił się kolejny posłaniec dostarczający raporty sir Arthurowi. Jak dotąd nie było żadnych nowych wiadomości. Lokaj podał kawę i zostawił ich samych.

— Nie chciałem tego mówić przy lady Walden — odezwał się Thomson — ale sądzę, że jesteśmy w posiadaniu dowodu, który pozwoli nam ustalić tożsamość zdrajcy.

Waldena ogarnął chłód.

— Wczoraj w nocy — mówił Thomson — przesłuchiwałem Bridget Callahan, właścicielkę domu przy Cork Street. Niestety nie udało mi się z niej nic wydobyć. Zostawiłem jednak swoich ludzi, żeby przeszukali

271

dom. Dziś rano pokazali mi, co znaleźli. —

Wyjął z kieszeni przedartą na pół kopertę i wręczył ją Waldenowi.

Wstrząśnięty lord ujrzał na niej herb Walden Hall.

— Czy rozpoznaje pan charakter pisma? — pytał Thomson. Walden odwrócił połówki koperty. Po drugiej stronie widniał adres

odbiorcy:

Pan F. Krzesiński

19 Cork Street

Londyn

— Dobry Boże, wszystko tylko nie Charlotte! — jęknął. Chciało mu się płakać.

Thomson milczał.

— To ona go tutaj sprowadziła — wyszeptał Walden. — Moja własna córka. — Wpatrywał się w kopertę modląc się, żeby szeszła. Pomyłka była wykluczona, to był charakter pisma Charlotte, przypominał jego własny, z lat młodości.

— Proszę spojrzeć na pieczęć pocztową — powiedział Thomson. — Napisała do niego zaraz po przyjeździe tutaj. List wysłano z wioski.

— Jak to się mogło zdarzyć? — zapytał Walden. Thomson milczał.

— To Feliks był tym mężczyzną w tweedowej czapce — dodał lord. — Wszystko pasuje.

Ogarnął go straszliwy smutek, jakby ktoś go osierocił, jakby zmarł mu ktoś najbliższy. Spojrzał na park, na drzewa zasadzone pięćdziesiąt lat temu przez jego ojca, na trawnik, o który od stu lat dbała jego rodzina, i wszystko to wydało mu się bezwartościowe, zupełnie bezwartościowe.

— Człowiek walczy o ten kraj — powiedział cicho — i doświadcza zdrady ze strony socjalistów i rewolucjonistów; walczy o pozycję własnej klasy, i zdradzają go liberałowie; walczy o swoją rodzinę, i nawet tam spotyka go zdrada. Charlotte! Dlaczego Charlotte, dlaczego? — Poczul, jak dławią go łzy. — Cóż to za przekłete życie, Thomson. Przekłete życie.

— Będę musiał ją przesłuchać — odezwał się komisarz.

— Ja też. — Walden podniósł się. Spojrzał na cygaro. Wypaliło się. Wyrzucił je. — Wejdźmy do środka.

W hallu lord zatrzymał przechodzącą pokojówkę.

— Wiesz, gdzie jest lady Charlotte?

— Sądzę, że w swoim pokoju, milordzie. Czy mam pójść ją zawiadomić?

— Tak. Powiedz jej, że chcę mówić z nią natychmiast w jej pokoju.

— Tak jest, milordzie.

Thomson i Walden zatrzymali się w hallu. Walden rozejrzał się.

272

Marmurowa podłoga, rzeźbiona klatka schodowa, sztukaterie na suficie, doskonałe proporcje — wszystko to było bezwartościowe. Obok nich bezszelestnie przesunął się lokaj, oczy miał spuszczone. Wszedł motocyklista i skierował się do pokoju ośmiokątneho. Pritchard przeciął hall i zabrał ze stolika listy przeznaczone do wysłania, tak samo, jak zapewne zrobił to tego dnia, kiedy Charlotte napisała swój zdradziecki list do Feliksa. Z góry zeszła pokojówka.

— Lady Charlotte gotowa jest pana przyjąć, milordzie. Walden i Thomson weszli po schodach.

Pokój Charlotte znajdował się na drugim piętrze, od frontu. Jego okna wychodziły na park.

Był słoneczny i jasny, nowocześnie i estetycznie umeblowany. Dużo czasu minęło, odkąd byłem tutaj po raz ostatni, przeszło przez myśl Waldenowi.

— Wyglądasz, jakby coś wyprowadziło cię z równowagi, papo — odezwała się Charlotte na jego widok.

— W istocie — odparł Walden. — Pan Thomson zakomunikował mi właśnie najgorszą wiadomość, jaką usłyszałem w całym moim życiu.

Dziewczyna zmarszczyła brwi.

— Gdzie jest Feliks, lady Charlotte? — zapytał Thomson. Charlotte zrobiła się biała jak kreda.

— Nie mam pojęcia, oczywiście.

— Nie bądź taka cholernie pewna siebie! — krzyknął Walden.

— Jak możesz używać wobec mnie takich słów?!

— Przepraszam.

— Być może, jeśli zostawi pan to mnie, milordzie... — wtrącił się Thomson.

— Dobrze. — Walden usiadł przy oknie zachodząc w głowę, skąd wyrwało mu się owo „przepraszam”.

— Lady Charlotte — zwrócił się Thomson do jego córki — jestem policjantem i mam dowody na to, że brała pani udział w spisku mającym na celu popełnienie morderstwa. Chciałbym, podobnie jak pani ojciec, aby nie brnęła pani w to dalej, a w szczególności, aby nie musiała pani iść na kilka lat do więzienia.

Walden wlepił oczy w Thomsona. Do więzienia! Na pewno tylko tak ją straszy. Ale nie, nagle z przerażającą jasnością uświadomił sobie, że Thomson nie żartuje: jego córka popełniła przestępstwo...

— Jeśli uda nam się zapobiec temu morderstwu, pani współudział może zostać zatuszowany. Ale jeśli zamachowiec dopnie swego, nie będę miał innego wyboru jak postawić panią przed sądem; ale wtedy nie będzie pani odpowiadać za współudział w spisku, lecz za współudział w morderstwie. Teoretycznie grozi pani wtedy nawet strycek.

— Nie! — krzyknął mimo woli Walden.

18 — Człowiek.

273

— Tak — powiedział cicho Thomson. Walden

ukrył twarz w dłoniach.

— Musi pani oszczędzić sobie tej męki... nie tylko sobie, ale także pani matce i ojcu. Musi pani zrobić wszystko, co w pani mocy, aby pomóc nam odnaleźć Feliksa i ocalić księcia Orłowa.

To niemożliwe, myślał desperacko Walden. Wydawało mu się, że odchodzi od zmysłów. Mojej córce nie może grozić stryczek. Ale jeśli Aleks zginie, Charlotte będzie współwinna jego śmierci. Nie, nigdy nie może dojść do procesu. Kto jest teraz ministrem spraw wewnętrznych? McKenna. Walden nie znał go. Ale Asquith będzie interweniował, żeby nie dopuścić do wniesienia aktu oskarżenia... czy aby na pewno?

— Proszę mi powiedzieć, kiedy po raz ostatni widziała pani Feliksa? Walden obserwował Charlotte czekając na jej odpowiedź. Stała za

krzesłem zaciskając obie ręce na oparciu. Kostki jej palców były białe, ale twarz pozostała spokojna.

— Nie mam nic do powiedzenia — powiedziała w końcu. Walden jęknął głośno. Jak może nadal zachowywać się w ten sposób?

Została przecież zdemaskowana! Co ona sobie

wyobraża? Wydała mu się teraz kimś zupełnie obcym. Kiedy ją utraciłem? — zapytał sam siebie.

— Czy pani wie, gdzie jest teraz Feliks? — pytał dalej Thomson. Nic nie odpowiedziała.

— Czy uprzedziła go pani, jakie przedsięwzięliśmy tutaj środki bezpieczeństwa?

Tak jakby jej nie było.

— Czy jest uzbrojony? Nic.

— Za każdym razem, kiedy odmawia pani odpowiedzi, jej wina powiększa się, czy zdaje sobie pani z tego sprawę?

W głosie Thomsona Walden wyczuł wyraźną zmianę tonu. Spojrzał na niego. Policjant wydawał się teraz naprawdę wściekły.

— Pozwoli pani, że coś jej wyjaśnię — powiedział. — Może pani uważa, że jej papa potrafi uchronić ją przed wymiarem sprawiedliwości. On sam zapewne myśli to samo. Ale jeśli Orłów zginie, przysięgam pani, że postaram się o to, aby stanęła pani przed sądem oskarżona o morderstwo. Niech pani to sobie przemyśli.

Z tymi słowami wyszedł z pokoju.

Charlotte z przerażeniem patrzyła, jak

Thomson zostawia ich samych. W obecności obcego człowieka musiała się troszczyć tylko o to, aby zachować twarz. Bała się, że pozostawiona sam na sam z ojcem może się załamać.

274

— Uratuję cię, jeśli tylko zdołam — powiedział Walden ze smutkiem. Charlotte przełknęła z trudem ślinę i uciekła spojrzeniem w bok.

Wolałabym, żeby był wściekły, pomyślała, mogłabym mu wtedy stawić czoło.

Wyrzwał przez okno.

— To ja jestem za wszystko odpowiedzialny, chyba to rozumiesz — odezwał się z bólem. — To ja wybrałem twoją matkę, ja cię spłodziłem i wychowałem. Nie ma w tobie niczego, co nie pochodziłoby ode mnie. Nie potrafię zrozumieć, jak to się mogło stać. Naprawdę nie potrafię. — Odwrócił się do niej. — Czy możesz mi to wytłumaczyć?

— Tak, mogę — odpowiedziała. Tak bardzo chciała, żeby zrozumiał. Była pewna, że on zrozumie, jeśli tylko ona potrafi znaleźć właściwe słowa. — Nie chcę, żeby ci się udało wciągnąć

Rosję do wojny, bo jeśli do tego dojdzie, w bezsensownych walkach zginą albo odniosą rany miliony Rosjan.

Wydawał się zaskoczony.

— Czy o to ci chodzi? — zapytał. — Czy to dlatego popełniłeś te wszystkie straszne rzeczy? Czy to właśnie jest cel, który przyświeca Feliksowi?

Może teraz wreszcie zrozumie, pomyślała z radością.

— Tak — odpowiedziała. — Feliks pragnie także wybuchu rewolucji w Rosji — mówiła dalej z entuzjazmem — nawet ty nie powinieneś uważać tego za coś złego. Jego zdaniem, kiedy ludzie w Rosji odkryją, że Aleks próbował wciągnąć ich do wojny, dojdzie tam do rewolucji.

— Czy ty sądzisz, że ja chcę wybuchu wojny? — zapytał z niedowierzaniem. — Czy ty sądzisz, że byłbym zadowolony, gdyby do niej doszło? Że przyniosłaby mi ona jakieś korzyści?

— Oczywiście, że nie... ale w pewnych okolicznościach pozwoliłbyś na to, żeby wybuchła.

— Wszyscy na to pozwolą... nawet Feliks,

który marzy o rewolucji, sama to powiedziałaś. Ale jeśli wybuchnie, my musimy ją wygrać. Czy myśląc tak popełniam coś złego? — jego głos był niemal błagalny.

Tak bardzo chciała, żeby zrozumiał.

— Nie wiem, czy to coś złego, wiem, że to niesłuszne. Rosyjscy chłopci nie mają pojęcia o polityce europejskiej i jeszcze mniej ich ona obchodzi. Ale mimo to będą rozrywani na strzępy szrapnelami, potracą nogi i ręce, a wszystko dlatego, że doprowadziłeś razem z Aleksem do podpisania traktatu. — Walczyła z napływającymi jej do oczu łzami. — Papo, czy ty nie widzisz w tym nic złego?

— Ale spójrz na to z brytyjskiego punktu widzenia, z twojego osobistego punktu widzenia. Wyobraź sobie, że Freddie Chalfont i Peter, i Jonathan idą na wojnę jako oficerowie, a pod ich rozkazami walczą

275

czyścibut Jimmy, stajenni Daniel i Peter, lokaj Charles i parobek z folwarku Peter Dawkins... czy nie czułabyś się lepiej wiedząc, że mogą liczyć na czyjąś pomoc? Czy nie byłabyś zadowolona, że

mają po swojej stronie naród rosyjski?

— Oczywiście, zwłaszcza gdyby naród rosyjski sam postanowił, że chce im pomóc. Ale naród rosyjski nie ma tu nic do gadania, prawda, papo? To ty i Aleks postanowiliście za niego. Powinniście pracować nad tym, jak nie dopuścić do wojny, a nie jak ją wygrać.

— Jeśli Niemcy zaatakują Francję, musimy pomóc naszym przyjaciołom. Podbój Europy przez Niemcy byłby prawdziwą katastrofą dla Wielkiej Brytanii.

— Co może być większą katastrofą od samej wojny?

— Czy mamy, w takim razie, w ogóle nie walczyć?

— Tylko wtedy, kiedy sami zostaniemy zaatakowani.

— Jeśli nie pokonamy Niemców we Francji, będziemy musieli walczyć z nimi tutaj.

— Jesteś tego pewien?

— To bardzo prawdopodobne.

— Więc walczmy, kiedy nas zaatakują.

— Posłuchaj. Od ośmiuset pięćdziesięciu lat nie stanęła na tej wyspie stopa najeźdźcy.

Dlaczego? Ponieważ walczyliśmy z innymi narodami na ich terytorium, nie na naszym. To dlatego ty, lady Charlotte Walden, urodziłaś się w państwie, w którym panuje pokój i dobrobyt.

— Ile wojen rozpętaliście, żeby uchronić się przed wojną? Czy inne narody w ogóle walczyłyby z nami, gdybyśmy nie prowadzili wojny na ich terytorium?

— Kto wie — odparł znużony. — Żałuję, że nie studiowałaś więcej historii. Żałuję, że nie dyskutowaliśmy więcej o tych sprawach. Prowadziłbym takie rozmowy z synem, ale, na Boga, nawet mi się nie śniło, że moja córka zainteresuje się polityką zagraniczną. Teraz płacę za swój błąd. I to jaką cenę! Zareczam ci, Charlotte, że arytmetyka ludzkiego cierpienia nie jest taka prosta jak to, co podał ci do wierzenia ten Feliks. Nie wierzysz mi, kiedy ci to mówię? Nie ufasz mi?

— Nie — oświadczyła z uporem.

— Feliks chce zabić twojego kuzyna. Czy to nie ma dla ciebie żadnego znaczenia?

— Ma zamiar go porwać, nie zabić. Ojciec potrząsnął głową.

— Dwukrotnie próbował go zgładzić, za drugim razem także mnie przy okazji. Zabił wiele osób w Rosji. On nie jest porywaczem, Charlotte, on jest mordercą.

— Nie wierzę ci.

276

— Ale dlaczego? — zapytał żałośnie.

— Czy powiedziałaś mi prawdę o sufrażystkach? Czy powiedziałaś mi prawdę o Annie? Czy powiedziałaś mi, że w demokratycznej Wielkiej Brytanii większości ludzi wciąż nie przysługuje prawo głosu? Czy powiedziałaś mi, czym jest naprawdę stosunek płciowy?

— Nie, nie zrobiłem tego. — Ku swemu przerażeniu spostrzegła, że ojciec ma policzki mokre od łez. — Być może wszystko, co kiedykolwiek zrobiłem jako ojciec, było pomyłką. Nie spodziewałem się, że świat pójdzie w tym kierunku. Nie miałem pojęcia, jaka będzie rola kobiety w roku 1914. Wygląda na to, że poniosłem sromotną porażkę. Ale robiłem to, co uważałem dla ciebie za najlepsze, bo cię kochałem i nadal Kocham. To nie to, że mieszasz

się do polityki, sprawia, że płaczę. To twoja zdrada. Będę zębami i pazurami walczył, żebyś uniknęła procesu, nawet jeśli przyczynisz się do śmierci biednego Aleksa. Zrobię to, bo jesteś moją córką, najważniejszą dla mnie osobą na całym świecie. Gdy idzie o ciebie, nie dbam o sprawiedliwość, własną reputację i całą Anglię. Dla ciebie gotów jestem bez chwili wahania popełnić przestępstwo. Jesteś dla mnie ważniejsza od wszelkich zasad, od polityki, od wszystkiego. Tak to wygląda w rodzinie. To, co tak bardzo mnie boli, to fakt, że ty nie odwzajemniasz mi się tym samym. A może nie mam racji? Może jesteś gotowa to zrobić?

Rozpaczliwie chciała powiedzieć, że tak.

— Czy możesz być wobec mnie lojalna, nawet kiedy postępuję niewłaściwie, tylko dlatego, że jestem twoim ojcem?

Przecież nim nie jesteś, pomyślała. Schyliła głowę, nie miała odwagi na niego spojrzeć.

Przez minutę siedzieli w milczeniu. Potem ojciec wytarł nos. Wstał i ruszył do wyjścia. Wyjął z zamka klucz i wyszedł zamykając za sobą drzwi. Charlotte usłyszała, jak przekręca klucz w zamku

z drugiej strony.

Wy buchnęła płaczem.

To było drugie z kolei koszmarne przyjęcie, które Lidia wydała w ciągu ostatnich dwu dni. Była jedyną kobietą przy stole. Sir Arthur miał ponure spojrzenie, ponieważ zakrojona na szeroką skalę obława nie przyniosła żadnych efektów. Charlotte i Aleks zamknięci byli w swoich pokojach. Basil Thomson i Stephen traktowali się z lodowatą grzecznością, ponieważ Thomson odkrył, że Charlotte pomaga Feliksowi i zagroził, że wtrąci ją do więzienia. Był także Winston Churchill. Przywiózł ze sobą traktat, który podpisali wspólnie z Alekssem, ale nikogo to nie cieszyło, ponieważ wszyscy zdawali sobie sprawę, że jeśli Aleks zginie, car nie

277

zgodzi się na ratyfikację. Im prędzej Aleks opuści ziemię brytyjską, oświadczył Churchill, tym lepiej. Thomson poinformował ich, że ustali bezpieczną trasę przejazdu, zapewni Aleksowi doskonałą ochronę, i że może on wyjechać już jutro. Wszyscy poszli wcześniej spać, bo nie było już nic do zrobienia.

Lidia wiedziała, że nie zaśnie. Nic się nie rozstrzygnęło. Spędziła całe popołudnie jakby w letargu, zamroczona laudanum, starając się zapomnieć, że Feliks przebywa w jej domu. Aleks wyjedzie jutro: gdyby tylko udało się go uchronić od niebezpieczeństwa przez kilka najbliższych godzin... Rozmyślała, czy nie dałoby się w jakiś sposób nakłonić Feliksa, żeby przełożył zamach na następny dzień. Może powinna do niego pójść i okłamać go, mówiąc, że jutro w nocy nadarzy się świetna okazja do zamordowania Aleksa. Nigdy w to nie uwierzy. To był beznadziejny pomysł. Ale raz powzięta myśl o złożeniu wizyty Feliksowi już jej nie opuszczała. Wystarczy otworzyć drzwi, myślała, przejść korytarzem, potem po schodach i znowu korytarzem, do pokoju dzieciennego, przez garderobę i tam...

Zacisnęła mocno oczy i naciągnęła na głowę prześcieradło. Niebezpieczny był każdy ruch. Najlepiej nie robić nic, pozostać w bezruchu, w paraliżu. Zostawić Charlotte i Feliksa samym sobie, zapomnieć o Aleksie, zapomnieć o Churchillu.

Nie potrafiła jednak przewidzieć, co może się

wydarzyć bez jej udziału. Charlotte mogła pójść do Stephena i powiedzieć mu: „Nie jesteś moim ojcem”. Stephen mógł zabić Feliksa. Feliks mógł zabić Aleksa. Charlotte mogła zostać oskarżona o morderstwo. Feliks mógł przyjść tutaj, do tego pokoju i pocałować ją.

Znowu zawodziły ją nerwy, czuła, że zaczyna się kolejna migrena. Noc była bardzo ciepła. Laudanum już nie działało, ale wypła przy kolacji dużo wina i nadal była lekko zamroczona. Z jakiegoś powodu miała niezwykle tkliwą skórę, przy każdym ruchu jedwab drażnił jej piersi. Była rozdygotana, zarówno duchowo, jak i fizycznie. Przez chwilę pragnęła, żeby przyszedł do niej Stephen, a potem pomyślała: nie, nie zniósłabym tego.

Świadomość, że Feliks jest w pokoju dziecinnym, nie dawała jej zasnąć, była niczym światło świecące prosto w oczy. Zrzuciła prześcieradło, wstała i podeszła do okna. Otworzyła je szerzej. Wiatr na zewnątrz nie był wiele chłodniejszy od powietrza w pokoju. Kiedy wychyliła się i spojrzała w dół, zobaczyła dwie lampy palące się przy portyku i przechadzającego

się przed domem policjanta. Pod jego butami chrzęścił żwir alejki.

Co robi Feliks tam na górze? Sporządza bombę? Ładuje pistolet? Ostrzy nóż? Śpi w oczekiwaniu na właściwy moment? A może kręci się

278

po domu i obmyśla sposób, jak poradzić sobie z pilnującymi Aleksa strażnikami?

Przecież nic nie mogę zrobić, pomyślała, kompletnie nic.

Wzięła do ręki książkę, Wiersze z Wessex Hardy'ego. Dlaczego ją wybrałam, zastanawiała się. Otworzyła ją na tej samej stronie co rano. Zapaliła nocną lampkę, usiadła i przeczytała cały wiersz. Nosił tytuł Dylemat.

W milczeniu stali razem w półmroczonej kaplicy; Pośród ścian z zaciekami, nadkruszonych płyt i tablic, którymi wzgardziliby historycy. Zegara brzmiał jedynie monotony zgrzyt.

Wtem on, wsparty ramieniem na słupku spróchniałym — Tak słaby już, że musiał opierać się oń, I jakże bliski śmierci — rzekł głosem nadzieją nabrzmiałym: „Ach, powiedz mi, że

kochasz" — ścisnąwszy jej dłoń.

Świat by cały oddała, by mu „tak" odrzec szczerze, Życie jego zawisło — czuła! — od tych słów; I jej serce szeptało: „Powiedz, choćby w złej wierze! Duszę warto poświęcić, aby dobrą być: mów!"

Lecz posępna konieczność, ów cień śmierci kroczącej, Tak z jej uczuć sztywna, że ogarniał ją wstyd Za ten świat źle stworzony, los tak oddech dławiący Za tak podły dylemat postawiony przez Byt.'

To prawda, pomyślała. Któż może postępować właściwie, kiedy życie urządzone jest w ten sposób?

Głowa rozboleła ją tak strasznie, że myślała, iż pęknie jej czaszka. Podeszła do szuflady i łyknęła laudanum prosto z butelki. Po chwili łyknęła znowu.

Potem poszła do pokoju dziecinnego.

* Przekład Jan Gondowicz

15.

usiąło stać się coś złego. Feliks nie widział się z Charlotte od południa, kiedy to przyniosła mu miednicę, dzbanek wody, ręcznik i kawałek

mydła. Z pewnością zatrzymało ją coś poważnego: być może zmuszono ją do wyjazdu z domu albo wyczuła, że jest śledzona. Ale na pewno go nie wydała, dowodził tego fakt, że wciąż tu przebywał.

Zresztą i tak już nie była mu potrzebna.

Wiedział, gdzie jest Orłów i wiedział, gdzie znajduje się broń. Nie mógł dostać się do pokoju Orłowa, ponieważ księżę był zbyt dobrze strzeżony; musiał zatem wykurzyć szczura z kryjóWKi. Wiedział, jak tego dokonać.

Nie skorzystał wcześniej z mydła i wody, bo mała komórka była zbyt niska i ciasna, by mógł się tu wyprostować i umyć, a zresztą nie dbał za bardzo o czystość; ale teraz zrobiło mu się bardzo gorąco, ubranie kleiło się do ciała i chciał się trochę odświeżyć, zanim przystąpi do akcji. Przeniósł miednicę z wodą do pokoju dziecinnego.

Przez chwilę dziwnie się poczuł w miejscu, gdzie Charlotte spędziła w dzieciństwie tyle godzin. Pozbył się tej myśli: nie czas teraz na sentymeny. Rozebrał się do naga i umył przy świetle jedynej świecy. Ogarnęło go znajome,

radosne podniecenie przed akcją. Miał wrażenie, że cały promieniuje. Dzisiaj mi się uda, pomyślał z wściekłością, nawet choćbym musiał nie wiem ilu ich zabić. Natarł się cały mocno ręcznikiem. Poruszał się sprężysto, czując w gardle napięcie, które sprawiało, że miał ochotę krzyczeć. To dlatego rycerze wznoszą przed walką okrzyki bojowe, pomyślał. Spojrzał w dół na swoje ciało i spostrzegł, że ma erekcję.

W tym momencie usłyszał głos Lidii:

— No, no, zapuściłeś brodę.

Obrócił się i wpatrywał osłupiałym wzrokiem w ciemność.

M

280

Podeszła bliżej i znalazła się w kręgu światła. Na ramiona opadały jej rozpuszczone jasne włosy. Miała na sobie długą białą nocną koszulę z dopasowanym stanikiem i podniesioną talią. Wyżej jaśniały odsłonięte ramiona. Uśmiechała się.

Oboje przyglądali się sobie w bezruchu. Otworzyła kilka razy usta, żeby coś powiedzieć, ale nie zdołała wymówić ani słowa. Feliks czuł,

jak krew pulsuje mu w lędźwiach. Ile to czasu, pomyślał impulsywnie, ile czasu minęło, odkąd po raz ostatni stałem nagi przed kobietą?

Poruszyła się, ale to nie złamało zaklęcia. Zrobiła krok do przodu i uklękła u jego stóp. Zamknęła oczy i przytuliła twarz do jego nóg. Kiedy spojrzał w dół, na jej policzkach zalśniły w blasku świecy łzy.

Lidia miała znowu dziewiętnaście lat, miała młode, silne i nie znające zmęczenia ciało. Było już po skromnym weselu i mieszkała teraz ze swym mężem w małym, wynajętym domku na wsi. Za oknem, w ogrodzie, sypał cicho śnieg. Kochali się przy świetle świecy. Całowała go po całym ciele. „Zawsze cię kochałem — mówił — przez te wszystkie lata”, mimo że od ich pierwszego spotkania minęło przecież zaledwie kilka tygodni. Jego broda drapała ją w piersi, choć nie mogła sobie przypomnieć, by kiedykolwiek zapuszczał brodę. Przyglądała się jego rękom, dotykającym jej wszędzie, penetrującym wszystkie sekretne miejsca jej ciała. „To ty — mówiła — to ty mi robisz to wszystko”, tak jakby był kiedykolwiek ktoś inny,

kto robił z nią te rzeczy, kto dawał jej tak wielką, nasilającą się z każdą chwilą rozkosz. Zadrapała go w ramię długim paznokciem. Patrzyła, jak pręga nabrzmięwa krwią, a potem nachyliła się i zlizwała ją łapczywie. „Ty kotko!”, powiedział. Przez cały czas zachłannie się dotykali, byli niczym dzieci pozostawione bez nadzoru w sklepie z łakociami, które próbują wszystkiego po kolei, dotykając, oglądając i smakując, i wciąż nie dowierzają swemu niewiarygodnemu szczęściu. „Cieszę się, żeśmy razem uciekli”, powiedziała, a wtedy on dziwnie posmutniał, więc powiedziała: „Włóż mi tam palec”, i smutek ustąpił z jego twarzy, i pojawiło się na niej pożądanie. Ale teraz ona z kolei uświadomiła sobie, że z oczu płyną jej łzy i sama nie wiedziała, dlaczego. Nagle wydało jej się, że to wszystko sen i z przerażeniem pomyślała, że zaraz się obudzi. „Róbmy to już, szybko”, poprosiła i połączyli się, a wtedy uśmiechnęła się przez łzy i powiedziała: „Pasujemy”. Zdawało się, że poruszają się jak tancerze, jak flirtujące motyle. „To takie przyjemne — mówiła — słodki Jezu, to jest takie przyjemne — a po chwili: — myślałam, że już

nigdy w życiu tego nie doznam". Jej oddech przeszedł w jęk. Przytulił twarz do jej szyi, ale ujęła jego głowę w dłonie i odsunęła, żeby mógł na nią patrzeć. Teraz wiedziała, że to nie sen. To była jawa. Między jej gardłem

281

a podstawą kręgosłupa napięta była struna i za każdym razem, kiedy wibrowała, całe jej ciało śpiewało jednym tonem pieśń rozkoszy, coraz głośniej i głośniej. „Patrz na mnie” krzyknęła tracąc nad sobą panowanie, a on odparł łagodnie: „Patrzę” i ton rozbrzmiał jeszcze głośniej. „Jestem przeklęta!” krzyknęła, kiedy zaczął się orgazm. „Patrz na mnie, jestem przeklęta!” Szarpnęła się konwulsyjnie, struna napięła się jeszcze bardziej, rozkosz przeszywała ją coraz mocniej, aż poczuła, że odchodzi od zmysłów, a kiedy doszła do najwyższej nuty, struna pękła. Lidia osunęła się i straciła przytomność.

Feliks ułożył ją delikatnie na podłodze. W świetle świecy jej twarz wydawała się spokojna, znikło całe napięcie: wyglądała jak ktoś, kto umarł szczęśliwie. Była blada, ale oddychała normalnie. Zapadła w letarg. Wiedział, że Lidia

jest pod działaniem narkotyku, ale nie dbał o to. Czuł się wyczerpany i słaby, bezbronny, wdzięczny i bardzo zakochany. Moglibyśmy zacząć wszystko od początku, pomyślał: jest przecież wolną kobietą, może zostawić męża i pojechać ze mną do Szwajcarii. Charlotte mogłaby się do nas przyłączyć...

To nie są opiumiczne fantazje, mówił sobie. Układali takie plany z Lidią już wcześniej, dziewiętnaście lat temu, w Petersburgu; a potem okazało się, że zupełnie nie potrafią przeciwstawić się woli przyzwoitych, poważanych ludzi. Nie, takie rzeczy się nie zdarzają, pomyślał, przynajmniej nie w realnym życiu. Doznamy tylko kolejnego zawodu.

Nigdy nie pozwolą mi się z nią połączyć.

Ale mogę się zemścić.

Wstał i szybko włożył na siebie ubranie. Wziął do ręki świeczkę. Raz jeszcze spojrzął na nią. Nadal miała zamknięte oczy. Chciał po raz ostatni jej dotknąć, pocałować w miękkie usta. Powstrzymał się. Nigdy więcej, powiedział sobie. Odwrócił się i wyszedł z pokoju.

Stapał miękko po dywanie, którym wyłożony

był korytarz, a potem zszedł na dół po schodach. Świeca rzucała niesamowite ruchome cienie. Mogę dzisiaj umrzeć, pomyślał, ale najpierw zabiję Orłowa i Waldena. Widziałem się z moją córką, kochałem z żoną, a teraz uśmiercę swoich nieprzyjaciół. Potem mogę umrzeć.

Na podeście pierwszego piętra stuknął butem o gołą posadzkę. Na chwilę zastygł w bezruchu i nasłuchiwał. Pod stopami nie czuł dywanu; podest wyłożony był marmurem. Czekał. Nie doszedł go żaden odgłos. Zdjął buty i ruszył dalej boso: nie miał na nogach skarpetek.

W domu wygaszone były wszystkie światła. Czy nikt nie włóczy się tutaj po nocy? Może ktoś poczuł głód i wyprawił się do spiżarni? Może lokajowi przyśniło się, że słyszy jakieś hałasy i postanowił zrobić obchód?

282

Może któremuś z wartowników pilnujących Orłowa zachciało się do ubikacji? Feliks natężył słuch, gotów przy najmniejszym szmerze schować się i zgasić świeczkę.

Zatrzymał się w hallu i wyjął z kieszeni kurtki plan pałacu narysowany przez Charlotte. Przez

chwile przyglądał się szkicowi parteru przyświecając sobie świeczką, a potem skręcił w korytarz na prawo.

Minął bibliotekę i znalazł się w zbrojowni.

Zamknął za sobą bezszelestnie drzwi. Zobaczył, jak tuż nad nim rozwiera się olbrzymia, dzika paszcza i odruchowo odskoczył. Z ust wydarł mu się cichy okrzyk. Świeczka zgasła. W ciemnościach zdał sobie sprawę, że to tylko wypchana głowa tygrysa zawieszona na ścianie. Zapalił ponownie świeczkę. Ze wszystkich stron otaczały go myśliwskie trofea: głowy lwa, jelenia, nawet nosorożca. W swoim czasie Walden musiał brać udział w niejednym safari. W szklanej gablocie widać było także olbrzymią rybę.

Postawił świeczkę na stole. Broń tkwiła w stojaku przy ścianie. Były tam trzy pary dubeltówek, każda o dwóch lufach, winchester oraz coś, co zdaniem Feliksa musiało być sztucерem na słonie. W życiu nie widział sztucera na słonie. W życiu nie widział też słonia. Przez kabłaki przy spustach biegł łańcuch zabezpieczający strzelby. Feliks przyjrzał mu się uważnie. Przymocowany był kłódką do skobla,

skobel zaś przyśrubowano do drewnianej obudowy stojaka.

Rozwazał różne możliwości. Musiał zdobyć broń. Gdyby miał kawałek twardego metalu, choćby śrubokręt, mógłby spróbować wyłamać kłódkę; ale w końcu doszedł do wniosku, że łatwiej będzie odkręcić śruby mocujące skobel i przeciągnąć przez kabłąki cały łańcuch razem z kłódką i skoblem.

Ponownie rzucił okiem na plan Charlotte. Zaraz za zbrojownią był pokój kwiatowy. Wziął do ręki świeczkę i ruszył ku drzwiom. Znalazł się w niewielkim, chłodnym pomieszczeniu. Był tam stół z marmurowym blatem i kamienny zlew. Nagle usłyszał czyjeś stąpanie. Zgasił świeczkę i przykucnął. Odgłos dochodził z zewnątrz, z wysypanej żwirem ścieżki; to musiał być któryś z wartowników. Zamigotało światło latarki. Feliks przywarł płasko do drzwi tuż przy oknie. Blask był coraz silniejszy; kroki zbliżały się. Ktoś zatrzymał się przy oknie i za szybą błysnęła latarka, oświetlając wnętrze pokoju. Feliks dostrzegł półkę przy zlewie i kilka narzędzi wiszących na hakach: nożyce, sekator, małą

grackę do pielenia grządek i nóż. Wartownik próbował otworzyć drzwi, za którymi stał Feliks; były zamknięte na klucz. Kroki oddaliły się, światło zgasło. Feliks odczekał chwilę. Co zrobi wartownik? Najprawdopodobniej jego uwagę przyciągnął blask świecy Feliksa. Ale pewnie w końcu doszedł do wniosku, że to tylko odbicie jego własnej latarki. Albo że któryś z domowników miał jakiś

283

ważny powód, by odwiedzić pokój kwiatowy. Wartownik mógł też okazać się nadgorliwcem i przyjść tutaj, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku.

Zostawiając otwarte drzwi Feliks wyslizgnął się z pokoju kwiatowego, minął zbrojownię i wszedł do biblioteki, szukając po omacku drogi w ciemnościach i trzymając w ręku nie zapaloną świeczkę. Usiadł na podłodze za wielką skórzaną kanapą i policzył powoli do tysiąca. Nikt się nie pojawił. Wartownik nie okazał się nadgorliwy.

Wrócił do zbrojowni i zapalił ponownie świeczkę. W oknach wisiały tutaj ciężkie kotary; natomiast w pokoju kwiatowym nie było żadnych

zasłon. Wsunął się tam ostrożnie, zabrał nóż, wycofał się do zbrojowni i pochylił nad stojakiem na broń. Ostrzem noża starał się odkręcić śruby mocujące skobel. Drewno było stare i twarde, ale w końcu udało mu się obruszyć śruby i odczepić strzelby z łańcucha.

W pokoju były trzy kredensy. W jednym stała brandy, whisky i kieliszki. Drugi zawierał roczniki pisma Horse and Hound i wielki, oprawny w skórę tom zatytułowany Księga Łowiecka. Trzeci kredens zamknięty był na klucz: tam musiała znajdować się amunicja.

Feliks wyłamał zamek ogrodowym nożem.

Do wyboru miał winchestera, dubeltówkę i sztucer na słońce — z tych trzech rodzajów broni najbardziej odpowiadał mu winchester. Szperając w pudełkach z amunicją, stwierdził jednak, że brak w nich naboji zarówno do winchestera, jak i do sztucera; obie strzelby najwidoczniej przechowywane były tylko w charakterze pamiątek. Musiał zadowolić się którąś z dubeltówek. Wszystkie były kalibru dwanaście, a jedyną amunicją stanowił gruby śrut. Żeby mieć pewność, że jego ofiara zginie, musiał strzelić do

niej z odległości nie większej niż dwadzieścia metrów. Po załadowaniu dubeltówki będzie mógł oddać tylko dwa strzały.

Cóż z tego, pomyślał, przecież chcę zabić tylko dwóch ludzi.

Wciąż miał przed oczyma obraz Lidii leżącej na podłodze w pokoju dzieciennym. Kiedy pomyślał o tym, jak się kochali, przepełniła go radość. Zniknął gdzieś fatalizm, który go ogarnął zaraz potem. Dlaczego miałbym zginąć, pomyślał. Kto wie, co może się zdarzyć, kiedy zabiję Waldena.

Załadował broń.

Teraz, myślała Lidia, pozostało mi się tylko zabić.

Nie widziała przed sobą żadnej innej możliwości. Po raz drugi w życiu upadła tak nisko, na samo dno. Wystarczyło, że pojawił się Feliks i na nic zdały się te wszystkie lata, kiedy starała się zachować samodyscyplinę. Nie mogła dłużej żyć ze świadomością, kim jest. Chciała umrzeć.

Zastanawiała się, jak ma to zrobić. Czy mogła się czymś otruć? W pałacu musiała być gdzieś

trutka na szczury, ale ona oczywiście nie

284

wiedziała gdzie. Większa dawka laudanum? Nie była pewna, czy ma je w wystarczającej ilości. Przypomniała sobie, że można się otruć gazem, ale Stephen założył w domu elektryczność. Zastanawiała się, czy mogłaby się zabić skacząc z najwyższego piętra. Bała się jednak, że zamiast zginąć, złamie sobie kręgosłup i resztę życia spędzi sparaliżowana na wózku. Nie wiedziała, czy starczy jej odwagi, by podciąć sobie żyły; poza tym to tak długo trwa, zanim człowiek wykrwawi się na śmierć. Najprościej będzie się zastrzelić. Doszła do wniosku, że potrafi chyba naładować broń i pociągnąć za spust: tyle razy to widziała. Ale potem przypomniała sobie, że broń jest zamknięta na kłódkę.

Wtedy przyszło jej na myśl jezioro. Tak, to było najlepsze rozwiązanie. Wróci teraz do swego pokoju, włoży szlafrok, wymknie się z pałacu bocznymi drzwiami, żeby nie zobaczył jej policjant, przejdzie przez park po zachodniej stronie, za rododendronami, a potem idąc przez las dotrze na brzeg jeziora. Będzie musiała po

prostu iść dalej, coraz dalej, aż tafla chłodnej wody zamknie się nad jej głową; a wtedy otworzy usta i mniej więcej po minucie będzie po wszystkim.

Wyszła z pokoju dziecinnego i ruszyła pogrążonym w mroku korytarzem. Zobaczyła smugę światła pod drzwiami sypialni Charlotte i zawahała się. Chciała po raz ostatni zobaczyć swoją małą dziewczynkę. Klucz tkwił w zamku na zewnątrz. Przekręciła go i weszła do środka.

Charlotte siedziała na krześle przy oknie, całkowicie ubrana, ale pogrążona we śnie. Twarz miała bladą, tylko pod jej oczami widniały czerwone obwódki. Rozpuściła włosy. Lidia zamknęła drzwi i podeszła do córki. Charlotte otworzyła oczy.

— Co się stało? — zapytała.

— Nic — odparła Lidia siadając.

— Pamiętasz, jak odeszła od nas niania? — spytała córka.

— Tak. Byłaś już duża, trzeba było przyjąć dla ciebie guwernantkę, a ja nie miałam więcej dzieci.

— Zupełnie wyleciało mi to z pamięci przez te lata. Przypomniałam sobie dopiero teraz. Nigdy

nie wiedziałaś, że uważałam nianię za swoją matkę, prawda?

— Nie wiem... tak myślałaś? Zawsze przecież nazywałaś mnie mamą, a ją nianią...

— Tak — Charlotte mówiła powoli, prawie chaotycznie, jakby była całkowicie pogrążona w odległych wspomnieniach. — Ty byłaś mamą, a niania nianią, ale każdy musi mieć jakąś matkę, rozumiesz, i kiedy niania mi powiedziała, że ty nią jesteś, wtedy odpowiedziałam: nie wygłupiaj się, nianiu, przecież to ty jesteś moją matką. A niania tylko się roześmiała. Niedługo potem ją odprawiłaś. O mało mi serce nie pękło.

— Nigdy nie przypuszczałam...

285

— Maria oczywiście nic ci nie powiedziała. Czego można się spodziewać po guwernantce?

Charlotte nie oskarżała matki, po prostu usiłowała coś sobie przypomnieć, coś wyjaśnić.

— Jak widzisz — mówiła dalej — najpierw miałam nie tę matkę, a teraz, na dodatek, mam nie tego ojca. To ta nowa sprawa chyba spowodowała, że przypomniałam sobie historię z nianią.

— Musisz mnie nienawidzić — powiedziała Lidia. — Rozumiem to. Sama się nienawidzę.

— Nie nienawidzę cię, mamó. Byłam na ciebie okropnie zła, ale nigdy cię nie nienawidziłam.

— Ale uważasz mnie za hipokrytkę.

— Nawet nie to.

Lidia poczuła, jak ogarnia ją spokój.

— Zaczynam rozumieć — mówiła Charlotte — dlaczego tak strasznie starałaś się zachować pozory przyzwoitości, dlaczego tak bardzo nie chciałaś, żebym dowiedziała się czegokolwiek o seksie... pragnęłaś po prostu uchronić mnie przed tym, co przytrafiło się tobie. Zrozumiałam, że to są bardzo trudne decyzje i że czasami trudno je podjąć, bo nie wiadomo, co jest dobre, a co złe; dlatego uważam, że oceniałam cię zbyt surowo i że w ogóle nie miałam prawa cię oceniać... i nie jestem z siebie bardzo dumna.

— Wiesz, że cię kocham?

— Tak... ja też cię kocham, mamó, i dlatego czuję się taka załamana. Lidii zakręciło się w głowie. Była to ostatnia rzecz, jakiej by

się spodziewała. Po wszystkim, co się wydarzyło — kłamstwach, zdradzie, gniewie i

goryczy — Charlotte wciąż ją kochała. Wypełniła ją błoga radość. Zabijać się? Dlaczego miałabym się zabijać? — pomyślała.

— Szkoda, że wcześniej nie rozmawialiśmy w ten sposób — powiedziała.

— Och, nie masz pojęcia, jak bardzo tego chciałam — odparła córka. — Zawsze tak świetnie mi objaśniałaś, jak należy się ładnie kłaniać, jak przytrzymywać tren u sukni, jak wdzięcznie siedzieć i jak się czesać... a ja chciałam, żebyś w ten sam sposób wytłumaczyła mi poważne sprawy: jak to jest, kiedy ktoś się zakochuje albo rodzi dzieci. Ale ty nigdy tego nie zrobiłaś.

— Nigdy nie potrafiłam — stwierdziła Lidia.
— Sama nie wiem, dlaczego.

Charlotte ziewnęła.

— Myślę, że teraz pójdę spać. — Wstała z krzesła. Lidia pocałowała ją w policzek i objęła.

286

— Kocham także Feliksa, wiesz o tym — powiedziała Charlotte. — To się nie zmieniło.

— Rozumiem. Ja także go kocham.

— Dobranoc, mamó.

— Dobranoc.

Lidia wyszła szybko i zamknęła za sobą drzwi. Na korytarzu zawahała się. Co zrobi Charlotte, jeśli nie zamknie jej na klucz? Postanowiła oszczędzić jej męki podejmowania decyzji. Przekręciła klucz w zamku.

Zeszła po schodach i skręciła do swojej sypialni. Była taka szczęśliwa, że porozmawiała z Charlotte. Być może, myślała, uda się mimo wszystko uratować tę rodzinę; nie mam pojęcia jak, ale na pewno jakoś się uda. Weszła do pokoju.

— Gdzie byłaś? — zapytał Stephen.

Teraz, kiedy Feliks miał broń, pozostało mu tylko wypłoszyć Orłowa z jego pokoju. Wiedział, jak to zrobi. Miał zamiar podpalić dom.

Trzymając w jednej ręce strzelbę, a w drugiej świecę, przeszedł, wciąż na bosaka, przez skrzydło zachodnie, potem przez hall i znalazł się w bawialni. Jeszcze tylko kilka minut, pomyślał; potrzebuję tylko kilku minut i będzie po wszystkim. Minął dwie jadalnie, pokój kelnerów i dotarł do pomieszczeń kuchennych. Plan Charlotte nie był już tutaj taki dokładny i musiał sam szukać wyjścia. Trafił na zamknięte na rygiel

wielkie drzwi z grubo ciosanych desek. Podniósł rygiel i cicho je uchylił.

Zgasił świeczkę i stanął w przejściu. Po minucie zdołał dostrzec zarysy budynku. Odetchnął z ulgą: bał się używać na zewnątrz świeczki z uwagi na wartowników.

Przed sobą miał niewielki kamienny dziedziniec. Po przeciwnej stronie, jeśli plan był ścisły, znajdowały się garaże, warsztat i zbiornik z benzyną.

Przeciął na ukos podwórko. Domyślił się, że budynek, który widział przed sobą, musiał pełnić kiedyś rolę stodoły. Część mieszcząca prawdopodobnie warsztat była zamknięta, pozostała zaś otwarta. W ciemności połyskiwały nieznacznie wielkie reflektory dwóch dużych samochodów. Gdzie jest zbiornik z benzyną? Spojrzał w górę. Budynek był dość wysoki. Dał krok do przodu i uderzył się w czoło... o przewód od pompy. Zwisał z górnej części budynku.

Całkiem nieźle pomyślane: samochody stały w stodole, a zbiornik z benzyną był na górze. Żeby zatankować, wystarczyło wyjechać na dziedziniec i wsadzić końcówkę węża do baku.

Wspaniale, pomyślał.

Teraz potrzebował jakiegoś naczynia. Idealnie nadawałby się kanister o pojemności dwóch galonów. Wszedł do garażu i zaczął myszkować

287

między samochodami, stawiając ostrożnie stopy, żeby niczego nie przewrócić i nie narobić hałasu.

Nie było tam ani jednego kanistra.

Przypomniał sobie plan. Znajdował się blisko kuchennego ogrodu. Powinny tam być jakieś konewki. Miał właśnie pójść się rozejrzeć, kiedy usłyszał, że ktoś pociąga nosem.

Minął go policjant.

Feliks słyszał bicie własnego serca.

Światło lampy naftowej niesionej przez policjanta błędziło po dziedzińcu. Czy zamknąłem drzwi do kuchni, zastanawiał się w panice Feliks. Lampa oświetliła drzwi: wyglądały na zamknięte.

Policjant ruszył dalej.

Feliks zdał sobie sprawę, że wciąż wstrzymuje oddech i wypuścił powietrze z płuc z głębokim westchnieniem.

Poczekał minutę, aż policjant się oddali, a potem ruszył na poszukiwanie ogrodu w tym samym co on kierunku.

Nie znalazł tam żadnej konewki, ale potknął się o zwinięty gumowy wąż. Ocenił jego długość na jakieś trzydzieści metrów. Do głowy przyszedł mu straszliwy pomysł.

Przede wszystkim musiał wiedzieć, jak często przechodzi tędy policjant. Zaczął liczyć, a tymczasem przeniósł gumowy wąż na dziedziniec i ukrył się razem z nim za samochodami.

Doliczył do dziewięciuset dwóch, kiedy policjant pojawił się ponownie.

Miał zatem około piętnastu minut.

Nałożył ogrodowy wąż na końcówkę pompy, a potem ruszył przez podwórko rozwijając go po drodze. Zatrzymał się na chwilę w kuchni i zabrał z niej ostry rożen do mięsa. Zapalił ponownie świeczkę i wrócił przez dom tą samą drogą, którą przyszedł, ciągnąc wąż przez pokój kelnerów, obie jadalnie, bawialnię, hall, korytarz, aż do biblioteki. Wąż był ciężki i rozwijając go trudno mu było zachować ciszę. Cały czas nasłuchiwał odgłosu kroków, ale dochodziło go jedynie

skrzywienie starego domu układającego się do snu. Wszyscy byli teraz w łóżkach, nie miał co do tego wątpliwości, ale zawsze przecież ktoś mógł zejść na dół na szklaneczkę brandy w bawialni, po jakąś książkę z biblioteki albo żeby zjeść kanapkę w kuchni.

Jeżeli coś takiego się stanie, pomyślał, gra będzie skończona.

Jeszcze tylko parę minut — tylko parę minut!

Niepokoił się, czy wąż okaże się wystarczająco długi, ale sięgnął aż do drzwi biblioteki. Potem ruszył z powrotem, dziurawiąc co kilka metrów przewód ostrzem różna.

Wydostał się kuchennymi drzwiami i wszedł do garażu. Chwycił oburącz strzelbę niczym maczugę.

288

Wydawało mu się, że czeka całe wieki.

W końcu usłyszał kroki. Policjant minął go i zatrzymał się oświetlając wąż swoją latarnią. Chrząknął ze zdumieniem. Feliks zdzielił go dubeltówką. Policjant zachwiał się.

— Giń, bydlaku — syknął Feliks i znowu uderzył go z całej siły. Policjant upadł, a Feliks

uderzył go jeszcze raz z dziką satysfakcją. Tamten legł bez ruchu.

Feliks odwrócił się i wymacał miejsce, w którym wąż nałożony był na przewód od pompy. Znajdował się tam kranik, który otwierał i zamykał przepływ paliwa.

Odkręcił go.

— Zanim za ciebie wyszłam — powiedziała pod wpływem nagłego impulsu Lidia — miałam kochanka.

— Dobry Boże! — szepnął Stephen.

Dlaczego mu to powiedziałam? — pomyślała. Bo ukrywanie prawdy ściągnęło na nas wszystkich same nieszczęścia i chcę z tym wreszcie skończyć.

— Mój ojciec dowiedział się o wszystkim — mówiła. — Na jego polecenie uwięziono i poddano torturom mojego kochanka. Ojciec obiecał, że natychmiast przestaną go torturować, jeśli zgodzę się wyjść za ciebie za mąż i że gdy tylko wyjedziemy do Anglii, wypuszczą go z więzienia.

Obserwowała jego twarz. Nie był tak mocno zraniony, jak się tego spodziewała, raczej

przerażony.

— Twój ojciec był niegodziwym człowiekiem — powiedział.

— To ja byłam niegodziwa wychodząc za ciebie za mąż, mimo że cię nie kochałam.

— Och... — Teraz na jego twarzy pojawiło się cierpienie. — Jeśli o to chodzi, to i ja nie byłem w tobie zakochany. Oświadczyłem ci się, bo umarł mi ojciec i potrzebowałem żony, która sprawowałaby obowiązki księżnej Walden. Dopiero później tak beznadziejnie się w tobie zakochałem. Mógłbym powiedzieć, że ci przebaczam, ale nie mam do tego prawa.

Czy to aż takie łatwe? — pomyślała. Czy to możliwe, żeby wszystko mi przebaczył i nadal mnie kochał? Gdzieś obok nich czaiła się śmierć i może dlatego wszystko przychodziło tak łatwo.

— Mam ci jeszcze coś do powiedzenia — brnęła dalej — coś znacznie gorszego.

Na jego twarzy dostrzegła jednocześnie ból i zaniepokojenie.

— Sądzę, że lepiej będzie, jak mi powiesz.

— Kiedy cię poślubiłam, byłam... byłam już w ciąży.

19 — Człowiek.

289

Zbladł.

— Charlotte!

Lidia skinęła głową w milczeniu. Wpatrywał się w nią nieprzytomnie.

— Nie jest moja — powtarzał bezmyślnie — nie jest moja.

Jak wiele to dla niego znaczyło, pomyślała. Nikt inny spośród angielskiej arystokracji nie rozprawiał tyle o właściwym wychowaniu i o więzach krwi. Pamiętała, jak przyglądał się Charlotte, mrużąc pod nosem: „Krew z krwi i kość z kości”; był to jedyny cytat z Biblii, jaki kiedykolwiek usłyszała z jego ust. Pomyślała o tym, co sama czuła: o tajemnicy nowego istnienia, które najpierw jest częścią matki, a potem uniezależnia się, staje się kimś samodzielnym, ale właściwie nigdy nie zrywa do końca pępowiny. To samo muszą odczuwać mężczyźni, nie zawsze zdajemy sobie z tego sprawę, ale tak właśnie musi być.

Miał wymizerowaną, szarą twarz. Postarzał się nagle o dobre kilka lat.

— Dlaczego mówisz mi to dopiero teraz? — zapytał.

Nie potrafię, pomyślała, nie mam siły mówić dalej, tak bardzo go już zraniłam. Ale czuła się tak, jakby zjeżdżała z góry i nie była w stanie się zatrzymać.

— Ponieważ Charlotte spotkała swojego prawdziwego ojca i dowiedziała się o wszystkim.

— Biedne dziecko. — Stephen ukrył twarz w dłoniach.

Lidia uprzytomniła sobie, że następne pytanie będzie brzmiało: kto jest jej ojcem? Ogarnęła ją panika. Nie mogła mu tego powiedzieć — to by go zabiło. Ale chciała mu powiedzieć, chciała wreszcie zrzucić z siebie brzemię wszystkich grzesznych tajemnic. Nie pytaj, modliła się, jeszcze nie teraz, nie wszystko naraz.

Podniósł na nią wzrok. Jego twarz straciła wszelki wyraz. Był, pomyślała, niczym sędzia ferujący obojętnie wyroki; a ona siedziała na ławie oskarżonych.

Nie pytaj!

— Ojcem jest oczywiście Feliks — powiedział. Zaniemówiła z wrażenia.

Kiwnął głową, jakby takiej właśnie reakcji się spodziewał.

Co teraz zrobi? — zastanawiała się z obawą. Wpatrywała się w jego twarz, ale nie potrafiła nic z niej wyczytać; był dla niej teraz kimś zupełnie obcym.

— Dobry Boże, co myśmy najlepszego uczynili — jęknął. Lidia nagle odzyskała głos.

— Pojawił się akurat wtedy, kiedy zaczęła widzieć w swoich rodzicach ludzi słabych i omylnych. A on był zbuntowany, pełen

290

życia i nowych idei... nietrudno mu było oczarować młodą dziewczynę o niezależnych poglądach... Wiem, to samo przydarzyło się i mnie... Poznała go, polubiła i pomogła mu, ale ona kocha ciebie, Stephenie, i w tym sensie należy do ciebie. Nie można przestać cię kochać... nie można...

Miał twarz jak z drewna. Wolałaby, żeby krzyczał, żeby ją obrzucił obelgami, nawet pobił. Ale on siedział nieruchomo wlepiając w nią ten swój sędziowski wzrok.

— A ty? — zapytał. — Czy ty też mu

pomogłaś?

— Nie, a jeśli tak, to całkiem nieświadomie... ale nie pomogłam też tobie. Jestem złą, niegodziwą kobietą.

Wstał i chwycił ją za ramiona. Ręce miał zimne jak grób.

— Ale czy jesteś moja?

— Chcę być twoja, Stephenie, naprawdę.

Dotknął jej policzka, ale na jego twarzy nie było miłości. Zadrżała.

— Mówiłam ci, że nie zasługuję na wybaczenie.

— Czy wiesz, gdzie jest Feliks? — zapytał.

Milczała. Jeśli powiem, pomyślała, to tak, jakbym wydała na śmierć Feliksa. Jeśli nie powiem, to tak, jakbym wydała na śmierć Stephena.

— Wiesz — powiedział. Kiwnęła głową w milczeniu.

— Powiesz mi?

Spojrzała mu w oczy. Czy wybaczy mi, jeśli powiem?

— Wybieraj — powiedział.

Czuła, że spada głową w dół, w głęboką

przepaść. Stephen podniósł wyczekująco brwi.

— Jest w domu — wyjąkała.

— Dobry Boże! Gdzie?

Opadły jej ramiona. Stało się. Zdradziła Feliksa po raz ostatni.

— Ukrywa się w pokoju dzieciennym — powiedziała łamiącym się głosem. Z jego twarzy opadła drewniana maska. W oczach pojawiła się wściekłość, policzki nabrały kolorów.

— Powiedz, że mi przebaczasz... proszę! Odwrócił się i wybiegł z pokoju.

Feliks przebiegł przez kuchnię i pokój kelnerów. Miał przy sobie świeczkę, dubeltówkę i zapalniczki. Czuł słodki, lekko mdlący zapach benzyny. W jadalni sączył się z dziury w wężu cienki strumyczek. Przesunął wąż w inne miejsce, by przedwcześnie nie przepalił go ogień, a potem zapalił zapalniczkę i rzucił ją na nasączony benzyną skrawek dywanu. Dywan zajął się ogniem.

291

Wykrzywił twarz w uśmiechu i wybiegł.

W bawialni wziął atłasową poduszkę i przez około minuty trzymał ją przy kolejnym otworze. Potem rzucił ją na sofę, podpalił i dorzucił parę

innych poduszek. Ogień skakał po nich wesoło.

Feliks przebiegł przez hall i korytarz do biblioteki. Tutaj wąż się kończył i benzyna rozlewała się po całej podłodze. Wyjmował całymi naręczami książki z półek i ciskał je w rozszerzającą się kałużę benzyny. Otworzył drzwi do sąsiadującej z biblioteką zbrojowni. Stał chwilę w progu, a potem rzucił świeczkę na podłogę.

Rozległ się odgłos przypominający potężny podmuch wiatru i biblioteka stanęła w ogniu. Książki i benzyna zapłonęły wysokim płomieniem. Po chwili ogień przerzucił się na zasłony, potem objął fotele i boazerię. Benzyna wciąż wylewała się z węża podsycając ogień. Feliks zaśmiał się głośno.

Zawrócił do zbrojowni. Wsadził do kieszeni pełną garść zapasowej amunicji. Przeszedł do pokoju kwiatowego. Otworzył zasuwkę w drzwiach prowadzących do ogrodu, uchylił je cicho i wyszedł na zewnątrz.

Z trudem opanowując niecierpliwość, skierował się na zachód, oddalając w linii prostej od domu. Przeszedł dwieście kroków i skręcił na

południe, a potem, po przejściu kolejnych dwustu kroków, na wschód, aż znalazł się na pograżonym w mroku trawniku, dokładnie naprzeciw głównego wejścia.

Zobaczył drugiego wartownika stojącego w świetle bliźniaczych lamp przed portykiem i palącego fajkę. Jego kolega leżał nieprzytomny, a być może martwy, na dziedzińcu kuchennym. Feliks widział płomienie w oknach biblioteki, ale policjanta dzieliła od tego miejsca spora odległość i na razie nie miał o niczym pojęcia. Lada moment mógł zauważyć ogień.

Pomiędzy stanowiskiem Feliksa a wejściem, około pięćdziesięciu metrów od portyku, rósł stary rozłożysty kasztan. Feliks zbliżył się do drzewa. Policjant wydawał się patrzeć mniej więcej w jego kierunku, ale chyba go nie widział. Feliks wcale się tym nie przejmował: jeśli mnie zauważy, zastrzelę go, postanowił. Teraz nie miało to większego znaczenia. Nikt nie był w stanie ugasić pożaru. Wszyscy musieli opuścić dom. Mogli się pojawić w każdej chwili, w każdej sekundzie. Zabiję ich obu, pomyślał.

Zaczął się za drzewem i oparł o jego pień

trzymając oburącz dubeltówkę.

Teraz dostrzegł płomienie po drugiej stronie pałacu, w oknach bawialni.

Na co oni czekają? — pomyślał.

Walden zapukał do drzwi pokoju błękitnego, gdzie nocował Thomson. Nie czekając na zaproszenie wszedł do środka.

292

— O co chodzi? — doszedł go głos z łóżka. Walden zapalił światło.

— Feliks jest w pałacu!

— Dobry Boże! — Policjant wyskoczył z pościeli. — Jak się tu dostał?

— Wpuściła go Charlotte — odparł z goryczą Walden. Thomson naciągnął w pośpiechu spodnie i marynarkę.

— Czy wiemy, gdzie się dokładnie ukrywa?

— W pokoju dzieciennym. Ma pan przy sobie rewolwer?

— Nie, ale trzech moi ludzie pilnują Orłowa, pamięta pan? Wezmę ze sobą dwóch i złapiemy go.

— Idę z panem.

— Wolalbym...

— Nie ma o czym mówić — krzyknął Walden.
— Chcę zobaczyć, jak on umiera.

Thomson spojrział na niego ze współczuciem i wybiegł z pokoju. Walden podążył za nim.

Pobiegli korytarzem do pokoju Aleksa. Wartownik przy drzwiach wyprężył się i zasalutował.

— Ty jesteś Barrett, prawda? — zapytał Thomson.

— Tak jest, sir.

— Kto jest w środku?

— Bishop i Anderson, sir.

— Każ im otworzyć. Barrett zapukał do drzwi.

— Hasło? — odezwał się natychmiast głos ze środka.

— Missisipi — powiedział Barrett. Drzwi uchyliły się.

— Co się dzieje, Charlie? A, to pan, sir.

— Co z Orłowem? — spytał Thomson.

— Śpi jak niemowlę, sir.

Zabierajmy się szybciej do rzeczy, pomyślał Walden.

— Feliks jest w pałacu. Barrett i Anderson, chodźcie ze mną i jego lordowską mością. Bishop,

zostań w pokoju. Sprawdźcie, czy macie naładowane pistolety, wszyscy.

Walden poprowadził ich tylnymi schodami na drugie piętro, do pokoju dzieciennego. Serce waliło mu w piersiach i odczuwał dziwną mieszaninę strachu i odwagi, jak niegdyś, gdy trzymał na muszce potężnego lwa.

Wskazał na drzwi do pokoju dzieciennego.

— Czy jest tam zainstalowane światło elektryczne? — zapytał szeptem Thomson.

— Tak — odpowiedział Walden.

293

— Gdzie jest kontakt?

— Po lewej stronie drzwi, na wysokości ramienia. Barrett i Anderson wyciągnęli pistolety.

Walden i Thomson stanęli po obu stronach drzwi, usuwając się z linii strzału.

Barrett otworzył drzwi, Anderson wpadł do środka i skoczył w bok, Barrett przekręcił kontakt.

Nic się nie stało.

Walden zajrzał do pokoju.

Anderson i Barrett sprawdzili pokój szkolny i

sypialnię.

— Nikogo tam nie ma, sir — oznajmił po chwili Barrett.

Pokój dziecinny był pusty i zalany światłem. Na środku stała miska z brudną wodą, obok leżał zwinięty ręcznik. Walden wskazał drzwi do garderoby.

— Tam za szafą jest małe pomieszczenie.

Barrett otworzył drzwi. Wszyscy czekali w napięciu. Barrett wszedł do środka trzymając w dłoni pistolet. Za chwilę pojawił się z powrotem.

— Był tam — powiedział. Thomson podrapał się w głowę.

— Musimy przeszukać dom — oznajmił Walden.

— Szkoda, że nie mam więcej ludzi — zafrasował się Thomson.

— Zaczniemy od skrzydła zachodniego — ponaglał ich Walden. — Ruszajmy.

Wyszli za nim z pokoju dziecinnego i podążyli dalej korytarzem w stronę schodów. Kiedy schodzili, Walden poczuł zapach dymu.

— Co to? — zapytał. Thomson pociągnął nosem.

Walden spojrział na Barretta i Andersona: żaden z nich nie palił. Zapach był coraz silniejszy. Dopiero teraz Walden usłyszał hałas, jakby drzewa szumiały na wietrze. Nagle ogarnął go lęk.

— W moim domu się pali! — krzyknął. Rzucił się biegiem na dół. Hall był pełen dymu. Walden przebiegł przez hall i pchnął drzwi do

bawialni. W piersi uderzył go żar. Zachwiał się do tyłu. W pokoju szalało inferno. Nie miał nadziei, że uda się ugasić ogień. Zerknął na skrzydło zachodnie i zobaczył, że pali się również biblioteka. Obrócił się. Tuż za nim stał Thomson.

— Mój dom płonie! — krzyknął do niego Walden. Policjant wziął go pod ramię i poprowadził w kierunku schodów. Stali tam Anderson i Barrett. Pośrodku hallu łatwiej było oddychać i lepiej słyszeć. Thomson był spokojny i skoncentrowany. Zaczął wydawać rozkazy.

— Anderson, idź obudzić tych dwóch stójkowych na dworze. Wyślij

294

jednego, żeby odszukał wąż ogrodowy i jakiś kran. Drugi niech pędzi do wioski i zatelefonuje po straż pożarną. Potem pobiegnij na górę

tylnymi schodami i obudź wszystkich służących. Powiedz, żeby jak najszybciej zebrali się na trawniku przed głównym wejściem. Tam ich policzymy. Ty, Barrett, idź obudzić pana Churchilla i dopilnuj, żeby wyszedł na zewnątrz. Ja wyprowadzę Orłowa. Walden, pan niech się zajmie żoną i córką. Szybko!

Walden pobiegł na górę do pokoju Lidii. Siedziała w nocnej koszuli na szezlongu, oczy miała czerwone od łez.

— Pali się dom — wyszeptał bez tchu. — Wyjdź szybko na trawnik przed głównym wejściem. Ja zajmę się Charlotte. — Nagle przypomniał sobie o dzwonku obiadowym. — Nie — powiedział — ty idź po Charlotte. Ja uruchomię dzwonek.

Zbiegł szybko na dół. Dlaczego nie pomyślałem o tym wcześniej? — pytał sam siebie. W hallu wisiał długi jedwabny sznur, który uruchamiał dzwonki w całym domu, powiadamiając służbę i gości, że zbliża się pora posiłku. Pociągnął za sznur i usłyszał, jak odpowiada mu w całym domu niewyraźny dźwięk dzwonek. Zauważył, że przez hall biegnie gumowy wąż. Czy ktoś próbuje już gasić ogień?

Nie potrafił zgadnąć, kto by to mógł być. Dalej ciągnął za sznur.

Feliks przyglądał się pożarowi z niepokojem. Ogień rozprzestrzeniał się zbyt szybko. Palila się już duża część pierwszego piętra — w oknach widoczna była łuna. Wychodźcie, głupcy, powtarzał w duchu. Co oni tam robią? Nie chciał, żeby wszyscy spalili się żywcem w środku, chciał, żeby wyszli. Policjant przy portyku prawdopodobnie spał. Będę chyba musiał sam podnieść alarm, pomyślał zdesperowany; nie chcę, żeby zginęli niewłaściwi ludzie...

Nagle policjant rozejrzał się wokół siebie. Fajka wypadła mu z ust. Skoczył na ganek i zaczął walić do drzwi. Nareszcie, pomyślał Feliks. Podnieś alarm, głupcze. Policjant podbiegł do okna i wybił szybę.

W tej samej chwili drzwi się otworzyły i na zewnątrz wybiegł ktoś w chmurze dymu. Zaczęło się, pomyślał Feliks. Podniósł dubeltówkę i wyteżył wzrok w ciemności. Nie mógł rozpoznać twarzy człowieka, który wybiegł. Tamten krzyknął coś i policjant ruszył biegiem spod domu. Muszę coś zrobić, żeby móc rozpoznać ich twarze, myślał

gorączkowo Feliks; ale jeśli podejść za blisko, zaraz odkryją moją obecność. Ten, który wybiegł, zawrócił do domu, zanim Feliks zdążył go rozpoznać. Muszę zaryzykować i podejść bliżej, zdecydował. Ruszył przez trawnik. W domu rozległy się dzwonki.

Teraz zaczną wychodzić, pomyślał.

295

Lidia biegła zadymionym korytarzem. Jak mogło się to stać tak szybko? Przed chwilą, w swoim pokoju, jeszcze nic nie czuła; a teraz płomienie wypełzały spod drzwi mijanych sypialni. Płonął chyba cały dom. Powietrze było zbyt gorące, żeby nim oddychać. Dobiegła do drzwi Charlotte i szarpnęła za klamkę. Oczywiście, zamknięte. Przekręciła klucz. Spróbowała otworzyć drzwi ponownie. Ani drgnęły. Nacisnęła klamkę i pchnęła drzwi z całej siły. Stało się coś strasznego, drzwi się zaklinowały. Zaczęła przeraźliwie krzyczeć.

— Mamo! — dobiegł ją ze środka głos Charlotte. Lidia przygryzła wargi do krwi i umilkła.

— Charlotte!

— Otwórz drzwi!

— Nie dają się otworzyć, nie dają się otworzyć...

— Są zamknięte na klucz.

— Przekręciłam klucz i nadal się nie otwierają. Pali się cały dom. Słodki Jezu, pomóż mi, pomóż...

Drzwi zadygotały. Zaklekotała klamka. Charlotte starała się otworzyć je od wewnątrz.

— Mamo!

— Tak?

— Mamo, przestań krzyczeć i słuchaj mnie uważnie: podniosła się podłoga i drzwi zaklinowały się w futrynie. Trzeba je wyłamać. Idź sprowadzić pomoc!

— Nie mogę cię samej zostawić...

— MAMO! IDŹ SPROWADZIĆ POMOC ALBO SPŁONĘ TU ŻYWCEM!

— O, Boże... dobrze — Lidia odwróciła się i pobiegła krztusząc się w stronę schodów.

Walden wciąż pociągał za sznur dzwonka. Przez dym widział, jak z góry schodzi Aleks osłaniany przez Thomsona i drugiego detektywa, Bishopa. Zaraz będą tutaj Lidia, Churchill i

Charlotte, pomyślał, ale potem zdał sobie sprawę, że mogą zejść innymi schodami; mógł się co do tego upewnić tylko na trawniku przed domem, gdzie polecono się wszystkim zgromadzić.

— Bishop! — krzyknął Walden. — Chodź tutaj! Detektyw podbiegł do niego.

— Ciągnij za ten sznur, tak długo, jak to będzie możliwe. Bishop chwycił za sznur, a Walden wyszedł w ślad za Alekssem z domu.

296

To była bardzo słodka chwila dla Feliksa.

Podniósł broń i ruszył w stronę pałacu.

Orłów i jeszcze ktoś szli prosto ku niemu. Na razie go nie zauważyli. Kiedy się zbliżyli, pojawił się za nimi Walden.

Jak szczury w pułapce, pomyślał z triumfem Feliks.

Mężczyzna, którego nie znał, obrócił się przez ramię i powiedział coś do Waldena.

Jeszcze tylko dwadzieścia metrów.

Teraz, pomyślał Feliks.

Oparł kolbę dubeltówki o ramię, wycelował dokładnie w pierś Orłowa i dokładnie w chwili, kiedy ten otworzył usta, żeby coś powiedzieć,

pociągnął za spust.

W nocnej koszuli Orłowa pojawiła się wielka czarna dziura. Zawierająca około czterystu kulek uncja grubego śrutu rozerwała mu pierś. Dwaj pozostali mężczyźni usłyszeli strzał i gapili się ze zdumieniem na Feliksa. Z piersi Orłowa buchnęła krew. Książę przewrócił się do tyłu.

Udało mi się, pomyślał z radością Feliks; udało mi się go zabić.

A teraz śmierć czeka kolejnego tyrana.

Wziął na muszkę Waldena.

— Nie ruszaj się! — krzyknął.

Walden i ten drugi stali jak sparaliżowani.

Nagle usłyszeli przeraźliwy krzyk.

Feliks zerknął w stronę, z której dochodził hałas.

Z pałacu wybiegła Lidia z płonącymi włosami.

Przez ułamek sekundy Feliks zawahał się, potem skoczył ku niej.

Walden zrobił to samo.

Feliks rzucił w biegu strzelbę i zdarł z siebie kurtkę. Dopadł do Lidii na sekundę przed Waldenem. Owinął kurtką jej głowę i ugasił płomień.

Lidia ściągnęła kurtkę.

— Charlotte jest uwięziona w swoim pokoju!
— krzyknęła. Walden obrócił się i pobiegł w stronę domu.

Tuż za nim biegł Feliks.

Zapłakana Lidia ujrzała, jak Thomson podbiega do miejsca, w którym Feliks porzucił dubeltówkę, i podnosi ją z ziemi.

Ogarnięta przerażeniem patrzyła, jak opiera ją o ramię i celuje w plecy Feliksa.

— Nie! — krzyknęła. Rzuciła się na Thomsona zwalając go z nóg.

Strzelba wypaliła prosto w ziemię.

297

Thomson popatrzył na nią z wściekłością.

— Nie wiesz? — krzyknęła histerycznie. — On już dość się wycierpiał!

W pokoju Charlotte zaczął tlić się dywan.

Wsadziła pięść do ust i gryzła palce, żeby przestać krzyczeć.

Podbiegła do umywalni, złapała dzbanek z wodą i wylała jego zawartość na środek pokoju. Buchnęło tylko jeszcze więcej dymu.

Zbliżyła się do okna, otworzyła je i spojrzała w

dół. Z okien poniżej wydostawały się dym i płomienie. Ściana zewnętrzna była z gładkiego kamienia, w żaden sposób nie dawało się po niej zejść. Jeśli będę musiała, wyskoczę, pomyślała; lepsze to, niż spalić się tu żywcem. Ta perspektywa przeraziła ją i znowu zaczęła gryźć palce.

Podbiegła do drzwi i szarpnęła bezradnie za klamkę.

— Na pomoc, niech ktoś mi pomoże, szybko!
— krzyknęła.

Z dywanu strzeliły płomienie. Pośrodku podłogi pojawiła się dziura.

Trzymając się ściany pobiegła z powrotem przez pokój, żeby być bliżej okna, kiedy trzeba będzie wyskoczyć.

Usłyszała, jak ktoś łka głośno i zdała sobie sprawę, że to ona sama.

W hallu było gęsto od dymu. Feliks niewiele widział. Trzymał się blisko Waldena. Tylko nie Charlotte, myślał, nie pozwolę umrzeć Charlotte, nie Charlotte!

Wbiegli po schodach. Całe pierwsze piętro stało w płomieniach. Było straszliwie gorąco.

Walden przeskoczył przez ścianę ognia, w ślad za nim zrobił to Feliks.

Walden zatrzymał się przy którymś z pokoi. Złapał go atak kaszlu. Bezradnie wskazał na drzwi. Feliks chwycił za klamkę i pchnął drzwi ramieniem. Nie drgnęły. Potrząsnął Waldenem.

— Wywalimy drzwi! — krzyknął. Stanęli razem po drugiej stronie korytarza, twarzą do drzwi. Walden wciąż kaszłał.

— Teraz! — krzyknął Feliks. Skoczyli obaj.

Drewno pękło, ale drzwi nie puściły ani na centymetr. Walden przestał kaszleć. Na jego twarzy malowało się teraz czyste przerażenie.

— Jeszcze raz! — krzyknął. Stanęli przy przeciwległej ścianie.

— Teraz! Skoczyli znowu.

Pęknięcie trochę się rozszerzyło.

298

Z drugiej strony usłyszeli krzyk Charlotte.

Walden ryknął z bezsilnej wściekłości. Rozejrzał się wokół siebie. Nie opodał stał ciężki dębowy fotel. Feliks myślał, że Walden w ogóle go nie poruszy, ale ten uniósł go nad głowę jak piórko i cisnął z całej siły

o drzwi. Pojawiła się w nich szczelina.

Zniecierpliwiony Feliks wsadził palce do środka i zaczął rozrywać drewno. Po chwili dłonie miał śliskie od krwi.

Cofnął się na moment i Walden ponownie cisnął fotelem o drzwi.

1 znowu Feliks darł palcami deski. W ręce powbijało mu się mnóstwo drzazg. Usłyszał, jak Walden mamrocze coś pod nosem, i zdał sobie sprawę, że to modlitwa. Walden po raz trzeci uderzył fotelem o drzwi. Fotel rozleciał się, odpadło od niego oparcie; dziura w drzwiach była już wystarczająco duża, by przedostał się przez nią Feliks — ale nie Walden.

Feliks dał nura do środka i wylądował na podłodze sypialni. Podłoga paliła się. Nigdzie nie widział dziewczyny.

— Charlotte! — krzyknął na cały głos.

— Tutaj! — jej głos dochodził z drugiej strony pokoju.

Feliks obiegł pokój wzdłuż ściany, tam, gdzie ogień był mniejszy. Siedziała na parapecie otwartego okna, łapiąc z trudem powietrze. Chwycił ją w pasie i przerzucił sobie przez ramię.

Ruszył z powrotem do drzwi.

Walden wsadził głowę i jedno ramię przez dziurę, żeby odebrać Charlotte od Feliksa. Zobaczył, że tamten ma osmalone ręce i twarz, i że palą mu się spodnie. Charlotte miała oczy szeroko otwarte z przerażenia. Za Feliksem zaczęła się zapadać podłoga. Walden objął jedną ręką ciało Charlotte. Feliks zachwiał się. Walden cofnął głowę, wsadził drugą rękę do dziury i ujął Charlotte pod pachę. Jej nocną koszulę lizały płomienie.

Krzyknęła z bólu.

— Już wszystko dobrze, papa cię uratuje — szepnął. Nagle poczuł, że dźwiga cały jej ciężar. Przeciągnął ją przez dziurę w drzwiach. W tej samej chwili zwiśla mu bezwładnie w ramionach. Kiedy ją wy dostał, runęła podłoga w sypialni. Zobaczył twarz Feliksa, zapadającego się w szalejące inferno.

— Niech Bóg zlituje się nad twoją duszą — szepnął i skoczył ku schodom.

Thomson trzymał Lidię w żelaznym uścisku, nie pozwalając jej wbiec do środka płonącego

domu. Stała wpatrzona w drzwi, pragnąc, aby razem z Charlotte pojawiło się w nich dwóch mężczyzn.

299

Ktoś pokazał się na schodach. Kto to był? Zbliżał się. To był Stephen. W ramionach trzymał Charlotte. Thomson puścił Lidię. Podbiegła do nich. Stephen położył delikatnie Charlotte na trawie. Lidia popatrzyła na niego w panicznym strachu.

— Co z nią...? — wyjąkała.

— Żyje — uspokoił ją Stephen. — Straciła tylko przytomność. Lidia uklękła na trawie, położyła głowę Charlotte sobie na kolanach

i dotknęła jej lewej piersi. Wyczuła mocne bicie serca.

— Och, moja mała — szepnęła.

Stephen usiadł obok. Spojrzała na niego. Miał popalone spodnie, osmaloną i popękaną skórę. Ale żył.

Jej spojrzenie powędrowało ku drzwiom do pałacu.

Stephen zauważył to.

Uświadomiła sobie, że obok stoją

przysłuchując się im Thomson i Churchill.

Stephen ujął Lidię za rękę.

— To on ją uratował — powiedział — a potem podał mnie. W tej samej chwili zapadła się pod nim podłoga i zginął.

Łzy napłynęły Lidii do oczu. Stephen spostrzegł to i ścisnął mocniej jej dłoń.

— Widziałem jego twarz, kiedy spadał. Nie sądzę, żebym kiedykolwiek w życiu zapomniał ten widok. Miał szeroko otwarte oczy i był w pełni świadom, co się z nim dzieje, ale... nie był wcale przerażony. Właściwie wyglądał na... zadowolonego.

Łzy pociekły Lidii po twarzy.

— Pozbądźcie się ciała Orłowa — zwrócił się Churchill do Thomsona. Biedny Aleks, pomyślała Lidia. Płakała z żalu i po nim.

— Co? — zapytał z niedowierzaniem Thomson.

— Ukrycie je, pogrzebcie, wrzucicie do ognia — mówił Churchill. — Nie obchodzi mnie, jak to zrobicie, chcę tylko, żebyście pozbyli się ciała.

Lidia spojrzała na niego w osłupieniu. Zobaczyła przez łzy, jak Pierwszy Lord wyjmuje z

kieszeni szlafroka arkusz papieru.

— Porozumienie jest podpisane — oświadczył.

— Carowi się powie, że Orłów zginął przypadkowo podczas pożaru, który strawił doszczętnie Walden Hall. Orłów nie został zamordowany, jasne? Nie istniał nigdy żaden zabójca. — Wysunął dolną szczękę do przodu i popatrzył na nich wszystkich spode łba. — Nie istniał nigdy żaden Feliks.

Stephen wstał i podszedł do miejsca, gdzie leżały zwłoki Aleksa. Ktoś przykrył jego twarz.

300

— Aleks, mój chłopcze — usłyszała, jak mówi.

— Co ja powiem twojej matce?

Pochylił się i skrzyżował mu rękę na dziurze w piersi.

Lidia spojrzała na ogień trawiący wszystkie te długie, nabrzmiałe historią lata, trawiący całą ich przeszłość. Stephen wstał i stanął u jej boku.

— Nigdy nie istniał nikt o imieniu Feliks — szepnęła. Popatrzyła na niego. Z tyłu, za jego plecami szarzało lekko niebo. Niedługo wstanie słońce i zacznie się nowy dzień.

EPILOG

J__drugiego sierpnia 1914 roku Niemcy wkroczyli do Belgii. Po kilku

dniach wojska niemieckie załwały Francję. Pod koniec sierpnia, kiedy wydawało się, że upadnie Paryż, znaczne oddziały niemieckie zostały wycofane z Francji, aby bronić Niemiec przed rosyjską inwazją ze wschodu; i Paryż nie upadł.

W roku 1915 Rosjanie oficjalnie przejęli kontrolę nad Konstantynopolem i Bosforem.

Wielu młodych ludzi, z którymi Charlotte tańczyła na balu u Belindy, padło na polach Francji. Freddie Chalfont zginął pod Ypres. Peter wrócił do domu doznawszy wstrząsu po wybuchu bomby. Charlotte skończyła kurs pielęgniarstwa i wyjechała na front.

W roku 1916 Lidia urodziła syna. Porodu oczekiwano z niepokojem z powodu późnego wieku matki, obyło się jednak bez żadnych komplikacji. Chłopcu nadali imię Aleks.

W roku 1917 Charlotte zachorowała na zapalenie płuc i odesłano ją do domu. W czasie rekonwalescencji przetłumaczyła na angielski Córzkę kapitana Puszkina.

Po wojnie kobiety otrzymały prawo głosu.

Premierem został Lloyd George. Basil Thomson otrzymał tytuł szlachecki.

Charlotte poślubiła młodego oficera, którym opiekowała się we Francji. Podczas wojny nawrócił się na pacyfizm i socjalizm. Jako jeden z pierwszych działaczy labourzystowskich wszedł do parlamentu. Charlotte została czołową angielską tłumaczką dziewiętnastowiecznej prozy rosyjskiej. W roku 1931 oboje pojechali do Moskwy i powrócili stamtąd twierdząc, że Związek Radziecki jest prawdziwym rajem na ziemi dla klasy robotniczej. Zmienili zdanie, kiedy Rosjanie podpisali pakt z nazistami. Mąż Charlotte został w roku 1945 wiceministrem w rządzie labourzystowskim.

302

Charlotte wciąż żyje. Mieszka w domku, który niegdyś stał na terenie folwarku. Domek ten jej ojciec postawił swojemu rządcy, właściwie jest to obszerny i solidny dom, jasny i wygodnie umeblowany. Tam, gdzie kiedyś rozciągały się pola, wybudowano ostatnio osiedle mieszkaniowe, ale Charlotte to nie przeszkadza, ponieważ lubi być otoczona ludźmi. Walden Hall

został odbudowany przez Lutyensa i należy obecnie do syna Aleksa Waldena.

Charlotte zdarza się czasem zapomnieć o tym, co zdarzyło się przed chwilą, ale całe lato roku 1914 pamięta, jakby to było wczoraj. Jej smutne piwne oczy stają się wtedy jakby trochę nieobecne i Charlotte odpływa w świat swoich niesamowitych wspomnień.

Nie żyje jednak samą przeszłością. Uważa, że Komunistyczna Partia Związku Radzieckiego kala dobre imię socjalizmu, podobnie jak Margaret Thatcher — dobre imię feminizmu. Jeśli jej powiedzieć, że pani Thatcher nie jest wcale feministką, odpowie, że Breżniew nie jest wcale socjalistą.

Nie zajmuje się już tłumaczeniem, ale czyta teraz w oryginale Archipelag Gułag. Uważa Sołżenicyna za obłudnika, mimo to zdecydowana jest doczytać książkę do końca. Nie ma już najlepszych oczu i jest w stanie czytać tylko przez pół godziny rano i pół godziny po południu. Oblicza, że w tym tempie skończy ją w wieku dziewięćdziesięciu dziewięciu lat.

Mam przeczucie, że jej się to uda.

